



GIGI
LEVANGIE
GRAZER

Pożeraczka serc

Świat Książki

Pożeraczka serc to rzadko spotykana satyra, w której strzały dowcipu trafiają celnie w przedstawione z sympatią postaci. W porównaniu z opisanymi przez Grazer fantastycznie głupłutkimi dziewczynami na przyjęciu w Los Angeles, kobiety z *Seksu w wielkim mieście* wydają się gromadką sztywnych nowojorskich intelektualistek.

Tom Perrotta

Ta kobieta ma ogromny apetyt na życie i wie, jak go zaspokoić...

Clarissa Alberta ma 31 lat (choć utrzymuje, że 28) i mieszka w Los Angeles. Nie pracuje, żyje za pieniądze rodziców, a jej głównym źródłem dochodów są bogaci mężczyźni. Od dzieciństwa słyszała, że jej jedynym zadaniem jest znalezienie bogatego męża. Ponieważ lat przybywa, a kawalerów jest coraz mniej, Clarissa postanawia zarzuć sieć. Wybór pada na Aarona Masona, świeżo przybyłego do miasta producenta filmowego i... zupełnie przypadkowo syna właściciela wielkiej sieci sklepów na Południu. Z pomocą energicznych (i nieco neurotycznych) przyjaciółek, namiętnie uprawiającej aerobik matki oraz kochającego i kochliwego ojca, zaczyna planować największe wesele, jakie widziało Hollywood – a to wszystko jeszcze przed pierwszą randką. Wygląda jednak na to, że po ślubie jej wybranek ma własne plany. Czyżby trafiła kosa na kamień?

Gigi Levangle Grazer jest autorką oryginalnego scenariusza *Mamuska*, według którego Columbia TriStar nakręciła film z udziałem Julii Roberts i Susan Sarandon. Mieszka w Pacific Palisades w Kalifornii, z mężem, producentem Brianem Grazerem, i trójką dzieci.

www.swiatkciastki.pl

ISBN 83-7391-038-7



9 788373 910386

Cena 29,90 zł



Nr 4206

GIGI
LEVANGIE
GRAZER

Pożeraczka serc

Z angielskiego przełożyła

Małgorzata Grabowska

Świat Książki

Tytuł oryginału MANEATER

Projekt okładki *Małgorzata Karkowska*

Zdjęcie na okładce Flash Press Media

Redaktor prowadzący *Ewa Niepokólczycka*

Redakcja *Mirosław Grabowski*

Korekta

Elżbieta Jaroszuk

Bożenna Burzyńska

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy martwych - jest całkowicie przypadkowe

Copyright © 2003 by Last Punch Productions, Inc.

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by

Bertelsmann Media sp, z o.o., Warszawa 2004

Świat Książki

Warszawa 2004

Bertelsmann Media sp, z o.o.

ul. Rosola 10,02-786 Warszawa

Druk i oprawa Wrocławska Drukarnia Naukowa

ISBN 83-7391-038-7 Nr 4206

*Mojemu mężowi,
o jakim mogłaby marzyć
każda pożeraczka serc*

Podziękowania

Dziękuję profesjonalistom: Davidowi Rosenthalowi, Marysue Rucci, Jennifer Rudolph-Walsh, Sylvie Rabineau, Stephanie Davis, Tarze Parsons i Scottowi Grayowi. Dziękuję także przyjaciółkom, Julie Jaffe, Leslee Newman i Julii Sorkin. Na koniec składam podziękowanie rodzicom, Frankowi Levangie i Phillipie Brown, których z góry przepraszam.

Spis treści

Rozdział pierwszy	
Spotkanie	9
Rozdział drugi	
Kolej na Aarona	29
Rozdział trzeci	
Przyjęcie	31
Rozdział czwarty	
Wesele	52
Rozdział piąty	
Zakładanie przynęty w pułapce	73
Rozdział szósty	
Magnetyzm (pluszowych) zwierząt	97
Rozdział siódmy	
Podnoszenie temperatury	115
Rozdział ósmy	
Przeszły niedokonany	133
Rozdział dziewiąty	
Oto intercyza, hmm, panna młoda	142
Rozdział dziesiąty	
Po ślubie	149
Rozdział jedenasty	
Zakończenie wcale nie jak w bajce	157
Rozdział dwunasty	
Hej, bieda jest cool	168
Rozdział trzynasty	
A jednak	187

Rozdział czternasty	
Pojawia się zła Suzee i wszystko się wali	198
Rozdział piętnasty	
Spotkanie z rodzicami (dziadkami!)	210
Rozdział szesnasty	
Polowanie Clarissy	225
Rozdział siedemnasty	
Witaj w domu, a teraz odejź	234
Rozdział osiemnasty	
Larry Kelner mówi wszystko	251
Rozdział dziewiętnasty	
Poszukiwania pracy ciąg dalszy	261
Rozdział dwudziesty	
Widzieliście?	273
Rozdział dwudziesty pierwszy	
Trudy dorastania	286
Rozdział dwudziesty drugi	
Piekło metamorfozy	294
Rozdział dwudziesty trzeci	
Praca	302
Rozdział dwudziesty czwarty	
Rzeczywistość przerasta fikcję	315
Rozdział dwudziesty piąty	
Hej, Ricky!	318
Rozdział dwudziesty szósty	
Ogłuszająca cisza	333
Rozdział dwudziesty siódmy	
Piekielne pępkowe	346
Rozdział dwudziesty ósmy	
Przychodzi na świat... Co to jest?	353
Rozdział dwudziesty dziewiąty	
Długa, egzotyczna podróż	367
Rozdział trzydziesty	
Pogrzeb	373
Rozdział trzydziesty pierwszy	
Ślub	378
Rozdział trzydziesty drugi	
Koniec/Początek	383

Rozdział pierwszy

Spotkanie

Mój Boże, jaki to był piękny ślub. I co z tego, że panna młoda o świetlistej cerze i włosach w kolorze białego złota (dzieło fryzjera, który grał kiedyś w filmach porno dla gejów, a teraz jego żona znad Amazonki spodziewała się dziecka) pieprzyła się z każdym z drużbów w którymś momencie swojego krótkiego życia.

Poprawka. Życie Clarissy Alpert nie było takie krótkie, jak się do tego przyznawała. Clarissa uważała się za dwudziestoosmiolatkę, co zaskakiwało każdego, kto wzrastał razem z nią we względnej biedzie (dolnego) Beverly Hills, gdzie dopiero niedawno bungalowy zaczęły jeden po drugim przekraczać cenowy próg pół miliona dolarów. Ściśle biorąc, miała trzydzieści jeden lat, ale dla pana młodego, który liczył sobie lat dwadzieścia siedem i pół („połówki” miały jeszcze dla chłopaka znaczenie) i był lekko uszkodzonym potomkiem starego majątnego rodu - dwadzieścia osiem. Nawet matka Żydówka, anorektyczka o kruchych kościach, wypalająca cztery paczki papierosów dziennie, uległa jej niezachwianej pewności siebie i uwierzyła, że wydała na świat ten dziw natury dwadzieścia osiem lat temu.

Clarissa upatrzyła sobie Aarona niedługo po tym, jak rzuciła Seana Penna.

Tak naprawdę nigdy nie chodziła z Seanem Pennem. Ale Sean Penn był idolem Aarona Masona od Domów Towarowych Masonów, największej

sieci sklepów dla średnio zamożnych na Południu. Aaron, absolwent wydziału filmowego na Południowym Uniwersytecie Metodystów, był początkującym producentem, dopiero co przybyłym do Hollywood i nieznaną tutaj zwyczajów. Clarissa odkryła go, gdy wysiadał, kuśtykając, z autobusu (a raczej z bentleya 2002 na parkingu z obsługą przed „Ivy”). Zawsze miała słabość do mężczyzn z jakimś fizycznym defektem, a kiedy trafiła na takiego, który jeździł jej ulubionym luksusowym autem, gotowa była - ona, zaprzysięgła ateistka - zostać sunnitką.

Clarissa umawiała się z mężczyznami o rozmaitych przypadłościach - byli wśród nich dyslektycy, niewidomy piosenkarz z kapeli techno naśladujący Moby'ego i scenarzysta na wózku inwalidzkim, laureat nagrody Emmy. Niestety, Clarissa zauważyła u siebie większy niż zwykle przyływ sympatii do scenarzysty: sprawiało jej przyjemność obcieranie mu śliny z twarzy, budziła zachwyt jego bełkotliwa czułość.

Ale scenarzysta? I do tego telewizyjny? Clarissa miała dopiero (jak uparcie twierdziła) dwadzieścia osiem lat; jeszcze nie była gotowa zrezygnować z szansy na prawdziwy sukces (platynowy pierścionek od Tiffanymy'ego).

Przypadłością Aarona była zdeformowana stopa. Clarissa obserwowała go niczym tygrys śledzący spasioną antylopę gnu, przez całą drogę od granatowego bentleya, po podobnych do zigguratu stopniach „Ivy”, aż do czekającego nań stolika, przy którym trzech mężczyzn o pulchnych ego miało przekleństwa do małych telefonów komórkowych.

Kuśtykanie przesądziło sprawę.

Romans trwał krótko. Jeszcze dwa tygodnie, a można by go nazwać trąbą powietrzną. Clarissa obwoziła swój egzemplarz pokazowy od pokrytych graffiti, wyłożonych ecstazy brzegów „Silverlake” do połączonych, inkrustowanych koką wybrzeży Malibu. Aaron nie mógł wiedzieć, co go trafiło, chociaż mógł wiedzieć (jak się później przekonamy), że Clarissa przemierzyła wielkie Los Angeles, przeskakując z łóżka do łóżka

bez litości, żalu, smutku czy wyrzutów sumienia. Nie mógł natomiast wiedzieć, że kłamała w kwestii wieku, wyznania (Kościół episkopalny w elitarnym klubie w Bel Air, wyznanie mojżeszowe w „Hillcrest”), swoich zwyczajów godowych, koloru włosów, operacji plastycznych, wykształcenia, poprawionego nosa po matce, wychowania, upadku, pobytów na rehabilitacji, liczby ciąż, w które zaszła - trzech - chociaż nigdy nie rodziła, że ogólnie kłamała wszystkim, o każdej porze i pod dowolnym pretekstem.

Przynajmniej na początku nie mógł wiedzieć, że Clarissa jest socjopatką na przyuczeniu, zjawiskiem tak powszechnym w Los Angeles jak palmy i zazdrość. Nie mógł wiedzieć, pochodząc ze względnie normalnego środowiska podmiejskiej Georgii, że socjopaci występują w Los Angeles częściej niż w Waszyngtonie - i są bardziej doceniani.

Clarissa Alpert była tutaj doprawdy bardzo wysoko ceniona.

Prolog, czyli jak się to wszystko zaczęło

22.42, sylwester. Na lniającej serwetce z „Le Domaine” napisane były następujące słowa:

1 stycznia 2003, Lista Życzeń: mężczyźni. Ja, Clarissa Alpert, będąc względnie w pełni władz umysłowych oraz posiadając niewiarygodne (naturalne!) ciało, pragnęłabym w tym roku zdobyć:

1. Bruce'a Springsteena (za stary, żonaty, dzieciaty [uch], pewnie szczęśliwy. Stopień trudności: 9+).

2. Petera Mortona (bogaty, restauracje „Hard Rock” [„Planet Hollywood”?] itd., rozwiedziony... bogaty, bogaty, bogaty, zaręczony. Stopień trudności: 6).

3. Teda Fielda (bogaty, spadkobierca, wyj, bogaty, lubi wysokie, chude, piękne blondynki. Osiemnastki. Które mogą dowieść, że mają 18 lat. Może być trudno: 10).

4. Graydona Cartera (jeszcze nie wysechł atrament na papierach rozwodowych, kilkanaścioro dzieci. Silny, podkreślone. Na wpół brytyjski akcent - rozkoszny i dziwaczny. Stopień trudności: 8+. PS. Lubi dziewczyny z klasą, o nadzwyczajnym guście... UCH).

Clarissa Regina Alpert, jak co roku, sporządzała listę zadań do wykonania. Wiedziała, że takie listy są ważne dla kogoś, kto chce realizować życiowe cele; sporządzanie list zmuszało do skupienia energii i nadania jej kierunku. Nauczyła się tego od byłego byłego byłego... byłego chłopaka, barmana/aktora/kaskadera, z wargą wywiniętą w utrwalonym wyrazie pogardy. On z kolei nauczył się tego na kursie dianetyki* w ogromnym, smerfowoniebieskim Kościele Scjentologii (do którego wstąpił, żeby poznać Toma Cruise'a, Johna Travoltę lub przynajmniej Jennę Elfman, zwaną Dharmą).

* Kontrowersyjny system technik samodoskonalenia, stworzony w latach pięćdziesiątych przez Rona Hubbarda (wszystkie przypisy tłumaczki).

Clarissa starała się przyswoić jakiś okruszek wiedzy od każdego mężczyzny, z którym się umawiała; nie była wybitną uczennicą ani w szkole, ani w życiu, ale wyspecjalizowała się w Żegnaniu Mężczyzn.

Odkąd skończyła osiemnaście (dwadzieścia jeden) lat, w Nowy Rok sporządzała Listę Życzeń. Prawie każdą wolną chwilę spędzała w towarzystwie przyjaciółek, jednak tę jedną tradycję podtrzymywała w samotności; planowanie przyszłości wymagało pełnej, niczym nierozproszonej koncentracji.

Pisała dalej obgryzionym piórem Larry'ego Kelnera. Piła trzeci kir royale, a tyle jeszcze miała roboty...

- Pisz pani scenariusz? - spytał męski głos.

(Jeżeli w Los Angeles ktoś wyglądał na pisarza, musiał być scenarzystą. Poeci i powieściopisarze, niczym wampiry, nie znoszą słońca. Nawet okrytego burką smogu).

Przed Clarissa stanął wspaniały „Gołowas”. Gołowasem, Leonem albo Przedszkolakiem Clarissa i jej przyjaciółki nazywały mężczyznę poniżej dwudziestu pięciu lat.

Clarissa nie patrzyła jednak na jego pełną zapału, gładką twarz, lecz na buty.

Ani od Prady. Ani od Gucciego. Ani nawet od Kennetha Cole'a.

Wyglądały podejrzanie, jak zwykłe zamszaki. Chyba się porzygam, pomyślała Clarissa. Mieszkanie-studio w dzielnicy Sherman Oaks, sortownia poczty przemysłu muzycznego - albo jeszcze gorzej, początkujący agent...

- Może pan odejść - rzuciła Clarissa i pochyliła się, pisząc zawzięcie.

- Słucham? Pani nawet nie wie...

- Idź sobie. I to już. Zabieraj swoją piłkę, no dalej... - ponagliła go ciepło jak zraniona kobra.

Biedaczek był wstrząśnięty. Omal nie zmarszczył czoła, ale w końcu, nienawykły do takiej miny, odął wargi. Popenił błąd, próbując od nowa nawiązać rozmowę.

- Słuchaj, już jadłam przy twoim stole, *comprenez-vous!* Nie jestem zainteresowana - ucięła Clarissa.

- Suka — szepnął ledwie słyszalnie; a więc „Leon” się bał.

Clarissa syknęła jak ryś, odsłaniając na mgnienie równe, zadbane zęby.

Wróciła do listy, która w tym roku nabrała większego niż dawniej znaczenia.

- Pomyśl, księżniczko - powiedziała do siebie.

Spojrzała na zegarek. Miała mnóstwo przyjaciółek, jednak nie mogła im pokazać swojej tajnej listy. Wprawdzie bardzo je kochała i podziwiała, ale po co miałyby zdradzać swoje pomysły? Obiecała spotkać się później z dziewczynami w Playboy Mansion (Dolina Krzemowa, Cyce Centralne, Dom Wolnych i Wykorzystanych). Można się tam było nieźle zabawić, bo atrakcji nie brakowało: serowe dania, zgasłe gwiazdy sitcomów, osławiona wilgotna grota zajeżdżająca męskim nasieniem,

rozpaczliwy śmiech, pieniądze, no i niekończący się strumień fantastycznych kobiet, chyba dowożonych autobusami - te kobiety były tak agresywnie piękne, że brzydota stawała się mile widzianym towarem.

Teraz jednak czekała ją praca.

5...

5. Musiało ich być więcej niż czterech.

- Czy umawiałam się ze wszystkimi ze Wschodniego i z Zachodniego Wybrzeża? - pomyślała Clarissa na głos.

Podszedł Larry Kelner, chudy jak gumka recepturka.

- *Si, oui, yes*, to znaczy tak - rzekł i postawił przed nią kolejny koktajl z szampanem. Nawet nie trzeba go było o to prosić.

Wszyscy mężczyźni powinni być kelnerami pedałami, pomyślała Clarissa.

- Ty wiesz najlepiej, mateczko - przyznała mu rację.

Zapisała jedno nazwisko.

- Larry Kelner wie wszystko, panno o niewyczerpanych możliwościach. Wślizgiwałaś się tutaj, odkąd osiągnęłaś pełnoletniość.

5. John F. Kennedy, Jr (bogaty, z dobrej rodziny, żonaty [nieszczęśliwie?]. Nie żyje. Stopień • trudności: ...8)

- Poprawka. Zanim osiągnęłam pełnoletniość.

Clarissa przepadała za Larrym Kelnerem. Był inteligentnym gejem, miał cięty język i świecił łysiną. Rozkoszna kombinacja.

- Posłuchaj, złotko, jeżeli w najbliższym czasie nie ustrzelisz jakiegos jumbo jeta, obwiążę ci głowę żółtą wstążką i ogłoszę narodową katastrofą.

- Nie jestem zainteresowana ustrzeleniem pierwszego lepszego bogatego głupca. Jaką miałabym z tego frajdę? - spytała Clarissa. Po chwili dodała cicho: - Jakaś cząstka mnie chciałaby się zakochać.

Śluby, niemowlaki, dzieci, młode matki w terenówkach, młodzi ojcowie z zakasanyimi rękawami, starzy ojcowie na wózkach inwalidzkich - wszystko to widziała wokół siebie. Otaczający ją świat dorastał, ona zaś za nic nie chciała pozostać na stacji „Była Taka Miła, Pamiętasz?”.

Clarissa potrząsnęła głową jak mokry pies. Uznała, że nie powinna więcej pić.

- Mhm. A która to cząstka? - Larry Kelner rzucił okiem na listę i za wyrokował: - Wyprzedany towar. To nie lata dziewięćdziesiąte.

Clarissa popatrzyła na nazwiska. Czyżby miał rację? Kelnerzy pedały zawsze mają rację.

- Posłuchaj, kochaneczko. Czy chcesz tu przychodzić za dziesięć lat ze sztucznymi wargami i fryzurą jak hełm, żeby pić zdrowie jakiegoś faceta z połową trzustki?

Clarissa spojrzała na niego.

- Clarissa nie skończy jak emerytowana dziewczyna z reklamy produktów Brecka.

Popatrzyli na koniec baru. Siedziały tam dwie tlenione blondynki po czterdziestce, z ustami ściągniętymi wokół licznych zastrzyków z kolagenem, z nosami jak dwie niemal identyczne skocznie narciarskie z lat osiemdziesiątych, i śmiały się z wyćwiczoną wesołością z czegoś, co zdołał wykrztusić starszy pan z plamami wątrobowymi na dłoniach i brzuchem wylewającym się znad elastycznego paska.

Clarissa zauważyła, że jedna z nich ma oczko w pończosze. Spozstrzegła też znoszone buty.

Była aż nadto świadoma rozgrywającej się na jej oczach tragedii; właśnie taki prywatny koszmar dręczył Clarissę Reginę Alpert. Los Angeles uchodzi za krainę utraconych marzeń (bla, bla). Wystarczy wejść niedbałym krokiem w pantoflach od Jimmy'ego Choo do którejkolwiek z lepszych restauracji - tych standardowych, jak „Spago”, „Mr. Chow”, „Nobu”, „Ivy”, „Chaya”, „Giorgio”, czy tych nowszych, jak „House”, „Lucques”, „Chadwick” - i zawsze widać tam stolik, którego Clarissa unikała

jak dżumy (albo handlu detalicznego... albo sklepów J.C. Penneya... albo podkładu Estée Lauder), stolik, który stał albo najbliżej łazienki, albo najbliżej kuchni, a siedziały przy nim dwie kobiety, na dziewięćdziesiąt procent przesadnie ufarbowane blondynki, o delikatnych owalnych twarzach, które wyglądały dobrze, kiedy...

No właśnie.

Jadły sałatkę („proszę niedużą porcję, jak na przystawkę”), nakładały ją schludnie na widelec i prowadziły pozorną rozmowę, na którą żadna nie miała siły. Jeżeli przyjrzyś im się uważnie (tak jak Clarissa, która nie mogła oprzeć się pokusie, no bo w końcu ilu ludzi ma okazję tak wyraźnie ujrzeć swoją przyszłość?), dostrzeżesz, że kobiety nie patrzą sobie w oczy ani się nie śmieją. Że przynajmniej trzy razy wstają od stolika, aby pójść do toalety, i kroczą powoli z podniesioną głową, z zastygłym wyrazem twarzy, wiedząc, że to - to - już nie jest próba kostiumowa; że zawsze zamawiają trzy kieliszki chardonnay, a nigdy deseru.

Że patrzą w stronę twojego stolika, widzą, jak im się przyglądasz. Przejeżdżają po tobie spojrzeniem jak ciężarówką.

I nie można mieć o to do nich pretensji.

Clarissa zdrząła. Musi wyjść za mąż przed końcem roku. Jasno wyznaczyła sobie ramy czasowe: w listopadzie miała skończyć dwadzieścia dziewięć (trzydzieści dwa) lat, w ciągu czterech następnych zamierzała urodzić mężowi szczęściarzowi dwoje dzieci, przed czterdziestką wziąć z nim rozwód, nadal być atrakcyjną kobietą (dzięki doktor Drew Franklin ze Złotego Trójkąta Beverly Hills) i wieść dobre życie, wysławszy dzieci, które wyrosły pod opieką nianiek, nauczycielek i osobistych trenerów, do szkół z internatem poza granicami stanu.

A gdyby się zakochali... Clarissa zastanawiała się, jakie są na to szanse. Raz się już kiedyś zakochała. Czy zużyła przewidziane dla niej wygrywające losy?

Plan. Clarissa zawsze miała plan. (Ważny wątek uboczny: ojciec, Straszny Teddy Alpert, groził, że przestanie płacić jej czynsz. Rysowały

się zatem przed nią dwie możliwości: a) znaleźć pracę. To było niemożliwe, ponieważ, jak powiedziała ojcu: „Ja sama jestem swoją pracą na pełny etat”. Pozostawało zatem: b) znaleźć sobie męża, który ma pracę). Poza tym Clarissa czuła, że będąc w takim wieku, chodzi z przy stemplowaną na czole datą ważności.

Kelner wyjął pióro z nieruchomej dłoni Clarissy i napisał:

6-10: AARON MASON.

Napisał te słowa drukowanymi literami, jakby nazwisko było większe od samego siebie.

- Kto? - Clarissa popatrzyła na niego orzechowymi oczami, które rozszerzyły ciekawość, chciwość... i nadzieja.

- Twoje najnowsze odkrycie. Poczytaj magazyny, panienko.

Clarissa wsiadła do kabrioletu bmw (ulubiony pojazd modnych młodych kobiet o drapieżnych umysłach), pojechała do całonocnego kiosku przy Fairfax i Trzeciej i kupiła „Hollywood Reportera”, „Variety” i parę muzycznych magazynów, mimo że nie znosiła niczego, co miało związek z branżą muzyczną. Powiedziała staremu sprzedawcy, żeby zatrzymał resztę, byle nie dotknąć jego ręki, po czym rzuciła się do czytania gazet. Siedziała na świeżym powietrzu, na fotelu kierowcy. Bezdomni próbowali zwrócić na siebie jej uwagę.

- Ćwierć dolara za piosenkę? - spytał Murzyn ze starzejącymi się dredami.

- Musiałabym dostać więcej - odparła Clarissa.

Nie cierpiała czytać nawet w sprzyjających okolicznościach (na jej obronę można dodać, że sprawiał jej przyjemność „Vogue”, „Cosmopolitan”, a czasem „Marie Claire”, o ile nie popadały w „intelektualizm”); teraz musiała się skupić.

Murzyn był zaskoczony; myślał, że źle usłyszał.

- Mam pani zapłacić?

- Posłuchaj, Sinatro juniorze, dam ci dolara, żebyś poszedł sobie bez śpiewania.

Wziął dolara.

A Clarissa znalazła swojego mężczyznę: Aaron Mason kupił coś, co nazywało się „prawa pierwszeństwa” do czegoś o tytule *Wesoła rozwódka*, starego musicalu z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers (uch, nie znoszę starych musicali, pomyślała Clarissa), płacąc półtora miliona dolarów spadkobiercom autora oryginalnej sztuki...

- Półtora mil...! - wykrzyknęła Clarissa. Ucieszyła się, ale zaraz potem rozżościła, że ktoś wydaje tyle pieniędzy na coś, co nawet nie jest kolorowe.

Aaron wyjaśnił w artykule, że w młodości, „będąc jedynym potomkiem rodziny wymienionej wśród pięciuset najbogatszych rodów w magazynie Forbesa” (jak napisał dziennikarz), przepadał za starymi musicalami. A zwłaszcza za *Wesołą rozwódką*.

- Uwielbiam stare musicale! - powiedziała Clarissa.

Następnie udała się do całodobowej wypożyczalni wideo na Stripie, przyciągającej rozrabiaków, zwykłych bezsennych klientów i uzależnionych od porno. Od razu zapomniała o Playboy Mansion i jego jaskrawej, wrzaskliwej pieśni. Clarissa Alpert musiała odrobić pracę domową.

Mama poszła za potrzebą do jej łazienki, czego Clarissa nie cierpiała, ponieważ produkty przemiany materii przemieszczały się przez ciało matki i wychodziły z drugiego końca po niewielkiej molekularnej restrukturyzacji: jeżeli jadła kukurydzę, wychodziła kolba, po marchewce - sałatka jak z delikatesów, jeżeli pozwoliła sobie na stek (rzadko, bo w ogóle rzadko jadła cokolwiek, co miało więcej niż sto pięćdziesiąt kalorii w jednej porcji), wychodziła krowa rasy hereford.

- Mamo! - krzyknęła Clarissa.

Jej głos był naturalnie chropowaty, jak głos Demi Moore po tygodniu wrzeszczenia na asystentów. Niektórym wydawał się sexy, innym - denerwujący. Clarissa sięgnęła po pilota i cofnęła taśmę. Po raz siódmy

oglądała *Wesołą rozwódkę*; z jej punktu widzenia był to film o tym, jak stepowanie może zaprowadzić na ślubny kobierzec.

- Że jak?

Matka zamiast „słucham?” zawsze mówiła „że jak?”.

- Pamiętasz, co ci mówiłam o załatwianiu się w mojej pieprzonej łazience?

- Wyparz sobie buzię, jak pragnie zdrowia.

- E! E! E! Pragnę!

- Pffft.

To znaczyło: „Zamknij się, kochana córeczko, złośliwa cipo, bo jak nie, to cię potnę nożem”.

Problem polegał na tym, że matka była uzależniona od jakiejś płynnej „herbatki odchudzającej”. Zawierała ona tak ogromną ilość „naturalnego” środka przeczyszczającego, że można by nią przepłukać silnik boeinga 747. Clarissa napiła się raz tej herbatki po kolacji z okazji Święta Dziękczynienia - miała się tej nocy zabawić z adwokatem z branży rozrywkowej, który miał dużego fiuta i jeszcze większego mercedesa. Lubiła dobrze zjeść, folgowała sobie zwłaszcza z okazji Święta Dziękczynienia, no a seksu też sobie nie odmawiała.

Wypiła więc herbatkę i... omal się posrała w trakcie gry wstępnej.

Oralnej gry wstępnej.

Po herbatce uderzyły na nią poty i dostała skurczów; dotarła do łazienki zgięta wpół niczym Quasimodo w topie odsłaniającym plecy. Adwokat zadzwonił do niej potem już tylko raz, na drugi dzień rano, bo ktoś mu zabrał ulubiony kompakt do medytacji, z jakimiś głupimi mnichami, więc musiał spytać...

Oczywiście kompakt zabrała Clarissa. Wiedziała, że adwokat już nie zadzwoni (zawsze musi być ten pierwszy raz!), i chciała go ukarać.

Och... nauczyła się czegoś od adwokata z branży rozrywkowej: nie wolno pić „herbatki odchudzającej” przed seksem. W żadnym razie.

A także: dużym mercedesem, jak ten z serii 600, jeździ się bardziej komfortowo niż małymi sportowymi modelami.

Matka była uzależniona od tego obrzydliwego brązowego płynu o smaku kory; popijała go trzy razy dziennie. Kiedyś Clarissa przekonała ją, żeby odstawiła wstętną herbatkę; matkę tak wtedy zakorkowało, że Clarissa musiała ją zawieźć do szpitala, gdzie przystojny lekarz Hindus wetknął długi ciemny palec do jej małego, pomarszczonego jak krepa tyłeczka.

Clarissa obaliła ustalone przez siebie zasady (nie umawiaj się z nikim, kto nie może wprowadzić cię do sektora dla vipów na premierze albo zamówić siódmego stolika w „Mr. Chow”), poszła na trzy randki z lekarzem i dopiero na tej trzeciej - tradycyjnie z bzykaniem - zorientowała się, że facet ma fujarkę jak ołówek. Na próżno liczyła na to, że okaże się „zręczniakiem ścichapęczniakiem”. Przeżyła tak wielki zawód, że zaszła się w domu i przez cały miesiąc spędzała wieczory samotnie, pocieszając się herbatnikami w czekoladzie, red bullem, wódką i wibratorem „Królicze Uszy”.

Wreszcie matka wyszła z łazienki i zobaczyła odmieniony przez botos grymas na twarzy Clarissy.

- Że jak?

- Mówi się słucham!

- Niech nie zaczyna...

Nie zaczynaj! - wrzasnęła w myślach Clarissa. Matka była Żydówką z Boliwii, wnuczką boliwijskiego generała, niegdyś bardzo piękną, nadal drobniutką i szczupłą. Clarissa, stojąc przy niej, wyglądała jak czeński ciężarowiec, faszeryjący się sterydami na śniadanie.

- Mamo, czytałaś ten artykuł? - Clarissa gładko zmieniła temat.

- Zostaw chłopaka w spokoju. - Niezbyt gładka odpowiedź.

- Zupełny brak poparcia - spróbowała zajęć piskliwie Clarissa, ale nic z tego nie wyszło, bo płaczący ton w jej wykonaniu przypominał rżenie silnika volkswagena pokonującego przełęcz Sepúlveda.

- Nie ożeni się z tobą.
- Idziesz o zakład?
- Że jak?
- Zakład. Zakład. Idziesz o zakład?
- Nie uprawiam hazardu.
- Mamo, to nie jest hazard. W przyszły wtorek ten chłopak będzie na lunchu w „Ivy”.

Clarissa wiedziała o tym, ponieważ wydzwaniała po wszystkich lepszych restauracjach w zachodniej części Los Angeles, udając roztargnioną sekretarkę, która chce uniknąć gniewu szefa i dlatego pyta o rezerwację na nazwisko „Aaron Mason”.

- Nie idę z tobą.
- Owszem, idziesz. Nie mogę zaprosić żadnej z koleżanek. Są albo seksowne, albo złe, nic by z niego nie zostało. Starłyby go na proch.

Matka machnęła ręką, jak zawsze, kiedy była zdenerwowana.

- Nie mów tego, mamo.

Matka znów machnęła ręką.

- Nie wykorzystam go ani nie zrujnuję, ani nie wyrządę mu krzywdy. - Clarissa spuściła nogi z czerwonej aksamitnej kanapy, którą podwędziła z zamkniętego nocnego klubu, należącego do byłego chłopaka (nauczyła się od niego, że zawsze trzeba mieć pod ręką mrożoną wódkę).
- Pragnę go tylko poznać.

Matka zmrużyła oczy i powtórzyła lekceważący gest ręki.

- Świetnie. Chcę, żebyś włożyła czarny kostium od Armaniego, ten jedwabny ze srebrnymi guzikami.

Ręka mamy pofrunęła w górę i w dół.

- Wcale nie wyglądasz w nim grubo. Nie wyglądałabyś grubo, nawet gdybyś była gruba... o Jezu!

Clarissa wstała z kanapy i podeszła do baru (zwanego inaczej kominikiem) w wynajętym przy Robertson Place domu bliźniaku; w jej mieszkaniu dziesiątki podobnych do niej dziewcząt osiadało do czasu, aż

ożenili się z nimi chłopcy tacy jak Aaron (tylko nie tak bogaci). Clarissa, przekroczywszy trzydziestkę, przestała liczyć dziewczyny mieszkające na obszarze pięciu mil kwadratowych (Robertson Place do La Ciénega Boulevard; Beverly Boulevard do Trzeciej Alei), pasujące do następującego opisu: wiek od dwudziestu pięciu do trzydziestu czterech lat (jej upragniony przedział wiekowy, idealna widownia Fox TV o dziewiątej wieczorem), włosy proste blond lub kasztanowe (jeżeli nie naturalnie proste, to modelowane suszarką dwa razy w tygodniu), dość wysokie, ale nie tak wysokie jak supermodelki, pijące cappuccino (rano) i wódkę (wieczorem), jedzące... niewiele. Dziewczyny takie ciągnęły z Tatusia i Mamusi, chociaż rodzinne stypendium nie starczało równocześnie na markowe buty, czynsz oraz prenumeratę czterdziestu ośmiu magazynów o urodzie. Na koniec można dodać, że były bez pracy lub o włos od jej utraty.

I wcale się tym nie przejmowały.

Nigdy się niczym nie przejmowały, takie było ich motto i podstawa osobowości. Niczym: ani nędzą, ani wojną, ani kolacją, ani dziećmi, ani dziadkami, ani topnieniem czapy lodowej na biegunach.

Clarissa przygotowała dwie wódki „Belvedere” z tonikiem (swoją szklaneczkę wypełniła najpierw wiśniami maraschino - lubiła tylko czerwone drinki), podeszła do matki i położyła dużą złotą głowę (przyjaciółka powiedziała kiedyś, że taka głowa powinna ozdobić awers jakiejś monety) na jej drobnym ramieniu.

- Proszę cię, mamó. - Decydujący argument.

Matka pogłaskała ją po głowie. Clarissa wiedziała, że dopięła swego - matka jeszcze nigdy jej nie zawiodła.

W brzemieniu w wydarzenia dzień, najważniejszy dzień (dość) krótkiego życia Clarissy, jej niska, chuda matka o poczerwiałych płucach wypięła się na nią. Clarissa powiedziała, żeby „pieprzyła się tak, aż jej bokiem wyjdzie”, nim jednak odłożyła słuchawkę, zdążyły się jeszcze

umówić na wczesną kolację w „Mr. Chow”. Clarissa miała *les przerwypa-nes* - nie mogła iść na lunch do „Ivy” sama; w „Ivy” nikt nie jadł lunchu sam. Rzecz polegała na tym, żeby iść tam w towarzystwie, a potem nie zwracać uwagi na tego, z kim się przyszło; odstawałaby jak zboląła pseudo-AMK (aktorka/modelka/ktoś tam). Clarissa zrobiła rajd po palmtopie niczym kierowca wyścigowy, ponieważ zawzięła się, żeby znaleźć jedno nazwisko, którego właścicielka łączyłaby trzy ważne cechy: 1, względną atrakcyjność (to znaczy byłaby trochę myszowata i ewentualnie nieco pulchniejsza od niej); 2, względną popularność (to znaczy byłaby znana, szanowana, lecz niezbyt popularna wśród mężczyzn); 3, względną desperację (to znaczy, że mogłaby przyjść do „Ivy”, zawiadomiona godzinę przed faktem).

Kiedy Clarissa zagłębiła się w literę „R”, dokopała się wreszcie do złota - znalazła idealną towarzyszkę. Roberta Raskin, o połyskliwych rudych lokach, oczach sarny i wzroście sto osiemdziesiąt centymetrów (przy paru zbędnych kilogramach), nadawała się w sam raz. Miała trzydzieści parę lat, była partnerką w dużej firmie PR, spragnioną męskiego towarzystwa, lecz nudną jak zaniedbana pokojowa roślina. W normalnych okolicznościach Clarissa nie mogła znieść Roberty, która mówiła na okrągło tylko o jakimś ćwierćinteligentnym, ćwierćfajfusowym reżyserze telewizyjnym z przeszczepionymi włosami, który rzucił ją pięć lat temu. A przecież facet ożenił się z podobną do Roberty, ale brzydszą babką i miał dwoje równie brzydkich dzieci! Z drugiej strony Roberta sprawdziła się jako źródło zaproszeń na przyjęcia; reprezentowała młodego komika, którego talent zyskiwał coraz większy rozgłos, i zawsze pamiętała o Clarissie, gdy miała się odbyć jakaś premiera lub wieczorek albo pojawił się na horyzoncie uzależniony od vicodinu kawaler.

Zaproszenie Beżowej Roberty okazało się genialnym posunięciem. Przybyła na czas, zajęła idealny stolik na dworze (obok grupki starszych, znieczulonych blondynek z zegarkami, od których bił blask diamentów

równie olśniewający jak konta bankowe ich mężów), skąd mogły wszystko widzieć i być widziane, no i czekała cierpliwie na Clarissę, która spóźniła się dwadzieścia dwie minuty.

Roberta, bardzo szykowna w brązowym mundurku od Jil Sander à la Trzecia Rzesza, zdążyła wyjeść cały chleb z koszyka i wyssać cytrynę z mrożonej herbaty, nim do stolika podbiegła tanecznym krokiem Clarissa w jasnobrązowych skórzanych spodniach, jedwabno-kaszmierowym sweterku od Gucciego i z różowitką buzią po kwaśnym peelingu.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam! - zapiszczała, ogarniając spojrzeniem stoliki wraz z siedzącymi przy nich gośćmi i przeklinając w duchu dermatologa, który zapewnił ją, że po półgodzinie prosiaczkowa cera powróci do normy; anulowałyby czek, gdyby go wypisała - postanowiła, że odtąd przestanie robić dermatologowi laskę na co dwutygodniowej randce.

- Nic nie szkodzi... gaszę pożary. - Roberta odłożyła srebrną nokię. - Wyglądasz bajecznie.

- Naprawdę? - spytała Clarissa, otwierając szeroko oczy.

Czemu nie dzwonię do niej częściej? - pomyślała.

W chwilę potem, jakby dla przypomnienia, Roberta zaśpiewała refren, z którym Clarissa osłuchiwała się niemal tak jak z *Christmas Song* Binga Crosby'ego.

- Znowu zdobył nakaz ograniczający.

Clarissa przypomniała sobie, dlaczego nie dzwoniła; opadła na krzesło i z rezygnacją wysłuchiwała trzydziestominutowej opowieści o jej byłym - żonatym i dzieciatym reżyserze. Woląaby przesiedzieć szóstą powtórkę całego serialu *To zabójstwo*.

Clarissa sączyła właśnie trzecią mrożoną herbatę, otoczona mgiełką nieistniejącego życia miłosnego Roberty, gdy przed restaurację zajechał granatowy bentley, dzieląc od tej chwili (względnie krótkie) życie Clarissy na „przed” i „po”.

Nieopublikowane oficjalnie, lecz popularne i krążące z ust do ust „zasady umawiania się na randki” obejmowały listę aut, w których Clarissa chciała być widziana. Nie obchodziło jej, czym różni się rolls-royce od

bentleya; obie marki znajdowały się na początku listy *ex aequo* z mercedesem V12, z twardym lub składanym dachem. Bmw zdradzało, że kierowca jest pedantem i skąpcem, a może nawet bije żonę. Range rover świadczył o tym, że właściciel trochę zanadto stara się o stworzenie pozorów bycia „sportowcem”; Clarissa nie znosiła „sportowców”. Jednakże przy rollsie albo bentleyu nieuchronnie pojawiał się problem, że jadący nim mężczyzna będzie: a) stary. Stary jak Hefner. Stary jak Fernando Lamas (jeżeli jeszcze żył). Albo b) będzie gwiazdą rapu. Clarissy nie pociągały gwiazdy rapu. Dla niej rap i opera należały do tej samej kategorii: nie rozumiała ani słowa i nie podobały jej się stroje. Poza tym, choć umiała kłamać, zwłaszcza na temat swojego pochodzenia, miała trudności z udowodnieniem, że jest Afroamerykanką, chociaż w college'u powiedziała pewnemu futboliście studiującemu biochemię na Uniwersytecie Południowej Kalifornii i obdarzonemu atrakcyjną, lśniąca onyksową cerą, że jej babka (podobna do matki, tylko drobniejsza, bardziej złośliwa i mówiąca w jidysz) jest Kreolką.

Clarissa westchnęła.

- Masz rację, ja też nie rozumiem, dlaczego mnie rzucił - powiedziała Roberta, siąkając nosem w serwetkę; broda zadrzała jej jak złota rybka na piasku.

W innych okolicznościach Clarissa trzepnęłaby ją w twarz.

- Aaron Mason.

- Kto? - pisnęła Roberta.

- Ciii - powiedziała Clarissa zupełnie tak jak jej matka, niech odpoczywa w pokoju. Chociaż jeszcze nie umarła.

Aaron Mason wysiadł z bentleya i wszedł po schodach do restauracji. Wszyscy pilnie go śledzili. Ten gość to był ktoś - wysoki, ciemnowłosy, przystojny, o tak - a na dodatek bogaty.

Można było przewidzieć, że nie ostanie się długo w mieście pełnym pożeraczek serc. Clarissa musiała działać szybko.

Spostrzegła, że utyka. Wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziała, już

była pewna ponad wszelką wątpliwość, że Aaron jest jej przeznaczony. W myślach skreśliła z listy wszystkie inne mocne fajfusy; usidlenie Aarona wymagało od niej pełnej koncentracji. Postanowiła, że zacznie łykać witaminę C i echinacęę. Jutro weźmie zastrzyk z witaminą B₁₂. A może wczesną szczepionkę przeciw grypie? Potrzebowała przecież zarówno siły fizycznej, jak i pełnej sprawności umysłowej.

- Gapie - powiedziała Clarissa.

Poderwała się i ruszyła, stawiając jedną stopę dokładnie przed drugą, piętę przed palcami, dzięki czemu jej biodra rozkołysały się, a plan został wdrożony.

Przebieła szepczący, falujący, dzwoniący tłum i spostrzegła („ale fart!”), że przy stoliku Aarona siedzi gość, z którym pieprzyła się dwa lata temu przed domkiem na plaży Malibu Carbon. Jeździł range roverem z przestronnym tylnym siedzeniem i zaskakująco miękką skórą obić; wyszła z niego bez najmniejszego otarcia. Odnotowała to rendez-vous pod hasłem BOK - Bzykanie Otwierające Kulisy; facet właśnie podpisał kontrakt z solistą zapomnianej kapeli.

Najważniejsze są znajomości, pogratulowała sobie Clarissa, przechodząc przed stolikiem Aarona. Suknia ślubna od Very Wang i pantofle od Manola, w kolorze kości słoniowej, tańczyły w jej pustawej głowie.

Oj.

Zatrzymała się w pół kroku.

Pierwsza zasada, księżniczko, upomniała samą siebie. Jeżeli chcesz, żeby mężczyzna cię zauważył, zignoruj go.

Wdzięcznym łukiem prześlizgnęła się obok stolika Aarona, wpatrując się w dal, jakby sam książę William obnażał się przed nią w głębi kuchni.

- Clarissa!

Kazała czekać zarośniętemu mężczyźnie przy stoliku, aż przypomni sobie jego imię. O wiele lepiej utrwały jej się w pamięci części ciała niż imiona i nazwiska.

- Clarissa!

Stożkowaty penis, włochate ramiona - włochaty jak Dan Haggerty, włochaty jak Grizzly Adams... Jamie, Joe, John, Ian, Kyle, jej mózg przebiegał kołowy notes pamięci niczym chomik.

- Maxi!

Odwróciła się i powitała mężczyznę, jakby ostatni raz widzieli się na peronie dworca kolejowego przed pierwszą wojną światową. Entuzjazm, od którego emalia schodzi z zębów, był w Hollywood jedyną przyjętą formą powitania, zwłaszcza w przypadku wrogów. Im bardziej znienawidzona osoba, tym gorętsze powitanie.

Clarissa wymieniła z Maxim potrójnego całusa w powietrzu (nowinka w Kalifornii, ale według francuskiego „Vogue'a” popularna w całym Paryżu) oraz tysiąc „hello”, podczas gdy jej dość duża, lecz kształtna jak melon pupa unosiła się na wysokości oczu Aarona Masona („Pani Aaron Mason, pani Alpert-Mason, pani Clarissa Regina Alpert Mason, bez łącznika...” - tyle możliwości tańczyło jej w głowie); tylek kołysał się przy każdym oddechu, jakby prowadził odrębną rozmowę z dziedzicem sieci sklepów. Clarissa, wyćwiczona w technice „zignoruj go, aż rzuci czymś ostrym”, okazała Maxiemu Agentowi takie zainteresowanie, że przewierciła mu dziury w mózgu, przez cały czas czując każde drgnienie powieki Aarona, każde poruszenie palcem w bucie. Gdy Maxi nawijał o swoich na wpół sławnych klientach, o biletach na Lakersów w trzecim rzędzie pośrodku (Clarissa do samej siebie: „Nie zrobił na mnie wrażenia - każdy wie, że liczą się tylko miejsca w pierwszym rzędzie, no nie?”), o aferze na wyspie St. Barts, o cotygodniowych meczach koszykówki z Clooneyem i Damonem, Clarissa rozważała, co byłoby lepsze: kolor kości słoniowej czy skorupki jajka, jedwab „Queen Anne” czy czterowarstwowa satyna, szlif szmaragdowy, szlif brylantowy, diament...

- Znasz już Aarona?

Nareszcie, ty włochaty dupku. Clarissa uśmiechnęła się do siebie, bo właśnie na to pytanie czekała.

- Cześć. - Clarissa obniżyła głos i uniosła brwi, nie na tyle jednak, żeby zmarszczyło jej się czoło. Uśmiechnęła się, oszalałając Aarona swoimi...

- Masz coś w zębach. - Georgiański akcent Aarona był płaski jak piersi jej matki (przed liftingiem).

O mój Boże, pomyślała Clarissa, zręcznie przesuując językiem po jeszcze niezapłaconych cudach kosmetyki dentystycznej. Jest niegrzeczny! Zupełnie jak ja!

- Może zachowałam to na deser - rzekła.

Aaron uśmiechnął się.

Miał dołeczki, jeden wyżej od drugiego. Lekko odłupany ząb na przedzie (wypadek w dzieciństwie? bójka na pięści w college'u? pech przy zdejmowaniu kapsla z butelki z piwem?). Zmarszczka pomiędzy ciemnymi, gęstymi brwiami przydawała mu powagi w świecie pływających w płytkiej wodzie. Ubiór, przywodzący na myśl zaniedbanego ucznia szkoły z internatem, świadczył zdaniem Clarissy o nieodpowiedzialności młodego człowieka, który, choć zamożny, nosił okulary przeciwsłoneczne bez marki, za dużą koszulę, krawat odrobinę za mały, a sportową marynarkę miał tak wygniecioną, że nie pomogłoby jej prasowanie. Ogólnie wyglądał jak niegrzeczny młody katolik.

No, a do tego te buty! Nie pantofle, tylko buty z cholewami. Kowbojki!

Mało powiedzieć: nieodpowiednie - wręcz niewybaczalne.

Aaron Mason był grudą gliny (choć przyznać trzeba, że wspaniałą), lecz w rękach Clarissy... Przebiegła po nim wzrokiem z taką samą pewnością i skupieniem jak przy obowiązkowych zakupach na dorocznej wyprzedaży Barneya. Na długo przedtem, zanim zgromadziła informacje o marce, materiale i pochodzeniu spodni Aarona Masona (i domyśliła się, jaką nosi bieliznę - założyłaby się o swoją jesienną garderobę, że chodzi w bokserkach), Clarissa pobłogosławiła w myślach Larry'ego Kelnera. Wystarczy tu odrobinę poprawić, tam podmalować, porządnie wyskubać (usunąć woskiem?), ostrzyc u Chrisa McMillana i *voilà* - nowy „pan Alpert”.

Rozdział drugi

Kolej na Aarona

Aaron Mason stał przed „Ivy”, czekając, aż podstawią mu bentleya (trwało to piętnaście sekund po wsunięciu dwudziestodolarowego banknotu w rękę parkingowego). Zwrócił się wtedy do Maxiego Reese'a z pytaniem:

- Więc któż to jest ta dumna właścicielka okazałego tyłka?

Aaron pierwszy raz widział porządnie odżywioną pupę na zachód od parku La Ciénega.

- Clarissa Alpert. Wspaniała, naprawdę wspaniała. Podoba ci się? - spytał Reese. Czoło lśniło mu tak, że Aaron miał ochotę je obetrzeć. - Zna wszystkich w mieście, dosłownie wszystkich, jest absolutnie na bieżąco, pływa w tym żywiole jak ryba, tworzy wiry i jest w centrum każdego z nich. Chodziła ze wszystkimi liczącymi się w branży, wie, kto gdzie, kiedy i z kim, zna na pamięć liczby na wyciągach bankowych. Lalunia, superkociak. Powinieneś się z nią umówić, załatwię ci to.

Aaron nie miał pojęcia, o czym mówi Maxi, ale z tego, co usłyszał, wyniósł pozytywne wrażenie. Wymówił się jednak.

- Dziękuję, sam do niej zadzwonię.

- Jasne, zorganizuję to - rzekł Maxi.

- Potrzebny mi tylko jej numer.

- Zaraz do ciebie zatelefonuję. Hej, mam na ten weekend bilety, lubisz kosza, no nie, jasne, że lubisz - zagadywał Maxi.

Stanie na głowie, żeby oddać mi jakąś przysługę, za którą musiałbym się odwdziżyć, pomyślał Aaron. W ciągu dwóch tygodni pobytu w Hollywood Aaron Mason otrzymał więcej prezentów i propozycji finansowych, fizycznych, prawnych i bezprawnych niż w całym wcześniejszym życiu. Obowiązkowy prezent należał najwyraźniej do stylu życia w równym stopniu co fałszywy komplement.

- Wyglądasz kulowo, klawe gogle, bryka fantastyka! - wrzasnął Maxi, gdy Aaron wsiadał do auta. - Pomyśl o Jessie Beai, samorodny talent. Chcesz, żebym cię z nią umówił? Laska, że mózg staje.

Aaron puścił na zestawie stereo za czternaście tysięcy dolarów płytkę CD ze starym rockiem z Południa i zagłuszył Reese'a gitarowym riffem dawno nieżyjącego wioślarza.

Myślami krążył wokół tamtego tyłeczka.

Rozdział trzeci

Przyjęcie

Trudno jest planować wesele, ale planować je bez wiedzy pana młodego graniczy z niemożliwością.

Poznawszy Aarona, Clarissa cmoknęła Robertę w oba policzki - obowiązkowo w powietrzu - wrzuciła lunch do torebki i ruszyła w stronę parkingowego, nawet się nie oglądając, gdy któryś z gości (widocznie PEPEG - przybysz zza południowej granicy, to znaczy turysta z powiatu Orange), widząc wbiegającą po schodach i gruchającą jak gołąbki parę aseksownych, dobrze odżywionych nastolatków o rozjaśnionych do białości włosach, powiedział na głos: „OmóJBoże, Britney i Justin!”.

W drodze do domu Clarissa pozwoliła sobie na mały wypad do jednej z ośmiu kawiarni „Starbucks” na pięciokilometrowej trasie, na megakawę (była odwodniona, a te pół litra zapewniało niezbędny zastrzyk energii przy minimum kalorii - musiała przecież zmieścić się w suknię ślubną od Very Wang), potem wpadła do mieszkania i z szuflady na bieliznę wyciągnęła plastikowy notes, strząsając z jego stron tanie „Victoria's Secrets” i drogie „La Perla”.

Przez chwilę patrzyła na błyszczącą okładkę, różową jak domek Barbie - zaokrąglone rogi świadczyły o upływie czasu i erozji nadziei; gotowa była przysiąc, że słyszy chóralną muzykę (tak też było - *Marsz weselny* na CD, którą sama zwędziła, szedł na stereo Aiwa). Był to „ślubny

album” Clarissy, wypchany prasowymi wycinkami z sukniami ślubnymi i tiarami, opracowanymi komputerowo listami rankingowymi hoteli, organizatorów wesel, florystów, parkingowych, firm cateringowych, sal do wynajęcia, fotografów, wideografów, urzędników udzielających ślubu i duchownych (żydowskich? episkopalnych? buddyjskich? Clarissa przygotowała się na wszelkie ewentualności, jeśli idzie o wyznanie hipotetycznego pana młodego), gadżetów na przyjęcia, salonów dla panny młodej, weselnych tortów, a nawet spisem dziesięciu najlepszych według „Town and Country” utworów orkiestrowych mogących posłużyć jako muzyka w tle. Od lat wypełniała żółknące plastikowe okładki skrzętnie zbieranymi informacjami - każda wydarta kartka miała wagę zniszczonego talizmanu. Na marginesach stron widniały dopisane odręcznie mantry: „Ugoda nie wchodzi w grę”, „Kod pocztowy ma swoją wagę”, „Nie umawiaj się w dzielnicy z kodem «818»”, „Flirtowanie jest jak aerobik”.

Clarissa przypomniała sobie, jak poprzednio wyciągała album z szuflady, i to nie po to, żeby przekartkować go w głębokiej zadumie albo wkleić kolejny artykuł o bukietowych nowinkach. Nie. Po trzeciej albo czwartej randce - z kierownikiem studia Young Turk, który trafił na okładkę magazynu „Los Angeles”, z reżyserem wideoklipów, który miał niebieską kozią bródkę i właśnie rozpoczynał kręcenie pierwszego filmu fabularnego, z władającym biegle łaciną i uczesaniem w dredy właścicielem klubu - nieuchronnie łapała się na tym, że sięga po różowy album.

A potem dochodziło do zerwania.

Dlaczego więc tym razem czuła, że będzie inaczej?

Ręce jej się trzęsły. Wrzuciła do ust przeterminowany xanax (dostała go od najlepszej przyjaciółki Gravy - pojawi się później), żeby się uspokoić i zniwelować uboczne skutki megakawy, po czym wzięła się do pracy w takim skupieniu, z jakim rabin przystępuje do obrzezania swojego pierwszego wnuka.

W szybkim trybie (w komórce miała zaprogramowane numery telefonów; planując wesele, trzeba efektywnie wykorzystywać czas) obdzwoiła

hotele „Bel Air”, „Beverly Hills”, „Peninsula” i ten na plaży w Santa Monica, z przepięknym atrium, ale nieudaną architekturą Franka Lloyd Wrighta. Biorąc ślub w hotelu, nie musiałyby się martwić o firmę cateringową ani organizatora wesela; Clarissa była niepomiaralnie efektywna.

Przez cały czas, kiedy dzwoniła, przeglądała sporządzoną przed laty listę:

PLAN WESELA CLARISSY REGINY ALPERT

1. Natychmiast zarezerwować hotel. To znaczy JUŻ TERAZ!

Poinformowała konsjerżę w każdym z hoteli, jakie daty by jej odpowiadały: w pierwszej kolejności dwudziesty czerwca, następnie połowa lipca, a w ostateczności, gdyby okazało się, że Aaron to twardy orzech do zgryzienia - drugi września.

Składano jej gratulacje z okazji zbliżającego się ślubu (przyjmowała je ze stosownym wdziękiem). Niestety, w żadnym hotelu nie udało się dokonać rezerwacji na dwudziestego czerwca - ustaliła więc datę dwudziesty siódmy czerwca, a tę, która odpowiadała jej najbardziej, kazała wpisać na listę zapasową.

Jako zabezpieczenie podała numer karty kredytowej matki; nie było sensu ryzykować własnego kredytu.

2. Zamówić florystę.

Trudna sprawa. Jej absolutny faworyt, Ernest Buterwald, dobrze ją znał; była niedawno na wydanym przez niego przyjęciu urodzinowym w „Mr. Chow” i od pięciu lat oznajmiała pojawiającym się u jej boku mężczyznom, że przyjmuje wyłącznie jego bukiety. Był jednak niemiłosiernie drogi, a musiała wziąć pod uwagę uczucia Aarona; przypuszczała, że mógłby mieć problem z aranżacjami na stół po dwa tysiące dolarów

(zapłaciłby, oczywiście), ona zaś nie mogłaby mieć (prawie wcale) pretensji. Pogratulowała sobie świeżo nabytej gospodarności i zadzwoniła do ambitnej odmiany Buterwalda, Floridity (Jego aranżacji jeszcze nie opisano w osobnym artykule w numerze „In Style” poświęconym wesełom), i zamówiła dwa terminy: dwudziesty i dwudziesty siódmy czerwca. Gdy florysta Filipińczyk spytał o nazwisko pana młodego, przez chwilę była w kropce: czy powinna podać nazwisko Aarona?

W końcu powiedziała, że to George Clooney.

Florysta krzyknął jak Sycylijka na weselu pierworodnego. Clarissa kazała mu obiecać, że nie powie nikomu, nawet tajlandzkiemu przyjacielowi z przekłutymi sutkami; wszyscy czytelnicy magazynu „People” wiedzieli, że George szczególnie ceni sobie prywatność, poza tym słyszał z awersji do małżeństwa.

Floridita okazał pełne zrozumienie.

Spytał o możliwość prezentacji wesela w jakiegokolwiek formie w „In Style”. Clarissa obiecała o tym pomyśleć, zastrzegając, że musi uzyskać zgodę George'a.

Rozłączyła się, zadowolona, że potrafi szybko myśleć pod presją; nie widziała się nigdy z Clooneyem (jeśli nie liczyć tego jednego razu, kiedy wpadła na niego - czytaj: czekała - przed przenośną toaletą na premierze *Batmana i Robina*), ale to nieważne. Nawet gdyby wieść się rozeszła, wzmogłoby to tylko, jak przypuszczała Clarissa, zainteresowanie Aarona.

Spojrzała na listę: muzyka, suknia ślubna, suknie druhen, gadżety weselne (pudełka zapalek, małe srebrne ramki, bukietiki). Planowanie wesela to trudne zadanie; Clarissa uznała, że potrzebuje wsparcia.

Chyba nadeszła pora, by powiedzieć matce, że jej jedyna córka wkrótce wyjdzie za mąż za bardzo bogatego, bardzo obiecującego, bardzo miłego... Wtem Clarissa uprzytomniła sobie, że nie ma numeru telefonu Aarona. Zakonotowała sobie, że musi go zdobyć.

Siedziała z matką w sklepie Barneya w Beverly Hills, w dziale strojów ślubnych, i patrzyła na modelki, które sunęły powabnie po wybiegu, prezentując najnowsze kreacje. Wciąż jeszcze nie powiedziała matce, dlaczego przyszły na pokaz mody; czuła, że najlepiej będzie podzielić się z nią dobrą wiadomością przy lunchu, kiedy matka, świeżo pod wrażeniem wizji kreatorów - w kolorze skorupki jajka, bladej miętowej zieleni, różowym jak pantofelek baletnicy - będzie przygotowana jak świnia na rzeź.

- Oszalałaś - powiedziała matka, zamówiwszy sałatkę z kozim serem i burakiem, ale bez cebuli, bez koziego sera, bez sosu i bez buraków.

- Nie oszalałam, mam - odparła Clarissa, skinieniem ręki wskazując stolik, który obsiadły rozgadane dziewczyny w ciąży, dziobiąc frytki z wielkiego talerza niczym gołębie na parkingu przy McDonalddie. Rok temu, nie, do diabła, pół roku temu, widok ten przyprawiłby ją o mdłości. Clarissa nie dopuściłaby do siebie myśli o tym, że mogłaby dla dziecka zrezygnować ze swojego życia, teraz jednak stało się to nie tylko modne - wystarczyło, że tak orzekła Madonna - ale był po temu czas najwyższy. Jajeczka Clarissy liczyły lat dwadzieścia osiem (trzydzieści jeden). Poza tym miała do wyboru tyle nowych, fajnych strojów dla przyszłych matek...

Clarissa uśmiechnęła się do dziewczyn w ciąży, pełna nadziei, że z bożą pomocą niebawem dołączy do ich grona.

- Przestań tak do mnie mówić. Jakbyś we mnie nie wierzyła.

- Że jak? - Matka wzdrygnęła się. Orzechowe oczy błysnęły bólem tak jasno jak szklane kamyczki na dnie akwarium Clarissy - akwarium bez ryb.

- Nie płacz.

- Wierzę w ciebie, moja córko. Kiedy miałaś pięć lat, powiedziałaś, że zostaniesz prezydentem.

Dlaczego matka zawsze przytaczała tę anegdotę? Clarissa powiedziała tak tylko dlatego, że przedtem to samo oznajmił chłopczyk, który jej się podobał. Uch!

- Mamo, wiesz, że nie jestem typem ambitnej kobiety.

Kelner przyniósł sałatkę bez niczego. Postawił ją przed Clarissą...

- Czy ja wyglądam na anorektyczkę?

Kelner przesunął talerz, a przed Clarissą postawił cheeseburgera z sałatką ziemniaczaną.

- Mamo, potrzebuję twojej pomocy. Jesteś jak olbrzymi wrzód na mojej kształtnej pupie, ale masz świetny gust.

Matka przyjrzała się sałatce jak jubiler podejrzanemu brylantowi.

- *Estupido.*

Odepchnęła talerz. Clarissa popatrzyła na wzgardzoną sałatkę - polykiwała tłusto jak polana oliwą.

- Jedz, mamo.

- Ech. - Matka pociągnęła łyżeczek mrożonej herbaty.

Clarissa wbiła zęby w cheeseburgera. Wrażenie było takie, jakby rozpoczynała szaloną noc z seksem w pozycji „zwisając z kandelabra”.

- Poza tym mogłabyś mi pomóc zrzucić parę kilo przed ślubem.

Matka ożywiła się.

- Parę kilo. Będę z tobą chodzić na piesze wycieczki... może nawet zacznę ćwiczyć to, jak to się nazywa...

Clarissa powoli przesunęła dłońmi w powietrzu. Ciężarne dziewczyny pomachały do niej rękami upakowanymi w czarne kaszmirowe sweterki, wyglądającymi jak kaszanki. Clarissa pomyślała, że jeszcze jednym plusem ciąży jest to, że można jeść bez ograniczeń. Aaron wyglądał na mężczyznę, który chciałby mieć zdrowe dziecko.

- Tai chi.

- No właśnie, ten chiński wymysł - potwierdziła Clarissa (nie siląc się ani trochę na politycznie poprawną terminologię).

Matka dziobała sałatkę. Sądząc po ilości ruchów zuchwą (dwadzieścia cztery) przy każdym kęsie, czuła się lepiej. Dłuższe żucie oznaczałoby, że za dużo myśli; krótsze - że jest niespokojna.

- No więc jak, pomożesz mi?

- Kiedy poznaję chłopca? - spytała matka swoim rażącym akcentem.

Clarissa z trudem powstrzymała chęć, by wbić widelec w to jej gardziółko wróbelka.

- Och, mamó. - Potrząsnęła głową.

Czasami matka była głupsza od pieska, z którym się nie rozstawiała, dopóki nie wyskoczył ze starego mercedesa kabrioletu, goniąc za piłką tenisową.

Clarissa siedziała wtedy na maciupeńkim tylnym siedzeniu, zwinięta jak stonoga, i w przypływie wściekłości niechcący wyrzuciła piłkę na Olympic Boulevard w czasie największego natężenia ruchu. Skąd mogła wiedzieć, że Adolfo za nią wyskoczy? Przy pomocy terapeutki Manolo pozbyła się poczucia winy. W końcu to jej przepadła umówiona na sobotę o 10.35 wizyta u Anastasii, Królowej Brwi w Beverly Hills.

- Sama ledwie go znam - przyznała Clarissa między jednym a drugim kęsem.

Następny ruch Clarissy miał na celu nakłonienie Aarona, by do niej zadzwonił. Dla kogoś z jej doświadczeniem było to dość proste: urządzi przyjęcie, na które po prostu nie wypada nie przyjść, a jeżeli ktoś nie przyjdzie, to znaczy, że albo jest chory, albo jest nikim. No, a jego nie zaprosi.

Podziałało jak magiczne zaklęcie. Ledwie przebrnęła przez połowę listy gości, gdy zadzwonił Wielka Stopa, owłosiony na plecach agent.

- Maxi Reese na linii do Clarissy Alpert - pisał jego asystent takim głosem, jakby dopiero co wyskoczył ze szkolnego mundurka.

- Przy telefonie - odparła Clarissa. Uśmiechnęła się, poklepała w myślach po ramieniu i obiecała sobie lody z gorącą polewą karmelową u Morróna.

- Clarissa...

- Maxi.

- Urządzasz przyjęcie.
- Tak.
- Gdzie twoja miłość?
- O czym ty mówisz? Właśnie miałam ciebie zaprosić...
- Czy mogę kogoś przyprowadzić?
- Jeżeli jest modelką albo aktorką. To nie jest przyjęcie dla brzydkich dziewczyn, chyba że osiągnęły fantastyczny sukces albo są sławne i mogą mi pomóc w karierze.
- Ty robisz jakąś karierę?
- Nie wykluczam takiej możliwości.
- Aarona Masona.
- Kogo? - spytała Clarissa. Gdyby uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pękłaby jej twarz.
- Poznałaś go niedawno. LZS, prawdziwy chłopak z prowincji, ale tarzają się w zielonych.
- Ledwie Zeskoczył ze Statku, jak mówiło się o świeżych przybyszach.
- Ach, tak, przypominam sobie - rzekła Clarissa odpowiednio znużonym tonem.
- Więc go przyprowadzę...
- Naprawdę chcesz z nim przyjść? - Clarissa spróbowała pokazać przez telefon naburmuszoną minę. - Wydaje mi się, czyja wiem, jakiś nieswój.
- Nie podoba ci się.
- Nosi kowbojki.
- Daj spokój, bądź miła. To obcokrajowiec. - W Los Angeles uważano za obcokrajowca każdego, kto urodził się pomiędzy Kalifornią a Nowym Jorkiem. - Nie ma pojęcia o naszych zwyczajach. Chcę mu pokazać miasto, prawie nikogo nie zna. A jest taki kochany.
- Potrzebujesz jego pieniędzy - rzekła Clarissa.
- Nie. Może. Niezależne finansowanie. Nigdy nie wiadomo.
- Och, no dobrze, przyprowadź tego LZS-a, powiedz mu tylko, że modne jest Rodeo, Beverly Hills, a nie rodeo - zgodziła się łaskawie.

Maxi prychnął, a Clarissa rozłączyła się i wydała taki głośny okrzyk, że złośliwy perski kot, z jednym okiem niebieskim, a drugim zielonym, zeskoczył przestraszony z czerwonej aksamitnej kanapy, poślizgnął się na marmurowej posadzce i opróżnił gruczoły okołoodbytnicze, napełniając salon Clarissy zapachem przypominającym wysypisko niebezpiecznych odpadów lub - dziesięcioletnie jajo wielkanocne.

Muszę zanieść tego kota do schroniska, pomyślała Clarissa. Nie lubiła kotów, ale uważała, że idiotyczne zwierzę wygląda ładnie na kanapie - białe futerko kontrastowało z czerwonym obiciem, upodabniając salon do okładki magazynu „Martha Stewart Living”.

Zbierając z poduszek białą sierść, namyśliła się i doszła do wniosku, że kot się przyda. Gdyby się okazało, że Aaron lubi koty, tym lepiej; jeśli ich nie lubi, będzie mogła po zaręczynach zademonstrować swoją lojalność i dopiero wtedy pozbyć się kota.

Clarissa uwielbiała sytuacje zapewniające wygraną niezależnie od okoliczności.

Bzykać można się ze stu dziesięciu powodów. Na nocnej zakrapianej dziewczynskiej imprezie w domu początkującej bywalczyni i jej narzeczonego, francuskiego reżysera i niepoprawnego babiarza, Clarissa wraz z przyjaciółkami (z gatunku „to moja przyjaciółka, ale jej nie lubię”), naenergetyzowane gumisiami bez cukru i cukrowymi „Cosmopolitanami”, sporządziły długą listę rozmaitych rodzajów bzykania.

1. Bzykanie z Pożądania. Najzupełniej oczywiste. Poznacie się w barze, podobacie się sobie, oboje jesteście pijani, okłamujecie się na temat: a) wieku, b) zarobków, c) OSZ (obecnego stanu zdrowia), z trudem docieracie do domu (czasami nawet nie udaje wam się wydostać z przedniego siedzenia w samochodzie).

Problem z bzykaniem tego rodzaju pojawia się później: obopólne zażenowanie i towarzyszące mu mdłości. Zażenowanie, jeżeli masz pecha obracać się w tych samych kręgach co twój jebaka, może trwać, och, tyle, ile przeciętnie żyje pies rasy dog: osiem lat. Mdłości przechodzą na drugi dzień po południu - wcześniej, jeżeli dzień zacznie się od krwawej mary albo od wrzasków w telefonie, gdy zadzwoni żona, dziewczyna albo, nie daj Bóg, matka jebaki.

2. Bzykanie z Miłości. Powiedzmy, że czekałaś stosowne trzy randki (Clarissa odczekała kiedyś całe trzy tygodnie - producent, z którym się umawiała, mówił o wspólnej przyszłości, o romantyzmie, chciał, żeby ich pierwszy raz był „wyjątkowy”, a miał „małego jak pięciocentówka”, jak niemowlę, lubił to robić tylko od tyłu i chciał, żeby Clarissa zmniejszyła sobie piersi - podobały mu się wyłącznie płaskie kobiety, Clarissa rzuciła się do ucieczki jak turysta w Pampelunie); omówiliście ulubione potrawy (nieodmiennie homar); ulubione sceny z filmów (och, *Bezsenność w Seattle*, Empire State Building, *Jerry Maguire*, Tom Cruise); ulubione programy telewizyjne z lat siedemdziesiątych (*Grunt to rodzinka*) i ulubione przeboje z lat osiemdziesiątych (dla Clarissy wszystkie piosenki Duran Duran, Wham! i Span-dau Ballet).

Potem nadchodzi ta chwila. On płaci rachunek, oby złotą kartą, jeżeli nie platynową. („Przyjaźń jest za darmo, miłość kosztuje”, powtarzała często Clarissa). Patrzy na ciebie oczami psiaka, które teraz wydają się głębokie i wrażliwe, a za pół roku, odmienione, będą płytkie i zniechęcone. I mówi: „Czy chcesz...”, a ty odpowiadasz: „Jasne”. Seks jest naprawdę udany, może nie wspaniały, ale za-

sługuje na B+ według skali Simona Englanda (najlepszy seks w twoim życiu - na balandze urządzonej w dwunastej klasie na znak protestu przeciw balowi szkolnemu), i nie ma znaczenia, że lepiej nie będzie, bo już się zakochałaś - chociaż żadne z was nie wyzna tego głośno przez wiele miesięcy albo w ogóle nigdy - słodka jest noc i chwila i wreszcie nie czujesz się samotna. Aha. Jeżeli masz szczęście - naprawdę wielkie szczęście - jest i śmiech, niepohamowana radość, jaką tryskają małe dzieci. I ten śmiech pomoże wam przebrnąć przez pierwszą kłótnię, pierwsze oszustwo, pierwszą rocznicę.

Clarissa i jej przyjaciółki uznały zgodnie, że Bzykanie z Miłości zdarza się bardzo, bardzo rzadko, zwłaszcza w Los Angeles, gdzie mężczyźni: a) są gejami, b) udają, że nie są gejami, ale tak między nami... są, c) są żonaci, ale tak się składa, że są gejami, d) są aseksualni, a w takim wypadku dziewczyny wolą chodzić z gejem. Okazało się jednak, że kilka przyjaciółek Clarissy pamięta Bzykanie z Miłości jeszcze z liceum albo gimnazjum (te bardziej „zaawansowane”), zwykle z pierwszą miłością. Zwykle z jakimś Simonem Englandem.

Clarissa dawno temu wykasowała Simona (u którego w szóstej klasie rozpoznano „zaburzenia koncentracji”, co zresztą bardzo jej się w nim podobało) z palmtopa i wszystkich banków pamięci, ale od czasu do czasu jego gładkie oblicze wyskakiwało w jej umyśle jak puszka na bezkresnym, pustym oceanie, dręcząc ją przekrzywionym uśmiechem, jaki spotyka się tylko u labradorów albo gwiazd filmów akcji z dwudziestomilionową gażą. Po trzecim zerwaniu straciła kontakt z Simonem - mieli po dwadzieścia parę lat, ledwie opuścili mury Uniwersytetu Południowej Kalifornii (Clarissa studiowała dwa kierunki: ubiór i kosmetyki/produkt) i byli nierozłączną parą od klasy maturalnej w Beverly Park

High. Zrywała z Simonem dwa razy (pierwszy raz z nudów; drugi raz z powodu ofensywnego obrońcy z futbolowej drużyny mistrzów stanu), a za trzecim razem to on z nią zerwał. Clarissa nie wybaczyła mu doznanego poniżenia. Powiedział, „cytując jego słowa - rzekła Clarissa do przyjaciółek - nie jesteście dobraną parą”.

„Że niby to coś złego” - skomentowała wówczas.

Teraz Simon był ważnym dyrektorem programowym dużej wytwórni płytowej i umawiał się na randki na przykład z Gwen Stefani czy też z najnowszą latynoską *sensacione*. Clarissa, ilekroć natknęła się na jego nazwisko (oczywiście przypadkiem) w „People”, „In Style”, „Us” czy w jakimś mało znanym piśmie branżowym, czuła niesmak, a zaraz potem smutek. Po kilku takich pechowych wpadkach poprosiła matkę, żeby regularnie co miesiąc przeglądała wszystkie leżące w domu magazyny i wydierała z nich każdą wzmiankę o Simonie Obrzydliwym.

Boże, jak go nienawdziła!

Oto kolejne przykłady bzykania:

3. Bzykanie z Ciekawości: „Ciekawe, jaki byłby w łóżku ten całkiem nieodpowiedni facet”. Wyjaśnienie dla niewtajemniczonych: Bzykanie z Ciekawości różni się od Bzykania Nowinkowego tym, że nowinkowe nie musi zawierać elementu zaciekawienia.

4. Bzykanie z Nudów: „Oglądać po raz ósmy odcinek *Przyjaciół*, w którym David Schwimmer zostaje przyłapany w skórzanych spodniach, czy bzykać się z tym całkiem nieodpowiednim facetem?”.

5. Bzykanie z Desperacji: „Minęło pół roku i jeżeli w ciągu dwudziestu minut ktoś mi nie dogodzi (na przykład ten całkiem nieodpowiedni facet), pozwolę matce, żeby umówiła mnie z amebowatym synem przyjaciółki”.

Lista bzykań jest bardzo długa, obejmuje Bzykanie Przygodowe (z całkiem nieodpowiednim facetem, który surfuje na piętnastometrowych falach u wybrzeża Baja i biega po górach z nokią i nożem myśliwskim), Zamboni, Syjonistyczne i z Cukinią - związane z hokejem, uniesieniem religijnym i zielonymi warzywami.

Clarissa zastanawiała się, do której z powyższych kategorii najlepiej pasowałby Aaron. Ani do Pożądania, ani do Miłości. Ani do Nudy (na to mieli czas do końca życia). No tak, pomyślała kiwając głową, można się zawsze podeprzeć wypróbowaną, szacowną kategorią Bzykania Umyślnego. Clarissa była mistrzynią Bzykania Umyślnego, wykalkulowanego aktu seksualnego, doprowadzanego do skutku z rozmysłem i uporem w dążeniu do osiągnięcia ukrytego celu, którym mogło być zaproszenie na prywatną karaibską wyspę „seksownego dziadka” Micka Jaggera, czy też, jak w tym przypadku, wyrecytowanie przysięgi małżeńskiej.

Seks z Aaronem zaczęły się więc od Bzykania Umyślnego, ale przy odrobinie szczęścia Aaron miał dojść tam, dokąd dotychczas - jak przez dzikie, niezaznaczone na mapie pustkowia - dotarł jeden jedyny mężczyzna: do Bzykania z Miłości. Clarissa zamknęła oczy - nieuchwytnie Bzykanie z Miłości - składniki: nagie ciało, śmiały kontakt wzrokowy, splecione dłonie, wypowiedziane razem dwa słowa... przesłodka przyszłość.

Chciała znów to przeżyć.

Otworzyła oczy i wskazującym palcem z francuskim manikiurem przesunęła po spisie weselnych firm cateringowych; miała mnóstwo telefonów do załatwienia i bardzo mało czasu. Zaczynała rozumieć, jakim niewdzięcznym zadaniem jest planowanie wesela.

Brązowy zegar podtrzymywany przez dwóch nagich osilków z brązu wskazywał pięć po jedenastej; Aaron jeszcze się nie pokazał na przyjęciu. Wielka Stopa urzędował na tarasie w asyście trzech nastoletnich gwiazdek, podążających żółtą ceglana drogą do czwartkowego programu

telewizyjnego Warner Brothers. Wielka Stopa służył z listy młodych, obiecujących „talentów”; wszyscy wiedzieli, że jest pierwszym postojem na drodze do krótkotrwałego błysku sławy.

Clarissa popatrzyła na niego przez pokój, życząc mu natychmiastowej „zaplutej” śmierci - ataku serca po kokainie właśnie tu, na tarasie u Tony'ego B. Wyobraziła sobie, jak język wypada mu z ust, jak on sam zatacza się w przód i w tył w ostatnim tańcu.

Uśmiechnęła się.

Tony B, uszczypnął ją w pupę, opakowaną w czarną skórę od Gucciego, za tysiąc dolarów. Miała nadzieję, że nie wyczuł wielkiej metki, wrzynającej się między pośladki (przez co nie mogła usiąść).

- *Où es le* Świeży Książę? - spytał Tony B. - Czy powinienem raczej powiedzieć: Świeże Mięso? - Posłał jej sarkastyczny uśmiech.

Tony B, był najlepszym przyjacielem Clarissy w liceum. Miał najbiedniejszych rodziców (mieszkali w ozdobionej sztukateriami w stylu lat pięćdziesiątych kamienicy, doglądając jej w zamian za dach nad głową i skromne uposażenie) i był przeuroczy.

Przed trzema laty dorobił się na Internecie; wymyślił sposób na dostarczanie studentom w college'ach prac semestralnych i dokładnych testów - nie za darmo, oczywiście. Plan Tony'ego B, był genialny - wykorzystując na początek nieduży kapitał po zmarłej babci, płacił studentom Uniwersytetu Południowej Kalifornii i Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles za prace, a potem za pomocą skomplikowanego systemu e-maili rozbudował swoje imperium przez Środkowy Zachód - Uniwersytet Michigan, Uniwersytet Chicago - aż do Uniwersytetu Pensylwanii, by wreszcie osiągnąć Wschodniego Wybrzeża - Harvardu, Yale, Princeton, przy czym cała działalność, o dziwo, była legalna.

Teraz Tony B, był bogaty, bogatszy od wszystkich, z którymi dorastał. Był tak bogaty, że przestał używać nazwiska, którego rażąco etniczne

brzmienie wprawiało go w zakłopotanie; zbił majątek pozwalający mu wypiąć się na cały świat, majątek w okolicy numeru telefonicznego (to znaczy wyrażający się siedmioma wysokimi cyframi), a w takiej okolicy każdy chętnie by zamieszkał.

- Pieprz się blaszanym instrumentem i przynieś mi drinka.

- Przyjęcie dopiero się zaczęło, księżniczko, a ktoś już skalął moją adamaszkową pościel.

Tony B, zawsze nazywał Clarissę księżniczką - kochała go za to, jak również za to, że nigdy, przenigdy nie zdradził jej prawdziwego wieku.

Wtedy bowiem zdradziłby także swoje lata, a będąc cudownym chłopcem mediów, miał większe wzięcie w świecie biznesu, w którym zapanował dziecięcy bum - kobiety i mężczyźni podążali za nim sznurkiem jak kaczuski za wodzącą je matką.

- Dlaczego jeszcze go nie ma? - Clarissa tupnęła, jakby chciała kopnąć podłogę.

Tony B, pociągnął nosem.

- Może chłopak z okładki „Variety” nie wybiera się tutaj.

- Aaron nie wystawiłby mnie do wiatru - odparła Clarissa. - Jest za-intrygowany.

- To oczywiste. Jest jedynym facetem w mieście, którego nie zaliczyłaś - rzekł Tony B. - Nikt nie chce wypaść z kręgu towarzyskiego w naszej zacisznej wiosce.

Didżej podkreślił Moby'ego tak, że od huku pękał tynk. Podłoga wibrowała. Clarissa zwróciła uwagę na grupkę dziewcząt, które stały w kółku i kołysały się w rytm muzyki - bez wprawy, jakby z zażenowaniem - demonstrując niedojrzałą młodość.

- Kiedy otworzyłeś ośrodek dziennej opieki?

Clarissy nie uradował widok reprezentantek młodszego pokolenia. Przypominały jej: a) że jest od nich grubsza, b) że jest od nich starsza, c) że nie jest mężatką, d) że jest głodna.

- Dlaczego na widok małych mam ochotę opychać się masłem orzechowym? - spytała.

- Zostaje gorzki posmak... - ostrzegł Tony B., przenosząc leniwe spojrzenie na pozłoczonego (pomalowanego złotą farbą) kulturystę w skórzanej przepasce i tiulowej koszulce, wynajętego do pozowania. Tony B, zatrudnił Złotego Chłopca na każdym przyjęciu - mawiał, że to idealny imprezowy gadżet.

- Jesteś tam? - spytała Clarissa, przekrzykując muzykę.

- Przepraszam. Nie jestem sobą... Ooch. Patrz, kogo przyniosło. - Tony B, uśmiechnął się wesoło, gdy Clarissa powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. - Twój milusi eks wreszcie cię dopadł.

Przyszedł Simon. Na jego ramieniu wisiała znana blondynka o takiej cerze, z jaką po prostu trzeba się urodzić. W tle rozwrzeszczeli się imprezowicze, gdy na dużym ekranie telewizora Tommy Lee dał czadu z najbardziej utalentowanym „członkiem” Motley Crue.

- Simon? - pisnęła Clarissa. - *Que de cholera on tu robi?*

- Zaprosiłem go - odparł Tony B. - Co to za zabawa bez odpowiedniej dawki dyskomfortu. - Nonszalancko pociągnął łyk koktajlu z różowym szampanem. - Nie zapominaj, że my dwaj się lubimy. Na ostatnim roku byliśmy, o, tak blisko pseudohomoseksualnego doświadczenia. - Prawie zetknął opuszkami dwa palce.

Clarissa podziwiała połysk jego paznokci. Tony B, miał zawsze starannie wymanikiurowane dłonie.

- Wiesz, że natura nie znosi próżni? - spytała.

- Och. Wiesz, że nie żywisz do mnie nienawiści.

- Wiem, kocham cię - rzekła z westchnieniem Clarissa. Czują, że Simon rozrasta się za jej plecami jak wielki, grubaśny księżyc... Zaczęła panikować.

- Tony. Jak wyglądam?

- Bardotka, tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty.

- Wyglądam staro.

- Nie.

- To prawda.

- *Muy Barbarella.*

- Mam jeden siwy włos.

- Uporamy się z nim.
- Clarissa? - spytał głos z przeszłości, dosięgając jej niczym teatralny bosak, chwytając za gardło i ściągając ze sceny, z jej sceny, z jej przyjęcia.

- Simon.

Clarissa odwróciła się i popatrzyła na niego. Skurczybyk, nigdy lepiej nie wyglądał, pomyślała. Z butami włącznie - pantofle od Prady z tego sezonu, czekoladowe, śmiały, niemal wyzywający wybór. Mężczyźni kupujący buty od Prady wybierali jeden z trzech kolorów - czarny, smolisty lub hebanowy. Simon oczywiście był wyjątkiem.

No i ta koszula, a jakże, najnowszy fason od Armaniego. Zaraz, zaraz, ma też swoją słabostkę, brzuszek mu się zaokrąglił, a może to tylko materiał tak się układa?

Uścisnęła Simona, oplatając go ręką wokół pasa niczym ciekawski wąż. Simon przytył. Wiedział, że to zauważyła; wiedział, że nic nie uchodzi jej uwagi.

Nieco większa masa ciała sprawiła, że wydawał się jeszcze bardziej atrakcyjny. Delikatniejszy.

- Wyglądasz ślicznie, naprawdę - rzekł Simon. Głos miał wciąż tak samo głęboki i pomimo piętnastu lat spędzonych w Los Angeles zachował angielski akcent.

Uczepił się tego akcentu jak łodzi ratunkowej, pomyślała Clarissa, uśmiechając się do słynnej blondynki. Jego piętą Achillesa były trudności z czytaniem; z początku wstydził się dysleksji; teraz posługiwał się nią jak wizytówką.

- To Penelopa - stwierdził rzecz oczywistą Simon.

- Stwierdzasz coś oczywistego, Simon. - Clarissa uśmiechnęła się i potrząsnęła drobną jak u płodu dłonią, przyozdobioną pierścionkami i tatuażami z henny.

Jednoimienna blondynka odpowiedziała uśmiechem ciepłym jak węgorz wyrwany z głębokiej podwodnej drzemki.

- Napijecie się czegoś? - Clarissa wślizgnęła się w rolę gospodyni ze zręcznością pływaczki wskakującej do cichego basenu.

- Nie sędzę - odparła blondynka.

Uch, jęknęła w duchu Clarissa. Już przerabia dwanaście stopni, a nie ma więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat - a co będzie później?

- A więc perrier z limonką - odparła. - A dla ciebie, Simon, kir royale, już się robi.

Odeszła, pozostawiając Tony'emu B, trud snucia wątlęgo wątku konwersacji. Gdyby się odwróciła, napotkałaby spojrzenie Simona, w którym przeszłość mieszała się z teraźniejszością, požądanie ze zdziwieniem: Clarissa pamiętała, jaki jest jego ulubiony drink. Nadal był jej bliski.

Ona jednak się nie obejrzała.

Nim dotarła do baru, musiała się przedrzeć przez perfumowany tłum, przyjmując po drodze komplementy z gracją profesjonalistki nawykłej do pochwał; raz tylko się wzdrygnęła, gdy usłyszała (dyskretnie nadstawiając ucha) rozmowę kilku małałat, które nawet w fałszywych dokumentach tożsamości nie mogły mieć więcej niż czternaście lat. Stały, opierając kościste ręce na nieistniejących biodrach, uderzająco geometryczne, z odętymi od wysiewających się hormonów buziami, z cerą błyszczącą od młodego wieku i wczesnych wizyt u dermatologa, z włosami i paznokciami lśniącymi po wizycie w salonie piękności. Clarissa domyślała się, że już przechodzą trening pod okiem matek (które wyglądały jak ich nieco starsze zmęczone siostry), żeby odebrać pracę Clarissie, no, może nie tyle pracę, ile zajmowane miejsce.

A były w takim wieku, że nie mogły jeszcze (legalnie) mieć prawa jazdy.

- Długo gram na flecie, a potem o-krą-żam dzwony... - powiedziała pierwsza siksa. - Niczego nie zostawiam na stole.

- Uch... to okroooooopnie czasochłonne, Tiff - odparła druga siksa. - Ja obrabiam ekspresowo. Udaję, że wchodzę ślizgiem między wieszaki w poszukiwaniu ciucha od Tuleha na wyprzedzący u Freda Segala.

- Wypluwacie? - spytała trzecia.

- Wypluwam - rzekła czwarta.

- Wypluwam.
- Połykam - powiedziała pierwsza. - Czyste białko, zero węglowodanów. Totalny odjazd.

Te dziewczynki, te słodkie kwiatuszki o ledwie rozchylonych płatkach rozmawiały o obciążaniu laski. Clarissa na moment zamarła. W głowie jej się zakręciło, gdyż dokonała dwóch niemiłych odkryć: po pierwsze, dziewczynki, które powinny się cieszyć, że zdjęto im aparaty ortodontyczne z zębów, omawiały szczegóły seksu oralnego, a po drugie, najwyraźniej były w tym lepsze od niej.

Och, jej zegar tykał coraz głośniej.

Tykanie to nieodpowiednie słowo. Jej biologiczny zegar łomotał jak młot rozbijający duże, twarde przedmioty.

- Czy któraś z was jest dziewicą? - spytała, obracając się do lolitek o błyszczących włosach.

Trzy z czterech pokiwały głową.

- Oczywiście - powiedziała jedna, która miała na imię: a) Tiffany, b) Brandy, c) Dakota albo d) Ashley.

- Jak to możliwe? - spytała Clarissa. Skoro już ruszyła tą drogą, mogła jechać dalej, nie zważając na wyboje.

- Uprawiamy tylko analny - wyjaśniła inna Brandy rzeczowo i ze zniecierpliwieniem.

- Barabarabarbar - powiedziała Clarissa do barmana. Zabrzmiało to jak prośba. Który to byłby numer... czwarty?

- Słucham? - ożywił się impertynencki barman.

Clarissa omiotła go spojrzeniem jak dżokeja na koniu podczas Derby Kentucky. Nawet złote loki i piwne oczy nie zapewniały mu szansy na Bzykanie z Pożądania - może dlatego, że myślami była gdzie indziej.

- Bzykanie z Ciekawości - orzekła Clarissa.

- Co proszę? - spytał barman.

- Perrier z limonką i kir royale - odparła. Nie miała ochoty objaśniać mu swojej teorii na temat życia.

- Bzykanie z Ciekawości - powtórzył za jej plecami rozbawiony i pewny siebie głos. - Cholernie intrygujące.

Niewiele brakowało, a Clarissa by się odwróciła, powstrzymała się jednak w ostatniej sekundzie; wewnętrzny głos (tego wieczoru, po kilku drinkach, brzmiał jak głos Nataszy z kreskówki *Rocky i Łoś Superktoś*) znowu ją uratował, przestrzegając: „Nie odwracaj się, kochanie. Wystarczy jak zerkniesz przez ramię. POWOLI”.

Tak właśnie zrobiła.

Stał za nią Aaron Mason, jej przyszły mąż. Sam. Przystojniejszy, niż go zapamiętała.

A może po prostu była bardziej pijana.

- Tej uwagi nie kierowałam do twoich uszu - rzekła Clarissa. Poprawiła mu krawat. Znowu ubrany jak chłopiec uczęszczający do katolickiej szkoły. I wciąż w kowbojkach.

- A ja myślę, że kierowałaś, kochanie - odparł Aaron.

- Zamówione drinki - odezwał się barman, podając perder z limonką i kir royale.

Clarissa miała ochotę odgryźć rękę kandydatowi na Bzykanie z Ciekawości.

- Wiem, że to ty zorganizowałaś to przyjęcie - rzekł Aaron - ale goście wyglądają, wybacz mój francuski, na popaprańców.

- Popaprańcy to nie po francusku. Wiem, bo uczyłam się francuskiego przez cztery lata w szkole i potrafię znaleźć toaletę w wieży Eiffla - odparowała Clarissa.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł, kłaniając się.

- Długo z tym czekałeś - zganiała go Clarissa z uśmiechem. - A teraz przepraszam, muszę zanieść chłopakowi, mojemu byłemu... Muszę komuś zanieść te drinki.

- Kir? To nie jest koktajl dla dziewczyny?

- Nie, panie Marlboro - odparła Clarissa. - Z przykrością informuję, że nie mamy w zapasie budweisera...

- Clarisso. Mój samochód stoi pod drzwiami. Z zapalonym silnikiem.

- To ma być samochód? Ja to nazywam przedłużeniem penisa - odparła Clarissa. - Poza tym nigdzie nie wychodzę. Jestem gospodynią.

- A ja jestem gościem honorowym.
- Kim?
- Daj spokój, kochanie. - Aaron objął ją w pól.
- Nie... nie mogę... nigdzie nie wychodzę. - Clarissa była zaniepokojona; sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Aaron pochwycił drinki.

- Gdzie je dostarczyć? - spytał.

Clarissa wskazała Simona z blondynką. Aaron odwrócił się i podszedł do nich, wyprzedzając Clarissę.

- Wasze drinki - rzekł. Podał perrier Penelopie, a kir Simonowi, który wziął go z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Co to się wyrabia! - odezwał się Tony B, niczym pięknotka z Południa, której przewidywania okazały się mylne.

- Aaron Mason do usług. - Aaron uściśnął dłoń Tony'ego B, i Simona jak republikanin na konwencji w 2000 roku. Skłonił głowę przed Penelopą.

- Ktoś jeszcze czuje napływający rumieniec? - spytał Tony B.

- Panie B. - rzekł Aaron. - Ekstraprzyjęcie, ale muszę odwieźć Clarissę do domu. Jest bardzo niegrzeczną dziewczynką, pora, żeby poszła spać.

- Co to się wyrabia! - powtórzył Tony B.

Clarissa wzruszyła ramionami i zaczęła szukać w myślach godnej siebie odżywki. Nic z tego. Napotkała spojrzenie Simona - skrywał uczucia za murem dobrych manier.

Aaron wziął ją za rękę, wyszli z przyjęcia i ruszyli w przyszłość.

Rozdział czwarty

Wesele

Clarissa miała cztery najbliższe przyjaciółki - lubiła nazywać ten ścisły krąg Trybunałem. Ochrzciła tak swoją grupę (znaną także w [mniej] pewnych kręgach jako „paczka piczek”), kiedy siedząc do późna i posilając się lodami waniliowymi „Häagen-Dazs”, obejrzały fantastycznie złego Michaela Douglasa w filmie, w którym groźni, odziani na czarno sędziowie sami wymierzali sprawiedliwość i polowali na groźnych, przebiegłych bandytów. Podobieństwa narzucały się same: babski gang Clarissy nie wychodził z czarnych elastycznych spodni, ferował wyroki i polował zarówno na rzeczy (buty, paski, lakier do paznokci), jak i na osoby (miły facet, bogaty facet, nieosiągalny facet) budzące zainteresowanie.

Podstawą Trybunału były zasady - wiele z nich pochodziło jeszcze z czwartej klasy: We wtorki nie wolno nosić kombinezonów (zmienione na dzinsy)... W poniedziałki wieczorem nie wolno się upijać... Nie wolno dopuścić, żeby pod ubraniem odcinały się majtki... i Nie wolno kręcić z cudzymi chłopakami ani z żadnym chłopakiem ogłoszonym NT (nietykalnym).

Kiedy się zebrały, zajmowały miejsce według porządku określonego tak ściśle jak klauzule intercyzy Donalda Trumpa. Alexandra Hargrave, którą Clarissa uważała za najstarszą (na szczęście rzeczywiście urodziła się na tydzień przed Clarissą) i najlepszą przyjaciółkę, siedziała po jej prawej stronie (tej lepszej). Aktorka, która poszła do szkoły biznesu

dokładnie na jedną minutę, by potem wziąć się do robienia biżuterii, Gravy, jak nazywali ją wszyscy od czasów przedszkolnych w La Lycée, drogiej szkole na francuską modłę w zachodnim Los Angeles, była piątą córką starego, znanego w Beverly Hills chirurga plastycznego (czy w ogóle są jacyś inni?), który na siedemnaste urodziny obdarował córkę parą drżących piersi w rozmiarze D. Doktor Hargrave przerabiał właśnie czwartą żonę; niedawno sprezentował takie same piersi szesnastoletniej pasierbicy. Pięć lat temu Gravy usunęła przyciągające uwagę półkule - nazywała je „Las Pamelas” od idolki Trybunału, Pameli Anderson, i zamieniła je na obecne „courtneyki” od Courtney Cox, także idolki Trybunału - rozmiar B, nierzucające się w oczy, niewyłapywane przez męskie radary bombki.

Ulubionym słowem Gravy było „gówno”.

Drugim ulubionym słowem było „cipa”.

Trzecim ulubionym słowem było „farmaceutyki”. Gravy powiadała: „Moi najbliżsi przyjaciele to farmaceutyki”. Paxil, wellbutrin, xanax, valium, clonopin i vicodin gościły długo w apteczce Hargrave'ów.

Gravy, z ciałem jak kreskówkowa Olive Oyl i „zdecydowanymi” (tzn. w loczkach) włosami, była najinteligentniejsza z całej grupy; zapamiętywała każdy numer telefonu, umiała poprawnie napisać każde słowo, zwłaszcza związane z medycyną, znała kilka języków, chociaż rzadko posługiwała się innym niż rodeowy, czyli angielszczyznę Beverly Hills.

Jennifer Ellenbach była drugą w kolejności najlepszą przyjaciółką Clarissy; siedziała po lewej (mniej telegenicznej) stronie: Marie Osmond z Trybunału. Jen była przyjaciółką, jakiej potrzebuje każda dziewczyna: zgadzała się ze wszystkim, co powiedziała którakolwiek z członkiń Trybunału, a co ważniejsze - sypała komplementami jak żydowska matka na bar micwie. Nawet gdyby Clarissa była gruba jak świnia, która wygrała konkurs wiejskiego klubu młodzieżowego, to i tak Jennifer twierdziłaby uparcie, że mogłaby być chudsza siostrą bliźniaczką Kate Moss.

W wolnym czasie Jennifer, która miała duże brązowe oczy i długie rzęsy à la młody Robert Downey Jr (zanim jeszcze obudził się w stajni sąsiada), lubiła pakować prezenty, pisać podnoszące na duchu listy z kółeczkami nad literą „i” do skazańców w celi śmierci i piec psie ciasteczka dla mopsów, które Trybunał (bez wiedzy Jen) uznał za Najbrzydsze Psy na Ziemi. Była także dumną właścicielką dużej kolekcji gumowych kaczuszek - tego sekretu Trybunał strzegł najpilniej.

Chociaż wystarczyło mrugnąć sztucznymi rzęsami, żeby Trybunał zerwał na kawałki własne członkinie, Jen-E, była nietykalna; Trybunał nie zniszczyłby bezwarunkowej miłości.

Jen była „miękkim środkiem”.

Polo Parker. Imię wybrała jej matka (była modelka, która „przeżyła” przygodę z heroiną, a teraz została superekspertem od narkotyków), nie od dyscypliny sportu, lecz od nazwy firmy z Madison Avenue; była Boginią Trybunału. Promieniowała urodą jak dziewczyna z wkładki „Vogue’a” i słynęła z namiętności do akcesoriów (przykłady): a) nadawała butom imiona rodziny królewskiej; b) miała dwadzieścia trzy „niebieskie” torebki - granatową, niezupełnie granatową, w odcieniu głębszym od granatowego, lazuruową, granatowoczną, granatowoczną jak niebo o północy, błękitną itd.). Przy wzroście metr sześćdziesiąt brakowało jej dziesięciu centymetrów i lat świetlnych do poprzeczki dla supermodelek, ale patrząc na te kędziory hinduistycznej bogini, zielone oczy i cerę jak mleko z odrobiną cappuccino, najgorsze, co można było powiedzieć o jej urodzie (a Trybunał zawsze polował na najgorsze), to że pod wpływem stresu uda mogły jej jeszcze bardziej... schudnąć. Któregoś roku na początku lat dziewięćdziesiątych Polo została Miss Maja w „Playboyu” - i tylko o jedno oczko za mały rozmiar biustonosza dzielił ją od tytułu Rozkładówki Roku. Trybunał, wyprawiając się wieczorem w miasto, nieraz wystawiał Polo jako przynętę na mężczyzn - wystarczyło wrzucić ją w tłum, a wracała z czterema czy pięcioma „złowionymi”.

Niestety, gdzie dobry Bóg daje, tam złe geny odbierają; Polo nie była najzdrowszym okazem. Bez przerwy z czymś walczyła, a to z grypą, a to z przeziębieniem, a to z budzącym największy lęk towarzyszem kobiet - drożdżycą („czarownica drożdżycą”, jak mawiał o tej przypadłości Trybunał).

- Mówcie prawdę. Czy pachnę jak zakwaszone ciasto? - Takie pytanie często zadawała na początku posiedzenia Trybunału.

Clarissa wymyśliła dla niej przydomek Polio.

Polo wsuwała się na miejsce obok Gravy, swojego najbliższego sprzymierzeńca - o dziwo, to właśnie Gravy miała najwięcej czasu i cierpliwości do jej „problemów”. Clarissa wyznawała teorię, że Gravy okazuje Polo cierpliwość, ponieważ jej celem jest zaciągnięcie tamtej do łóżka, i była przekonana, że pewnego dnia Gravy sama przyzna, że woli lizać patelnię.

Clarissa miała moc teorii - uważała siebie za guru Trybunału - za Oprah Winfrey Tapeciar. Jest faktem, że była główną sprężyną wszelkich operacji; bez Clarissy, pianistki, organizatorki, lepszycza, grupa w ogóle by nie istniała.

Piąta członkini grupy (piąte koło) była najbardziej przerażająca: Suzee Chambers - Freddy Kreuger Trybunału. Pozostałe członkinie nie lubiły Suzee, a na dodatek jej się bały. Miała język bardziej podobny do szabli niż do zęba żmii - potrafiła nim dla własnego widzimisię zrobić sashimi z przeciwnika lub przyjaciółki. Ale dzięki obecności Suzee w grupie Clarissa utrzymywała umysł w stanie gotowości; manewrowanie wokół Suzee i jej zła przypominało partię szachów z Kasparowem.

Kiedyś, przed laty, gdy ziemia stygła, a Mark Goodman był widzejem na topie, odbyło się głosowanie, mające zadecydować, czy Suzee zostanie w Trybunale. Działo się to po okropnym incydencie z udziałem czyjś chłopaka i liścika miłosnego perfumowanego aromatem „Love's Baby Soft”. Przeprowadzono tajne głosowanie (a jakże!) i okazało się, że głosy

rozłożyły się równo. Prawda wyglądała tak, że każda z dziewcząt miała słabość do Suzee; Clarissa nigdy nie zapomniała, że to właśnie Suzee okazała jej prawdziwą dobroć, ofiarowując koszulkę z Shaunem Cassidym, gdy jej rodzice po raz pierwszy się rozstali.

Także Suzee pożyczała markowe buty, co stanowiło podstawę długotrwałej przyjaźni.

Clarissa porównała Suzee do kandyzowanej skórki, posłodzonej cytryny albo pomarańczowej skórki oblanej ciemną czekoladą - takie coś jadło się w sytuacjach ekstremalnych (na przykład umierając z głodu w bazie na K2 albo wpadając w szpony syndromu przedmiesiączkowego). Gorzka z wierzchu, nieco mniej gorzka w środku.

Wiek członkiń Trybunału wynosił od dwudziestu ośmiu do dwudziestu ośmiu (trzydziestu jeden) lat; były końcówką Generacji X, wykarminionej MTV, wyrosłej na markowych towarach, wychowanej przez pokolenie z powojennego wyżu demograficznego, które samo nie chciało dorosnąć. Ich matki, dzięki salom gimnastycznym, trenerom, chirurgom plastycznym, dermatologom, czujnemu stosowaniu diety i rozporządzaniu dochodem, rywalizowały jak równy z równym o uwagę chłopaków swoich córek; rozwiedzeni ojcowie, których stać było zarówno na sportowy samochód, jak i nowe włosy, umawiali się z ich najlepszymi przyjaciółkami. Potomstwo/latorośle, czyli Generacja X, było technologicznie opóźnione o pół generacji. Dziewczyny trąkotały wprawdzie do nokii w zindywidualizowanych kolorach, podłączały swoje palmtopy „Blackberry”, nosiły markowe palmtopy ze sprytnymi futrzanymi futerałami i w życiu nie wysłały normalnego listu ze znaczkiem, ale nie mówiły tym samym językiem co prawdziwa generacja komputerowa, Generacja Y. Jakże miały te dziewczyny, ukryte pod „imionami”, chowające się za sztucznymi piersiami, zmienionymi nosami i włosami farbowanymi od wczesnej młodości tak często, że same nie wiedziały, z jakim kolorem się urodziły, jakże miały czuć się dobrze w swojej skórze; nie wiedziały, kim

naprawdę są. Mimo to członkinie Trybunału, gdzieś pod prefabrykowanymi fasadami intuicyjnie wyczuwały, że nawet w stosunkowo młodym wieku już są przeterminowane.

Na posiedzeniu Trybunału podsumowującym przyjęcie (śniadanie w „Polo Lounge” - wypadło z łask, by nagle stać się kultowym miejscem) Gravy rzuciła okiem na Clarissę i wyraziła swoją opinię dosadnym słowem:

- Jako osoba z wyższym wykształceniem powiem ci, że twoja bajeczka zajężdża gównem.

Przyznać trzeba, że użyła więcej niż jednego słowa, Clarissa wszakże usłyszała to jedno, najważniejsze.

- Ja, Clarissa Regina Alpert, ośmielałam się być innego zdania - zaproponowała. - Aaron wszedł, nie, wkroczył na przyjęcie, wziął mnie za rękę, wyciągnął...

- ...jak jaskiniowiec. Człowiek z Cro-Magnon? - rzekła Gravy. - Nic nie widziałam. A więc nic się nie zdarzyło.

- Byłaś pijana.

- Oczywiście, że byłam pijana. - Gravy zawsze była pijana na przyjęciach. - Ale to nie znaczy, że miałam stępione zmysły.

- Clar, zupełnie jak w filmie *Oficer i dżentelmen* - skomentowała Jenny. - Tylko że ty nie jesteś podobna do Debry Winger, a Aaron jest przystojniejszy od Richarda Gere'a. Tworzycie idealną parę.

- Jakiego koloru włosy ma Aaron, Jen? - spytała Gravy.

- Och, jak by to powiedzieć, jasnobrązowe, wpadające w blond.

- Kruczoczarne - rzekła Gravy.

- Nadal czytasz magazyny branżowe, Gravy? - spytała Clarissa.

- Spostrzegłam go jako całość - wyjaśniła dobrodusznie Jenny. - On cię naprawdę lubi, Clarisso.

- Spóźniłam się? - Zjawiała się Polo, wyglądająca jak Gwyneth Who? w spodniach dzwonych do ćwiczenia jogi i w bluzce bez rękawków od

Miu Miu. Gorsze od jej fenomenalnych nóg były piersi - mniejsze niż balony Clarissy, ale strzelające prosto jak pieprzony promień słońca przebijający się przez chmurę.

- Kawy? - spytała kelnerka.

- Nie, za kofeinę dziękuję. Poproszę zieloną herbatę - odparła Polo.

- Skarbie, jakaś ty blada - powiedziała Gravy, przykładając dłoń do czoła Polo.

Clarissa przewróciła oczami.

- Co się stało tym razem? - spytała, udając rozdrażnienie, co było jej specjalnością, choć tak naprawdę zżerała ją ciekawość.

Polo zawsze cierpiała na jakąś interesującą dolegliwość o egzotycznie brzmiącej nazwie.

- Mój nowy holistyczny doktor zabronił mi kofeiny, produktów mlecznych, alkoholu, cukru, pszenicy i seksu - wyliczyła Polo. - W sobotę idziemy na kolację do Giorgia.

- Ależ, Polo... nie będziesz mogła zjeść makaronu *orecchiette* ani napić się pinot grigio - stwierdziła rzecz oczywistą Jen. - Musi być naprawdę fajny, bo dla brzydala nie rezygnowałabyś z prostych węglowodanów i alkoholu.

- Nie wpadł mi w oko na wieszaku - odparła Polo - ale chcę go przymierzyć. Mógłby być sponsorem akcesoriów.

Sponsorem nazywała Polo mężczyznę chętnego do kupowania jej drogich rzeczy.

- Idiotka - rzekła Gravy. - Nie możesz znowu umawiać się z jakimś doktorkiem. Lekarze są nienormalni, dlatego zostają lekarzami.

Wszystkie się wstrząsnęły, bo dopiero niedawno doszły do siebie po ostatnim doktorze - drobnym położniku, który w łóżku mówił do Polo „Mamusiu”.

- Wychodzę za mąż - oznajmiła Clarissa. Czemu nie? Prędzej wąsy wyrosłyby jej z uszu, niż doczekałaby się przerwy w rozmowie.

- Znalazłaś pana Alperta? - spytała Polo, pocierając nosek.

- Jako adwokat poznaję, że kłamiesz - rzekła Gravy.

- Nie jesteś adwokatem, przebywałaś w murach szkoły biznesu dokładnie przez jedną minutę - sprostowała Clarissa. - Zresztą to prawda, tylko Aaron jeszcze o tym nie wie.

- Czy wydamy „zapoznawczą” kolację? - spytała Jennifer.

Dziewczyny popatrzyły na nią bez słowa.

- Clarisso Alpert, jesteś niespełna rozumu - oświadczyła Gravy, wlewając pół litra syropu klonowego na francuską grzanekę.

Gravy, podobnie jak połowa czytelniczek „Cosmopolitanki”, była anorektyczką na rekonwalescencji i nadrabiała dwadzieścia dwa lata intensywnego liczenia kalorii; podała kiedyś Clarissie wartość kaloryczną sześciu uncji smażonego kotleta z zadniej części renifera, na wypadek gdyby wybrała się na wycieczkę do Reykjavíku. Clarissa była przekonana, że Gravy jest szalonym geniuszem, tak jak autorka katalogów J. Crew.

- Podziwiam twoją determinację - rzekła Jenny.

- Jest ambitna jak Hitler - dodała Gravy.

- Więc nie chcesz zostać moją pierwszą druhną? - zwróciła się Clarissa do Gravy.

- O mój Boże - odparła Gravy ze łzami szczerości w oczach. - Naprawdę? Jeszcze nigdy nie byłam druhną.

- To dlatego, że żadna z nas nie wyszła za mąż - wtrąciła Jen. - Będziesz najpiękniejszą panną młodą. - Teraz się rozplakała.

- Kiedy mu o tym powiesz? - spytała, kaszląc, Polo.

- Uczniu, nie pouczaj mistrza - odparła Clarissa. - Powiem mu, kiedy wszystko zaplanuję. Tak będzie o wiele sprawniej.

- Ach, jak ty odbiegasz od wzorca dziewczyny z zasadami! - rzekła Polo.

- Widziałaś kobiety, które napisały tę książkę? - spytała Clarissa. - Zasady są dla głupców. Jestem feministką, a nie pugilistką.

- Pugilista to bokser - sprostowała Gravy.

- Tym też nie jestem.
- Robisz Aaronowi przysługę - rzekła Jen. - Wiesz, jak mężczyźni nie znoszą planowania wesela.

- Możesz liczyć na naszą pomoc - zapewniła Gravy.

Polo poparła ją, odkrztuszając flegmę.

- Co z Simonem? - spytała raptem Jen.

Clarissa omal nie udławiła się grzanką.

- No wiesz, twoim Nieobecny Mężczyzną - przypomniała Jen.

- Jakim Simonem? - odpowiedziała pytaniem Clarissa.

Sprawa została odłożona *ad acta*. Dziewczyny uściskały Clarissę i przez resztę śniadania dyskutowały na dwa ulubione tematy: o tym, jak wyglądałoby ich wymarzone wesele, oraz o czekoladzie.

- Czy coś mnie ominęło? - spytała Suzee, wsuwając pajęcze ciało do kabiny dokładnie godzinę po czasie.

Pozostałe członkinie Trybunału popatrzyły po sobie, a potem, porozumiewszy się w milczeniu, jak przystało na wieloletnie przyjaciółki, odpowiedziały jednogłośnie:

- Nic.

Prawda: Clarissa nie spała dobrze ostatniej nocy; coś ją dręczyło, choć nie potrafiła tego wskazać wymanikiurowanym palcem. Obudziła się z zaciśniętą szczęką i dłońmi podwiniętymi jak kleszcze homara, a przecież od tygodnia nie pokłóciła się z matką.

Ścierając z oczu sen i maybelline, wróciła myślami do poprzedniego wieczoru.

Aaron zabrał ją do swojego domu. Podjechali pod górę, do samego końca Doheny Drive. Dom należał kiedyś do gwiazdy filmowej, która dawno temu słynęła z tańca czy śpiewu - Clarissa zapomniała z czego - natomiast jej dom wciąż przypominał rozek z lodami truskawkowymi, z zachowanym w holu różowym marmurem - całość wyglądała jak dekoracja do musicalu z lat trzydziestych. Aaron zaproponował szampana, na który się zgodziła, i otworzył dla niej butelkę cristal, a sobie budweisera.

Clarissa nie omyliła się co do jego ulubionego napitku.

- Podobno gdy pilnie nadstawi się ucha, można usłyszeć stepującego na schodach Freda Astaire'a - rzeki Aaron, z ustami niebezpiecznie blisko karku Clarissy.

Miał miękkie wargi, ciepły oddech. Świeży. Ucieszyła się, że ma oddech świeży, a nie miętowy. Nie znosiła miętowych oddechów. Jakie obrzydliwe sekrety kryły się za tymi miętowymi oddechami, co?

- Freda... - powtórzyła Clarissa.

- Astaire'a - dokończył Aaron. - Słyszałaś o Fredzie Astairze, Clarisso.

Mówił powoli, z akcentem. Clarissa z rozkoszą odbierała wrażenie głosu spływającego w dół jej kręgosłupa. Załaskotały ją dolne rejony. Nie czuła tego dreszczyku... od pół roku? Od roku?

Kiedy ostatnio miała tam łaskotki?

Przestań! - powiedziała do siebie. Machnęła ręką na Petunię, jak pieścotliwie nazywała swoją łechtaczkę, i powzięła stanowcze postanowienie, że tej nocy nie znajdzie się w łóżku z Aaronem.

- Bez urazy, dziewczynko - rzekł Aaron, miękko przeciągając słowa. - Nie słyszałaś o nim, bo jesteś za młoda.

Clarissa prychnęła, na szczęście niegłośno.

- Głupcy nazywają los przypadkiem - odpowiedziała.

Aaron popatrzył na nią, schwytny w pułapkę niespodziewanie wyrazistej wypowiedzi.

- Clarisso. Wypowiedziałaś słynną kwestię z *Wesołej rozwódki*.

- Pewnie ją widziałam dawno, dawno temu - odparła Clarissa nie dbale.

- Kocham Freda Astaire'a - oznajmił Aaron. - Nie mogę uwierzyć, że znasz tę kwestię.

- Fred jest w porzo - rzekła Clarissa, wzruszając ramionami.

Oczywiście, że słyszała o Astairze. Pierwszy raz widziała go w filmie,

kiedy miała ze trzy latka, a jej babka ze strony ojca nawet z nim tańczyła na balu debutantek, lecz Clarissa miała czasem chęć okazać przekorę. Inaczej nie byłaby sobą.

- Sporą część dzieciństwa spędziłem w łóżku, a matka pozwalała mi oglądać wyłącznie filmy czarno-białe - ciągnął Aaron. - *Wesołą rozwódkę, Panów w cylindrach...*

Clarissa kiwnęła głową. Jeszcze dwa dni temu nie miałyby pojęcia, o czym Aaron mówi.

- Aaron, jeżeli powiesz mi, jaki jest twój ulubiony show na Broadwayu z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, zostaniemy przyjaciółkami i porównamy torebki, ale teraz się zmywam.

- Poddaję się - odparł Aaron ze śmiechem. - Nie znam historii Broadwayu. Tylko czarno-białe filmy.

Aaron oprowadził Clarissę po posiadłości. Trawnik na tyłach rozpostierał się szeroko, okrywając grubym zielonym pledem łagodnie opadające wzgórze. U jego stóp stała ozdobna biała kabina, w której sam Clark Gable mógłby całować się i przerzucać bon motami z Jean Harlow.

Temu właśnie zajęciu oddali się Aaron i Clarissa.

- Jesteś urocza - rzekł Aaron, pieszcząc jej ramię.

Clarissa wolałaby, żeby przestał. Owszem, miała miękką skórę, ale własne ramiona przypominały jej świąteczne szynki.

- A ty jesteś omalże atrakcyjny - odparła Clarissa, odsuwając się. Skąd mężczyźni wiedzą, pomyślała, gdzie dotknąć kobiety, żeby wywołać najbardziej negatywną reakcję? Ramiona, wewnętrzna strona ud, pod brodą...

- Clarisso.

Och, Clarissie podobało się, jak wymawia jej imię. Każdą sylabę wypowiadał z takim namaszczeniem.

Aaron pstryknął przełącznikiem na zewnętrznym panelu. Rozbrzmiała muzyka. Męski głos, łagodny i romantyczny, śpiewał...

- Dlaczego udawałaś, że nie chcesz mnie zaprosić na przyjęcie? - spytał Aaron.

Zsunął dłoń na jej talię, nachylił się i obrócił Clarissę - ot tak, po prostu, zaczęli tańczyć. Taniec dla dorosłych. Clarissa, w ciasnych skórzanym spodniach i na szpilkach, podążała z pewnym trudem.

- Pozwolę sobie wyrazić odmienną opinię, panie Mason - rzekła Clarissa. - Dlaczego przyszedł pan, udając, że wcale panu na tym nie zależało?

Aaron pozwolił Clarissie opaść w tył, trzymając twarz na odległość oddechu. Clarissa, która objadła się satajem z kurczaka u Tony'ego B., wzdrygnęła się na myśl, że mogą jej pęknąć spodnie - i że będzie musiała za nie zapłacić.

- Czemu mnie intrygujesz? - spytał Aaron.

Zajrzał jej w oczy tak, że się przestraszyła. Oto człowiek, który nie boi się konfrontacji, pomyślała. W Los Angeles mężczyźni i kobiety nie patrzyli sobie w oczy, chyba że składali śluby. Albo obrzucali się wyzwiskami.

Gdy znów ją obrócił, głowa sama odchyliła jej się do tyłu.

Poczuła się lekka jak piórko. Elegancka. Poczuła, że musi się bronić.

- Czemu jestem znudzona? - odpowiedziała pytaniem Clarissa.

Aaron uśmiechnął się.

- Nie czytasz ostatniej strony magazynów branżowych? Milion aktorek i modelek w tym mieście tylko czeka na mój telefon. - Kolistym ruchem ramienia ogarnął widok na miasto w dole. Potem znów objął jej kibić.

- Wieczne dublerki, gwiazdy reklamówek. Aaron roześmiał się.

- Palisz? - spytał.

- Nigdy - odparła Clarissa. - Chyba że masz papierosa.

- Zawsze jesteś taka kunktatorska? - spytał Aaron.

- Tylko wtedy, kiedy chcę zrobić dobre wrażenie - odparła.

Aaron znów owinął ją dokoła, szczęśliwie ani trochę nie rozdrażniony tym, co u Clarissy było najbardziej drażniące - jej osobowością.

- Masz w sobie coś jeszcze, Clarisso tylko nie jestem pewien co.

Clarissa uśmiechnęła się do siebie. Oboje z Aaronem pokonali pierwszą przeszkodę w biegu znajomości jak doświadczeni sportowcy; naprawdę między nimi iskrzyło. Spotkanie w „Ivy” nie było przypadkiem.

Och. Muszę sprawdzić w słowniku to słowo, pomyślała. Kunkta... kunkto... Cholera, przecież nie uganiam się za moim mózgiem!

Piosenka się skończyła. Aaron przycisnął Clarissę do piersi, cały czas spleciony z nią palcami. Jej serce biło za szybko, dyszała jak mały york.

- Nie miałam okazji przywyknąć do czegoś takiego - rzekła.

- Do czego? Do tańca? Do ćwiczeń fizycznych? - Nie wypuszczał jej z objęć. Clarissa poczuła kropelkę potu, leniwie spływającą po plecach. - Niezaprzeczalnego napięcia seksualnego? - Aaron uśmiechnął się. - Musisz częściej wychodzić z domu.

I złapał ją za tyłek.

- Zapłacisz za to - rzekła Clarissa.

- Na pewno - odparł.

Clarissa uśmiechnęła się i wyciągnęła Aarona z dużej rośliny doniczkowej, na którą go popchnęła.

- Czemu utykasz? Dla efektu? - spytała Clarissa, gdy szli z powrotem do dużego różowego domu.

Lekkie kuśtykanie, które znikło w czasie wspólnego tańca, znów naczyniło chód Aarona.

- To trochę krępujące - rzekł Aaron.

- Uwielbiam wszystko, co jest krępujące. To moja specjalność.

- Świetnie - odparł. - Urodziłem się ze zdeformowaną stopą.

Clarissa zdusiła w sobie chęć, by poskakać z radości. Znalazła mężczyznę z idealnym upośledzeniem - oczywistym dla spostrzegawczego

oka, lecz nie wpływającym zasadniczo na życie.

- Czy to cię zniechęca? - spytał. - Dla niektórych kobiet to problem, chociaż przypadłość jest dość częsta, jeden na tysiąc żywych noworodków...

- Wręcz przeciwnie - zapewniła Clarissa, wsuwając mu rękę pod ramię i obejmując dłonią biceps. - Bez kuśtykania nic byś dla mnie nie znaczył.

Aaron zdziwiony otworzył usta, a potem ze śmiechem odrzucił głowę do tyłu.

- Zajmijmy się teraz twoją garderobą - ciągnęła Clarissa.

- Garderobą? - Aaron urwał. - To znaczy ubiorem?

- Kowbojki odchodzą. Wchodzi Helmut Lang - rzekła Clarissa. Jeżeli podoba mu się moja osobowość, pomyślała, mogę iść na całość.

- Kto?

- Wpadniemy do Freda Segala przy Melrose Avenue, znam tam genialnego osobistego doradcę, Bretta Brooksa, to przyjaciel Winony, powinien dostać Nobla w dziedzinie mody. A kiedy już będziemy w tamtej okolicy, przyda się porządne strzyżenie - Laurent, McMillan, Art Luna. Czy jesteś członkiem jakiegoś ośrodka sportowego?

- Gram w koszykówkę...

- Dobrze, więc zapiszemy cię na koszykówkę do Klubu Sportowego L.A., gdzie dla przyjemności grywają Lakersi, i jeszcze zapiszemy cię do Warehouse, gdzie rządzą wolni strzelcy. Powinniśmy to zrobić w najbliższy weekend, chociaż ostatnio modny jest boks, ale po to trzeba by jechać do takiej cuchnącej sali w Koreatown. Uważam, że tę fazę możemy pominąć.

- Coś jeszcze? - spytał Aaron.

- Oczywiście - odparła Clarissa. - Tak się cieszę, że pytasz. Musimy wydać przyjęcie. Masz idealną chatę, a dzięki odpowiedniemu przyjęciu znajdziesz się na topie Hollywoodka.

Aaron popatrzył na nią bez słowa.

- Nauczę cię wszystkiego, co trzeba wiedzieć o życiu w dużym L.A. - zapewniła Clarissa. - Co wiesz o sezonowych biletach? - Położyła rękę na jego ramieniu. - Nie martw się, Aaron. Zajmę się tobą.

- Nie martwię się, dziecinko - rzekł Aaron, patrząc (znowu!) w oczy Clarissie. - Skamieniałem z przerażenia.

Aaron zapatrzył się w łazienkową szafeczkę. Wszystkie produkty, które kupił w aptece, gdy przed kilkoma tygodniami dotknął stopą ziemi Zachodniego Wybrzeża (tygodniami? - pomyślał - a mnie się zdaje, że minęły lata), wydawały się teraz takie pospolite - zwykłe mydło, jednorazowe maszynki, pierwszy z brzegu szampon ze sklepowej półki. Przedmioty te tchnęły tymczasowością, należały do gościa, turysty, kogoś, kto zawitał tu przejazdem. Clarissa obrzuciła jednym spojrzeniem łazienkę (najpierw pogrzebała w jego rzeczach) i przysięgła, że do końca tygodnia wyposaży ją w coś, co nazwała kiehlami.

Dziś po raz pierwszy Aaron poczuł, że ma szansę się tutaj zadomowić, choć musiało upłynąć więcej czasu niż te pół roku, które dano mu, by stanął na nogi. Planował, że za pół roku będzie miał reżysera, gotowy scenariusz, zbliży się do celu, jakim było wyprodukowanie filmu fabularnego...

Chciał zostać ponad pół roku. W chwili gdy wysiadł z samolotu, zapragnął, by to miasto zatrzymało go na dłużej. W tym celu potrzebował wskazówek.

Dzisiaj zaś znalazł swoją mapę drogową.

Składała się z samych zjazdów i podjazdów.

Aaron pomyślał o tych nierównościach. Clarissa była wcieleniem Dziewczyny z Los Angeles namalowanej przez Alberta Vargasa, jego fizycznym ideałem od szóstego roku życia, gdy dopadł swojego pierwszego „Playboya”. „Zajmę się tobą” - powiedziała. Aaron wiedział, że jest urodzoną manipulatką - już w szkole średniej, będąc najładniejszą dziewczyną, uważała się za bardzo dorosłą i podążała w kierunku „kawaler do wzięcia”. Wiele takich dziewczyn spotkał - w rodzinnej miejscowości,

w college'u - ale Clarissa pociągała go czymś więcej niż sumą fizycznych zalet. Miała osobowość, błysk w oku. Zdawał sobie sprawę, że jest niebezpieczna, równie lekkomyślna, co seksowna. On zaś ważył słowa, nigdy nie dostał mandatu za zbyt szybką jazdę, czytał każdą instrukcję dołączoną do urządzenia elektrycznego. Podejmowanie ryzyka nie mieściło się w jego życiowym repertuarze. Clarissa nie знаła nic innego oprócz podejmowania ryzyka.

Mimo to Aaron czuł się bezpieczny, ponieważ w myślach przygotował się na to, co nastąpi. Clarissa przeprowadzi go przez kamienisty teren, przypilnuje, żeby nie zrobił z siebie głupca, umieści go w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. A w zamian on zostanie jej partnerem na tak długo, jak długo potrwa jazda. Miał to, czego pragnęła (pieniądze), ona zaś miała to, czego on sam pragnął (była dostępna i żądna przygód) - nie mogli się skrzywdzić.

Aaron ostatni raz obmył twarz mydłem pachnącym jak płyn do zmywania - nadciągały kiehle.

Clarissa obiecała matce, że po śniadaniu pojedzie z nią na wycieczkę do malowniczego kanionu Temescal, wysoko ponad Sunset Beach i tłoczącymi się tam nieumytymi, naoliwionymi tłumami. Nawet cieszyła się na ten wypad do niby wspaniałej dzikiej okolicy, gdy pędziła na zachód Bulwarem Zachodzącego Słońca, wyprzedzając turystów ze Środkowego Zachodu i kierowców autobusów ze Środkowego Wschodu. Nie wybrały się z matką na wycieczkę od... hmm... właściwie to nigdy nie były razem na pieszej wycieczce. Nie przewidziała tylko jednego: że przyjaciółki matki, nazywane przez nią Trzema Muszkieterkami, też się z nimi wybiorą, że będą narzekać, przechwalać się i złośliwie chichotać. Clarissa przeważała je Trzema Maszkaronami. Nie potrafiły się ani umalować, ani na nic zdecydować. W sumie zaliczyły osiem korekt oka, dziesięć liftin-gów, niezliczone odsysania brzucha i tyle zastrzyków wołowego kolagenu, że można by z niego odtworzyć niezłe teksańskie stado.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że twoje przyjaciółki dały nogę z domu starców? - spytała Clarissa, nie dbając o to, że posiwiałe obiekty szyderstwa mogą ją usłyszeć.

- Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. - Matka Clarissy wyprostowała się na wysokość stu pięćdziesięciu siedmiu centymetrów wzrostu i potruchtała pod górę jak żuk.

Najbardziej zabolalo Clarissę coś, co z trudem sobie uzmysłowiła. Otóż te sześćdziesięciolatki były w o wiele lepszej formie niż ona.

- Powinnaś pokręcić kółkiem, kotku, tak jak ja - powiedziała jedna z nich, ta w czapce wysadzonej kryształami górskimi i z rozmazaną czerwoną szminką, gdy Clarissa kłapnęła pięciotonową pupą na szlak, dyśząc jak pijaczyna ze slumsów. Rozmazana szminka jeszcze przez pięć minut zachwalała zalety pedałowania, ponieważ jednak Clarissa nie znosiła rowerów, ćwiczeń ruchowych, lycry i innych spandeksów, wynikało stąd jasno, że pedałowanie nie mieści się w jej planach na przyszłość.

Clarissa pokazała starej krowie palec w obraźliwym geście, co pozostało niezauważone. A może zignorowane.

- Nie, nie, nie. Ona powinna uprawiać jogging - pisnęła druga, ta z elegancką srebrzystą fryzurą, w obcisłych spodniach przed kostkę; z tyłu wyglądała jak dwunastolatka ze starym tyłkiem. - Jogging jest dobry dla pikawki.

Pikawki? - powtórzyła w myślach Clarissa. Co to za ludzie?

- Ale niedobry dla kolan - zaklaskała matka Clarissy.

- Za to wspaniale kształtuje pupę - powiedziała znowu tamta, wskazując mały, stary tyłeczek. - Spójrzcie tylko, dziewczyny. Na tym tyłku można postawić talerz rakiety.

- Powinna częściej uprawiać seks - odezwała się trzecia. - Sugar i ja nadal trzy razy w tygodniu tarzamy się na ortopedycznym materacu. Nie mogę zasnąć bez orgazmu.

Clarissa miała ochotę rzygnąć.

W drodze do domu (samochód Clarissy miał założoną blokadę za niezapłacone mandaty za złe parkowanie) wpatrywała się w matkę,

wyrażając w duchu życzenie, by trafił ją szlag. Dlaczego nigdy nie trafia jej szlag, gdy tak mocno tego pragnę? - pomyślała.

- Wiem, o czym myślisz - rzekła matka głośno, przekrzykując mambo płynące z kompaktu Tity Puente.

- Nie wiesz.

- Zazdrość o matkę jest naturalna - powiedziała matka, powracając do dawnego nawyku mówienia o sobie samej w trzeciej osobie, co było denerwującą manierą starych gwiazd filmowych, jak Debbie Reynolds czy Elizabeth Taylor.

Clarissa zaczęła się zastanawiać, czy one jeszcze żyją, czy tylko pokazują je w programie *Entertainment Tonight*.

- Twoja matka bardzo dobrze o sobie dba, aha. - Matka cmoknęła językiem o zęby, jakby zgadzała się z tym, co powiedział właśnie ktoś inny.

- Mamo, mówię poważnie, siedziałam i modliłam się, żeby cię szlag trafił.

Matka wzruszyła drobnymi ramionami.

- To normalne. Ja też życzyłam śmierci swojej matce, niech spoczywa w pokoju.

Czemu matka okazywała tyle zrozumienia? Clarissa jeszcze bardziej jej przez to nienawidziła; jak ktoś może być jednocześnie upierdliwy jak kleszcz i miły jak retriever?

- Twój ojciec i ja spotykamy się.

- Och, daj spokój.

- Jest okropny w dotyku.

- Och, proszę cię, daj spokój.

- Nie mogę z tobą o tym rozmawiać. - Podkreśliła Titę.

O ojcu Clarissa mogłaby powiedzieć, że był złym człowiekiem. Ale nie dlatego, że prowadził firmę sprzedającą przez telefon starszym ludziom siding i tonery do faksu, nie dlatego, że przez dwadzieścia trzy z dwudziestu czterech lat małżeństwa zdradzał żonę, nie dlatego, że odsiedział wyrok w więzieniu, kiedy Clarissa była mała (matka powiedziała jej, że

wyjechał w dłuższą podróż służbową na Bahamy, lecz wrócił do domu, po przeszło roku, bez opalenizny) - z żadnego z tych powodów nie był złym człowiekiem. W przekonaniu Clarissy był złym człowiekiem dlatego, że kiedy kończyła pierwszą klasę w Beverly Park High, w przedostatni dzień roku szkolnego poszedł do łóżka z jej najlepszą przyjaciółką z liceum, dziewczyną, którą znał od czasu, gdy obie miały po dwa i pół roku, a która niecałe dwa tygodnie wcześniej obchodziła siedemnaste urodziny. Clarissa przyłapała ich w swoim łóżku, umoszczonych między towarzyszącą dojrzewaniu gromadką pluszowych postaci z filmów Disneya a tomikiem poezji Sylvii Plath.

No dobrze, tak naprawdę to nie była Sylvia Plath - cienka książeczka miała tytuł *Znaki miłosne dla Skorpionów*.

Nieważne.

Clarissa uporała się z szokiem (po ujrzeniu peklowanego ojcowskiego tyłka) dzięki obrzydliwie dużemu kieszonkowemu na ubranie i nowiu-teńkiemu pomarańczowoczerwonemu bmw.

Nigdy nie powiedziała o tym matce, nie dlatego, że nagi ojciec, roniąc łzy skruchy, błagał na klęczkach jedyną córkę, jedyne dziecko (o innych nie wiedziała), żeby tego nie robiła. Nie mogła po prostu zdobyć się na to, by zadać matce taki ból. Nawet kiedy ta dzień w dzień narzekała, że Teddy, jej tata, ją psuje, że wydaje za dużo na ubrania u Neimana Marcusa i Saksa, że - na miłość boską - nie potrzebuje trzech kart kredytowych w wieku szesnastu lat. Nawet kiedy klóciły się z matką tak głośno i okropnie, że sąsiedzi wzywali policję Beverly Hills, i to tyle razy, że Clarissa poznała imiona dzieci funkcjonariuszy.

Nigdy nie zdradziła ojca przed matką.

Rodzice rozwiedli się po małym odkryciu dokonany przez matkę, a przez Clarissę nazwanym Incydem z Pomponiarami Lakersów, kiedy to ojciec został nakryty nie z jedną, nie z dwiema, ale z trzema czirliderkami. Dziewczyny były bardzo drobne, drobne jak Hervé Villechaize,

nieszczęśliwy karzeł, więc ojciec bronił się przed histeryzującą matką (z wściekłości tak się trzęsła, że nie mogła zapalić papierosa i zaczęła go jeść), mówiąc, że randka z Dziewczyną Lakersów to nie to samo co umawianie się z istotą normalnych rozmiarów, zatem te trzy powinny być liczone jako jedna.

Clarissa podziwiała logikę wyводу i wytrzymałość ojca (miał już wtedy po pięćdziesiątce). Mimo to była dumna z matki, że zakończyła małżeństwo, długoletnie, lecz niewierne.

Co nie oznacza, że przestali się spotykać.

Niespodziewanym zrządzeniem losu małżeństwo rozpadło się mniej więcej w tym samym czasie, gdy Simon wygłosił niechlubne oświadczenie: „Nie jesteśmy dobraną parą”. Wyszło więc na to, że ani matka, ani córka nie potrafi utrzymać związku, przy czym Clarissa winiła rodziców za koniec swojego - bo niby skąd miała wiedzieć, jak wygląda związek oparty na zaufaniu? Dorastała, przyglądając się, jak matka przeszukuje kieszenie po przedłużających się dniach pracy, jak grzebie w portfelu w weekendy golfowe, jak wygląda zgniecione kwity pochowane w zamkniętych szufladach; dorastała, przyzwyczajona do odgłosów tłumionego gniewu i wyczuwalnego, choć niewidocznego napięcia. Wiedziała, jakie to uczucie wejść do pokoju i nagle stracić dech w piersi, przygniecionej ciężarem wiszącej w powietrzu kłótni.

- Rozumiesz? - mówiła do terapeutki, tej, którą nazywała panią Manolo, od dużej, niestosownej kolekcji pantofli na wysokich obcasach. - Nic dziwnego, że jestem popieprzona.

Manolo kiwała głową ze stosowną powagą, lecz Clarissa wiedziała, że w myślach oblicza, ilu zwariowanych pacjentów będzie musiała jeszcze przyjąć, żeby dokupić sobie kolejne pary butów.

Terapia nie pomogła. Clarissa przeskakiwała od jednego „związku” do drugiego niczym *femme Tarzanne* w miejskiej dżungli mężczyzn.

Potrafiła stwarzać pozory, udawać uśmiech, radość, szczęście, a wreszcie orgazm. Jednego tylko nie umiała ani w ząb - stworzyć związku. Była Mistrzynią Manipulacji - dziewczyną, która wie, jak zdobyć mężczyznę, lecz nie wie, jak go zatrzymać.

Wydostała się z kabrioletu matki, zawlokła obolałe ciało do mieszkania na piętrze i padła na resztę popołudnia.

Rozdział piąty

Zakładanie przynęty w pułapce

Clarissa obudziła się z białym puchatym kotem na twarzy. Przypomniała sobie, jaka jest zdołowana. I przez kogo.

Przez Simona. Simona, który przyszedł na jej przyjęcie i patrzył na nią oczami kogoś, kto znał i jako pierwszy podziwiał najapetyczniejsze części jej ciała. Simona, który wciąż mówił z idiotycznym, fałszywym akcentem. Simona, który - nawet jeśli fizycznie nieobecny - wciąż był przy niej, gdy stała z Aaronem (i duchem Freda Astaire'a), kłując ją kolicami owiniętymi w kaszmir i mierząc iskrzenie. Simona, jej bratnią duszę.

Moja bratnia dusza? - pomyślała Clarissa. A co z łaskotaniem, które nie chce przejść?

Pieprzyć Simona.

- Och, la-kurwa-menty - upomniała samą siebie, zrzucając kota na podłogę i wydłubując z zębów białe kłaki.

Dźwignęła się z obitej czerwonym aksamitem kanapy i obejrzała swoje ciało w wiszącym w jadalni ogromnym starym lustrze. Barokowe lustro pochodziło ze sklepu z antykami przy Melrose w zachodnim Hollywood, prowadzonego przez przyjaciela, którego rok temu zastrzelił kochanek, a zarazem partner w interesach; Clarissa dostała lustro w komis, a ponieważ nikt nie poprosił o jego zwrot...

Poruszała się przed lustrem, przybierając pozy jak Madonna podczas ósmego comebacku. Uznała, że wygląda... dobrze. Nie w sensie „dobrze

jak puszczałska czy zwykła biodrzasta cizia”, lecz „dobrze jak partnerka na całe życie, którą można przedstawić rodzicom”. Clarissa była obdarzona szerokimi ramionami ojca, wąską talią matki, obfitym biustem babki Żydówki i całkiem długimi nogami. Co z tego, że pośladki miała trochę zanadto zaokrąglone; w mieście pełnym wychudłych twarzy i tyłeczków wielkości winogron wyglądała jak prawdziwa kobieta, której nie brakuje ani ciała, ani poglądów, ani drobnych dziwactw, a także, choć rzadko to okazywała, serca.

Aaron był cholernym szczęściarzem, że się z nią żenił.

- Cholera! - zawołała Clarissa, wbiegając do sypialni. Czekala ją dziś pierwsza oficjalna randka z Aaronem. Miała się spotkać w „Orso” o wpół do ósmej, a jeszcze go nie „googlowała”.

Clarissa od pięciu lat brała pod lupę wyszukiwarki typu „Google” każdego mężczyznę, z którym się umawiała; zawsze szukała tej jednej dodatkowej informacji, która dałaby jej przewagę w grze, jaką jest randka. Raz dowiedziała się o potencjalnym partnerze na randkę, facecie, którego poznała przez Manolo, że odsiedział wyrok w więzieniu.

Mimo to umówiła się z nim - nie obchodziło jej, że siedział („Najsympatyczniejszy człowiek może kogoś zabić”, powiedziała) - miał takie ciało, że sam Calvin Klein wpłaciłby za nie kaucję. Podpadał więc pod kategorię „Bzykanie warte Kaucji”.

Hasło „Aaron Mason” wywołało tysiąc sześćset czterdzieści pięć stron w Internecie.

Clarissa pisnęła. Nowy rekord. Pobiegła po pudełko lukrecyjnych świderków i żuła je przez godzinę śledzenia drobnego druku.

Drobny druk ujawnił trzy rzeczy: po pierwsze, Aaron tak naprawdę nazywał się Joseph Aaron Kingsley Mason IV. Po drugie, rodzina Aarona, Masonowie od Domów Towarowych Masonów (z siedzibą pod Colene

w stanie Georgia, 22 001 ludności), była bogata. Clarissa zadzwoniła do Tony'ego B., żeby to potwierdzić.

- Co to jest NASDAQ? - spytała.

- Giełda, Słodka Księżniczko, jestem z ciebie bardzo dumny, czyżbyś czytała gazetę? Pobrudziłaś sobie rączki działem biznesu?

- Co to znaczy, że spółka jest notowana w NASDAQ?

- To znaczy, że jest dużą spółką. Urządzam schowek na buty według zasad feng shui, oddzwonię.

Po trzecie? Trzecia rzecz to była całkiem inna para kaloszy.

- Sean był... silny. - Clarissa muskała palcami krawędź szklanki. - Nazywał mnie swoją muzą. Mówił, nigdy tego nie zapomnę, mówił tak: „C... Sean zawsze nazywał mnie «C»... „C, jesteś dla mnie tym, czym ta niezwykle piękna dziewczyna z nosem była dla van Gogha”.

- Mówisz o tej biednej, jednonogiej, syfilitycznej prostytutce? - upewnił się Aaron.

- Nie, głuptasie - zaprzeczyła Clarissa. - O tej drugiej, tej z obiema nogami. - Położyła dłoń na szyi, jakby się powstrzymywała. - Posłuchaj, nie chcę rozmawiać o naszym związku.

Chwała bogom Google'a. Clarissa odnalazła niedawny wywiad z Aaronem dla „Variety”, gdzie oświadczył, że Sean Penn, wykrzywiony aktor i reżyser, którego niedawnych filmów (to znaczy wszystkich po *Beztróskich latach w Ridgemont High*) nie rozumiała i nie liczyła, że zrozumie, był nie tylko jego ulubionym aktorem wszech czasów, lecz także ulubionym reżyserem. Clarissa zadała sobie pytanie, co to znaczy dla jej przyszłości. Czyjego ulubionym aktorem i reżyserem nie mógł być Tom Hanks? To wydawało się o wiele bezpieczniejsze.

- Dobrze - rzekł Aaron. - Porozmawiajmy o czymś innym.

Clarissa ze smutkiem pokiwała głową. Popijała RazOrgaz Numero Trzy (gniecione maliny, likier malinowy i wódka - razem około dwustu dwudziestu czterech kalorii) i zastanawiała się, ile takich drinków będzie mogła wypić w czasie ciąży.

- Oczywiście - odparła.

- A więc... jak długo chodziłaś z Seanem Pennem? - spytał Aaron.

Clarissa uśmiechnęła się.

- Nie liczy się, jak długo chodziliśmy ze sobą... liczy się, hmm, uciekło mi słowo...

- Przygoda na jedną noc? - odpowiedział z uśmiechem.

Znów te dołeczki.

- To są cztery słowa, Misiu Pysiu - poprawiła go Clarissa. - Liczy się... intensywność.

Teraz Aaron pokiwał ze smutkiem głową.

- No tak - rzekł. - Chyba nie mam szans.

- Może i nie - przytaknęła Clarissa.

- Wiem, że jestem fascynujący, kto nie byłby zafascynowany bogatym facetem z lekkim upośledzeniem, ale pieprzony Sean Penn? - Aaron potrząsnął głową. - Jeszcze raz to samo! - zawołał do przechodzącego kelnera.

Siedzieli parę minut, milcząc, w obitej czerwoną skórą kabinie, gdzie tyle innych par przed nimi przepijało wspólne chwile w oparach kłamstwa.

- Clarisso - rzekł Aaron.

- Tak? - Clarissa była nadal przygnębiona zerwaniem z amatorem boksu, aktorem i reżyserem w jednej osobie.

- Czy jesteś Żydówką? - spytał.

- Czasami.

- Moja matka jest Żydówką - rzekł Aaron.

- Jestem niewiarygodnie żydowska - rzuciła Clarissa. - Aaronie, czy możemy zacząć od nowa? - Chwyliła go za łokieć. - Czy możemy po prostu udać, że nie było Seana, że ty i ja jesteśmy tutaj, w kabinie „Orso”, i że... przeszłość nie istnieje?

- Przeszłość nie istnieje? - powtórzył Aaron. - Clarisso, z tego, co słyszę, ty jesteś samą przeszłością.

- Spójrz na mnie - rzekła Clarissa. - Spójrz mi w oczy.

- Patrząc - rzekł, mrużąc powieki. - Masz szalone oczy.

- Moja matka ma szalone oczy - powiedziała Clarissa.

- Żołądź. Drzewo. Wszystko się łączy - rzekł Aaron. - Więc jaka jest twoja matka?

- Martwa - rzekła Clarissa.

Próbowała pod stołem skrzyżować palce u nóg, ale było to trudne w sandałach z pasków od Gucciego. Zaczęła jej drętwieć stopa. Aaron wziął jej cichy jęk za odgłos zboląłego serca.

- O Boże, tak mi przykro - powiedział.

- To już dwadzieścia lat - rzekła Clarissa.

- Byłaś taka młoda.

- Za nowy początek. - Clarissa uniosła szklankę.

- Nowy początek? Dlaczego wszyscy tak mówią? Czy nie powinno się mówić po prostu „początek”?

- Aaronie.

- Tak?

- Trąć się szklanką, jeżeli nie chcesz narazić się na gniew Clarissy.

Aaron trącił się szklanką. Za mocno. Był podchmielony. Słodka, różowa strużka RazOrgazu spłynęła po jej rękę, wsiąkając nieodwołalnie w kaszmirowy sweterek od Loro Piano. Bardzo źle, bo to znaczyło, że będzie musiała za niego zapłacić.

Skwitowała uśmiechem niezdarność Aarona. To się da naprawić, pomyślała.

Kiedy patrzyli sobie w oczy w przypiływie intymności (jej szalone, jego przymrużone), Clarissa przebiegła po cechach fizycznych Aarona jak po klawiszach Steinwaya: falujące włosy (a że przerzedzały się lekko na szczycie głowy? drobiazg), silna szczęka, szerokie ramiona, dostatecznie płaski brzuch, wysklepiona pierś, słuszny wzrost, zdeformowana lewa stopa. Nie potrafiła ocenić, jak długie ma nogi, przypuszczała jednak, że

są przynajmniej średniej długości, co ją zadowalało, bo nie znosiła krótkonogich mężczyzn. I nie zdecydowałyby się na potomstwo z krótkonogim.

- Uch - wzdrygnęła się.

- Czy to mój oddech? - spytał Aaron. - Powinnaś go poczuć z samego rana, na przykład w sobotę... - powiedział, unosząc i opuszczając brwi jak Groucho Marx (w jego wykonaniu, choć się starał, wyszło to okropnie).

- Krótkonodzy studenci stomatologii - powiedziała Clarissa.

Aaron roześmiał się.

- Nie pytaj skąd, ale rozumiem doskonale. - Przesunął palcem po jej rękę.

- Podoba mi się twój śmiech - powiedziała. Nie brzmiał jak nieopamowane parsknięcie, ale też niczego nie wstrzymywał. Był pozbawiony lęku, pewny siebie, ciepły.

- To dobrze, bo jesteś zabawna - odparł Aaron.

- Jestem zabawna? - spytała Clarissa. - Zwyczajnie śmieszna czy raczej dziwna?

Aaron popatrzył na nią.

- Clarisso. Jesteś zabawna. Jak torturująca publiczność Lucille Ball.

Clarissa nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. Mówiła, co myśli, często i otwarcie. Słowa wypływały z jej ust, niepowstrzymywane przez namysł.

Kelner minął ich stolik, rzucając nieprzyjazne spojrzenie. Siedzieli tam od godziny, nie zamawiając kolacji.

- Może powinniśmy zamówić coś do jedzenia - zaproponował Aaron.

- Po trzecim drinku zapominam o jedzeniu. Na tym polega oryginalna płynna dieta - odparła Clarissa. - Oczywiście zapominam też o prowadzeniu samochodu i o tym, gdzie zostawiłam ubranie.

Znów wypnęło jej się na głos to, o czym pomyślała. Aaron popatrzył na nią i roześmiał się.

- Widzisz? - powiedział. - To właśnie jest zabawne.

Po kolacji Clarissa ziewnęła całym ciałem, wystawiając piersi jak lampy sygnalizacyjne, i oznajmiła, że jeszcze nigdy w ciągu dwudziestu ośmiu lat życia nie była taka zmęczona - z zadowoleniem spostrzegła wyraz rozczarowania na twarzy Aarona; wiedziała, że lada chwila zaprosiłby ją znowu do siebie. Żeby skończyć razem to, czego jeszcze właściwie nie zaczęli.

Dostali rachunek. Kelner, który wcale im przedtem nie nadszakiwał, teraz zachowywał się tak, jakby gotów był położyć tapetę w dużym pokoju i wykąpać psy.

- Czy coś jeszcze? - spytał, spragniony wysokiego napiwku.

Clarissie wydało się, że mrugnął.

- Nie. To wszystko, dziękuję - odparł Aaron. Wyciągnął portfel i nie patrząc na sumę, położył na rachunku czarną kartę kredytową.

Kelner spojrział na kartę i popędził tak szybko, jak pozwalały mu na to buty ze szpicami. Clarissa popatrzyła na Aarona i obmyśliła strategię. Pierwszy raz w życiu zobaczyła czarną kartę American Express, co można by porównać do ujrzenia w buszu białego lamparta albo do gry w tenisa z J.D. Salingerem. Musiała bezbłędnie wykonać następny ruch.

Postanowiła zignorować kartę. „W razie wątpliwości zignoruj” - powiedział jej wewnętrzny głos basem Marleny Dietrich.

Dwadzieścia minut później Aaron podrzucił ją do domu. Clarissa musnęła wargami jego policzek, wiedząc, że przez resztę wieczoru będzie myślał o bliskości jej warg i zastanawiał się, jaki mają smak.

I może zada sobie pytanie, dlaczego całowała wszystkie inne żaby na zachodniej półkuli, a jego nie.

Głosy zgrzytały jak akrylowe paznokcie na szkolnej tablicy.

- Dlaczego, do cholery, nie dzwoni do mnie?
- Clarisso nie żebz o uczucia.
- Minęły całe trzy dni!
- To straszne.
- Czemu sama do niego nie zadzwonisz?
- Czemu sama... co?
- Nie zadzwonisz... do niego.
- Jen, czasami jesteś taka... Jen.
- Jesteś na haju? - spytała Clarissa. - Nie będę się wystawiać na pośmiewisko.

Na pierwszym nadzwyczajnym spotkaniu w tym tygodniu Trybunał zasiadł rzędem w „Z. Salon” na Sunset Strip. Twarze członkiń Trybunału kryły się pod parafinowymi maskami niczym u bohaterów filmu Eda Wooda, ich stopy moczyły się w gorącej wodzie z lawendowym płynem, paznokcie były polerowane przez delikatne Wietnamki, których grube złote bransoletki połyskiwały przy każdym ruchu jak dzwonki kołyszące się na wietrze. Nadzwyczajne spotkania były zwoływane tylko w sytuacjach wymagających rozważenia; na przykład po źle zrobionym farbowaniu (tak jak wtedy, gdy Gravy rozjaśniła sobie końce włosów i wyglądała jak odrzut z MTV z lat osiemdziesiątych, brakowało tylko poduch na ramionach i rękawiczek wyszywanych koralikami), po strasznej (niewiarygodnej... a szczerze mówiąc, po każdej) randce albo po ujrzeniu jakiejś sławy (najlepiej któregoś z serialowych „przyjaciół” albo Brada Pitta - obaj zdobywali podwójne punkty premiowe dla szczęściary, która zasługiwała na to, żeby postawić jej drinka).

W każdym tygodniu odbywały się średnio trzy nadzwyczajne posiedzenia Trybunału.

- Ten lekarz, z którym umówiłam się w zeszłym tygodniu? - zaczęła Polo. - Kompletnie warzywo.

Gravy chciała ją szturchnąć, ale Clarissa przytrzymała jej rękę. Wietnamki zauważyły to i zaczęły świergotać w ojczystym języku.

- *Que es twoja problema?* - spytała Clarissa.

- Jej miłosne przygody. Rzuca się na wszystko, co jest opatrzone skrótem „dr”.

- Ale ja przynajmniej mam jakieś miłosne przygody, pani Potrzebowska. Tobie nikt nie dogodził od czasu, kiedy były modne motylowe spinki.

Polio opierała podziały czasu na trendach w modzie.

- Może jestem wybredna - rzekła Gravy.

- Może wszyscy inni są wybredni - odparła Polo.

Wietnamki rozkręciły się tak, że wyrzucane przez nie zdania nakładały się na siebie jak warkot silników samochodowych w wyścigu Indianapolis 500. Clarissa porównała je w myślach do wiewiórek na benadrylu, ale nie inaczej myślała o każdym obcym języku, z wyjątkiem może holenderskiego, który brzmiał w jej uszach jak atak bulimii w kabinie pogłosowej.

- Możecie się uciszyć? - zwróciła się Gravy do manikiurzystek. - To wyjątkowo niegrzeczne.

- Gravy, nie mów tak - rzekła Jen. - One przyplływają tu na łodziach.

- Uśmiechnęła się do Wietnamek, które odpowiedziały uśmiechem i znów zaczęły trajkotać.

- Mogły sobie przyplłynąć mydelniczką, mało mnie to obchodzi. One nas obgadują - niecierpliwiła się Gravy. - Za gadanie nie ma napiwku. - Gravy zwróciła się do najdrobniejszej dziewczyny.

Ta uśmiechnęła się i pokiwała głową, jakby Gravy wyraziła się z uznaniem o jej włosach.

- Boli mnie gardło - poskarżyła się Polo.

- Czy możemy wrócić do właściwego tematu? - przywołała je do porządku Clarissa. - Dlaczego nie zadzwonił? Czyżbym straciła „czar Clarissy”? Żeby facet nie zadzwonił do mnie po randce... to mi się nie zdarzyło od czasu...

- Perfum „Candies”.

- Poprawka. Oryginalnych „Candies”.

Dziewczęta wydały zbiorowe westchnienie, wyrażając podziw dla Bogini Randek.

Jennifer obróciła szczenięcą buzię do Clarissy.

- Może jest zajęty.
- Ja też jestem bardzo zajęta, a miałam czas, żeby zadzwonić.
- Więc dlaczego ty nie zadzwoniłaś? - spytała Polo.
- Bo nigdy nie dzwonię pierwsza do faceta...
- Simon - przypomniał jednogłośnie Trybunał.
- Gracz. Jak każdy hetero w Los Angeles, umawia się tak, jakby grał w monopol. - Każde słowo wypowiedziane przez Gravy rozbrzmiewało jak wystrzał z karabinu.
- A ty kto? Informacja kolejowa? - Polo kichnęła.
- Marvin Gardens - odparła Gravy. - Jest rozrywany. Solidna firma, inwestycja w nieruchomości, z tych droższych, ale o niezawyżonej cenie.
- Myślę o randce z ogrodnikiem - powiedziała Jennifer. - Wydaje się sympatyczny.

Clarissa czuła, że Aaron ani nie jest bardzo zajęty, ani nie jest graczem w monopol.

- Może... - Nie mogła wydobyć z siebie tych słów. Uwięzły jej w gardle zupełnie jak wtedy, gdy Fonzie w serialu *Happy Days* nie mogła wykrztusić „przepraszam” do Richiego Cunninghama po nieporozumieniu z rudą dziewczyną.

- Może ja mu się wcale nie podobam - rzekła w końcu Clarissa.

Członkinie Trybunału popatrzyły po sobie, jakby dopiero teraz usłyszały, że John Kennedy Jr nie żyje. Szok, rozpacz, niedowierzenie.

- Niemożliwe - rozbrzmiała chóralna odpowiedź.

Clarissa z powątpiewaniem patrzyła na najsmutniejszą rzecz pod słońcem - pustą sekretarkę automatyczną.

Tak naprawdę niezupełnie pustą. Zawierała bowiem siedemnaście wiadomości, lecz żadnej z nich nie nagrał nowy narzeczony, który jeszcze nie wiedział, że nim jest. Połowa wiadomości przetrwała jeszcze z zeszłego roku. Clarissa była sentymentalna - zostawiała wiadomości od starych przyjaciół i trzeciorzędnych sław. Miała kolekcję nagrań, w której

najstarsze pochodziły jeszcze z czasów sukienek babydoll, błyszczącego pudru i dziury ozonowej. Kiedy dokuczała jej chandra, odgrywała ulubione kawalki:

„Clarisso, jeżeli rozmawiam z Clarissą... - mówił brytyjski aktor z niedbałą fryzurą - widzę, że mam, hmm, twoje imię i, hmm, numer telefonu na, hmm, wewnętrznej stronie uda”.

Pauza.

Czy mogłabyś mi, hmm, powiedzieć... - urywa, zażenowany - ...skąd się wziął ten napis?

„Och, mała, mała - mówił kolega z dzieciństwa, który został ciągle spiętym aktorem charakterystycznym. - Och, mała, mała, mała...”.

I tak przez całe pięć minut.

„Ty suko, przypierdoliłaś pokazowo bratu - powiedział ktoś, kto wykręcił jej numer przez pomyłkę. - Czemu mi to robisz, co?”.

Przynajmniej Clarissa myślała, że to pomyłka.

Słuchała akurat subtelnej, erudycyjnej wiadomości zostawionej przez aktora z sitcomu - wiadomości, na którą oczywiście nie odpowiedziała (ten aktor mógłby być młodszym bratem jej ojca, a szczerze mówiąc, nie dorównywał mu atrakcyjnością) - kiedy zadzwonił telefon.

Podeszła z zamiarem podniesienia słuchawki, lecz zanim to zrobiła, trzepnęła się po rękę. Postanowiła, że będzie nieosiągalna. Jedyńy sposób, żeby wygrać tę grę, polegał na tym, żeby nie grać.

Włączyła się sekretarka.

- Clarisso? - Męski głos, z samochodu. Włączone radio.

Przerywany za sprawą wysokich budynków i niedostatecznego zasięgu fal. - Clarisso, jesteś tam?

Clarissa wpatrywała się w aparat, unosząc nad nim rękę...

- Nie wiedziałem, czy ten numer jest nadal aktualny...

Simon. Dzwonił do niej Simon. Simon.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się umówić, miło było cię zobaczyć na ostatniej imprezie, wyglądałaś...

Coś przerwało połączenie.

Kurde! - pomyślała Clarissa. Jak wyglądałam? No, jak wyglądałam?

Telefon znowu zadzwonił. Podniosła słuchawkę.

- Taaak? - rzuciła niedbale, choć bez tchu.

- Clarisso.

- Halo - zamruczała.

- Tu Aaron.

Clarissa syknęła.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- No i?

- No i co?

- No więc czego chcesz?

- Zadzwoniłem, bo...

- Jestem teraz bardzo zajęta.

Clarissa rozejrzała się po pokoju. Magazyny, czątki do paznokci, spinaki do włosów, niedojedzone snickersy. Była sama dla siebie klubem sorority.

Co robię? - zadała sobie w duchu pytanie.

- Co robisz?

- Pracuję nad...

Czasami szczerze żałowała, że nie ma pracy, dzięki której rzeczywiście byłaby czymś zajęta. Pomyślała o „karierach”, które do tej pory zaliczyła - dekoratorka wnętrz (pomalowała matce łazienkę); hostessa (wyrzucono ją za to, że umawiała się z klientami i wywołała awanturę, gdy kilku gości miało rezerwację na ten sam wieczór); sprzedawczyni w sklepie z antykami (przez jeden tydzień, podpadający pod osobistą taktykę Clarissy „nie mów, nie pytaj”); oraz recepcjonistka (przez dwie godziny, od wpół do dziesiątej do wpół do dwunastej rano, w biurze ojca - własny ojciec ją wyrzucił, kiedy znalazł śpiącą pod biurkiem, ze słuchawkami na uszach i odtwarzaną w kółko piosenką *Gonna Make You Sweat* C & C Music Factory).

- ...powieścią? - Och. To miło zabrzmiało.

- Ty piszesz?

- Wszyscy piszą.

- No tak. W takim razie... nie będę ci przeszkadzać.
- Za późno.
- Boże, jesteś trudna.
- Boże, wreszcie załapałeś.
- Clarisso, zadzwoniłem, żeby cię spytać, czy poszłabyś dzisiaj na mecz Lakersów.

Clarissa poczuła się urażona.

- To doprawdy na ostatnią chwilę.
- Wiem, przepraszam. Dopiero co dostałem bilety.
- Z mojej strony to wygląda tak - rzekła Clarissa, odzyskując panowanie nad sobą. - Są dwa problemy: po pierwsze, mam plany, a po drugie, nienawidzę baseballu.
- Koszykówki - poprawił Aaron. - Niezwykle wysocy sportowcy, przeważnie Murzyni, wbijają dużą okrągłą pomarańczową piłkę do obręczy z siatkami po dwóch końcach boiska.
- Niegrzeczność: bogaci, zepsuci, częściowo niepełnosprawni dziedzice fortuny, dzwoniący cztery i pół godziny przed randką - odpowiedziała.
- Masz całkowitą słuszność. *Mea culpa*, może innym razem.

Clarissa pozwoliła, by cisza zawisła w powietrzu niczym bezgłośnie potępienie.

- Halo?
- Wpół do siódmej.
- Co?
- Nie każ mi się powtarzać. - Rozłączyła się.

Przetrwała dwie pierwsze kwarty meczu z drużyną San Diego (wydawało jej się, że to San Diego, choć równie dobrze mogło to być San Antonio), walcząc z zawrotami głowy. Oglądała mecz, siedząc obok Aarona w Podniebnej Łoży (Aaron dostał darmowe bilety od MGM). Podniebne Łoże były ostatnią salwą oddaną w niekończącej się wojnie o to, by bogacze nie musieli mieszać się z tłumem; około dwudziestu takich przybytków wznosiło się na wysokości wywołującej krwotok z nosa. Były to

mini trybuny, wyposażone w maszyny do kawy cappuccino, prywatne łazienki, a nawet telewizory, na których klienci Podniebnych Łóz mogli dobrze widzieć koncert lub imprezę sportową, skoro już zechciało się im w tym celu opuścić wygodny dom (gdzie z pewnością mieli pod dostatkiem telewizorów wielkich jak terenówki). Asystenci w nienaganych strojach przynosili wszystko, od ciepłego sushi do zimnych ciasteczek z masłem orzechowym - a nawet odwrotnie. Dostępne były wszelkie przyprawy, wszelkie dodatki, spełniano każde życzenie, każdą zachciankę.

A widok?

Widok wysłał jak dziwka wyrabiająca normę, by posłużyć się nieśmiertelnym zdaniem Rodneya Dangerfielda albo innego starego gościa. Mógł tak nawet powiedzieć ojciec Clarissy.

Oglądanie meczu koszykówki przypominało omyłkowy skręt na Sony Playstation II. Zawodnicy, potężne, królewskie okazy męskiej krzepy, zmaleli do miniaturowych rozmiarów, przypominając postacie z kreskówek, a na dodatek widać było głównie czubki ich głów. Można zapomnieć o rozróżnianiu zawodników po twarzy albo numerach na koszulkach. Siedząc w Podniebnej Łoży, trzeba polegać na rozmiarach afro.

W końcu Clarissa nie mogła już dłużej znieść tego zawieszenia w powietrzu na wysokości kilku pięter, gdzie nic nie oddzielało jej od Boga w górze, a od boiska w dole - jedynie pół metra szkła...

- Niedobrze mi - powiedziała.

- Wiem, dostali niezłe lanie - rzekł Aaron. - Ale może jeszcze im się uda...

- Aaron, lunch, lunch, Aaron. Jarzysz?

- Chcesz pepto-bismolu? - Pomachał świeżo upieczonym ciasteczkami z kawałkami czekolady. - Pokrywa zabezpieczającą powłoką, łagodzi podrażnienia, chroni - coś tak jak ja.

Uśmiechnął się. Clarissa musiała się wysilić, żeby zignorować urok

rysujących się przy jego oczach kurzych łapek, pewny znak kobieciarza według majowego wydania „Cosmopolitans”.

- Odwieź mnie do domu - poprosiła.
- Ale... jeszcze nie ma nawet połowy meczu.

Clarissa popatrzyła na Aarona.

- Obchodzi mnie to tyle co szurze ucho, nawet jeśli to ostatni mecz sezonu. - Nie była pewna, czy wiernie cytuje komentatora Lakersów, Chicka Hearna. - Jeżeli zostanę tu jeszcze sekundę, to zgodnie z prawami fizyki, jakimiś prędkościami i prądami powietrza, mój lunch wylądował z niezwykle siłą na głowie Jacka Nicholsona.

Aaron wyjrzał poza krawędź tafli szkła półmetrowej grubości. Jack siedział na parterze, kilka pięter pod nimi.

- Może uda ci się trafić w jego dziewczynę, tę, co wygląda jak obcinacz do paznokci - zaproponował Aaron.

W połowie drogi do limuzyny Aarona Clarissa usłyszała znajomy zaśpiew, od którego wywróciły jej się bebechy.

- Clarisso, cukiereczku!

Głos należał do ojca, który miał chyba patent na słowo „cukiereczku”.

- Teddy. - Lubił, kiedy zwracała się do niego po imieniu.

- Słoneczko, poznałaś już Apricot?

Wyglądało na to, że Apricot to imię stojącego przy nim dziecka, które miało nie więcej niż dziewiętnaście lat i trzymało duży kufel piwa. Błyszcząca twarz i rude włosy upodabniały ją raczej, zdaniem Clarissy, do persymony niż do brzoskwini, która użyczyła jej imienia.

- Jest studentką, przyjechała w ramach wymiany międzyuczelnianej.

Clarissa przeżyła nieznaną w dziejach ludzkości moment zgrozy, gdy uświadomiła sobie, że ojciec będzie teraz chciał poznać Aarona. Miała nadzieję, że dokona wzajemnej prezentacji dopiero po ślubie.

Czasu, jaki spędzili, stojąc we czwórce, starczyłoby na kilka kolacji u Alpertów z okazji Święta Dziękczynienia.

- Aaronie, to jest Teddy - powiedziała Clarissa w nadziei, że jeżeli sama tego nie wyjaśni, nikt nie wspomni, iż Teddy to jej ojciec.

- Teddy, to jest Aaron.

Uścisnęli sobie ręce.

Następnie Aaron przedstawił się owocowi. Potem wszyscy spojrzeli na Clarissę.

- No to cześć - powiedziała.

Chciała złapać Aarona za rękę, ale Teddy był szybszy - ścisnął ramię jej niewtajemniczonego narzeczonego.

- Co sądzisz o meczu?

- Oglądałem go z przyjemnością...

- Wyciągnęła cię stamtąd?

Clarissa przeszła ojca sztyłem spojrzenia i zauważyła, że przybył mu na głowie nowy rząddek sadzonek z włosów. Nie mogła oderwać wzroku od drobnych kępek sztywnego jak druty owłosienia; ojciec wyglądał jak kaktus w średnim wieku.

- Clarissa niezbyt dobrze się czuje.

- Napijecie się czegoś, dzieci? - spytał Teddy niczym gospodarz na żydowskiej potańcówce dla samotnych.

- Jedno „dziecko” za chwilę zwymiotuje - odparła słodko Clarissa.

- Nie, dziękuję - rzekł Aaron.

- Może coś zjecie? - nie ustępował Teddy. - Na Main jest świetny bar sushi.

- Nie.

Tata zawsze ekscytował się najnowszym barem sushi, jakby lata osiemdziesiąte, a jego czterdzieste, wcale się nie skończyły.

- Najedliśmy się „śmieciowego” jedzenia - zapewnił Aaron.

Z czego on się tak cieszy? - zdziwiła się w myślach Clarissa.

- Jak tam twoja matka? - spytał Teddy.

- Sam powinieneś to wiedzieć, przecież się spotykacie, prawda?

- odparła Clarissa, patrząc na dziewczynę o owocowym imieniu.
 - Znów zaczęła stawiać żądania. Znasz matkę.
 - Na przykład jakie? Żebyś przestał zachowywać się jak dupek?
- Aaron słuchał z niedowierzaniem.
- Myślałem, że twoja mama nie żyje - rzekł do Clarissy.
 - Ludzie popełniają błędy - odparła, wzruszając ramionami.
 - Clarisso, to nie jest miłe - upomniał ją Teddy.
 - Teddy, *vous* też nie.

Niezupełnie pokrywało się to z prawdą. Ojciec był bardzo miły dla każdego, kto nie wyszedł za niego za męża, nie został przez niego spłodzony, nic mu nie sprzedawał ani nie prowadził z nim negocjacji. Wtedy nie był dupkiem.

- To nie moja wina - rzekł Teddy do Aarona.
- Z pewnością nie - odparł Aaron.

Teddy odszedł wraz z Persymoną, która szpilkami będącymi podróbką Jimmy'ego Choo wystukiwała na woskowanej posadzce syreni zew dla podtatusiałych kochasiów.

Teraz Clarissie naprawdę zrobiło się niedobrze.

- Miły człowiek - rzekł Aaron. - Od dawna go znasz?
- To mój tata - odparła Clarissa.

I zwróciła mieszankę „śmieciowego” jedzenia na buty Aarona. Zachwyciło ją, że pochodzi od Helmuta Langa.

Planowanie wesela szło nadzwyczajnie; Clarissa pogratulowała sobie umiejętności organizacyjnych. Hotel był zamówiony, suknia czekała (Clarissa знаła „ludzi”), suknie druhen poddawano wstępnym poprawkom, kucharz planował letnie menu, zrezygnowano z aranżacji kwiatowych - pozostał jedynie miesiąc miodowy.

I pan młody.

Clarissa odbyła naradę z dziewczynami na trzysta dwudziestym trzecim nadzwyczajnym posiedzeniu Trybunału zwołanym w ciągu ostatnich

sześciu miesięcy. Miejsce: dom Gravy (mamy); wikt: minibatoniki „Milky Way” (źródło energii) i szampan z sokiem pomarańczowym (witamina C!).

Gravy: Seksualne iskrzenie?

Clarissa: Plus.

Jennifer: Poczucie humoru?

Clarissa: Plus.

Gravy: Hetero?

Clarissa: Odpowiedź twierdząca.

Polo: (kaszel).

Clarissa: Plus.

Gravy: Jak mocno twierdząca?

Clarissa: (ignoruje pytanie).

Jennifer: Dobry kierowca?

Clarissa: Plus. Co?

Jennifer: To ważne.

- Więc co możemy dla ciebie zrobić? - spytała Gravy.

- Jestem na drugim etapie polowania... Dziewczyny wydały chóralne „ooch”.

- Potrzebuję waszych pomysłów. Następny ruch ma decydujące znaczenie dla całej operacji.

Trybunał zgromadził przez lata (od czwartej klasy szkoły podstawowej) wiele teorii na temat, jak najlepiej dogonić, schwytać (usidlić) i, z bożą pomocą, utrzymać mężczyznę, nawet jeżeli ten mężczyzna miał w owym czasie dziesięć lat i potykał się o sznurówki trampek „Converse”. Zatem: Teoria Łączenia w Pary według *Świata dzikiej przyrody*, wypracowana po wielu godzinach oglądania powtórek (i sycenia oczu widokiem nienaturalnie umięśnionego, nieszczęsnego asystenta Jima: „A teraz popatrzmy, jak Połyskliwy Siłacz Jim próbuje wyplątać się z uścisku śmiertelnie niebezpiecznej podwodnej anakondy”). Zasady: 1. Zidentyfikuj cel/ofiarę (zrobione); 2. Zidentyfikuj zwyczaje/codzienne nawyki/zainteresowania celu/ofiary (w połowie zrobione); 3. Usidlij ofiarę za pomocą wszelkich niezbędnych sposobów (to zostanie zrobione); „wszelkie niezbędne

sposoby” można zinterpretować jako „wszelkie seksualne sposoby”.

- Nie byłaś zbyt łatwa?
- Nie.
- Odmówiłaś pójsia na randkę?
- No... nie.

Gravy wydała dźwięk przypominający brzęczyk w denerwującej grze telewizyjnej.

- Wspomniałaś mimochodem, od niechcienia o innych mężczyznach, którzy się tobą interesują?

- Tak.
- O kim? - spytała Jen. Jakby to była niespodzianka.
- O Seanie Pennie.
- Naprawdę? To on nie jest żonaty? Wyglądali na takich szczęśliwych.

Clarissa czuła, że narada toczy się w żółtym tempie. Przypomniała sobie, jak zwymiotowała na buty Aarona - czy ten incydent zmniejszył jej szanse na małżeńskie szczęście?

- Potrzebna ci jest tożsamość - orzekła Gravy. - Coś, co odróżni cię od innych.

- Twierdzi, że jestem zabawna - rzuciła Clarissa.

- Może mogłabyś reżyserować? - zaproponowała Jen. - Wszyscy reżyserują.

- Mężczyźni nie lubią zabawnych - rzekła Gravy. - Gdyby lubili zabawne, moja najlepsza przyjaciółka nie miałaby urzędzenia na trzy prędkości z konwerterem.

- Albo może... może mogłabyś być naukowcem - podsunęła Jen.

- Aaron twierdzi, że podobają mu się zabawni ludzie - obstawała przy swoim Clarissa.

- To chore - oceniła Gravy. - Ma popieprzone pod sufitem.

- Bądź sobą, dziewczyno - poradziła Polo. - Bycie sobą to najlepsze podejście.

Clarissa spojrzała na przyjaciółkę.

- Cholerne dzięki, Polo.

*

Na drugi dzień Clarissa siedziała z Aaronem przy śniadaniu, chłonąc zabawne widoczki w „Peninsula”. Aaron zadzwonił do Clarissy wcześniej rano (czyli przed dziesiątą) i chcąc jej zadośćuczynić za kolorowy bryzg poprzedniego wieczoru, nalegał, żeby poszła z nim coś zjeść; dodał jednak, że na wszelki wypadek włożył stare trampki „Converse”.

Clarissa poinformowała Aarona, że śniadanie w „Peninsula” jest w Hollywood rytuałem równie sakramentalnym, co rwanie wysokiej klasy dziwek przy barze tegoż lokalu po siódmej wieczorem. Proszę, oto agent jak spod igły, bezwłosy niczym niemowlę, przypochlebia się nerwowemu pisarzowi; a tam producent filmowy, stary i gruby, ale nadal, jakby na przekór, opalony jak cegła, szpikuje LZS-a sprośnymi opowieściami - co drugie słowo zaczynając na „p” i kończąc „ierdolony”.

Kelnerzy odtańcowywali swoje kroczki i odśpiewywali specjalności zakładu, licząc na to, że ktoś kiedyś zapyta o ich ostatni scenariusz/projekt/szkie.

No i oczywiście siedzieli tam Clarissa i Aaron, dla przypadkowego obserwatora wyglądający jak klasyczna świeżo dobrana para - jedno kończyło zdanie zaczęte przez drugie, oboje dziubali naleśniki z borówkami, ona odgarniała mu opadające włosy z czoła, on odsuwał jej krzesło. Ich świeżość rzucała się w oczy, jakby była pokryta rosą.

Kiedy Clarissa odgarniała włosy Aarona (sprzed oczu koloru orzechowego, jeżeli musicie wiedzieć), rozważała w myślach korzyści otwarcia się przed przyszłym narzeczonym. Uznała, że zamiast prowadzić gierki, powinna postawić na szczerłość; w końcu Aaron przesiedział pół nocy po meczu koszykówki i głaskał ją po głowie, gdy zrzucała (wymiotując) dwa kilo wagi. Zatrucie pokarmowe to najlepszy przyjaciel dziewczyny na diecie; członkinie Trybunału bardzo zazdrościły Clarissie, że tyle schudła, i dopytywały się, gdzie tamtego dnia jadła lunch.

- Gdzie chciałbyś spędzić ze mną miodowy miesiąc? - spytała, spoglądając na menu śniadaniowe jak wygłodniały uchodźca. Przez kilka

najbliższych dni mogła korzystać z karty „uwolnionego więźnia” - nie musiała sobie niczego odmawiać przy stole.

- We Władystoku - odparł Aaron.

- To ciekawe - powiedziała Clarissa, poruszając językiem tak, jakby przyciskał go jakiś ciężar.

- Nie myślałaś nigdy, żeby wybrać się gdzieś, gdzie jest niebezpiecznie? Zejść z utartego szlaku?

- Na przykład na wschód od La Brea? - spytała Clarissa, bynajmniej nie mając na myśli przyciągających turystów smolnych jeziorek w niecce Los Angeles, lecz okoliczne lombardy i sklepy z akcesoriami wojskowymi. - Aaronie, muszę szybko zaplanować nasz wspólny wyjazd. Wymień jedno romantyczne miejsce, które chciałbyś odwiedzić.

Aaron spojrzał na Clarissę.

- Ach, rozumiem. Znowu się zabawiasz. - Zaczął się śmiać. - Ostrzegano mnie, że jesteś trochę... narwana.

- Aaron, kochanie. Mówię poważnie.

Aaron skrzywił się, skonfundowany.

- Ale... kiedy mówisz „nasz miesiąc miodowy”, to jest tylko żart, prawda?

- Aaronie, nie utrudniaj mi tego. Zadałam ci proste pytanie. Nie musisz na nie odpowiadać, jeżeli nie chcesz.

- To pytanie jest zbyt obcesowe.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie pobieramy się.

Clarissa dotknęła czerwieniejącej twarzy Aarona.

- Rumienisz się - powiedziała. - Jakie to urocze.

Odgryzła kęs bułki, otarła okruszki z warg.

- Moja mama mówi, że nadal jeździ się na Maui, ale jest też nowy hotel „Four Seasons” na wybrzeżu Kona...

- Clarisso proszę cię, przecież się nie pobieramy. Ledwie się znamy.

Clarissa ujęła Aarona pod brodę i ucisnęła ją lekko, jakby rozmawiała z pięciolatkiem.

- Aaronie, jeżeli nie lubisz Hawajów, powiedz. Może będzie nam

lepiej w jakimś bardziej egzotycznym miejscu, na przykład... na Bali.

Aaron opadł na oparcie, szeroko otwierając oczy z przerażenia i rzucając się na boki jak złapana w sieć ryba.

- Jesteś szalona, jeżeli myślisz, że się pobierzemy - oświadczył zdziwiająco kategorycznie.

Clarissa popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Dokończyła bułkę.

Aaron twierdził uparcie, że się nie pobiorą, jeszcze gdy parkingowy podjechał jego bentleyem.

- Aaron, kochanie, nie musimy się pobierać, jeśli nie chcesz.

Clarissa wskoczyła na fotel dla pasażera i wtuliła się w miękką skórę.

- Świetnie.

- Nigdy w życiu nie zmusiałabym nikogo, żeby się ze mną ożenił.

- Nie chciałem powiedzieć, że...

- Oczywiście, że nie chciałeś tego powiedzieć - przytaknęła Clarissa.

- Mogłabym wyjść za męża, kiedy tylko bym zechciała.

- Wiem - rzekł Aaron.

- Powiedziałam Seanowi nie. Tobie też mogę odmówić - ciągnęła Clarissa.

- Jak to odmówić?

- Nie jestem pewna, czy w ogóle powinniśmy myśleć o małżeństwie.

- Ale ja sam to powiedziałem.

- Prawie się nie znamy.

- Właśnie.

- Masz rację - przyznała Clarissa. - To zły pomysł. Mógłbyś przecież coś przede mną ukrywać. Na przykład być gejem. Mówiłeś, że jaki nosisz rozmiar smokingu?

- Nie jestem gejem - oświadczył Aaron. - I nie noszę smokingów.

- Skąd wiesz?

- Skąd wiem, że nie jestem gejem, czy skąd wiem, że nie noszę smokingów?

- Na zaproszeniu jest napisane „stroje wizytowe”.

- Na zaproszeniu?! Ależ ja nigdy... to bez sensu. Mącisz mi w głowie.

- Och, rozumiem, nie lubisz ubierać się wizytowo. Ale pomyśl o fotografiach - przypomniała Clarissa. - Zaczekaj. Muszę zanotować... fotograf, potrzebuję foto...

Aaron położył dłoń na jej dłoni.

- Fotografio nic, Clarisso. Tobie jest potrzebny psychiatra.

- Ach. Rozumiem. A więc to koniec. Nigdy się nie pobierzemy. Nie musisz walić mnie po głowie.

- Clarisso, tego nie powiedziałem.

- Powiedziałeś, że nie chcesz się ze mną ożenić.

- Tego nie powiedziałem.

- Więc chcesz się ze mną ożenić?

- Boże. Nie jestem przygotowany na to, żeby się żenić. Dopiero co tu przyjechałem!

- Więc mówisz, że chcesz się ze mną ożenić, ale jeszcze nie jesteś gotów, co jest dla mnie trochę niewygodne, bo, szczerze mówiąc, nie mam za dużo czasu.

Aaron wybałuszył oczy i otworzył usta.

- Co? - spytała Clarissa. - Jest jakiś problem?

- Jeszcze nigdy nie spotkałem tak uczuciowo niestabilnej dziewczyny.

- Na wojnie i w miłości wszystkie chwytły dozwolone - odparła Clarissa. - A to jest rewolucja!

Jeżeli on mógł zacytować jeden film Freda Astaire'a, to ona mogła zacytować drugi. Aaron spojrział na nią, jakby z jej ust posypały się róże. Ale nie przekonało go to na tyle, by zmienić zdanie.

- Przekonasz się, że jestem trochę bardziej inteligentny, niż ci się zdaje, Clarisso. Nie urodziłem się przedwcześniej.

Clarissa uśmiechnęła się tylko i poklepała go po ręce. Wiedziała, że

Aaron ani się obejrzy, jak ugrzęźnie w lotnych piaskach wyjątkowej logiki Clarissy. Im bardziej uparcie twierdził, że się nie pobiorą, tym większe prawdopodobieństwo ożenku wyzymała z jego zapewnień, jakby wyciskała wodę ze skały. Znajdywała kropelki prawdopodobieństwa - niedługo powinna się zebrać kałuża. Wanna. Basen. A potem ocean. Któż by teraz potrzebował rad Trybunału? Niebawem Aaron utonie w tym oceanie, myślała.

- Czy masz alergię na róże, bo jeżeli tak, to obejdziemy się kwiatami z jedwabiu, wyglądają jak prawdziwe - powiedziała, gdy skręcili w Little Santa Monica.

- Clarisso!

Rozdział szósty

Magnetyzm (pluszowych) zwierząt

Trybunał, ściągnięty na przymierzanie sukni dla drухen u Neimana Marcusa, pochwalił zręczną robotę Clarissy. W końcu była wirtuozem manipulacji. Nie miała sobie równych.

- Jak tam seks? - spytała Gravy, po czym wykrzyknęła: - O mój Boże! Czyje to plecy?! - Wskazywała na swoje odbicie.

- Myślę, że będzie zdumiewający - odparła Clarissa.

- Myślisz? Jak to myślisz?

- Jeszcze tego nie zrobiliśmy.

Gravy obróciła się powoli i spojrzała na Clarissę, przekrzywiając głowę jak piesek z logo RCA.

- Czekasz na miesiąc miodowy? - spytała Jen. - Jakie to romantyczne!

Gravy prychnęła.

- Boże, nie - odparła Clarissa. - Znamy się dopiero dwa tygodnie.

Gravy obróciła się i znów obejrzała swoje plecy, odbite w lustrze sięgającym podłogi.

- Poznają te plecy. To plecy mojej matki! - Przysiadła na podłodze, tonąc w tafcie. - Zabijcie mnie.

- Hej, dziewczyny. - Suzee wsunęła się do przy mierzalni. Rzuciła w kąt torebkę od Prady i zerwała sukienkę z wieszaka; trzasnęło, jakby strzeliła błyskawica. Suzee często towarzyszyły efekty specjalne. - Clarisso, skarbie, słyszałam, że twoja intercyza to całe dziesięć rozdziałów plus

bibliografia, czy to prawda? - Słowa skąpywały z jej języka jak kropelki rtęci.

Clarissa popatrzyła na Suzee, stapiając ją w myślach jak Złą Wiedźmę w *Czarnoksiężniku z Oz*.

- Przybyła Evilina, Królowa Ciemności! - powiedziała Gravy. - Miau, witaj wasza żółowata wysokość.

- Nie będzie intercyzy - oznajmiła Clarissa.

- A ja słyszałam co innego - rzekła Suzee, wyskakując ze swoich złośliwych czarnych pantofli i złośliwej małej czarnej.

- W dzisiejszych czasach wszyscy spisują intercyzy - rzuciła Jennifer.
- Nawet ludzie, którzy naprawdę się kochają.

- O mój Boże - powiedziała Suzee. - Czy już brzydszej sukni nie było?

- Kochanie, to nie suknia - rzekła Gravy. - To te lukrowe ozdoby na tort, które nazywasz biustem.

Gravy miała rację - cycki Suzee wyglądały jak niedojrzałe banany.

- Ohyda - splunęła Suzee.

- Nie będzie intercyzy - ponownie oświadczyła Clarissa.

- Szanowne panie, obstawiajcie! - ryknęła Gravy.

- Torba od Vuittona z dziewięćdziesiątego piątego roku, w idealnym stanie, na Suzee - pisnęła Polo, która przyszła właśnie po ostatniej serii zastrzyków z komórek świńskich płodów (miało to coś wspólnego z gwałtownie rozwijającą się chorobą skóry; Clarissa bała się spytać).

- Chwileczkę. Po co ta mowa o „idealnym stanie”? - spytała Gravy. - Nie sprzedajemy samochodów.

- Ja stawiam zeszłoroczną chustkę od Versace na Clar - rzekła Jen.

- Chustkę? - zdziwiła się Gravy. - Może postawisz jeden pantofel od Manola?

- To bardziej chusta niż chustka - broniła się Jen.

- Chcesz powiedzieć pareo - rzekła Polo bez kasznięcia.

Dopiero potem zakasłała.

- Dorzuc futerał na okulary jak pragnę pieprzenia - zażądała Gravy.

Clarissie zrobiło się ciepło koło serca na myśl, że najstarsza przyjaciółka pokrzykuje na inne w obronie jej (wątpliwego) honoru.

Jen, niezmiennie miła i ustępliwa, wzruszyła ramionami.

- Proszę bardzo, a ty co dorzucasz?

- Protestuję przeciw twojej biżuterii, Gravy - rzekła Suzee, wysuwając się z sukni dla drużyny. - Ja noszę wyłącznie znane nazwiska.

- Właśnie próbuję przypomnieć sobie nazwę - odparła Gravy. - Zaczyna się na duże „S”, a kończy... na „uka”.

- No, Alexandra. Powiedz widzom, co wygram - ponagliła Polo.

Gravy westchnęła dramatycznie.

- Rocznik dziewięćdziesiąt cztery. Wzór...

- Zwierzęca skóra! - krzyknęła Polo.

- Do jasnej... daj mi dokończyć! - zdenerwowała się Gravy. - Wzór: zwierzęca skóra. Projektant...

- Dolce? - pisnęła Polo.

- Valentino - powiedziała Gravy.

Świeżo nawoskowane brwi zatańczyły.

Nikt się nie odezwał. Znały tę sukienkę. Najcieńszy włoski jedwab z gór Umbrii; czarno-białe pasy jak u zebry, opadające falami od ramion i spływające lekko do czerwonego dywanu. Clarissa raz przymierzyła tę sukienkę - uczucie było takie, jakby zanurzyła się w szklance mleka. Chłodnego, pysznego i wysokokalorycznego.

Wszystkie wyobrażały sobie, że ją noszą.

Wszystkie wyobrażały sobie także, dokąd mogłyby się w niej wybrać.

- Halo? Wymiana tajnych informacji! - wrzasnęła Suzee do Gravy. Potem zwróciła się do Clarissy. - Jesteś w ciąży?

Clarissa tylko się uśmiechnęła. Powiedzieć prawdę? Była przyjemnie zaskoczona, że Gravy tak mocno w nią wierzy; miała nadzieję, że stanie na wysokości zadania.

- Ta sukienka jest moja - powiedziała Polo do Gravy. - Należy do mnie

od chwili, kiedy omal nie ukradłam jej z twojej szafy.

- No cóż - rzekła Suzee, odzyskując panowanie nad sobą - Dobra wiadomość jest taka, że według drugiej poprawki do Konstytucji Trybunału, część czwarta, Simon England jest wolny. Spróbuję do niego wystartować.

Clarissa uśmiechnęła się, zgrzytając bardzo drogimi zębami, aż posypał się z nich bardzo drogi pył.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała.

Clarissa szorowała i tak już czystą mozaikę w łazience (ubłagała ojca, żeby kupił jej kafelki „Spanish Anfora” na dwudzieste ósme [trzydzieste pierwsze] urodziny, i od tamtego czasu ślizgała się na nich), rozmyślając, jaki rodzaj śmierci byłby odpowiedni dla Suzee, Algera Hissa* Trybunału. Gdy popatrzyła na wannę, pomyślała o utopieniu. Uznała jednak, że śmierć pod wodą nie byłaby dostatecznie „efektowna” dla Suzee Jej odejście powinno mieć większą „siłę ekspresji”.

* Amerykański urzędnik państwowy, działający na rzecz sowieckiego wywiadu; oskarżony w 1948 roku.

Clarissa wzięła kartkę, usiadła na zimnej podłodze i sporządziła listę:

1. Pożar: spalić dom Suzee. Zapalki. Puszka oleju. Trzeba się nadźwigać.
2. Wypadek samochodowy: przeciąć przewód hamulcowy. Uwaga: sprawdzić, co to jest przewód hamulcowy.
3. Powieszenie: namówić Suzee, żeby zawiązała sobie linę wokół szyi, przerzuciła jeden koniec przez krokiew i zeskoczyła z chwiejnego krzesła. Krokiew?

Westchnęła. Inspiracja, ta kapryśna, drocząca się zjawą, nie przybyła na zawołanie.

Clarissa wstała i zanim poszła do sypialni, przepuściła listę „sposobów uśmiercenia Suzee” przez niszcarkę w śmietniku. Tego właśnie nauczyła się, oglądając niezliczoną ilość razy *Klub miliarderów* (ci chłopcy piszą Q w wyrazie *cute*, fajny!): „Zniszcz każdą listę zawierającą słowo «zabić»»,.

Zapaliła trzy świece z aromatem paczuli (aromaterapeuta powiedział jej, że ten zapach podnosi na duchu i uspokaja), ustawiła je wokół siebie, usiadła po turecku, oparła dłonie na kolanach i zamknęła oczy. Trwała długo w tej pozycji, wyczekując.

Nauczyła się medytacji na polecenie matki, uprawiającej aerobik nalogowej palaczki; chodziła na zajęcia z kilkoma paniami, które nie musiały się liczyć z pieniędzmi i mogły poświęcić dużo czasu na „rozwój duchowy”. Dostała mantrę (dawno ją zapomniała) i modlitwę, którą miała odmawiać na początku i na końcu każdej medytacji (nie zadała sobie trudu, żeby nauczyć się jej na pamięć). Nauczyciel, „duchowy przewodnik”, z twarzą jak dojrzały pomidor i zapalem tresowanej fokii, był wyraźnie rozczarowany jej postępami - wszystkie trzy sesje Clarissa przespała.

Medytacja transcendentna, podobnie jak wiele innych rzeczy wymagających długotrwałego wysiłku, nie była dla niej.

Clarissa, choć rzadko, czuła czasem potrzebę odbycia podróży w głąb siebie, pod pozbawioną emocji maskę, obok dawnych krzywd: złości nastolatki, dziecięcych rozczarowań, traum płodowych, aż do takiego miejsca w sobie, gdzie nigdy się nie kłamie, nie osądza, nie manipuluje.

Trochę to trwało, nim tam dotarła.

Zamiast odpowiedzi wyrosły przed nią pytania, niczym ruchliwe ręce wysuwające się z gleby podświadomości. Clarissa wiedziała, że powinna zignorować „gadatliwy mózg” i pozwolić, by jej mantra zagłuszyła wszystko, co ją rozprasza, ale zamiast tego otworzyła oczy i przywołała w myślach pytania: Kiedy powstanie skuteczny środek, trwale usuwający włosy? Dlaczego mężczyźni nie mają cellulitisu?

A wreszcie czy ona, Clarissa Alpert, nadal kocha Simona Englanda?

Pomyślała o swoim związku z Simonem. Przypomniała sobie, jak zobaczyła go pierwszy raz w ostatniej klasie szkoły średniej. Przyjechał prosto z Londynu, był nowy w szkole i nowy w kulturze Beverly Hills (wybaczcie oksymoron). Clarissa razem z przyjaciółkami, usłyszawszy jego akcent, nazwała go Simon England; po dziś dzień nikt, z Simonem łącznie, nie pamiętał jego prawdziwego nazwiska. Simon już wtedy ubierał się odważnie; nie w tym sensie, że dawał początek nowym trendom, nie. Przychodził do szkoły w garniturach. W pięknych garniturach - miał kilka kaszmirowych z Saville Row, po dziadku i ojcu, ekspercie od prawa międzynarodowego - poprawionych przez krawca, żeby pasowały na jego biodra, wąskie jak u Rogera Daltreya na festiwalu Monterey Pop. Miał także garnitur z tenisu od Hugo Bossa i srebrzystobłękitny od Armaniego, kupione za pieniądze, które zarobił jako didżej na całonocnych imprezach; Clarissa ubiegała się o randkę z Simonem z powodu innego garnituru - z białego lnu, a do tego wzorzysta koszula - który pochodził prosto z Abbey Road w Londynie, plus minus z 1972 roku.

Czasami Simon wiązał sobie szeroki jedwabny krawat; miał także kolekcję starych lasek.

Na specjalne okazje okrywał się peleryną.

Już w wieku szesnastu lat Simon miał styl.

Clarissa westchnęła.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek pokocha Aarona, przyszłego ojca swoich dzieci, tak jak kochała Simona. Nikogo tak nie kochała od dnia, kiedy się z nią pożegnał, od dnia, kiedy dowiedziała się czegoś, co od dawna podejrzewała - że ona, Clarissa, Miłościwie Panująca Królowa, nie jest godna miłości.

Terapeutka Manolo powiedziała, że jej problemy mają źródło w stosunkach z ojcem.

- E tam - odparła Clarissa.

- Wysłuchaj mnie - upomniała Manolo. - Dopóki nie pogodzisz się z ojcem, będziesz skazana na puste i nic nieznaczące spotkania i związki.

- Pogodzić się z nim? - spytała. - Czy to znaczy, że muszę porozmawiać z panem Straszakiem?

Clarissa kochała ojca miłością wykluczającą inne osoby, nawet matkę, aż do dwunastego roku życia, kiedy zrozumiała reguły życia. Spisała je na kartce.

„Reguły życia według Clarissy Alpert, lat 12 (w dniu dzisiejszym)” - napisała dwunastoletnia Clarissa.

Ojciec zapomniał o jej urodzinach i zabrał przyjaciółkę na łódkę. Zapomniał, że nadal jest mężem matki Clarissy. Zapomniał także, że właścicielem jego łódki jest bank.

„Nie okazuj uczuć”.

Usłyszała przypadkiem, jak matka wrzeszczy na niego przez telefon, a potem trzaska słuchawką. Młode przyjaciółki też to słyszały. Jedna z nich posadziła Clarissę i powiedziała jej to, o czym już wiedziała: że ojciec zdradza matkę.

„Nie oczekuj niczego od nikogo”.

Matka spędziła resztę popołudnia z uśmiechem rozrywającym twarz; Clarissa nigdy by się nie domyśliła, że jest nieszczęśliwa.

„Nie pozwól, żeby ktokolwiek złamał ci serce”.

Później tego samego dnia, kiedy przyjaciółki wyszły, a tort urodziny został uroczyście wyrzucony do śmieci, żeby Clarissa nie zjadła resztek (i tak wygrzebała je ze śmieci, kiedy matka poszła spać), wybrały się po zakupy.

U Tiffany'ego matka wydała osiem tysięcy dolarów, których nie miały, na platynową bransoletę z brylantami. Clarissie kupiła pierwsze kolczyki z brylantami, półkaratowe. Kosztowały około półtora tysiąca.

„Zdobądź tyle, ile się da”.

Po tym pełnym wydarzeń dniu Clarissa zaczęła zwracać uwagę na niuanse, na wzory zachowania otaczających ją kobiet. Wszystkie kobiety - czy to mężatki, czy żyjące w separacji, czy rozwódki, czy pozostające w

domu, czy pracujące zawodowo - wszystkie podejmowały decyzje służące przetrwaniu z nienaruszonym poczuciem wartości. Jeżeli - aby się upewnić, że nadal jest się „kimś” - trzeba było kupić bransoletę za osiem tysięcy dolarów... cóż, trudno.

Zauważyła, że sprzedawcy zawsze zwracali się do matki „pani Alpert” - zarówno na Rodeo, jak i daleko na wschód od La Ciénega - i знаła cenę, jaką matka gotowa była zapłacić, by nadal tak się nazywać.

Rodzice pogodzili się jeszcze w tym samym tygodniu - po konfrontacji, urozmaiconej ostrymi słowami i łzami oraz jeszcze jedną błyskotką - lecz do tego czasu Clarissa dobrze przyswoiła sobie lekcję życia. Obchodząc trzynaste urodziny, była już w pełni *rozwinętą femme fatale*.

„Dostań ich, zanim oni dostaną ciebie”.

Rozległ się dzwonek. Clarissa podniosła się ze zmodyfikowanej pozycji lotosu (modyfikacja polegała na przejściu do leżenia) i podbiegła do telefonu. Podnosząc słuchawkę, uzmysłowiła sobie dwie rzeczy: a) podbiegła do telefonu - to było dziwne, ponieważ nie znosiła żadnej formy ruchu i nigdy nie biegła do telefonu; b) miała wilgotne policzki, a więc płakała.

Wiedziała, że to Aaron, zanim usłyszała jego głos.

- Właśnie coś sobie uprzytomniłem - powiedział.
- Nie możesz beze mnie żyć.
- Nigdy nie byłem w Disneylandzie.

Clarissa uśmiechnęła się.

- Dzisiaj? - spytała.
- Jestem na dole - rzekł.

Krzyknęła, jak powinna była krzyknąć w dniu swoich dwunastych urodzin, jak krzyczy się z radości, otwierając prezenty w Boże Narodzenie (nawet w takim żydowskim domu jak u Clarissy, która była bardziej „żydówką” niż żydówką) albo w wesołym miasteczku, kiedy kolejka ma za chwilę zjechać z najwyższego punktu w dół.

Nawet się nie przebrała.

Tego dnia wiele rzeczy robiła pierwszy raz.

*

Clarissa i Aaron weszli do Disneylandu, mając prawie pięćset dolarów, i wyszli stamtąd z kilkunastoma pluszowymi zwierzakami (wszystkimi nazwanymi imieniem Aaron), nie licząc tych, które mimo upomnień Clarissy rozdał po drodze dzieciom. (Uważała, że dzieci - zasmarkane szkraby pętające się w miejscach publicznych - mogły poczuć zagrożenie ze strony podejrzanego osobnika, wyprowadzającego pluszaki z Disneylandu; przypomniła, że nikt niczego nie daje za darmo. A przynajmniej nie robi tego żaden biały).

Aaron potrząsnął głową, jakby powiedziała coś bardzo smutnego, na przykład: „Przestał wychodzić magazyn «Elle Decor», albo „Brad Pitt ogolił głowę”, albo „Depilacja pachwin woskiem powoduje raka macicy”.

Słabość Aarona do pluszowych maskotek ujawniła się bardzo szybko, wyskoczyła na powierzchnię jak szczątki wraku. Zaczęło się od małego Prosiaczka w sklepie na disneyowskiej „Ulicy Głównej, USA”. Clarissa od razu go zauważyła i wspomniała, że miała takiego samego, kiedy była mała. Aaron pod pretekstem, że idzie do toalety, poszedł kupić Prosiaczka, a potem sprezentował go Clarissie niczym trzyipółkaratowy brylant o szmaragdowym szlifie.

Była zachwycona.

Zachwycała się aż do piątego pluszowego zwierzątka, a potem przestała. Wtedy jednak było już za późno - Aaron wpadł w ciąg.

- Popatrz, jakie ten ma oczka - powiedział, biorąc do ręki przerażającego szopa pracza.

- Jaki mięciutki - rzekł, głaszcząc tygrysa.

- Szukasz mamusi? - zagadał do słonika.

- Co myśli Prosiaczek? - spytał, kiedy wyszli z trzeciego sklepu, niosąc dwie pełne torby, z których wystawały łebki zwierzątek. Ich błyszczące zimne oczka przypominały dzieci przyglądające się rodzicom z nadzieją na zażegnanie klótni.

Clarissa z każdym zakupem stawała się coraz bardziej milcząca.

- Prosiaczek myśli, że pan Aaron dostał pierdolca.
- Och, to nie może być Prosiaczek, Prosiaczek nie przeklina.
- Okay - powiedział Prosiaczek ustami zaniepokojonej blondynki. -
Panie Aaron, zna pan słowo „fetysz”?
- Myślisz, że chcę uprawiać seks z maskotkami? - spytał Aaron.
Ludzie zaczęli się na nich oglądać.
- Mów przez rybę - poleciła.
- Przez żółtą czy przez kolcobrzucha?
- O, tę.
Aaron wyciągnął ogromną rybę w jaskrawożółtym kolorze.
- To trochę trudne. Pan Ryba nie ma strun głosowych - rzekł Aaron.
- Ale nie lubi o tym mówić.
Clarissa próbowała ukryć uśmiech.
- Nie obchodzi mnie to - rzekł Prosiaczek. - Myślisz, że to dla mnie łatwe? Ledwie cię znam, a ty raptem wykupujesz wszystkie pluszaki ze sklepu.
- Większość rozdaję - zapewnił pan Ryba.
- Jak to większość?! - zaprotestowały zwierzęta.
- Panie Rybo, czy pan jest dla mnie zbyt dziwny? - spytał Prosiaczek poważnie.
- Musisz mnie zrozumieć, Prosiaczku - rzekł pan Ryba. - Kiedy dorastałem, nie miałem... byłem inny. Nie miałem stóp, więc nie mogłem chodzić do szkoły. Byłem jedynakiem, więc nie miałem ani braci, ani siostr. Moi rodzice codziennie odpływali...
- Clarissa patrzyła na Aarona ze zrozumieniem.
- Miałem trzech przyjaciół, Moe, Larry'ego i Marka Aureliusza.
- Aureliusza? - spytał Prosiaczek. - Nie używaj tego imienia przy otwartym ogniu.
- To byli panda, pudel i niedźwiedź. Kochali mnie, chociaż byłem tylko żółtą rybą.

Clarissa wzięła Aarona za rękę i tak szli wszyscy razem do placu No-woorleańskiego, w stronę Piratów z Karaibów - ulubionej, jak się okazało, przystani pana Ryby. Prosiaczek tak się bał piratów, że zamknął oczy.

- Pan Ryba?! - spytała Gravy.
- A co z Kędzierzawym Joe? - spytała Jen.
- Nie w tym rzecz, Jen - upomniała ją Clarissa.

Clarissa prowadziła trójstronną rozmowę z koleżankami.

- Dobrze, dobrze. No więc czy lubi te... pluszowe zabawki... bo ma taką zabawną słabostkę? - spytała Jen.

- Ma raczej poważnego bzika - rzuciła Gravy.
- Werdykt? - przypomniała Clarissa, której się spieszyło.
- Rozkoszny - uznała Jen.

- Jako twoja najlepiej wykształcona przyjaciółka stwierdzam, że jest stuknięty - powiedziała Gravy - ale da się wyleczyć zoloftem.

- To mi wystarczy - rzekła Clarissa.

- Upewnij się tylko, czy nie wydaje na te maskotki wszystkich pieniędzy. Czuję, że wkraczamy na niebezpieczny grunt Jean Kasem.

Jean Kasem była białą, blond wersją Grace Jones, żoną drobnego, ciemnego didżeja „Billboardu”, Caseya Kasema. W żargonie Trybunału powiedzenie „Jean Kasem” oznaczało okropną bogatą osobę. Nieraz opisywano ją w bezpłatnym tygodniku „213, Beverly Hills Weekly” - dziewczynom wydawała się przerażająca. Gravy twierdziła, że jest mężczyzną.

Clarissa odłożyła słuchawkę i wróciła do wanny. Przejście przez Disneyland, z rękoma pełnymi „futranych przyjaciół”, jak nazwał maskotki Aaron, okazało się wyczerpujące, a czekała ją jeszcze jedna randka z Aaronem - w nowym „francuskim” lokalu przy Beverly Drive.

Dzisiaj wieczorem miał się odbyć finał rozgrywek, decydujący o wspólnej nocy po trzeciej randce, więc Clarissa chciała być w szczytowej formie.

*

- Jak to nie chcesz się ze mną przespać? - Clarissa prawie krzyczała.
- To nasza trzecia randka, bzykanie po trzeciej randce jest święte. Clarissa przeżywała „zawód piczki”. Aaron nie zamierzał ustąpić.
- Nie uznaję bzykania po trzeciej randce - powiedział.
- Ale to jest uświęcone międzynarodowym zwyczajem.
- Clarisso, jak by ci to wyjaśnić? Omal nie rzuciłem się na ciebie, kiedy tylko cię zobaczyłem. Chciałem to zrobić w „Ivy”, na stole, wprost na tych chrupiących frytkach.

Clarissa uśmiechnęła się. A więc kręcenie dużą pupą tuż przed twarzą podziałało.

- Potem znowu chciałem to zrobić, kiedy wydałaś wielkie przyjęcie na moją cześć i udawałaś, że nie chcesz mnie zaprosić. - Aaron przyłożył Clarissie palec do ust, nim zdążyła zaprotestować. - Tak właśnie było.

Clarissa opadła w tył, naburmuszona.

- Ale ponieważ czekaliśmy - ciągnął Aaron - tyle... godzin, przekonałem się, że cię lubię, choć nie bardzo potrafię wytłumaczyć dlaczego. - Popatrzył na nią. - Z tego właśnie powodu nie chcę iść z tobą do łóżka. Nie chcę się spieszyć.

Narastanie napięcia to połowa przyjemności.

Clarissa raptownie wstała z łóżka Aarona, na którym właśnie zakończyli się pitigrilić (było super), i zaczęła chodzić po pokoju.

Druga Faza operacji „Bzykanoc” rozpoczęła się za progiem domu. Przyjechali właśnie z Pierwszej Fazy: bardzo romantycznej kolacji w „Valentino”. Po dłuższych deliberacjach Clarissa wybrała ten właśnie lokal ze względu na oświetlenie i listę win. Nadludzkiem wysiłkiem powstrzymała się od zjedzenia światowej klasy tiramisu - tego wieczoru musiała być w szczytowej formie. Musiała być Muhammadem Alim sympialni.

Dopiero co weszli do ciemnego domu; Aaron zamknął drzwi. Stojąc za nią, szybkim ruchem objął ją w pasie. Zaczął całować w kark, delikatnie odchyłając jej głowę w bok, gdy ustami muskał obojczyk.

Clarissa próbowała obrócić się do niego przodem, ale ją przytrzymał, napierając wszystkim, co miał, na jej plecy... „Wszystkim” to znaczy całym arsenałem.

- Tak ładnie pachniesz - szepnął jej do ucha. - O mój Boże, Jezu, jak ty ładnie pachniesz...

Pod Clarissa ugięły się nogi. Aaron całował w kark. Szeptał do ucha. Napierał od tyłu. Przeżycie stereo z Aaronem.

Ile szczęścia może mieć jedna dziewczyna?

Oslabłą od pożądania dłonią wskazała w górę, choć nie była pewna, jak się tam dostanie, gdyż nogi odmawiały jej posłuszeństwa - wtedy Aaron wziął ją na ręce i zaniósł po kręconych schodach do pieprzonej Nirwany.

Wchodzili w Trzecią Fazę.

Nie tak szybko.

Kilka minut później, pólżąc na łóżku Aarona, Clarissa czuła zawroty głowy, suchość w ustach i miała ciemność przed oczami; nie pojmowała nic z tego, co słyszy - do tej pory wszystko szło tak dobrze: całował cudownie, nie za mokro, nie za sucho i przyłapała go nawet na tym, że robił to z otwartymi oczami.

- I co ja teraz powiem ludziom?

- Komu? Magazynowi?

- Trybunałowi, moim koleżankom, co ja im teraz powiem? Spodziewają się po mnie osiągnąć, nie mogę ich zawieść, będą takie rozczarowane, już widzę ich zasmucone buzie, są jak dzieci, musisz mi dać coś, o czym będę mogła opowiedzieć.

- Przyjaciółki aż tak interesują się twoim życiem seksualnym?

- Oczywiście. Twoi przyjaciele się nie interesują?

Aaron zastanawiał się chwilę.

- Tylko seksem bez znaczenia. Jeżeli seks coś znaczy, kulą się i pociągają browca albo blunta. - Aaron poklepał łóżko obok siebie. - Nasze życie seksualne to wyłącznie nasza sprawa, młoda damo. Zbliź się.

Clarissa ani myślała się przysunąć, po części dlatego, że miała mętlik w głowie.

- Wyjaśnij, co rozumiesz przez seks, który coś znaczy.

- Znaczący seks: ja, Aaron, obiecuję, że zadzwonię do ciebie jutro, i zgodnie z obietnicą dzwonię, przed *Nightline*. Zostaję u ciebie nie tylko na noc, ale i na poranny program *Today*, śpiewki w oczach i pogawędkę o tym, jaką lubisz kawę. Robię plany na piątkowy wieczór, zanim poniedziałek pójdzie spać.

Clarissa nie kupiła tej gadki.

- Josephie Aaronie Kingsleyu Masonie, nie podobam ci się.

- Clarisso, nie chcę się spieszyć. Skąd znasz wszystkie moje imiona?

- Sprawdziłam w google'u. I nie mów: „Nie chcę się spieszyć”. Ostatni facet, który odradzał mi pośpiech, miał małego jak fistaszek.

- Nie martw się. Ja mam małego jak orzeszek laskowy.

Clarissa przysunęła się bliżej i przytuliła do Aarona.

- Dobra dziewczyna - pochwalił ją.

- Uważasz, że jestem gruba - powiedziała, podrywając głowę.

- Wyglądasz zdrowo.

- Uważasz, że wyglądam zdrowo?

- Co w tym złego?

- Co w tym złego? To tak, jakbyś powiedział, że jestem „przyjemnie pulchna” albo „rozmiar powyżej młodzieżowego”!

- Jesteś piękną dziewczyną, byłaś piękna od chwili, gdy weszłaś w wiek dojrzewania, i dobrze o tym wiesz.

- Ale i tak cię nie znoszę - odparła, czując coś wręcz przeciwnego.

- Posłuchaj, złotko - rzekł Aaron. - Wychowałem się w Georgii, a w Georgii mają wzięcie sztuki rozplodowe, rozumiesz?

- Budzisz we mnie obrzydzenie. Powiedz, że nigdy nie uprawiałeś seksu ze zwierzęciem hodowlanym.

Złapał ją za udo i ścisnął. Nie było to nieprzyjemne, ale Clarissa mimo to trzepnęła go po ręce.

- Jeżeli dziewczyna zbyt przejmie się tym, co je, wiadomo, że w sypialni będą kłopoty. Dziewczyna, która nie lubi jeść, nie lubi jeść. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Clarissa zrozumiała. Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie byłam wybredna w jedzeniu. Wracając do najważniejszego. - Trąciła go łokciem.

- Jestem dumny z tego, jak jem - odparł Aaron. - Wybierzmy pidżamy i chodźmy do łóżka.

Wstał i otworzył dużą szufladę, wypełnioną pidżamami z bawełny, jedwabiu i kaszmiru.

Clarissa wybrała jasnoniebieską kaszmirową.

Przebrała się i wślizgnęła do łóżka obok Aarona, czując się tak, jakby powtarzała tę czynność od pięćdziesięciu lat. Niemalże oczekiwała, że zobaczy jego sztuczną szczękę w kubku na nocnym stoliku.

Położyli się jedno przy drugim jak dwie łyżki, objął ją ramieniem... i przytulili się do siebie. Clarissę nagle ogarnęło onieśmienie. Przytulanie się w łóżku było dla niej prawdziwie intymnym aktem. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz naprawdę przytulił ją mężczyzna. Co smutniejsze, nie pamiętała, kiedy ostatni raz w ogóle tęskniła za tym, żeby ktoś ją przytulił.

Raptem rozżaliła się nad sobą.

- Pozwolisz, że ktoś do nas dołączy? - spytał Aaron.

Clarissa obróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że okażesz się... - Przekreśliła się, wysuwając z jego objęć.

Aaron wyciągnął spod kołdry żółtą rybę. Clarissa potrząsnęła głową i przeturlała się, wpadając z powrotem w jego ramiona. Mijały chwile.

- Chciałabyś, żeby nasze dzieci spały razem z nami czy osobno? - spytał Aaron.

Clarissa pocałowała go.

- Bachory mogą spać w garażu - powiedziała. Miała nadzieję, że nie usłyszał, jak załamał jej się głos.

Leżeli chwilę w milczeniu. Clarissa dopasowała swój oddech do oddechu Aarona, znajdując ukojenie w jego powolnym, miarowym rytmie.
- Czy dobrze słyszałem? Załamał ci się głos? - spytał Aaron.

Cóż, podchody z pluszowymi przytulankami obarczone były pewnym ryzykiem. Aaron testował, jak daleko może się wobec niej posunąć, czy będzie gotowa włączyć się w jego (względnie banalne) dziwactwa - na razie zdała egzamin śpiewając. Nie poprosił jej przecież, żeby dogodziła sobie własną stopą albo wypucowała srunię, albo zrobiła którąś z rzeczy, jakich podobno potrzebuje odnoszący sukcesy kawaler w Los Angeles; nie wykorzystał historii, które usłyszał w szatni Klubu Sportowego Los Angeles albo od agenta Związku Kompozytorów, Autorów i Artystów, noszącego zawsze na głowie czerwoną bandanę, a na palcu obrączkę w kształcie kajdanek, albo od producenta sitcomów, ubierającego się w hawajskie dżersejowe koszule i dumnego z dawnego uzależnienia od cracku.

A więc Aaron miał obsesję. Nawet tani terapeuta albo wróżka telefoniczna bez trudu doszliby do jej źródła; dorastał w rodzinnej posiadłości, miał niewielu przyjaciół, rodzice zaś stale byli nieobecni z powodu pijaństwa, niewierności, wyboru lub zwykłego zaniedbania. W szpitalu, gdzie miał zostać poddany operacji korygującej wadę wrodzoną, dostał misia - nie rozstawał się z nim, dopóki nie poszedł do college'u. Zdawał sobie sprawę, że piwośze dzielący z nim pokój w akademiku na Południowym Uniwersytecie Metodystów w Dallas zdziwiliby się, gdyby kolega spał z misiem, a nie z czirliderką, która posiadała umiejętność trzymania w jednej ręce puszki z piwem i zapalonego papierosa, podczas gdy drugą polerowała dżojstik.

Po ukończeniu szkół skierował się prosto do Los Angeles. Kiedy czuł, że ma coraz mniejszą kontrolę nad światem zewnętrznym, uzupełniał

kolekcję pluszowych zwierzątek; obdarzał je imionami, datami urodzin i osobowościami. Lubił ich zapach i dotyk.

Cóż, było to trochę dziwne. Porównywał jednak swoje zbiory do zbiorów kołpaków samochodowych lub butelek po piwie, które widział w mieszkaniach innych kawalerów - różniły się tym, że jemu nie groziły ostre krawędzie i zastrzyki przeciwțęcowe.

Wyznanie: kiedy Aaron przeprowadził się do Los Angeles, chciał przede wszystkim wybrać się do Disneylandu, ale nie miał z kim, a sam czułby się tam głupio.

Aż tu raptem pojawiła się Clarissa, która wydawała się gotowa na wszystko, pod warunkiem że nie będzie krwi, śluzu ani brzydkiego obuwia.

Disneyland.

Aaron otrzymał rano wiadomość, że pewien reżyser jest zainteresowany jego projektem - starszy od niego, z dorobkiem, w którym ostatnią pracą nie było wideo ani reklama telewizyjna, ani coś, co ma po tytule rzymską trójkę.

Reżyser osobiście zadzwonił do Aarona; chciał omówić scenariusz. Chciał zabrać się do roboty bezzwłocznie.

Więc Aaron miał ochotę to uczcić. Bez zastanowienia zadzwonił do Clarissy.

Dziewczyna, która na zawołanie wyliczała najmodniejsze restauracje, nocne kluby i wydawnictwa, która upominała Aarona, żeby zraszał się wodą kolońską „Comme des Garçons”, syknęła (przyjaźnie), usłyszawszy propozycję wyjazdu do Disneylandu.

Niewiele rzeczy mogłoby bardziej uszczęśliwić Aarona.

Aaron dostrzegwał, że coraz poważniej myśli o Clarissie, poważniej niż powinien i niż czuł się do tego zdolny - brakowało mu jej w ciągu dnia - doszło do tego, że ładna twarz albo mocna figura przywodziły mu na myśl jej twarz i jej figurę. Pewnie, że mógł się z nią pieprzyć na ostatniej

randce - pragnął tego. Postanowił jednak, pochylając się nad ravioli z homarem (i dziwiąc się sobie niepomrotnie), że tego nie zrobi. Clarissa była dla niego czymś więcej niż dupą - była inspiracją.

Obudziła w nim chęć pozostania w Los Angeles, ułożenia tu sobie życia. Może któregoś dnia, rozmyślał, odniesie wystarczający sukces, ona zaś pokocha go na tyle, by zrozumieć i wybaczyć to, co zrobił.

Ale najpierw kopnie go w tyłek.

Rozdział siódmy

Podnoszenie temperatury

- Szczegółowo! - powiedziała Gravy, ciężko dysząc, z twarzą czerwoną i nabrzmiałą jak u pijanego Świętego Mikołaja. - Szczegółowo, z detalami, dokładnie i na bieżąco, dziennik wieczorny... zaraz umrę!

- Opowie nam... kiedy będzie gotowa - rzekła Jen, zamykając oczy i odchylając do tyłu głowę, jakby chciała uniknąć zemdlenia.

- Jazda pod górę, ziejące dziury! - zaskrzypiał głos jak papier ścierny.

Clarissa patrzyła prosto przed siebie, pot spływał jej z czoła i wsącał się do nozdrzy, wbrew temu, co zrozumiała z fizyki po dwóch latach nauki (z powtórką) w szkole średniej.

Trybunał od sześciu minut pedałowal pod okiem Dominującej Loli w ośrodku sportowym „Crash Gym” na Bulwarze. Clarissę, która przysięgała sobie, że nigdy nie wsiądzie na rower, zwerbowały przyjaciółki. Nie zamierzała im tego nigdy wybaczyć.

- Cisza, lemury! - wrzasnęła trenerka lesbijka z wielkimi mięśniami czterogłowymi, opiętymi czarną lycrą. Przepasana była jaskrawożółtym pasem; wyglądała jak niezła zołza.

- Cholernie poważna sprawa! - odkrzyknęła Gravy, jeszcze mocniej naciskając na pedały.

Na zajęciach rowerowych o dziesiątej rano było czterdzieści osób - liczba świadcząca o trenerce i uczniach albo o poziomie bezrobocia w

przemysle rozrywkowym w południowej Kalifornii.

- Proszę, nie drażnijcie jej - wydyszała Jennifer. - Ona lubi doprowadzać ludzi do łez.

- Podobno naprawdę jest dominująca, ale tylko w weekendy - rzekła Clarissa.

- Ona nie uprawia sado-maso, głupia, jest księgową w MGM - na świszczącym oddechu wykrztusiła Gravy.

- Szybciej, ślamazary! - krzyknęła trenerka.

Akurat w tym momencie weszła spóźniona Polo, kołysząc się zmysłowo, jakby pół minuty temu bzykała się w schowku na szczotki.

- Jej kurewska wysokość przybyła - powiedziała Gravy.

Polo uśmiechnęła się, posadziła plastelinowe ciało na rowerku za Clarissą i popsikała się wodą kolońską. Trenerka lesbijka (wszystko w porządku - sama nazywa się i „trenerka lesbijką”, i „Dominującą Lolą”) nie odezwała się słowem. Ona też zakochała się w Polo, jak każdy, kto ją tylko.

- No, 'rissa, mów konkretnie - upomniała się Polo.

- Nul stosunkul - odparła Clarissa. Uda miała poobcierane; przekrzywione siodełko wrzynało jej się tak, że traciła czucie w intymnych częściach ciała. Podobnie ciężko było jej niedawno wysiedzieć na filmie z Johnem Travolta.

- Nie ma mowy - rzekła Jennifer. Poprawiła się na siodełku i dodała: - To nie może być dobre dla mojej cipulki.

- Co się stało z bzykaniem na trzeciej randce? - spytała Gravy.

Ćwiczący przed nią mężczyzna obejrzał się. Gravy, dojrzała na swój sposób, wysunęła język i zaczęła nim wiercić - przypominał grubą dżdżownicę.

- On jest gejem, 'rissa - rzekła Polo, siedząc na rowerze, ale nie zmuszając się do pedałowania. - Ten twój mężczyzna to zimny homo. Na pewno obciąża druta.

- Po zajęciach - zdołała wydusić z siebie Clarissa. - Wyjaśnię wam... po zajęciach.

- Nie czuję moich dolnych warg! - jęknęła Jen.

*

- Czy zaróżowiłam się z podniecenia, koleżanki? - spytała Gravy. - Fred Segal zaakceptował moją wiosenną linię. - Pokazała małe kolczyki - jeden w kształcie „1”, drugi - „2”.

- Jaką wiosenną linię? - spytała Polo.

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale będzie gotowa przed nadejściem wiosny. Liczb jest tyle, że nie zabraknie mi zajęć. Nazwę je „Bystrzaki”. Włączę do tej linii symbole matematyczne: pi, trójkąt równoramienny, $E = mc^2$...

Trybunał zasiadał w barze z sokami w „Crash”, z zapalem pociągając przez słomkę gładkie mieszanki jogurtu, lucerny, perzu i marchewki oraz chrupiąc proteinowe batoniki i nie-apetyczne bułeczki - pobierał w ten sposób dwa razy więcej kalorii, niż spalił w czasie treningu rowerowego.

- Zawiodłam was - powiedziała Clarissa. - Nie lubię sprawiać zawodu przyjaciołom.

- Nie mogłabyś nam sprawić zawodu - zapewniła Jen.

- Mów za siebie - rzekła Gravy. - Twierdzą, że jest mormonem, choć sama nie wiem, co to znaczy ani tak naprawdę komu to potrzebne.

- Posłuchaj, mały geniuszu - rzekła Clarissa. - Aaron powiedział., nie chce uprawiać ze mną seksu bez znaczenia.

- Gej jak dzień długi, jak dwudolarowy banknot, jak deszczowy dzień, jak Rosie O'Donnell - rzekła Polo. - Ale w żadnym razie nie jak Kevin Spacey. - Zakaszła.

- Gejem jest ten, kto zachowuje się jak gej - przyznała Gravy.

- Nie jest gejem - zaproponowała Clarissa. - Przedstawił piękny argument przeciw regule trzeciej randki.

- Nie możesz wyjść za niego, chciałam powiedzieć: nie możesz zmusić go do ożenku, dopóki się nie prześpicie. To nie po amerykańsku, nawet jeżeli należy do klanu Ripa Taylora - rzekła Gravy. - Poza tym masz mało czasu, jeżeli chcesz zdążyć z weselem na czerwiec.

- To może ja się z nim prześpię, a potem złożę wam relację? - zaproponowała ze śmiechem Polo. I znów zakaszła.

Clarissa nie roześmiała się. Zdarzyło się kilka razy, że „dzielila się” z Polo (ale nie w tym samym czasie - nigdy nie zgodziłyby się pokazać nago w tym samym pokoju co Polo, cóż za wariacki pomysł!); nie chciała powtórnie tego przeżywać.

- Jest taki romantyczny - powiedziała Jennifer. - Jak... Rick Springfield.

- Dziewczyny. Aaron mówił o naszych dzieciach - rzekła Clarissa.

Trybunał popatrzył na nią. Nikt się nie odezwał. Jakby wszystkie wstrzymały oddech.

- O naszych dzieciach - powtórzyła Clarissa.

Zabrzmiało to jak mantra.

Dziewczyny milczały, trawiając tę bardzo ważną informację.

- Naprawdę o nich mówił? - odezwała się w końcu Gravy głosem „drżącym jak zazdrosna galareta”.

Clarissa była zadowolona.

- O dzieciach? - spytała Jen. - Clarisso, jesteś pewna?

- Czy jestem pewna? Przecież nie mówił o śmieciach.

- Przy mnie żaden mężczyzna nie wypowiedział tego słowa - przyznała Polo. - Nigdy. Nawet widząc dzieci bawiące się na ulicy. Mówią tak: „Spójrz na te... obiekty... grające w koszykówkę”. A o siostrze, która właśnie urodziła dziecko, powiedzą: „Siostra właśnie dostarczyła paczkę”.

- Spróbuj tylko spytać o siostrzeńców czy bratanków; zupełnie jakbyś się dopytywała, czy mają opryszczkę - rzekła Gravy. - Robią taką minę... jakby... doleciał ich smród z lodówki.

- Latynosi są o wiele bardziej otwarci, jeśli idzie o dzieci - orzekła Jennifer. Popatrzyła na koleżanki. - Nie uważacie?

- Latynosi? - spytała Gravy. - Na przykład który? „Nie-Mów-Nie-Pytaj” Ricky Martin?

Clarissa tylko raz słyszała mężczyznę wspominającego o dziecku, a zdarzyło się to w szkole średniej, gdzie można wypowiadać takie słowa, bo nikt ich nie bierze poważnie. Powiedział przy niej to słowo Simon. Czekala czternaście lat, by znów je usłyszeć.

- Dziewczyny - powiedziała Gravy, z trzaskiem odstawiając szklanke na stolik. - Będzie wesele. Wszystkie naraz zaczęły piszczeć.

Zanim jednak zabrzmiał *Marsz weselny*, pozostały do załatwienia dwie sprawy: 1. Aaron musiał się oświadczyć; 2. Clarissa i Aaron musieli pójść razem do łóżka. Czegoś Clarissa się w życiu nauczyła: przed kupnem samochodu (nawet mercedesa) trzeba się wybrać na jazdę próbną. Była gotowa poświęcić swoją przyszłość, ale nie przyszłe życie seksualne. Jeżeli ten mercedes nie miał powietrza w kołach albo benzyny, jeżeli szwankował mu silnik albo wolał mieć za kierownicą mężczyznę, chciała się o tym dowiedzieć zawczasu.

A jak słusznie zauważyła Gravy, czas naglił. Clarissa miała niecałe dwa tygodnie na to, żeby nakłonić Aarona do oświadczeń - lub przynajmniej wmówić mu, że to zrobił. W branży filmowej używano określenia „zawieszenie niedowierzania”. Trzeba było szybko wessać (*pardon le mot*) Aarona, tak jak niczego nieświadomą widownię na filmie Renny'ego Harlina. Gdyby Aaron „zawiesił niedowierzanie”, że ożeni się z Clarissą, wówczas Clarissa mogłaby zrobić następny krok.

Dlatego też, ponieważ sytuacja podbramkowa wymaga radykalnych posunięć, Clarissa zorganizowała wspólne spotkanie z rodzicami.

Najpierw wypisała listę miejsc, które można by uznać za neutralne, ponieważ rodzice rozstali się po raz milionowy od późnych lat sześćdziesiątych. Zastanawiała się nawet przez chwilę, czy można wynająć na weekend Camp David.

Odrzuciła „Nate and Al's” (ulubiony lokal taty) i „Spago Beverly Hills” (ulubiony lokal matki); przekreśliła „Santa Monica Pier” (zbyt proletariacki) i „Hillcrest Country Club” (zbyt ekskluzywny). Nie wiedziała, co dalej, aż przypomniało jej się - kort numer trzy na otwartych kortach tenisowych Beverly Hills - miejsce, na które mogły się zgodzić wszystkie zainteresowane strony. Clarissa nie cierpiała tej gry, ale

uwielbiała krótkie spódniczki (byle nie plisowane, dziękuję bardzo - w plisowanej wyglądam jak bizon w przebraniu). Matka uwielbiała tenisa, nie grała zbyt dobrze, ale w tenisowym stroju (daszek i plisowana spódniczka) przyciągała pełne zachwyty spojrzenia, co jest nie lada osiągnięciem nie tylko w jej wieku; ojciec uwielbiał tenisa i grał znakomicie, ale wyglądał idiotycznie w szortach - miał sterzące kolana, co w jego wieku jest naturalne. Zatem szanse rodzicielskich stron byłyby wyrównane.

Clarissa z rosnącym zniecierpliwieniem czekała na parking; już miała zadzwonić do Gravy, żeby się jej poskarżyć, gdy nadjechała matka przy dźwiękach nastawionej głośno salsy.

- Dziękuję, że się zjawiałaś, mamó - powiedziała Clarissa.

- Nienawidzę twojego ojca - rzekła matka. - Robię to dla ciebie.

Wyskoczyła ze sportowego wozu w pełnym stroju: plisowana spódniczka i bluzka do kompletu, skarpetki, buty do tenisa i osłaniający oczy daszek - wszystko jasnopomarańczowe i tak nowe, że trzeszczało przy każdym kroku.

- Wyglądasz superfajnie i ekstracytrusowo w tym stroju od Izoda, no i chcesz zwrócić na siebie uwagę - rzuciła Clarissa.

- To też - przyznała matka. - No więc po co to spotkanie, Clariiso?

- Ważne wieści, przekonasz się - zapewniła Clarissa. - Jest Teddy.

Teddy podjechał szybko kawalerskim sedanem, zahamował z piskiem opon i wyskoczył, jakby ugryzł go grzechotnik; złapał raketę i piłki i ruszył w ich stronę z denerwującą energią „starszego pana”. Tata zaczął przypominać typ mężczyzny, jaki widuje się na kortach tenisowych i szkolnych boiskach sportowych w całym kraju. „Mam jeszcze dużo sił!” - zdają się obwieszczać światu podstarzali panowie każdym krokiem, każdym okrzykiem. „Mogę się jeszcze z tobą zmierzyć!”.

- Edwardzie - rzekła matka, gdy się zbliżał.

- Skarbie - rzekł Teddy. Zawsze zwracał się w ten sposób do matki. - Jak zwykle promieniejesz.

Clarissa nie wiedziała, co myśli matka, ale spostrzegła lekki rumieniec barwiący jej policzki.

- Uch - mruknęła pod nosem z obrzydzeniem.

Teddy pocałował byłą żonę w rękę.

- A jak ja wyglądam, Teddy? - spytała Clarissa.

Obejrzał się na nią.

- Dobrze się czujesz, dziecko?

- Chryste - jęknęła Clarissa. - Chodźmy na kort. Mamy tylko czterdzieści pięć minut na decyzję przesądzającą o moim losie.

Clarissa grała najpierw z matką przeciw ojcu, a potem, w połowie gry, przeszła na drugą stronę kortu. Równie dobrze mogłaby czytać „Star” albo obskubywać paznokcie z lakieru, co było zajęciem sensownym i wartym zachodu - na korcie żadne z rodziców ani razu nie poszło do niej piłki. Na dobrą sprawę zarówno matka, jak i ojciec w ogóle jej nie zauważali. W końcu Clarissa usiadła z boku na ławce, przyglądając się odbijanej niezliczoną ilość razy piłce, aż rodzice zrobili sobie przerwę, żeby napić się wody.

- Kosisz mnie równo z tartanem, skarbie - rzekł tata i pociągnął haust wody „Evian”, po czym oddał wielką butlę byłej żonie.

- Po prostu mnie oszczędzasz, Eduardo - odparła matka z uśmiechem. Jak przystało na damę, pociągnęła z butli elegancki łyżek.

Clarissa przewróciła oczami.

- Skoro już wymieniacie płyny ustrojowe, to może porozmawiamy o moim przyszłym szczęściu, dobrze?

Rodzice spojrzeli na nią zaskoczeni, jakby w ogóle zapomnieli o jej istnieniu.

- Czy to nie może poczekać? - spytał Teddy. - Kończymy seta.

- Nie, to nie może poczekać - odparła Clarissa. - Potrzebuję was.

Musicie urządzić przyjęcie zaręczynowe dla mnie i Aarona.

- O mój Boże! - krzyknęła matka i uściśnęła Clarissę.

- Cukiereczku! - rzekł Teddy. Na jego czole odbiło się ledwie widoczne rodzicielskie zatroskanie. - Jak dobrze znasz tego człowieka?

- Znam go na tyle dobrze, żeby się z nim zaręczyć - zapewniła Clarissa. - W sobotę, dziesięć osób, w domu mamy, koło ósmej. - Wstała szybko, nim do jej uszu dobiegły protesty, jęki czy uwagi natury praktycznej; otrzepała siedzenie. - Nie sprawcie mi zawodu, przyszłe wnuki liczą na was.

Clarissa uściśnęła rodziców, posłała im całusy i oddaliła się. Miała dużo rzeczy do załatwienia.

- Myślałem, że twoi rodzice są rozwiedzeni - rzekł Aaron.

- Bo są, ale nadal ze sobą sypiają - odparła Clarissa.

Wbiła zęby w jedną z tysiąca zawiniętych w boczek kulek melona, rozłożonych przez matkę na srebrnych półmiskach.

- Z jakiej okazji jest to przyjęcie? - spytał Aaron.

Z kuchni dobiegł rumor i zaraz potem dziwne okrzyki. Jennifer pode-
rwała się.

- Sprawdzę, co tam się... wyrabia - zaofiarowała się i odważnie ruszyła naprzód.

Clarissa spojrzała na Gravy, która siedziała bokiem na miękkim fotelu i pieściła wysoką szklankę z drinkiem. Miała we włosach kwiat, co było głupie i denerwujące.

- Z jakiej okazji? - powtórzyła Gravy.

- No właśnie, z jakiej okazji się spotykamy - interesował się Aaron.

Gravy popatrzyła na Clarissę.

- Z jakiej okazji.

- Aaronie, czy nie można urządzić przyjęcia bez okazji? - spytała Clarissa. - Proszę cię, Gravy, wyjmij ten kwiat z włosów.

- Podoba ci się mój kwiat, Aaronie? - spytała Gravy.

- Bardzo ładny. Taki... odświętny.

- To gardenia.

- Pięć minut temu był odświętny, teraz jest zdechnięty - powiedziała Clarissa. Pięć minut oznaczało dla niej jeden rok.

Wrzuciła do ust jeszcze jedną bekonowo-melonową zakąskę, zastanawiając się, jak można racjonalnie uzasadnić połączenie mięsa z owocem. W tym momencie zadźwięczał dzwonek. Clarissa uśmiechnęła się do Aarona, wstała i podeszła do drzwi.

Stała za nimi Zła Suzee, a obok niej Simon.

- Kochanie! - wykrzyknęła Suzee.

Clarissa złapała ją i wepchnęła do schowka na szczotki. Simon, oszomiony, podniósł rękę; miał pierścień na kciuku.

- Zaraz wracam - rzuciła Clarissa. - Dobre buty.

Simon spojrział na swoje buty, a Clarissa zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

- Co ty wyrabiasz, do cholery? - prychnęła Suzee, gdy Clarissa wcisnęła się do schowka i zapaliła gołą żarówkę pod sufitem.

W schowku nadal wisiały zimowe palta ojca, jakby czekając na pojawienie się właściciela; Clarissie przyszło na myśl, że mogłaby przeszukać kieszenie.

- Nie możesz wprowadzić Simona na przyjęcie z okazji moich zaręczyn - poinstruowała Clarissa. - To jest wypowiedzenie wojny. Przecież znasz zasady.

- Powiedziałaś, że mogę z kimś przyjść - syknęła Suzee. - A umówiłam się właśnie z Simonem. Wypuść mnie stąd.

- Simon nie jest twoim partnerem na randkę. Simon to rozdział w historii Clarissy Reginy Alpert, a nawet trzy rozdziały.

- Aaron i Simon będą musieli kiedyś się spotkać. Nie rozumiem, czemu jesteś taka zdenerwowana, chyba że nadal coś do niego czujesz. - Suzee uśmiechnęła się. Wyglądała jak zadowolony wąż boa. - A jeżeli nadal coś do niego czujesz, to nie powinnaś wychodzić za mąż, prawda?

- Doskonale - rzekła Clarissa. - Posadzę ich na dwóch końcach stołu.
- Wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi.

- Clarissa? - zagadnęła Suzee.

- Co.

- Nikt nie całuje tak jak Simon, nie uważasz?

Wychodząc ze schowka, Clarissa posłała jej uśmiech. Potem zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

- Dzieci, czy wszyscy macie co pić? - spytał Teddy, wchodząc do pokoju.

Jedno oko miał zupełnie zapuchnięte, a to, co można było nazwać jego włosami (w końcu za nie zapłacił), po lewej stronie głowy stało na baczność. Wyglądał jak po kilku rundach zapasów z wielofunkcyjnym robotem kuchennym.

- Ja usycham - rzuciła Clarissa, wbiegając do pokoju i poprawiając spódnicę od Dolcego i Gabbany.

Krzyki Suzee, choć słabo, było jednak słyhać. Clarissa podbiegła do stereo i podkreśliła kubańską muzykę matki, kiwając głową jak dalmatyńczyk na desce rozdzielczej. Gravy spojrzała na nią pytająco, co Clarissa zupełnie zignorowała.

- Kto... - próbowała spytać Gravy.

- Sąsiedzi - odparła Clarissa.

- Pozwoli pan, że pomogę, panie Alpert - zaproponował Aaron, wstając.

- Nie, nie. - Teddy położył mu rękę na ramieniu. - Będziesz miał kogo obsługiwać przez wiele lat - rzekł, mając na myśli córkę.

Aaron spojrzał na Clarissę, która zmarszczyła nos. Zmrużył oczy, co tylko dodało mu wdzięku i sprawiło, że wyglądał jak krótkowidz.

- Zresztą wcale nie chcesz tam wejść, synu - rzekł Teddy, potrząsając głową. - Życz mi powodzenia - rzucił przez ramię, wziął głęboki oddech i wrócił do kuchni.

- Kto dzwonił do drzwi? - spytał Aaron.

Clarissa spojrzała na niego.

- Opowiedz Gravy o swoim musicalu. Myślę, że będzie wielkim hitem. Czy premiera powinna się odbyć latem, czy na Boże Narodzenie?

- Clarisso, kto dzwonił do drzwi? - ponowił pytanie Aaron.

- Jakich drzwi? - spytała Clarissa. Aaron potrząsnął palcem.

- Dobrze wiesz...

Znów zadzwieczał dzwonek. Clarissie przypomniał się marznący na ganku Simon.

- Do tamtych drzwi, Clarisso - rzekł Aaron.

Poderwała się, lecz Aaron wstał szybciej.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział. - Pilnuj rodziców. Zadzwoń po pomoc, jeżeli poczujesz zapach krwi albo siarki.

Z kuchni oprócz szumu wentylatora dobiegały odgłosy kłótni. Matka wykrzykiwała hiszpańskie słowa, których nawet słabo znająca ten język Clarissa nie zrozumiałaby jako „dobry wieczór” albo „czy miałby pan ochotę na kwaśną śmietaną do łososia?”.

Usiadła ciężko jak worek kamieni. Beznadziejna sprawa. Nie mogła już powstrzymać Aarona. Gravy przycupnęła obok Clarissy, która dopiła nerwowo drinka Aarona i zaczęła wygarniać kawałki ananasa.

- Cco się dzieje?

- Suzee przyprowadziła Simona - powiedziała Clarissa, dłubiąc wykałaczką w zębach.

- Mmm. No i... gdzie oni są?

- Suzee siedzi w schowku na szczotki. Simon zaraz wejdzie z Aaronem. Moje życie lada chwila może lec w gruzach, a ja jeszcze się nie upiłam tak, żeby było mi to obojętne.

- Udane przyjęcie zaręczynowe.

- Dziękuję.

- Twój ojciec robi dobre drinki.

- Clarisso? - rzekł Aaron, wchodząc do pokoju. - Przyszli twoi przyjaciele.

Zamknęła oczy i obróciła się w stronę głosu Aarona. Otworzywszy je, ujrzała Jennifer, a obok niej wąsatego Latynosa o bardzo białych zębach i w dużym białym kowbojskim kapeluszu. Latynos wyglądał godnie jak prosty człowiek, który ma zręczne ręce i potrafi nimi pracować.

- Clarisso, to jest Pablo - przedstawiła go Jennifer. - Opowiadałam ci o nim.

- Hej. - Clarissa wstała. Nie przypominała sobie, żeby Jennifer kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch lat wspominała nie tylko o Pablo, ale w ogóle o jakimkolwiek mężczyźnie.

Pablo zdjął kapelusz i ukłonił się.

Skończyła się taśma z kubańską muzyką. Suzee jakby oczyściła płuca i znów denerwująco głośno się rozdarła. W okolicy kuchni trzasnęło rozbite szkło.

- Wszystko w porządku? - spytała Jennifer.

Znowu trzask tłuczonego szkła.

- Uuch. Z takim trzaskiem rozbijają się kryształy z Waterford - zauważyła Gravy.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- Skosztuje pan melonową kulkę, panie Pablo? - spytała Clarissa, biorąc srebrny półmisek.

Simon wkroczył z artylerią, odpowiednikiem „inteligentnej bomby” - tuzinem brzoskwińowych róż.

- Simonie! - Clarissa poderwała się, jakby miała w tyłku stado różowych zajączków na bateriach „Energizer”.

Aaron podniósł się z kanapy i stanął w odpowiedniej odległości - takiej, z jakiej szacują się nawzajem mężczyźni. Simon ucałował Clarissę w oba policzki.

- Pobiegłem do kwaciarni. Pamiętam, że twoja matka przepada za pastelowymi różami.

- Hej, Simonie E. - powiedziała Gravy, wznosząc rękę do toastu. - Przyjęcie zaręczynowe właśnie się rozkręca.

Niech ją cholera, pomyślała Clarissa. Już się upiła, jest za głośna i zachowuje się niestosownie.

Simon popatrzył na Clarisę.

- Przyjęcie zaręczynowe? Suzee nic mi nie... - Rozejrzył się za swoją partnerką.

- Pamiętasz Gravy, Simonie - weszła mu w słowo Clarissa. Jakby to miało wszystko wyjaśnić. - Zdaje się, że poznałeś też Aarona - ciągnęła, zwracając się w stronę swojego (prawie) narzeczonego.

Simon spojrział na Aarona. Uśmiechali się jak rywale. Simon przechylił głowę.

- Tak?

- Tak - rzekł Aaron. Jego uśmiech nie wyrażał żadnego uczucia. - Niedawno, na przyjęciu. - Głos miał obojętny jak synoptyk zapowiadający pogodę w Tucson.

- Poznają tyłu ludzi. Trudno spamiętać - rzekł Simon. - W każdym razie miło mi... - Spojrział na niego z takim zapałem, z jakim szukałby upuszczonego miedziaka.

- Aaron. Aaron Mason.

- Zgadza się.

Uścisk rąk trwał około minuty, aż Clarissa dla odwrócenia ich uwagi podpałiła swą sukienkę zapalniczką - wypróbowała już ten chwyt, nie narażając się wcale na oparzenie. Aaron zarzucił na nią marynarkę i dzielnie oklepał gołymi rękami, a Simon oblał wodą ze szklanki, co wprawdzie zniszczyło jej fryzurę, lecz mimo to podziałało dziwnie odświeżająco.

Nadeszła pora na danie główne.

Teddy i matka Clarissy klócili się przez resztę wieczoru. Ona rzucała mu melodyjne południowoamerykańskie wiązanki, których fragment według Pabla można było przetłumaczyć: „Ty synu koguta z połówką fiuta”. Teddy nazywał ją, między innymi, boliwijską świruską i Ziutą ciągodrutą. Żadne z rodziców Clarissy nie pozostawało przy stole z gośćmi dłużej niż trzydzieści sekund za jednym zasiadem. Clarissa nie zwracała na nich uwagi, chyba że prosiła o drinka albo dokładkę z przygotowanych przez matkę plantanów purée; uważnie natomiast obserwowała Aarona i Simona, pilnując, żeby nie doszło do niepożądanego

wymiany informacji lub ciosów.

Aaron dzielnie podtrzymywał zmienne tematy konwersacji; słuchał z udanym zainteresowaniem Gravy, która potrafiła na przyjęciach perfekcyjnie doprowadzić się do stanu „pijana, ale nie na tyle, żeby wyglądać niechlujnie”, i opisywała najnowsze trendy - platyna kontra białe złoto - w krucyfikсах; posługując się nieco kulejącym hiszpańskim, którego uczył się w szkole średniej, dyskutował z Pablem o wadach i zaletach roślin dwuletnich i wieloletnich; udało mu się nawet uspokoić Suzee po incydencie ze schowkiem - nalał jej szkockiej, poczęstował papierosem i wysłuchał ze współczuciem. Suzee niemal zapomniała o okrucieństwie, z jakim potrafiła odnosić się do przyjaciółki, co wcale nie przeszkodziło jej we wplataniu najdrobniejszych szczegółów w dawną historię Simona i Clarissy. Ta kilka razy uszczypnęła Suzee pod stołem, a potem była zmuszona wbić jej widelec w udo (uderzyła w kość), żeby nie dopuścić do dalszych „zwierzeń”.

Kiedy Suzee wycierała krew (niewiele jej pocięło), Simon ze swadą urodzonego gawędziarza zabawiał towarzystwo opowieściami o trudach pracy w przemyśle muzycznym. Zupełnie jakby brał lekcje u Richarda Burrona, pomyślała Clarissa. Czy opowiadał o Madonnie i pokonywaniu autobusem ostrego wzniesienia na Majorce, czy o Minnie Driver, która zawałiła wokal, śpiewając w chóрку z białym zespołem reggae, przy każdej historyjce podrywał się i naśladował gesty i głosy. Jak często zdarza się ludziom tej branży, był równocześnie zabawny i denerwujący.

Ale mimo wszystko wyglądał dobrze.

Jennifer i Pablo siedzieli obok siebie, Pablo wstawał i odsuwał krzesło Jennifer, gdy odchodziła od stołu, i z zainteresowaniem wysłuchiwał jej anegdot o Najbrzydszych Psach Świata, chociaż było jasne, że jego znajomość języka angielskiego ogranicza się do znaków drogowych.

W sumie można powiedzieć, że kolacja należała do udanych; o dzielącej gości byli tak pochłonięci rozmową, że nikt nie zauważył, iż: a) odgłosy pyskówki ucichły, a z kuchni dobiegają pomruki i pojedyncze okrzyki oraz b) nie podano deseru, słynnego kremu budyniowego, którego Clarissa nie znosiła, a który matka uparła się przygotować.

Clarissa już miała wstać, gdy Aaron zaofiarował się, że pójdzie do kuchni.

- Chcę odnieść talerz - powiedział i pocałował ją w policzek.

Gravy spojrzała na Clarissę, która spojrzała na Jennifer, która spojrzała na Polo, która zamiast spojrzeć na Suzee, kichnęła.

- Czy twoja mama trzyma koty? - spytała.

Simon wstał i poszedł po papierosy - brązowe, importowane fajki o zapachu i smaku niebrukowanej drogi.

Jennifer zachęciła gestem Pabla, żeby towarzyszył Simonowi - Latynos skinął głową i uśmiechnął się, błyskając kamieniami białych zębów.

Dziewczęta zostały same.

Suzee wydała z siebie autentyczne westchnienie.

- Aaron nie jest prawdziwy - rzekła Gravy. - To faksymile człowieka.

- Jest ideałem - powiedziała Jennifer. - Dla ciebie.

- Coś jest z nim bardzo nie w porządku - skomentowała Suzee.

- Masz na myśli to, że się we mnie zakochał? - spytała Clarissa.

- To też - przyznała Suzee.

- Jaki wynik? - spytała Clarissa.

- Dwa do jednego - oceniła Gravy. - Róże to miły gest, ale Aaron biegnie po złoty medal.

Aaron ukazał się w drzwiach pokoju, nadal trzymając talerz w ręku. Poszarzał na twarzy, oczy mu się zaszklily, patrzył tępo, jakby zobaczył śmierć.

- Aaronie? Coś ci zaszkodziło? - spytała Clarissa.

- Nie wchodzi tam - rzekł, siadając.

Clarissa zaczęła się podnosić, ale powstrzymał ją, obejmując w talii.

- Proszę cię, Clarisso. Nie chcesz zobaczyć...

- Coś się stało z kremem? - spytała Gravy.

Aaron potrząsała głową. Akurat w tym momencie do pokoju wpadł Teddy z mamą Clarissy. Wnieśli razem nieporęczny deser - krem budyniowy w kształcie wielkiego jaja. Zrobili się raptem wesoluscy jak rozgadani gospodarze porannych programów telewizyjnych.

Clarissa spostrzegła, że matka ma krzywo zapiętą bluzkę. Wyglądała jak trzylatka, która pierwszy raz samodzielnie się ubrała.

- O mój Boże - rzekła Clarissa.

- Na pieńku do rąbania - szepnął jej do ucha Aaron.

- Przecież... drewno wchłania! - szepnęła.

Chwilę później powrócił Simon z Pabłem, który niespodziewanie przemówił.

- Chciałbym wnieść toast - rzekł nienaganną angielszczyzną. Spojrzał na matkę Clarissy i dodał parę słów po hiszpańsku, na co z uśmiechem skinęła głową. Miał niski głos o kojącym brzmieniu; kiedy mówił w ojczystym języku, zdawało się, że śpiewa kołysankę. - W mojej ojczyźnie, kiedy dwoje ludzi bardzo się kocha, tak jak wy, Clarisso i Aaronie, jest tylko jedno wyjście. Trzeba się pobrać. To wielki zaszczyt, że jestem dziś tutaj z waszymi wspaniałymi przyjaciółmi i rodziną, mogąc być świadkiem waszej miłości i zaangażowania. Jestem głęboko wzruszony. Mam nadzieję, że pewnego dnia mnie też się poszczęści tak jak wam. *Salud!*

Clarissa i Aaron uśmiechnęli się do wznoszącego toast Pabla. Wszyscy goście powtórzyli gest, poruszeni jego przemową, niezrozumiałą w pełni dla nikogo oprócz matki, której oczy błyszczały od wzbierających łez. Nie odezwała się - wiedziała, że tłumaczenie jest niepotrzebne.

Nawet Suzee otarła łzę z gadzinowatego oka.

- Do diabła, co mi tam - rzekł Aaron, wstając (przy czym omal nie przewrócił krzesła) i również wznosząc toast. - Za Clarissę, która mieszka

mi w głowie, zachwyca mnie, złości, odpycha i fascynuje bardziej niż jakakolwiek kobieta w moim życiu.

- Ja byłem tam pierwszy - wymamrotał Simon nad drinkiem.
- Ciii, teraz możesz obejść się smakiem - syknęła Clarissa. Zastanowiło ją, że Simon, który nigdy nie pił, jest pijany.
- Simonie, naucz się przegrywać - upomniała go Gravy.
- Clarisso, kocham cię - wyznał Aaron.

Członkinie Trybunału wypełniły pokój zbiorowym westchnieniem, które zabrzmiało niemal jak chóralny zaśpiew, wszyscy (oprócz Simona robiącego kwaśną minę) stuknęli się kryształowymi szklaneczkami, pilnując, żeby nikogo nie pominąć, a potem jak wygłodzona armia rzucili się na krem z karmelem.

Kiedy przyjęcie, które można by zapisać w annałach jako najgorsze w dziejach ludzkości, dobiegło końca, Clarissa zadała pytanie, nie dające jej spokoju.

- Odpycham cię?
 - Czasami - odparł Aaron, pomagając jej odnieść talerzyki deserowe. (Rodzice poszli do łóżka. Jednego). - Równie często jednak jestem zafascynowany.
 - To tak, jakbyś miał tylko w połowie rację - powiedziała.
 - Wiesz, Clarisso, w tych stronach, skąd pochodzę...
 - W tym stanie, który ma kształt buta? - upewniła się Clarissa.
 - Nie. - Aaron pokręcił głową. - Kształt buta ma państwo o nazwie Włochy.
 - W stanie większym od Alaski.
 - Nie ma stanu większego od Alaski - rzekł Aaron, a jego brwi zetknęły się w kształt stanu zdziwienia.
 - Nie byłam najlepsza z geologii.
- Aaron roześmiał się.
- W Georgii - rzekł. - Pochodzę z Georgii. Otóż w tamtych stronach podtrzymuje się tradycję, że to mężczyzna prosi o rękę.

Clarissa nie odłożyła talerzyka, tylko tarła nieistniejący ślad po kremie; nie miała odwagi spojrzeć Aaronowi w oczy. Widziała tylko jego obnażone przedramiona - rzeźbione, z ciemnymi, lekko zakręconymi włoskami. Będą się ładnie starzeć, pomyślała. Bardzo przypominały ręce Pierce'a Brosnana.

Aaron objął ją tymi rękoma, przyciskając do kuchennego blatu. Clarissa odwróciła się, udając, że się wrywa.

- Tam, skąd ja pochodzę, Aaronie, w południowo-wschodniej części Beverly Hills - wyjaśniła - kobieta, która czeka, aż mężczyzna się oświadczy, pozostaje „singlem”.

Aaron znalazł się raptem bardzo blisko. Clarissa zauważyła niedokładnie ogolone miejsca na twarzy; zwróciła uwagę na ciepły, zachęcający oddech i uporczywe, odważne, pewne siebie spojrzenie. Nagle poczuła się bezbronna.

Szybko otrząsnęła się ze słabości.

- Aaronie. Tylko bez zgrywy. Czy byłeś szczery, kiedy powiedziałeś...

- Nie. Jestem pijany i zazdrosny.

Clarissa otworzyła szeroko oczy.

Aaron roześmiał się.

- Do licha, Clarisso - rzekł. Oczy mu spowaźniały, głos wytrzeźwiał. - Podobam ci się, a ty mnie... nie przepuszczę takiej okazji, ty zresztą też. Zróbmy to.

- Małżeństwo na próbę? - spytała Clarissa.

- Nie. Pójdźmy na całość - zaproponował Aaron.

Potem się całowali. I jeszcze. I jeszcze.

- Tylko, na miłość boską, trzymaj się z daleka od pieńka do rąbania - powiedział, kiedy przerwali pocałunek, żeby odetchnąć.

Goście, którzy jeszcze nie wyszli, zdziwili się, co spowodowało salwy śmiechu w kuchni.

Rozdział ósmy

Przeszły niedokonany

Trzecia zero cztery nad ranem.

Puk.

Książę na białym koniu pędzi przez zielone pola. Ooch. To musi być Anglia.

Puk. Puk. Puk.

Książę zeskakuje z konia, odgarnia pelerynę i zwraca się do urodziwej dziewczeczki, spoczywającej na łożu z płatków róż i uderzająco podobnej do Clarissy - pięknie ufryzowanej i umalowanej.

STUK-STUK, STUK.

Spogląda na nią z miłością, a potem wkłada cylinder i zaczyna stepować.

BZZZ.

- Cholera! - krzyknęła Clarissa.

Zrzuciła z twarzy woreczek napęczniony nasionami lawendy, pomagający jej spać (rzadko zresztą takiej pomocy potrzebowała - służył głównie do tego, by do południa nie dopuszczać do jej oczu promieni słońca). Spojrzała na zegarek, na którym wisiała koszulka - trzecia zero sześć.

Odpowiedź mogła być tylko jedna. A właściwie dwie: a) uprzejmy gwałciiciel; b) amator nocnej randki.

BZZZ.

Clarissa westchnęła, dźwignęła się z łóżka i owinęła kaszmirowym szlafrokiem. Nie bardzo było ją stać na taki luksus, ale uważała, że na niego zasługuje.

Zanim przeszła przez duży pokój do drzwi wejściowych, przystanąła przed zabytkowym lustrem i skontrolowała nos, włosy i zęby.

- Clarissa! - zawył ktoś pod drzwiami.

Clarissa uśmiechnęła się dumnie. Podobało jej się, że komuś aż tak na niej zależy.

Wyrzła przez wizjer.

Nikogo nie zobaczyła.

Wyrzła jeszcze raz.

Nikogo. Nadstawiła ucha. Usłyszała skrobanie i dyszenie. Zaczęła się zastanawiać, czy ktoś się nie masturbuje pod jej drzwiami. Czy sama będzie musiała sprzątnąć ślady, czy też we wtorek zgodnie z umową przyjdzie ogrodnik? Potem przyszło jej na myśl, że pod drzwiami leży ojciec, który dostał zawału i z płaczem żegna się z jedyną córką.

Uznała, że najlepiej będzie, jeśli teraz wróci do łóżka, a za drzwi wyjrzy o przyzwoitej godzinie.

Potem przemyślała to jeszcze raz.

Otworzyła drzwi (nie zwalniając zabezpieczającego łańcucha) i rozejrzała się. Na progu leżała skulona postać, pachnąca europejską męską wodą kolońską.

Wyglądało jednak na to, że intruz jest bardziej senny niż niebezpieczny.

Clarissa trąciła leżącego pantofelkiem wykończonym boa. Jęknął - z akcentem.

- Simon! - powiedziała Clarissa. - Wstawaj!

Simon popatrzył na nią, urażony i bezradny, ale przytomny.

- Niedobrze mi - wymamrotał.

- Nie na progu mojego domu - upomniała go Clarissa. - Co ty wyprawiasz, do cholery? Obudziłeś mnie!

Uklękła i pomogła Simonowi wstać, omal się przy tym nie przewracając, bo pantofelki miały wysokie obcasy i nie były wytrzymałe na ćwiczenia fizyczne.

- Jestem chory z miłości - przyznał, podnosząc na nią oczy. Clarissa spojrzała na niego.

- Wejdz - zaprosiła go z uśmiechem.

Po paru litrach wymśnieniej, gorącej kawy „Faux-Kona” z „Coffee Bean and Tea Leaf Simon okazał się zdolny do krótkiej rozmowy, przerywanej krótkotrwałymi utratami przytomności.

- Przepraszam - rzekł po drugim przebudzeniu. - Widzę cię z tym... czy ty na poważnie, Clarisso?

- Simonie, Aaron i ja pobieramy się. - Clarissa nie owijała w bawełnę.

- Clarisso, on nosi kowbojki. - Simon wypowiedział te słowa błagalnym tonem.

- To łatwo zmienić - odparła. - On jeszcze nie został ujeżdżony, Simonie, inaczej mówiąc, jest niepodobny do ciebie.

- Do ciebie też nie, Clarisso - odciął się Simon. - Jest taki podmiejsko-kowbojski, zupełnie nie w twoim stylu.

Clarissa spojrzała na Simona.

- Aaron bardzo się stara, Simonie. Jest... któregoś dnia miał pantofle od Helmuta Langa.

- Ze skóry aligatora?

- Lakierowanej.

Simon ze smutkiem potrząsnął głową.

- Co się z nami stało, C? - spytał, kładąc jej głowę na ramieniu.

Siedzieli obok siebie, patrząc na nieistniejące płomienie w nieużywanym kominku, gdzie przysiadły, niczym błyszczące motyle, papierki po miniaturowych cukierkach.

- Zerwałeś ze mną - powiedziała.

- Ty pierwsza.

- Tak, ale miałam powód.

- Jeżeli dobrze pamiętam, był nieuprzejmy i bardzo wysoki.

- Byłam młoda... młodsza.

- Czy Aaron wie, ile masz lat? - Simon spojrzał na nią; oczy obracały mu się jak kule bilardowe.

- Oczywiście.

- Czy Aaron zna twój wiek? - wybelkotał. Przypominał Dudleya Moore'a w filmie *Artur*.

- Tak.

- Czy Aaron wie, w którym roku się urodziłaś?
- Potrząsnęła przecząco głową.
- Nie, nie wie. Czwartego twojego pytania nie zniosę.
- Wiem - rzekł Simon. - Więc co zrobimy, panno Clarisso?
- Z czym?
- Z nami.

Clarissa wystawiła dłonie, żeby ogrzać je przy „ogniu”. Potrzebowała chwili spokoju na zebranie myśli, rozproszonych i powolnych jak stare myszy laboratoryjne.

- Simonie. Nie ma żadnych „nas” - powiedziała z przekonaniem, którego nie czuła. - Nie widziałam cię od wieków. Miałam na ciebie czekać? Zanim pojawiłeś się tak niespodziewanie, interesowały cię osoby o skali głosu równej jednej oktawie. Zjesz coś? Umieram z głodu.

- Tamto życie zostawiłem za sobą. Jestem zmęczony, Clarisso. Chcę... - Wątek myśli się zerwał.

- Co chcesz?

- Wiesz.

- Niewiele jest rzeczy, które wiem na pewno. Wiem na pewno, że Aaron mnie kocha i że się pobieramy.

- Clarisso, my do siebie pasujemy... - Simon poruszał rękoma, z pijackim uporem splatając palce. - Powinienem wcześniej na to wpaść... ale tak jakoś zawsze wyobrażałem sobie, że będziesz...

- Czekać na ciebie? - dokończyła Clarissa.

- Ty nie czekasz na nikogo, Clarisso.

- Zjesz coś? - Była zmęczona. Kiedy była zmęczona, czuła głód. Kiedy była niewyspana, również czuła głód. Kiedy po prostu była, czuła głód.

- Pewnie - rzekł Simon.

- Świetnie. „Tommy Burger's” na La Ciénega. Chcę coś podwójnie podwójnego i... bo ja wiem... jakiś koktajl mleczny.

- Nie mogę prowadzić. Chyba zaparkowałem na volkswagenie.

- Boże, muszę się położyć. - Clarissa spojrzała na zegar, który albo

się spieszył, albo się późnił o dwanaście minut, w każdym razie było po czwartej.

- Mogę zostać? - spytał Simon.

- Simon.

- Proszę cię, Clarisso. Nie możesz wyrzucić mnie dziś na dwór. Spójr na mnie.

Clarissa spojrzała. Wyglądał niegroźnie - przybrał minę foki grenlandzkiej.

- Idę spać - powiedziała. - Zobaczymy się rano. To znaczy po *The View*.

- Nawet całusa nie? - spytał, kiedy wstała. - Ani jednego maluskiego, ciupuśkiego całuska na dobranoc?

- Zgubił cię ten maluski, ciupuśki - odparła Clarissa. - A byłam tak blisko. - Ścisnęła dwa palce.

- Opatulę cię kołderką - zaproponował.

Zamknął oczy i znów stracił przytomność.

Clarissa spojrzała na Simona, swojego dawnego chłopaka, leżącego bez czucia na kanapie. I zaczęła go rozbierać.

Nie mogła się powstrzymać.

Najpierw zdjęła mu buty. Od Gucciego.

Potem skarpetki. Czarne, kaszmirowo-jedwabne.

Spodnie. Wiosenna linia Prady.

Portfel. Klasyczny Gucci. (250 dolarów w gotówce; Clarissa wzięła dwadzieścia. No dobrze, dwie dwudziestki - pozwoliła mu przecież zostać na noc).

Bielizna? Oczywiście od Calvina.

Obudziła Simona, pojąc go resztką kawoherbaty, która po sześciu godzinach nie miała już tak wyśmienitego smaku i aromatu.

- Dzień dobry - powiedziała.

Usiadła obok niego, próbując różnych póz, aż utrafiła najbardziej seksowną: „Właśnie wyszłam z buduaru”.

Simon otworzył oczy i osłonił je przed nieistniejącymi promieniami słońca. Przypomniało to Clarissie, jaki jest uroczy, kiedy coś go boli.

- Clarissa. Co się stało? - spytał.

Clarissa pozwoliła swojej szczęce opaść, lecz po chwili uzmysłowiła sobie, że taki wyraz twarzy ją postarza.

- Jak to co się stało?

- Co ty tu robisz? - Zaczął się rozglądać.

- To moje mieszkanie - powiedziała. - To ja powinnam cię o to spytać i spytałam, o trzeciej nad ranem.

- O Boże - westchnął Simon. - I co powiedziałem... byłem zalany w trupa.

Clarissa zgromiła go spojrzeniem.

- Nie całkiem w trupa.

- Co zrobiłem? - spytał. - Chyba nie...

Clarissa uniosła brew.

- Zrobiliśmy to?

- I ty jeszcze pytasz?

- Ach.

- Ach. I to wszystko? - Clarissa zasłoniła dekolt połą szlafroka. Simon nie zasługiwał na widok jej wdzięków. - Prosiłeś, żebym do ciebie wróciła.

- Naprawdę? - zdziwił się. Zamrugął z widocznym bólem, potarł czoło.

- A ja się zgodziłam - dopowiedziała Clarissa. - Więc teraz znów jesteśmy razem. Chyba powinniśmy zacząć obdzwaniać ludzi, nie uważasz?

Simon był zaskoczony.

- Tylko nie mów, że nic nie pamiętasz... - Zaczęła sunąć palcami w górę po jego udzie. - Wciąż powtarzałeś, że byłam najlepsza z tych, które miałeś.

- Naprawdę?

- I ty jeszcze pytasz? A teraz posłuchaj. Aaron przychodzi tu dziś rano. Chciałabym sama mu powiedzieć, więc gdybyś mógł... no wiesz...

Simon wstał, zgarnął spodnie, skarpetki i raptem zastygł.

- Nie. Zostanę. Na wszelki wypadek.

Clarissa spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

- Nie, nie - powiedziała. - Sama sobie z nim poradzę.

- Nie znasz go dobrze, Clarisso. Zostanę i zapanuję nad sytuacją, sam jestem jej winien. A ty... ty idź i rób swoje.

- Słuchaj, Simon. Nie potrzebuję twojej pomocy. - Podniosła jego buty i wsunęła mu do rąk. - Zadzwoń, kiedy będzie po wszystkim.

- Zaczekam przed domem, w samochodzie. Gdyby coś się działo, będę czuwał.

- Nie! - zawołała Clarissa. - Daj spokój, Simon, żartowałam. Ostatniej nocy nic się nie wydarzyło.

- Clarisso. - Simon dotknął jej twarzy. - Oboje wiemy, że było fantastycznie.

- Naprawdę? - Niemal mu uwierzyła, słysząc, jakim głosem to powiedział.

- O tak. Teraz wszystko mi się przypomina - rzekł. - Właściwie... - Wskazał ręką sypialnię.

- Wiesz co? Właśnie coś sobie uprzytomniłam. Jestem umówiona u lekarza. Pilna sprawa.

- Coś ci dolega?

- Nic mi nie jest. To tylko... moja matka. Jest chora. - Clarissa popchnęła Simona w stronę drzwi.

- Serce? - spytał.

- Tak. Wygląda na to, że się kurczy.

Simon pokiwał głową, chłonąc nieprawdziwą informację.

- Clarisso. Myślę, że teraz naprawdę by się nam udało.

Clarissa spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie mówisz tak tylko dlatego, że już nie jestem wolna?

- C. Wydoroślałem - odparł Simon z uśmiechem. - Wiem, czego chcę.

Clarissa uśmiechnęła się i posłała go za drzwi. Kiedy wyszedł, stała przez chwilę, drapiąc się w głowę.

- Wydoroślał? - burknęła Gravy. - Toż to Piotruś Pan bez rajstop.

- Nie myślisz chyba, że mnie wymanewrował, co? - spytała Clarissa.

- Czy to możliwe?

Dziewczyny wybierały odpowiedni pierścionek zaręczynowy u Tiffany'ego. Gravy, lecząca się z kaca i z odniesionych, jak zwykle na przyjęciu, obrażeń w sferze poczucia własnej wartości, chętnie włożyłaby ciemne okulary, osłaniające całe ciało.

- Clarisso. Słuchaj - rzekła. - Simon jest więcej niż rozkoszny, jest chłopakiem z plakatu, ideałem dla przedziału wiekowego od dziewiętnastu do dwudziestu czterech lat. Ale on nigdy nie dorośnie.

- Podoba mi się kanarkowy, a wam? - powiedziała Clarissa.

- Ten, który kosztuje sto dwanaście tysięcy dolarów?

- Za drogo? - spytała Clarissa.

Gravy podniosła rękę. Na lewej lśnił brylant, dwa i pół karata, o szmaragdowym szlifie, na prawej zaś - jeden i trzy czwarte karata, okrągły, otoczony bagietami.

- Który? - spytała Gravy. Clarissa spojrzała na nią. - Który bardziej ci się podoba?

- Nie jestem pewna - odparła Clarissa. - Naprawdę nie jestem pewna. Jak to możliwe?

Gravy położyła upierścienione dłonie na ramionach Clarissy.

- Który pierścionek, Clarisso. Mówię o pierścionkach.

Później tego samego dnia Clarissa i Aaron słuchali organizatorki wesela, o twarzy jak szuflada na skarpety, w jasnoróżowym, delikatnie oświetlonym pokoiku nieopodal trawnika, na którym wkrótce mieli złożyć przysięgę małżeńską. Aaronowi bardzo zależało na tym, żeby jego wesele nie było jak spod sztancy, więc zadawał mnóstwo pytań: „Ilu gości możemy zaprosić?”, „Czy zamiast łososia możemy podać burgera «In-and-Out»?”, „Czy zamiast *Marsza weselnego* można zagrać *Freebird* zespołu Lynyrd Skynyrd?”. Organizatorka nawet okiem nie mrugnęła, ani razu nie westchnęła, uśmiech nie schodził jej z twarzy. Własnymi słowami powtarzała pytania Aarona, zwracając się do Clarissy, która trzymała go za rękę i prowadziła ścieżką rozumowania organizatorki

- ścieżką prowadzącą do ich wesela, imprezy, jak się obawiał, wystawnej i nieoryginalnej.

Potem pojechali do domu Aarona - gdy trzymając się za ręce, wchodzili po spiralnych schodach do sypialni, Clarissa w myślach przemalowywała ściany, unowocześniała, wybierała gamy kolorystyczne i „motywy” pokoi.

Aaron obrócił Clarissę twarzą do siebie. Zaczął ją rozbierać. Powoli. Bardzo powoli.

- Ach. Po co tyle guzików? - spytał.

Clarissa przekleła nową jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej, z niemożliwymi guziczkami. Westchnęła i zdarła z siebie bluzkę.

- Ładne - powiedział Aaron, oceniając obfite dobra.

- Obyś był ich wart - odparła Clarissa.

Aaron uśmiechnął się, zsunął jej koronkowy string i zawiesił sobie na nosie; Clarissa roześmiała się, sięgnęła po skąpy fragment bielizny i cisnęła w kąt.

Aaron pchnął ją na łóżko, uniósł spódnice, wsunął pod dolną część ciała obie dłonie, przyciągnął do twarzy...

- Ja piórkuję - westchnęła Clarissa.

Wzięli się do miłosnej uczty, pieszcząc nagą skórę, splatając dłonie, śmiało patrząc sobie w oczy, zupełnie zapominając o jedzeniu i picu - trwało to jeszcze długo po tym, jak Jay Leno przedstawił swojego ostatniego gościa.

Kiedy skończyli, Clarissa padła wyczerpana na poduszkę i leżała z rozłożonymi rękami i nogami, pławiąc się w aurze swojej zdobyczy: nieuchwytnego Bzykania z Miłości.

Odwróciła się do leżącego obok Aarona i przyjrzała się łukowi nosa, zaokrągleniu pełnej wargi.

- Ile jest pokoi? - spytała.

- Osiemnaście - odparł, nie otwierając oczu. - A co?

- Zostało nam siedemnaście.

Aaron uśmiechnął się.

Rozdział dziewiąty

Oto intercyza, hmm, panna młoda

O poranku, w dniu ślubu z Aaronem, Clarissa włożyła suknię od Very Wang w pokoju hotelu „Bel Air”, pośród otwartych butelek szampana i koszów z owocami.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Mama Clarissy pobiegła otworzyć. Clarissa chętnie straciłaby jej z głowy „przystrajające” ją brzydactwo, ale matka uparła się, że włoży landrynkoworóżowy atlasowy kapelusz obszyty perełkami; wyglądała, jakby miała na głowie wielkie pudło na ciastka.

Matka wróciła z miną pieska chihuahua oślepionego światłami samochodu, a za nią, ostrożnie stąpając, wszedł jakiś mężczyzna.

- Clariisa - powiedziała matka głośniejszym niż zazwyczaj i z silniejszym niż normalnie akcentem boliwijskiej Żydówki.

Zły znak.

- O co chodzi? - Clarissa zwróciła się do przybysza.

Wyglądał jak nadgorliwy księgowy w złym roku podatkowym. Nosił okulary w drucianej oprawie i trzymał w jednej ręce teczkę, a w drugiej plik papierów.

- Nazywam się Keith Slocum - przedstawił się. - Jestem pełnomocnikiem rodziny Masonów.

Próbował uściśnąć dłoń Clarissy, ale machnęła na niego ręką, zataczając łuk w powietrzu, jakby chciała utłuc muchę.

- Domyśla się pani, dlaczego tu jestem - rzekł Slocum.

Wyglądał, jakby nie pierwszy raz został potraktowany jak mucha, którą chce się utłuc.

Clarissa cofnęła się i wyciągnęła świeżo upierścienioną dłoń; matka wsunęła do niej kieliszek szampana.

- A więc Aaron przysłał pełnomocnika rodziny. - Clarissa uśmiechnęła się. - Zaczynamy grę.

Wychyliła szampana. Poprosiła gestem o napełnienie kieliszka.

- Rodzina pana Aarona przygotowała dla pani dokumenty do podpisania. - Keith postawił teczkę.

Clarissa zmarszczyła nos, wciągając powietrze, jakby wywęszyła truchło małego gryzonia.

- Niczego nie podpiszę - oświadczyła. Ściągnęła rękawiczkę i znów pomachała kieliszkiem w stronę matki. - Raz-dwa - upomniała się o następny.

Matka spełniła życzenie.

- Przekona się pani, że warunki są uczciwe.

Clarissa ściągnęła drugą rękawiczkę.

- Może jest pan również głuchy, nie tylko niedowidzący - rzekła. - Niczego nie podpiszę. - Zdjęła pantofle od Jimmy'ego Choo: jedwab w kolorze skorupki jajka, spiczasty czubek, ponad siedmiocentymetrowy obcas.

Włożyła je pełnomocnikowi do rąk.

- W dzisiejszych czasach interczy są rzeczą normalną - rzekł. - Zapewniam panią, że nie ma niczego niestosownego...

Clarissa zsunęła nylony - od Calvina Kleina, cieliste, błyszczące, samopodtrzymujące się, ze stopkami sandałowymi - i ułożyła je starannie na pantoflach.

Adwokat Keith, przewodniczący klubu dyskusyjnego na Uniwersytecie Pensylwanii, absolwent (dyplom z wyróżnieniem) Wydziału Prawa Uniwersytetu Yale, tracił grunt pod nogami. Sokrates nie wspominał o Clarissie Reginie Alpert.

- Bardzo panią proszę, przyszedłem tylko po pani podpis - zaczął błagać.

Clarissa wiedziała, że złapała go na lep Bzykania z Litości; zmianę w

jego głosie odczytała jako oznakę kapitulacji. Nieraz się z tym spotkała przez lata flirtowania: „Proszę, umów się ze mną”, „Proszę, nie mów nic mojej żonie”, „Proszę, nie narażaj na szwank oceny mojej zdolności kredytowej”.

- Mamo, odprowadź, z łaski swojej, tego... prawnika do drzwi - powiedziała Clarissa, odwracając się plecami. - Możesz mnie rozpiąć?

- Clarisso...

- Mamo, suwak.

- Nie! Niczego ci nie rozepnę! - zaprotestowała matka.

- Może pan prawnik? - spytała Clarissa, obracając się do niego tyłem.

- Uparciucha! - krzyknęła matka.

- Panno Alpert, mojemu klientowi zależy jedynie na zabezpieczeniu interesów rodziny. Na pewno pani to rozumie - powiedział, przestępując z nogi na nogę. Głos miał coraz wyższy.

Clarissa wreszcie rozpięła suwak.

- Och! - jęknęła matka, siadając na kozetce i wachlując się.

Clarissa, w skąpej bieliźnie „La Perla”, odwróciła się do adwokata Keitha Slocuma i stwierdziła rzecz oczywistą:

- Clarissa Regina Alpert nie podpisuje intercyz.

Następnie rozpięła stanik i podała go pełnomocnikowi.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł, przyciskając do piersi intymną część garderoby.

- Intercyza pomniejsza wszystko, co sobą reprezentuję.

Adwokat ani drgnął; nigdzie mu się nie spieszyło.

- Szanuję pani... zdanie.

- Mami! - krzyknęła matka do koralowego sufitu. - Weź mnie!

- Mamo, proszę cię, nigdzie nie odchodź - rzekła Clarissa. Odwróciła się do adwokata. - Proszę powiedzieć Aaronowi, że go kocham - poleciła i wyprowadziła za drzwi oszołomionego Keitha Slocuma, który nie wypuszczał z rąk jej pantofli, pończoch i stanika.

- Może zechciałaby pani kiedyś zjeść ze mną lunch? - zaproponował.
- Nie - odparła Clarissa. - Och, proszę powiedzieć Aaronowi... że go kochałam. Kochałam, dobrze? W czasie przeszłym. To bardzo ważne.

Złapała swoje rzeczy i zamknęła drzwi. Matka patrzyła na nią i potrzasała głową.

- No co? Powiedz, że potrząsas łepetynką, bo jesteś nim bardzo rozczarowana.

- Jesteś naga! - wrzasnęła matka.

Clarissa powoli przedefilowała do łazienki, uważając, żeby nie rozlać szampana. Wsunęła się w przepastny szlafrok i od razu poczuła się ważniejsza.

- Czemu jesteś taka głupia? W dzisiejszych czasach wszyscy podpisują interczy! - Matka poderwała się z kozetki tak raptownie, że aż spadł jej kapelusz.

Clarissa podniosła go z podłogi, otrzepała i wyrzuciła przez okno.

Matka podbiegła do okna, jakby wypadło przez nie dziecko.

- Mój kapelusz! - krzyknęła. - Dwieście dolarów, mój kapelusz!

Clarissa rozsiadła się i sięgnęła po magazyn.

- Mamo, marzy mi się, żebyś miała do mnie trochę zaufania.

- Pójdę i wszystkim powiem. - Matka skubnęła sukienkę, zdejmując niewidoczny pyłek, i wciągnęła nieistniejący brzuch. Wyglądała jak Fidel Castro wcielony w drobną kobietę.

- Co powiesz?

- Ślubu nie będzie - odparła matka. Jej głos zabrzmiał tak, jakby zahaczył o drut kolczasty; nastroszyła przyklepane kapeluszem włosy.

- Mamo. Oczywiście, że ślub się odbędzie - rzekła śpiewnie Clarissa. Podeszła i objęła matkę, żeby podnieść ją na duchu. - Usiądź, mamo. Wypij jeszcze jeden koktajl.

Pięć minut później w drzwiach stanął Aaron. Wyglądał tak rozkosznie

w smokingu, że Clarissa omal się nie rozplakała - ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że wydała pięćset dolarów na makijaż.

- Pani Alpert - zwrócił się do matki Clarissy i pocałował ją w policzek. - Mam nadzieję, że nie zdenerwowałem pani.

- Och, nie - zapewniła matka, machając ręką w stronę Clarissy. - Wyrzuciła mój kapelusz, taka z niej córka.

- Był brzydki. Musiał wylecieć.

- Kupię pani drugi - zaoferował się Aaron. - Ale i bez kapelusza wygląda pani pięknie.

- Moje włosy - rzekła matka.

- Wspaniale - zapewnił Aaron.

Clarissie wydało się, że jej stara, pomarszczona matka się rumieni.

- A teraz ty. - Aaron odwrócił się do Clarissy. - Co miało znaczyć to rozbieranie się do naga przed pełnomocnikiem rodziny?

- Był niegrzeczny.

- Mój Boże, do czego by doszło, gdyby był miły?

Aaron spojrział na matkę Clarissy.

- Czy mogłaby pani zostawić nas samych, pani Alpert?

- Mamo - odpowiedziała matka.

Clarissa przewróciła oczami, aż ją zaboląły.

- Mamo - powtórzył posłusznie Aaron.

- Słuchaj go. - Wymierzyła palec w córkę. I wyszła. Clarissa знаła ten krok - matka starała się kroczyć jak paw, ale przypominała raczej przepiórkę. Aaron obrócił się do Clarissy.

- A więc to tak.

- A więc to tak.

- Nie podpiszesz.

- Nie.

Aaron usiadł. Nagle jakby się postarzał. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat.

- Clarisso, podejdź do mnie. - Wyciągnął rękę.

- Nie.

- Podejdz. Usiadła przy nim.

- Zamknij oczy - polecil.

- Dlaczego?

- Bo cię o to proszę.

Zamknęła oczy.

- Chcę, żebyś coś sobie wyobraziła, a potem powiedziała, co naprawdę czujesz.

- Okay - odparła, choć uznała, że to dziwne ćwiczenie; przypominało nieudane próby medytacji.

- Ty i ja jesteśmy świeżo po ślubie - rzekł Aaron. - Nie mamy pieniędzy, dopiero zaczynamy się dorabiać.

Clarissa uśmiechnęła się.

- Wyobraż sobie, że naprawdę tak jest, dobrze?

Skinęła głową. Przestała się uśmiechać.

- Jeżdżę... toyotą. Ty jeździsz mazdą albo fordem.

- Explorerm?

- Używany.

- Ostatnim modelem?

- Z połowy lat dziewięćdziesiątych.

- Odtwarzacz CD?

- Clarisso. - Aaron umilkł na krótką chwilę, po czym mówił dalej. - Jemy kolację w restauracji najwyżej kilka razy w miesiącu, w takich lokalach jak „El Torito” albo „Coogie's”. Chodzimy do kina rzadziej niż... może dwa razy w miesiącu. Zbieramy kupony rabatowe, sami tankujemy benzynę, sami płacimy rachunki, sami bilansujemy książeczkę czekową. Chodzimy do parku, chodzimy do muzeum. Robimy rzeczy, które niewiele kosztują. Nie chodzimy na zakupy. Marzymy o dzieciach, ale nie stać nas na nie.

Clarissa głęboko odetchnęła.

- Pytanie brzmi: czy nadal mnie kochasz?

Wciąż miała zamknięte oczy.

- Czy nadal jesteś uroczy? - spytała, unosząc powieki.

Aaron ujął Clarissę pod brodę i nakierował na siebie jej spojrzenie.

- Clarisso. Muszę wiedzieć... Czy gdybym nie był bogaty, nadal byś mnie kochała?

Popatrzyła na siedzącego przed nią mężczyznę. Wzięła głęboki oddech (omal nie doprowadziła się do hiperwentylacji).

A potem pocałowała Aarona.

Zawarła odpowiedź w pocałunku.

Dwadzieścia minut później szła do ołtarza. Bez intercyzy.

Oczywiścieomal się nie potknęła, kiedy ujrzała Simona - garnitur Issey a Miyake z jesieni 1989 roku, krawat od Armaniego, melonik na kolanach (ryzykowne!), buty ze skóry aligatora - siedział po lewej, w trzecim rzędzie, tuż za jej ciotką Margie, tą z chorymi nerkami.

Udała, że go nie widzi.

Rozdział dziesiąty

Po ślubie

- *Chodigoledigera, codigo tudigu rodigobi Sidigimodigori?! (W przekładzie na normalny język: „Cholera, co tu robi Simon?!”)*

Clarissa stała w olbrzymiej toalecie w kolorze stonowanej brzoskwini w „Bel Air”, tuż przy olbrzymiej sali balowej w kolorze stonowanej brzoskwini, i krzyczała do paczki piczek (jak inaczej nazywał się Trybunał). Tak jak bardziej błyskotliwi ludzie potrafią bez trudu przeskakiwać z jednego wyrafinowanego klasycznego języka na drugi (francuski, hiszpański, włoski), członkinie Trybunału posiadały zdumiewającą biegłość w przerzucaniu się z amerykańskiego Zachodniej Doliny (absolutnie, ba, no wiesz, spoko) na język „gi”, wykorzystujący głoskę „d” równie często, a nawet częściej niż porzucone „g”.

- Wszystkie wiemy, kto za tym stoi - rzekła Gravy.

Trach. Otworzyły się drzwi.

- Simon jest absolutnie boski! - Suzee wkroczyła niespiesznie jak paradny koń Lipizzaner w specjalnym programie gwiazdkowym Donny'ego i Marie Osmondów.

- Nie zaryglowałaś drzwi? - zdziwiła się Jen.

- Sudiguka! - rzuciła Gravy.

- Pani Sudiguka dla ciebie, Gravy. - Suzee uśmiechnęła się. - Miałam pełne prawo zaprosić Simona. Czy na zaproszeniu nie było napisane „wraz z osobą towarzyszącą”?

- „Osoba towarzysząca” nie oznaczała byłego chłopaka Clarissy.
- Nie było napisane „wraz z osobą towarzyszącą, z wyjątkiem wszystkich, z którymi Clarissa umawiała się na randkę”. Chryste, połowa mężczyzn byłaby wykluczona.

- Nie doceniasz mnie, Zła - odgryzła się Clarissa. - Oceniam, że przeszło dwie trzecie. - Opamiętała się. W końcu to był jej dzień, jej godzina chwały. Niech mnie diabli, pomyślała, jeżeli pozwolę, żeby jakaś wredna, złośliwa suka (choćby nawet bliska przyjaciółka), zrujnowała...

- Mogę w czymś pomóc? - spytał znajomy głos.

Trybunał obrócił się i zobaczył Aarona, który stał z rękoma w kieszeniach, opierając się na zdrowej pięcie, i wyglądał jak „zbyt przystojny, a więc skazany na przegraną”, antybohater F. Scotta Fitzgeralda.

- Chryste - szepnęła Gravy.

- Och, on się nie objawił - odparł Aaron. - Ale paru apostołów ruszyło w tango...

- Uwielbiam, kiedy mówisz slangiem getta - powiedziała Clarissa, przyklejając się do ramienia Aarona i wyprowadzając go z damskiej toalety.

- Powiesz mi, co się stało? - spytał Aaron, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wścibskich uszu. Wyraz jego twarzy skłoniłby do wyznań szpiega z czasów zimnej wojny. - Wszystkim się teraz dzielimy, Clarisso. Sekretami też.

W tym momencie ujrzała biegnący w jej stronę różowy kapelusz - najwyraźniej matka wyciągnęła kłujące w oczy szkaradzieństwo za dwieście dolarów z ogrodu na parterze.

- Clariiiiisa, gdzieżeś ty się podziewała? Trzeba witać gości!

Clarissa spojrzała na Aarona.

- To nic takiego, Aaronie. Daję słowo. - Zdziwiła samą siebie; powiedziała to szczerze.

Wydarzenia, jakie rozegrały się podczas witania gości, podkopały przekonanie Clarissy. Stała obok Aarona, przyjmując najlepsze życzenia

z chłodnym opanowaniem młodej Grace Kelly. Czuli się jak księżniczka między poddanymi. Czekali na tę chwilę całe życie, przygotowywali się do wesela godnego uwiecznienia w „Town and Country” - i, szczerze mówiąc, właściwie tylko do tego.

Westchnęła z satysfakcją, jaka mogłaby wieńczyć dzieło życia. Dwieście najbliższych, najukochańszych (najbogatszych) przyjaciółek zebrało się pod jednym dachem i wszystkie spoglądały na nią zawistnie. Rzuciła okiem na rząd pięknych druzhen (na Gravy, podciągając sukienkę; na Jennifer, wycierając tusz spod wiecznie wilgotnych oczu; na Polo, kichającą w rękawiczki; na Suzee, z przyklejonym do twarzy uśmiechem i błędnym wejrzeniem kobiety, której przyjaciółka pierwsza wychodzi za mąż) i przystojnych dżentelmenów, poleconych Aaronowi przez nią samą z powodu braku czasu: na Maxiego Reese'a, agenta, którego komórka zagrała w trakcie ceremonii zaślubin motyw z *Batmana*; na Toma Sizemana, który stworzył najmodniejsze nocne kluby w Los Angeles i którego nazwisko, Rozmiarowy, dobrze oddawało istotę rzeczy; na Jonesiego Morrisa, znanego kierownika studia nagrań - jedyne Murzyna, który razem z Clarissą ukończył szkołę średnią (jego ojciec zdobył sławę jako zawodowy śpiewak operowy); i na Tony'ego B., który nie mógł przestać się śmiać. Clarissa spała z nimi wszystkimi, z Tonym włącznie, gdy pozwolił sobie na rzadki „wypad na ciemną stronę”, jak nazywał stosunek heteroseksualny.

- Trzymasz się? - spytał Aaron.

- Mogłabym codziennie wychodzić za mąż - odparła Clarissa.

Obróciła się do ciotki ze strony matki i wysłuchiwała jej życzeń, zastanawiając się, czy ta kobieta o napiętej cerze ma z tyłu głowy węzeł starej skóry.

- Simon - rzekł Aaron. Przesuwający się w kolejce Simon stanął przed nim twarzą w twarz. - Jak się masz?

- Moje gratulacje - powiedział Simon do Aarona. - Zwyciężył najlepszy i tak dalej. Clarissa to zdumiewająca dziewczyna. Jedyna w swoim rodzaju.

Rozmowa ta, jak dla Clarissy, przybrała zbyt serdeczny ton.

- Czy ktoś mógłby rozbić tę glinianą formę? - powiedziała Clarissa. Fałszywa skromność nie należała do jej ulubionych rozrywek, a dodać trzeba, że wszelką skromność uważała za fałszywą.

Chciała, żeby Simon poszedł dalej, ale on wciąż tkwił w miejscu.

- Moja pierwsza miłość - rzekł Simon.

- Jesteśmy prawie kuzynami - rzuciła Clarissa.

- Rety, Simon, dopiero trzeci facet mi to mówi - odparł Aaron, lekką ręką odsuwając od siebie głębsze znaczenia. - Poszczęściło mi się.

Clarissa ukryła twarz w ramieniu męża.

- Wszystkiego najlepszego, C - powiedział Simon. Cmoknął ją lekko w policzek, pozostawiając wilgotny punkt, jakby pocałowało ją dziecko. Pachniał sosną, żelem do kąpeli „Neutrogena” i wspomnieniami ze szkolnych lat.

Clarissa nie starła mokrej plamki. Powitała następnego gościa, myśląc o tym, kiedy będzie mogła się czegoś napić.

Garść migawek z przyjęcia:

1. Gravy, po czterech drinkach i dawce ecstazy, dogaduje się z wujkiem Clarissy, Bobem, sześćdziesięcioletnim proktologiem z tupecikiem wyglądającym jak przejechane na drodze zwierzątko.

2. Polo, w odsłaniającej pośladki sukience od Versace, jest pilnie śledzona przez zastęp piętnastolatków, dumnych ze smokingów i młodocianych erekcji.

3. Jennifer stoi nieśmiało z boku, gdy panna młoda rzuca bukiet; bukiet, jak zaczarowany, jakby niesiony litościwym podmuchem wiatru, ląduje w jej delikatnych dłoniach.

4. Suzee podcina nogę Jennifer, gdy ta łapie bukiet.

5. Jennifer wyrywa bukiet Suzee i krzyczy: „Chcesz dostać?!”.

6. Tom Sizeman szczypie Clarissę w tyłek, gdy ona mija go w powolnym tańcu z ojcem.

7. Jennifer wymiotuje w łazience, nie wypuszczając z ręki przywiedłego bukietu.

8. Jonesie Morris pyta Clarissę, czy chce zrobić „Sonny'ego Corleone” (to znaczy: pójść się pieprzyć, a nie wpaść w zasadzkę i zginąć z ręki gangsterów).

9. Mama Clarissy tańczy z Aaronem przy dźwiękach *Moon River* Henry'ego Manciniego (niezbyt wdzięcznie - zespół grał tak sobie).

10. Simon tańczy breakdance na plecach do piosenki *Play That Funky Music* zespołu Wild Cherry, na co z przerażeniem patrzy jego partnerka, Suzee.

11. Aaron i Teddy rozmawiają w ogrodzie, palą cygara i wdychają z rozkoszą wieczorne powietrze.

Tuż przed trzecią nad ranem Clarissa, nadal w ślubnej sukni, usiadła na łóżku w apartamencie dla nowożeńców, zamknęła oczy i skupiła się na wspomnieniach, które miała zachować do końca życia i opowiadać dzieciom oraz wnukom.

Myślała o historiach, które opowiadały jej matka i babka - jak rodzice się poznali, szybko zakochali i po paru tygodniach pobrali mimo protestów własnych rodziców. Jak babka, będąc nastolatką, uciekła z młodym wieśniakiem, którego знаła zaledwie dwie noce i który później został bohaterem wojennym.

Ale Clarissa nie była taka młoda jak ona i miała wątpliwości, choć między nią a Aaronem iskrzyło. „Czy Aaron to właśnie ten jedyny?” - spytała swoje odbicie w lustrze, częściowo zasłonięte oczyszczającym pory paskiem „Biorę”.

Czy też był „jedynym”, którego udało jej się zaciągnąć, półprzytomnego, pod chupę?

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Aarona wychodzącego z łazienki i nucącego coś w stylu Sinatry. Ciekawe, czy za dziesięć lat to nucenie

zacznie mi działać na nerwy, pomyślała. Ogarnęła ją raptem chęć, żeby „zrobić Carla Lewisa” i wybiec z apartamentu.

Poderwała się z zasłanego płatkami róż łóżka. Aaron zaczął kichać.

- Alergia - wyjaśnił, po czym zgarnął płatki i wrzucił je do poszewki na poduszkę.

Clarissa poszła do łazienki, kołysząc się w pantoflach od Jimmy'ego Choo. Nie zamierzała ich zdejmować.

- Żyjesz? - spytał Aaron po piętnastu minutach od chwili, gdy zamknęły się za nią drzwi łazienki.

- Chyba za dużo wypiałam - odparła.

Na umywalce z włoskiego marmuru leżał nesesor Clarissy. Zawierał standardowe wyposażenie: przybory toaletowe, maszynkę do golenia, kosmetyczkę, szczotkę do włosów, należący do matki płyn do rąk, gumową gruszkę.

Gumową gruszkę?

- Hej, pani Mason, pani mąż jest coraz bardziej zmęczony! - zawołał Aaron.

Clarissa uśmiechnęła się. Udało jej się zrobić siusiu bez zdejmowania sukienki. Zastanawiała się, czy w taki sam sposób mogłaby również uprawiać seks.

Wyszła z łazienki. Aaron już rozstawił część pluszowej menażerii. Omówili wcześniej warunki nocy poślubnej - uzgodnili, że tę noc spędzą z nimi trzy zwierzątka.

- Podobają mi się szorty - powiedziała Clarissa, podchodząc.

- Podoba mi się sukienka - powiedział Aaron. - Chętnie sprawdzę, czy starannie przyszyto paciorki.

- Będę w niej spała - zapowiedziała Clarissa, kładąc się. - Jeszcze nie jestem gotowa, żeby ją zdjąć.

- Jakoś damy sobie radę - rzekł Aaron.

Leżeli twarzą w twarz.

- Podziwiam twoją wytrwałość.

- A ja twoją.

- Co jeszcze podziwiasz? - spytała. Podobała jej się ta gra.

- Podziwiam twoje usta. - Pocałował ją. - Podziwiam twoją skórę - dodał, przesuwając twarz wzdłuż jej szyi. - Podziwiam twoją inicjatywę - dodał, całując zagłębienie nad piersiami.

- Która z nich to Inicjatywa? - spytała Clarissa.

- Podziwiam ciebie - rzekł Aaron. - Podziwiam moją żonę.

Clarissa zarumieniła się. Rzadko jej się to zdarzało. Spojrzała na nocną szafkę i prezerwatywy w złotym opakowaniu.

- Podziwiam twoje magnum - powiedziała.

Potem były iskry, płomień, fajerwerki, a na koniec ogniki papierosów w pokoju dla niepalących.

Nieco później zaś, gdy jej świeżo poślubiony mąż o dziecinnej twarzy spał jak kłoda, Clarissa zamknęła się na pół godziny w łazience.

Jej kolejny postępek można wytłumaczyć następująco: Clarissa wiedziała, że przed upływem roku zajdzie w ciążę. Więc po co czekać? Była nade wszystko dziewczyną praktyczną, O genialnym sposobie wykorzystania gumowej gruszki do polewania indyka przeczytała w artykule, w którym zawodnik baseballu, pozwany w sprawie o ojcostwo (szokujące), oskarżył jedną z poznanych na trasie „przyjaciółek”, że użyła gumowej gruszki i napełnionego spermą kondomu, aby zająć w ciążę.

Tak więc Clarissa zaofiarowała się, że wyrzuci zużyte kondomy, ale zamiast spuścić z wodą nieszczęsną, aczkolwiek cenną na rynku spermę, wzięła gruszkę (wygotowaną poprzedniego dnia przed dwadzieścia minut w celu zabicia bakterii - Clarissa miała okazję pierwszy raz skorzystać z Kuchenki - i zamkniętą w szczelnej torebce), odessała spermę Aarona, no i...

Położyła się, nadal w sukni ślubnej (dotrzymała słowa), wsunęła w siebie zakończenie gruszki i powędrowała nogami w górę po ścianie łazienki, aż zrobiła półświecę. I w takiej pozycji pozostała, krągłą pupą opierając się o zimne kafelki i sprawdzając w myślach, jakie imiona brzmią dobrze z „Mason”.

Potem uzmysłowiła sobie, kogo zabrakło na jej ślubie - rodziców Aarona. Mieli przylecieć rano, bo nie zdążyli na lot poprzedniego dnia. Starszy Mason, Joe III (zgodnie ze szczególną lokalną tradycją dostał imię po ojcu i dziadku), był doskonałym biznesmenem; z prowadzonego przez dziadka sklepiku z towarami za pięć i dziesięć centów rozwinął sieć handlową trzecią co do wielkości w Stanach; niestety, jego skąpstwo było przysłowiowe. Cinnamon, matka Aarona, mimo korzennego imienia, w oczach wielkemiejskiej Clarissy wypadła bezbarwnie. Na każdym zdjęciu (nowa) teściowa wyglądała nijako jak Betty Crocker z pudełka z ciastem w proszku. Albo prezydentowa Lady Bird Johnson.

Clarissa pomyślała, że musi zapamiętać, w jakim stanie mieszkają. Chciała zrobić dobre wrażenie na swojej nowej rodzinie.

Zakonotowała też sobie, żeby przedstawić Masonom zalety posiadania G-IV albo V, albo jeszcze inaczej, poczynając od tej, że żaden właściciel prywatnego odrzutowca jeszcze się nie spóźnił na samolot. Clarissa miała mnóstwo planów dla nowej rodziny; współczuła teściom, że tak mało się cieszą z posiadanych pieniędzy. Postanowiła wzbogacić ich życie - uszczuplając fundusze inwestycyjne. Joe III i Cinnamon musieli ją pokochać.

Lekko się zaniepokoiła tym, że Aaron nie wspomniał ani słowem o nieobecności rodziców. Potem się uśmiechnęła. To jasne, dlaczego nic nie mówił; nie chciał rzucać cienia na jej wielki dzień.

Przecież tak się cieszyła, że wreszcie pozna teściów.

Rozdział jedenasty

Zakończenie wcale nie jak w bajce

Clarissa obudziła się i zobaczyła, że Aaron pakuje torbę. Jej torba już była zapakowana. Pogratulowała sobie zdobycia tak troskliwego męża.

- Sapciu? - powiedziała. Imię Sapcio nosił brązowy pluszowy miś z kolekcji Aarona.

Aaron uśmiechnął się jak ktoś, kto chowa w zanadru nie lada sekret.

- Dlaczego już się pakujesz? - spytała Clarissa. Przerzuciła nogi przez brzeg łóżka.

Nadal miała na sobie ślubną suknię.

- Cóż - rzekł Aaron, zaciągając suwak neseseru „Tumi”. Spojrzał na Clarissę. - Mam... wiadomość.

- Wiadomość? - powtórzyła. - Chcesz powiedzieć: dobrą wiadomość. Bo kiedy ktoś zaczyna od słowa „wiadomość”, Aaronie, to zwykle potem mówi o śmierci, pożarze samochodu, albo... - zmrużyła oczy tak, że przestała go widzieć - innej kobiecie.

- O mój Boże, nie. Nie o innej kobiecie. Ledwie daję sobie radę z tobą.

Zaczął się śmiać i chodzić po pokoju, a Clarissa całkiem poważnie pomyślała, że pora na interwencję. W jej głowie zaczęły układać się plany na trzytygodniową rehabilitację Aarona poza miastem. Przyjemnie byłoby w Canyon Ranch, a może w tym nowym hotelu w Baja.

- Clarisso. Nie potrafię tego inaczej powiedzieć. Zostałem wydziedziczony.

Clarissa nigdy dotąd nie otarła się o śmierć. Nie przeżyła ataku serca, nie topiła się, żaden krewny nie biegał koło niej z nożem. Była jednak przekonana, że odczuwając palpacje, przyspieszony oddech, nagły brak tlenu - to wszystko naraz - ociera się o śmierć.

Obudziła się na podłodze, z poduszką pod stopami i Aaronem wachlującym jej głowę hotelową serwetką.

- Clarisso? - mówił Aaron. - Clarisso?

- Zapal światło... nic nie widzę... - Z wielkim trudem próbowała się podnieść.

Aaron oparł ją plecami o łóżko.

- Padłaś jak worek cegieł. Nigdy nie widziałem...

- Wody. Muszę się napić wody.

Aaron pobiegł do kranu w łazience.

- „Evian”?

- Wypiliśmy.

- Zawołaj kelnera.

Aaron zrobił minę jak Teddy. Jak tata Clarissy. Minę człowieka, który postąpił nieuczciwie.

- To nie jest dobry pomysł.

Clarissa westchnęła.

- Aaronie? Czyżby to była ucieczka po uczcie?

- Masz na myśli to, że spędziliśmy noc w apartamencie za tysiąc dolarów, zamówiliśmy szampana i zakąski za pięćset dolarów i teraz uciekamy, żeby nie płacić rachunku? - spytał.

- Tak.

- A więc to jest ucieczka po uczcie. - Aaron zerknął na zegarek.

- Ile mamy czasu? - spytała Clarissa tak, jakby dowiadywała się o pogodę lub samopoczucie lekko przeziębionego.

Aaron znów spojrzął na zegarek.

- Pięć, sześć minut, nie więcej.

Z trudem dźwignęła się na nogi (nadal obute w pantofle od Jimmy'ego Choo).

- Suknia ślubna... - rzekł Aaron.
- Nie zdejmę jej.
- Za bardzo rzuca się w oczy.
- Trudno. To twój problem.
- Clarisso, bądź rozsądna.

- Ależ ja jestem rozsądna, Aaronie - zapewniła, przechylając butelki szampana i gromadząc w jednym kieliszku ciepłe krople bez bąbelków.

Rzeczywiście była zdumiewająco spokojna. Nieraz czytała o ludziach okazujących stoicki spokój w obliczu nieszczęścia, na przykład potężnego trzęsienia ziemi lub katastrofy lotniczej. Ucieszyła się, że ona też potrafi zachować jasność myśli w tak przerażającej sytuacji.

Odmówiła zdjęcia sukienki, ale ostatecznie zgodziła się narzucić na kreację z jedwabiu i koronek szlafrok z „Bel Air”. Pantofli nie zmieniła.

Aaron złapał torby.

- Pójdę po samochód - zapowiedział. - O ile, oczywiście, jeszcze stoi na swoim miejscu.

- Co takiego?!

Na tym skończył się protest Clarissy, bo Aaron pocałował ją prosto w usta. Gdyby nie była na niego zła, poczułaby się jak Audrey Hepburn przy Carym Grancie. Nagle, akurat gdy zadzwoniła winda, Aaron puścił się biegiem do sypialni...

Wrócił, ściskając żółtą rybę.

- Nigdy nikogo nie zostawiaj! - krzyknął, biegnąc korytarzem.

Clarissa nie widziała jeszcze człowieka tak pełnego życia. Aż zrobiło jej się niedobrze.

Drzwi windy otworzyły się i weszła do środka, wślizgując się między dwóch kelnerów obsługujących pokoje i zastawioną tacę ze śniadaniem. Zapach przesadnie drogiej kawy i wafli za trzydzieści dolarów wycisnął jej łzy z oczu.

Była tak blisko.

Clarissa wystawiła głowę za okno bentleya. W ustach czuła na przemian suchość i obfitość śliny, żołądek podchodził jej do gardła, w głowie łomotało tak, jakby wsadziła ją do środka grającego na cały regulator odtwarzacza. Aaron położył jej dłoń na ramieniu, jadąc na wschód Bulwarem Zachodzącego Słońca, coraz dalej od jej marzeń.

Strąciła jego rękę, jakby był trędowaty.

- Clarisso. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Przed ślubem - spytał Aaron.

Przypomniała sobie. Płyn w ustach nabrał posmaku ścieków.

- Chryste, Aaron - wykrztusiła głosem, który zdawał się dochodzić z głębin. - Gdybym przypuszczała, że istnieje cień prawdopodobieństwa, że do tego dojdzie...

- Co? Nie wyszłabyś za mnie?

Nie odpowiedziała.

- No tak, wspaniale.

- Oczywiście, że wyszłabym za ciebie - odparła Clarissa, krzyżując palce. - Tylko nie rozgłaszałabym tego całemu światu.

Uśmiechnął się.

- Oto moja płytka pizdeczka, ta, którą znam i kocham.

- Powiesz mi wreszcie, co się stało? - spytała Clarissa. - Czy to dlatego twoi rodzice nie przyjechali?

- Ależ przyjechali.

Skręcił w La Brea. Im dalej posuwali się na wschód, tym bardziej Clarissa czuła się nieswojo.

- Jak to? Nie widziałam ich. Na pewno zauważyłabym twoją matkę z tą jej fryzurą...

- Nie wyśmiewaj się z mojej matki.

- ...jak u Betty Crocker.

- Clarisso.

- No więc... wyrzuć to z siebie.

- Kiedy odmówiłaś podpisania intercyzy, darowali sobie wesele i poszli zwiedzać Universal Studios.

Clarissa wyobraziła sobie tęgiego ojca Aarona na tylnym siedzeniu tramwaju wypełnionego japońskimi turystami.

- To nie fair.
 - No i wydziedziczyli mnie.
 - To jeszcze bardziej nie fair - powiedziała. - Tyle dla nich zaplanowałam. Dzięki mnie o wiele lepiej by im się żyło. - Nie rozumiała, jak ludzie mogą żyć tak daleko... tam gdzie żyli, kiedy południowa Kalifornia jest tutaj. Mogliby, kurczę, codziennie chodzić do Universal Studios.
 - Dokąd jedziemy? - spytała Clarissa.
 - Muszę sobie pogratulować - rzekł Aaron. - Przewidziałem ten manewr.
 - Więc...
 - Wynająłem mieszkanie.
 - A co z twoim domem? - Clarissa usiadła prosto. - Domem Ginger Rogers i Freda Astaire'a?
 - Zarządzają nim rodzice.
 - Różowe schody?
 - Wspomnienie.
 - Różany ogród... - Słowa uleciały z jej ust lekko jak oddech noworodka.
 - Pa, pa.
 - Przynajmniej masz samochód - powiedziała Clarissa, opadając na oparcie.
 - Tylko do niedzieli.
 - O mój Boże. Wszystko masz spieprzone.
 - Zgłaszam poprawkę. My mamy spieprzone - sprostował Aaron. - Jeszcze nigdy tak dobrze się nie czułem.
- Jechali pod górę wąskim podjazdem, odchodzącym od jednej z ulic w Hollywood powyżej Franklin Avenue. Wyrosła przed nimi kamienica w stylu art déco z lat pięćdziesiątych, opleciona bluszczem. W takich domach, pomyślała Clarissa, wynajmują mieszkania hordy okropnych, rozentuzjasmowanych studentów aktorstwa.
- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.
 - Ty jesteś na miejscu - odparła. - Ja nie wysiadam z samochodu.
 - Clarisso wyszłaś za mnie na dobre i na złe.

- Nie wiedziałam, że to złe tak szybko nadejdzie. Złe może nadejść za trzydzieści lat, kiedy dostaniesz raka dupy.

Aaron wysiadł z bentleya i podszedł do drzwi od strony pasażera. Kilka razy próbował je otworzyć, a Clarissa je zatrzaśniwała.

- Clarisso, to nie jest rak dupy. - Aaron potrząsnął głową. - Po prostu zaczynamy od zera. Mnóstwo ludzi tak zaczyna!

- Ja nie będę zaczynała od zera! Nie wiem, jak to się robi! Aaron, ja nie chcę wiedzieć, co to znaczy ZERO!

Ludzie zaczęli wyglądać z okien mieszkań. Jakaś para wychylała się z balkonu, przyglądając się dziewczynie w sukni („Czy to ślubna suknia?”) i chłopakowi w mokasynach z frędzlami i granatowym swetrze, wyglądającemu jak Biff w szkolnym przedstawieniu *Śmierci komiwojażera*.

Dziewczyna raptem podniosła wzrok i powitała parę niecenzuralnym gestem środkowego palca - wypielęgowanego, wymanikiowanego, namaszczonego.

- Spójrz na tych ludzi! - wrzasnęła. - Wyglądają jak... niedoszli aktorzy oper mydlanych!

Ktoś cisnął sandałem w bentleya.

- Uch! „Birkenstocks”. Zabierz to ode mnie! - krzyknęła Clarissa. - Dzwonię do mamy!

Nie ruszając się z miejsca, zadzwoniła do matki, a tymczasem Aaron rozładowywał samochód. Włączyła się automatyczna sekretarka i zagrała balladę na trąbkę Chucka Mangione z lat siedemdziesiątych. Czekaając na sygnał, Clarissa wydała wysoki dźwięk, jakim porozumiewają się wieloryby w okresie rui.

- Mamo, tu Clarissa. Stało się coś strasznego - oznajmiła. - Aaron jest biedny.

Rozłączyła się. Chciała zadzwonić do ojca. Zawahała się przez chwilę, zanim wybrała jego numer - głównie dlatego, że nie mogła go sobie przypomnieć, a nie zapisała go w funkcji szybkiego wybierania numerów. Ojciec co miesiąc zmieniał numer telefonu domowego, żeby uniknąć urzędu podatkowego, wierzycieli i adwokatów przyjaciółek.

Clarissa pomyślała, że pod wieloma względami postępował tak samo jak Pablo Escobar, kolumbijski baron narkotykowy.

Wreszcie, gdy Aaron spoglądał na nią z balkonu na piętrze (słyszała, jak przedstawiał się ich - swoim - nowym sąsiadom), przypomniała sobie aktualny numer i zadzwoniła.

Ktoś odebrał telefon. Clarissa nie była pewna, czy to żywy człowiek. Głos brzmiał mechanicznie, jak w komputerze.

- Kto dzwoni? - spytał głos.
- Clarissa. Twoja... córka Teddy'ego.
- Chwileczkę.

Clarissa czekała. Słońce wysunęło się spoza białych chmur, które każdego innego dnia byłyby piękne. Oceniała, że jest około dziewiątej rano.

- Cukiereczku! - wykrzyknął ojciec. - Co to był za ślub!
- Kto odbierał telefon, Teddy? - spytała.
- A, to mój nowy system - odparł. - Podoba ci się?
- Przekręć go o sto osiemdziesiąt stopni. Jest okropny.
- To mój nowy system komputerowy. Nawet kiedy jestem w sieci, komputer odbiera telefon.

- Jesteś w sieci? Jak to?

- A tak to, mam 64 RAM, 156k... staram się o DSL, trochę z tym trudno na Westside...

- Teddy...

- Rozmawiałem z jedną ślicznotką z Finlandii. Żebyś mogła ją zobaczyć, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, zwała z nóg. Gra na bębnach. Jest też aktorką, występowała w paru pornosach, ale nie ostrych. Miły dzieciak.

- Ile ten dzieciak ma lat, Teddy?

- Och, dziewiętnaście, dwadzieścia.

- Przykro mi z powodu Apricot - rzekła Clarissa. Starła się być miła i to wyczerpało resztki jej energii. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Czowała się tak, jakby w każdej chwili mogła jej polecieć krew z nosa.

- Podobno odrzuciła ze Slocumem.

- Nie szkodzi - rzekł Teddy. - Mam wrażenie, że nie traktowała naszego związku poważnie.

- Tak?
 - Ciągle... coś pożyczala.
 - Na przykład?
 - Obraz. Srebrne sztuce. Czeki.
 - Okay. Tato? Mam problem.
 - Aaron zdrow i cały?
 - Aaron czuje się świetnie.
 - Podoba mi się ten chłopak.
 - Mhm.
 - Miły dzieciak, dobry chłopak. Masz szczęście.
 - Został wydziedziczony.
 - Jejku! - wyrwało się Teddy'emu.
 - Jejku? - powtórzyła Clarissa.
 - Fatalna sprawa - rzekł.
 - No właśnie, fatalna sprawa. - Clarissa zaczęła płakać. - Jest naprawdę bardzo źle, jakbym miała niepowstrzymaną biegunkę.
 - Potrzebujesz pomocy, cukiereczku?
- Przynajmniej raz nie wzdrygnęła się, słysząc pieszczotliwe przezwisko.
- Te, Rockefeller! - krzyknęła do Aarona, który palił papierosa i razem z nowymi przyjaciółmi chrupał cheerios. - Chodź no tu! Jedziemy do Teddy'ego!

- Nie będę go prosił o pieniądze.
 - Wiesz co? A ja go poproszę.
- Tata Clarissy płacił czynsz za jej nędzne mieszkanko w dupleksie przy Robertson. Czemu więc teraz, rozumowała Clarissa, skoro wyszła za mąż, nie miałby ich urządzić w jakimś ładnym domku?
- Nie przyjmę od Teda żadnych pieniędzy.
 - Aaronie. Wierzę w ciebie. Wierzę w to małżeństwo. Ale nie wierzę w to, że można żyć poniżej poziomu nędzy.
 - Nie będziemy żyli poniżej poziomu nędzy. Jezu!
 - Aaronie. Ja tylko chcę zmienić naszą sytuację mieszkaniową. Po-tem już będę zadowolona. - Kłamała. Wcale nie była zadowolona. Znalazła

się teraz w niższej... niższej klasie średniej... niżej, niż była przed słubem. Pomyślała o prezentach. Nie mogła przecież wnieść nowej porcelany i srebra do takiego mieszkania.

Teddy stał w przestronnym salonie apartamentu w Century City Towers, w jedwabnej pidżamie i z lekceważącym uśmiechem na ustach. Za plecami miał gabinet pełen komputerów. W ciężkim powietrzu unosiła się woń cygar i starzejącego się rozpusznika. Na ścianie szara smuga znaczyła ślad po wiszącym do niedawna obrazie.

- Przemysłałem twój problem, cukiereczku - rzekł Teddy. - Najlepiej ci pomogę, jeżeli w ogóle ci nie pomogę.

Clarissa cofnęła się o krok. Aaron podtrzymał ją za łokieć i podprowadził do obitego fioletowym aksamitem fotela. Po rozwodzie z matką gust Teddy'ego w dekorowaniu wnętrza zбочzył w stronę „lekkiego Hefnera”.

- Teddy. O czym ty mówisz, do diabła?

- To najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć, skarbie. Nie widzisz tego? - Był podekscytowany, jakby trafił największego fuksa na wyścigach. Albo, co bardziej prawdopodobne, wygrał zakład o to, która z dwóch jego przyjaciółek zwycięży w zapasach w błocie.

- Nic nie widzę, Teddy. Chyba ślepnę od stresu, jak pragnę Boga. - Zaczęła „rozglądać się” za Aaronem, mrugając oczami.

- Najlepszy okres w swoim życiu przeżyłem wtedy, kiedy oboje z matką zaczynaliśmy od zera.

- Nie wymawiaj tego słowa!

- Jakiego słowa? - spytał Teddy.

- Zero - wyjaśnił Aaron.

- Zabroniłam ci wymawiać to słowo! - krzyknęła Clarissa.

- Dlaczego? Przecież to prawda. - Teddy spojrzał na Aarona. - Zrobić ci mary? - Teddy sam już popijał krwawą mary, z której sterczała łodyga selera. Tak bardzo kojarzył się z telewizją z lat siedemdziesiątych, że Clarissie chciało się krzyknąć.

- Nie, dziękuję.
- Dobry chłopak.
- Czy możemy sobie darować bzdurne towarzyskie pogaduszki?! - wrzasnęła Clarissa. - Mój świat rozpada się w zastraszającym tempie! Skończy się na tym, że będę jadać z puszek ze sklepu „Dziewięćdziesiąt Dziewięć Centów”!

- Moja córka zawsze miała poczucie dramatyizmu - rzekł Teddy.
- Też to widzę - odparł Aaron.
- Masz jakiś plan, synu? - spytał Teddy.
- Nie wyjeżdżaj tak szybko z tym „synu”, Teddy - wtrąciła Clarissa.
- Mam nagraną pracę, zacznam w poniedziałek.
- Będiesz producentem? - spytała Clarissa, a w jej głosie nadzieja zabrzmiała tak realistycznie i trójwymiarowo, jakby przez salon ojca przejechał pociąg towarowy.

- Asystentem producenta. Reżyser będzie mi płacił trzysta tygodniowo.

Clarissa zawyła.

- Asystent producenta?! - Wypluła te słowa, jakby połknęła płyn do płukania ust zamiast soku jabłkowego.

- Clarisso. Co widzisz złego w posadzie asystenta producenta? - odparł Aaron. - Od czegoś muszę zacząć.

- A co z *Wesołą rozwódką*, co z umową...

- Wiesz, że nie jest ukończona. To może potrwać lata, zanim dopracuję scenariusz. A jakąś pracę muszę znaleźć już teraz.

- Zanim dopracujesz scenariusz? - powtórzyła Clarissa, kręcąc głową jak laleczka Chucky. - Aaronie, nikt się nie przejmuje dopracowywaniem scenariusza!

Coś zapikało.

- O, to pewnie moja Ukrainka - rzekł Teddy. - Gorąca linia to jest to... Przepraszam was.

Podał rękę Aaronowi i pogłaskał Clarissę po policzku. Kiedy próbowała odgryźć mu palec wskazujący, pogroził, czerwieniejąc na twarzy. Komputer ciągle pikał.

- Clarisso pora, żebyś dorosła. Nie byłem dla ciebie dobrym ojcem. Ale teraz - rzekł, wciągając brzuch - pora na twardą miłość.

Oddalił się w stronę komputera.

- Chcesz poznać twardą miłość, tato?! - krzyknęła Clarissa, zrywając się z fotela. - Okażę ci twardą miłość, kiedy zgłoszę twoje twórcze finansy do urzędu podatkowego! To jest TWARDA MIŁOŚĆ!

Ojciec pomachał córce ręką.

Zanim pozwoliła Aaronowi poprowadzić się do drzwi, pomknęła jeszcze do kuchni i zgarnęła wszystkie widelce.

- Ha! - rzuciła do Aarona. - Niech spróbuje teraz jeść!

Rozdział dwunasty

Hej, bieda jest cool

Clarissa kazała Aaronowi zawieźć się do domu matki przy South Beverly Drive, tego samego, w którym się chowała, gdy ojciec trochę się dorobił. Pod adresem w Beverly Hills krył się dom zbudowany nie na pokaz - parterowy kalifornijski bungalow o grubych ścianach.

Dom rodzinny Clarissy. Kiedy na niego spojrzała, rozpląkała się. Znowu.

- Bycie biednym ma swoje zalety - rzekł Aaron.
- Wymień chociaż jedną - powiedziała naburmuszona Clarissa.
- Nie trzeba przestawać z bogatymi ludźmi.
- Idziesz ze mną?
- Pod warunkiem, że nie poprosisz matki o pomoc finansową.
- Świetnie. To potrwa jedną chwilkę.

Clarissa wysiadła z bentleya i poszła chodnikiem za kutą żelazną bramą, jedną z tych, jakie w całej Kalifornii strzegą bungalowów.

Czekając, aż matka otworzy drzwi, zauważyła niebieskiego cadillaca, częściowo zasłoniętego przez barwne kwiatostany bugenwilli, zwieszające się nad pojazdem.

- Mamo? - powiedziała po dłuższej chwili. - Mamo?

Matka otworzyła drzwi. Była w białym komplecie: jedwabnych szortach i kusej koszulce na ramiączkach. Nogi miała mocne i opalone, przywodzące na myśl rodzinę.

Clarissa powstrzymała się od komentarza. Jej uwagę przykuł siedzący na kanapie matka mężczyzna. Murzyn. Młody Murzyn z keyboardem na kolanach.

Od razu rozpoznała klawiszowca z zespołu, który grał na ślubie; zespół był znany pod nazwą Sky Rockets, od piosenki *Afternoon Delight*.

Ogarnęła ją duma, że nawet w trudnych okolicznościach pamięta takie szczegóły.

Miała wiele możliwości do wyboru - przelatywały jej przez głowę jak obrazy na stole montażowym: a) zignorować młodego Murzyna; b) zachować spokój; c) rozpląkać się i zwymiotować; albo d) połączyć wszystkie wymienione reakcje i poprosić mamę o pieniądze.

Clarissa wybrała „D”. Najpierw zignorowała mężczyznę.

- Mamo - powiedziała, przechodząc obok Murzyna. - Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Matka spojrzała na nią.

- O tak. Clariiso, *esta es Roberto...*

- Bobby - rzekł młody człowiek.

Clarissa była wprawdzie w pierwszej fazie akcji (ignorowała młodego człowieka), lecz nie mogła nie zauważyć, że to szczwany lis. Bzykanie z Pożądania.

- Aha. Mamo, odebrałaś moją wiadomość?

- Och, Clariiso, rano byłam zajęta - odparła i z chichotem weszła do kuchni, stukając pantofelkami z białego jedwabiu po dużych pomarańczowych meksykańskich płytach.

Trudno sobie wyobrazić bardziej denerwujący odgłos niż chichot matki Clarissy; przypominał wrzask schwytej w sidła ary.

- Jest zajęta przez całe moje życie - powiedziała Clarissa do Bobby'ego/Roberta. Och! No i... nie miał spodenek. To tyle, jeśli idzie o fazę B, zachowanie spokoju.

- Czy to hotelowy szlafrok? - spytał. - Ekstra.

Pora na fazę C, płacz i wymiotowanie.

- Mamo, Aaron nie ma pieniędzy - szepnęła Clarissa, siąkając w rękaw frotté.

- Co chcesz powiedzieć? - spytała matka.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - poprawiła Clarissa.
- Tak, co chcesz powiedzieć? - znów spytała matka.
- Matko! Czy nigdy nie spotkałaś się z partykulą?
- Kawy?

Clarissa kiwnęła głową. Matka robiła wyśmienitą kawę. Clarissa pamiętała z dzieciństwa odgłos młynka mielącego ziarna, które matka kupowała w południowoamerykańskim sklepie spożywczym na Pico Boulevard. Ogarnęła ją wdzięczność za poczucie stabilności, jakie wywoływała ta drobna czynność, zwłaszcza w takiej chwili, gdy walił jej się świat.

Usiadły naprzeciw siebie, popijając, w jakże miłej i pożądanej ciszy, kawę z porcelanowych filiżanek.

Niezupełnej ciszy, bo w tle słychać było frazę z *You Dropped a Bomb on Me* Gap Bandu.

- Cudowny kochanek - powiedziała matka. Słowo „kochanek” (kooochanek) zabrzmiało tak, że Clarissie zrobiło się niedobrze. Jakby miało dziesięć sylab. Matka podobnie wymawiała słowo „wagina”.

- Mamo - powiedziała Clarissa, chcąc naprowadzić rozmowę na właściwy tor, czyli na siebie. - Potrzebuję twojej pomocy, twojej rady, a przede wszystkim twoich pieniędzy.

- Co się stało?

- Proszę, upuściłaś ogonek spod „e” - powiedziała Clarissa, udając, że podnosi coś z podłogi.

- Ha, ha - rzekła matka. - Chcesz pieniędzy, a wyśmiewasz się z matki. Niedobrze się starasz, Clariiso. - Znów ten sam błąd w wymowie.

- Mamo, Aaron został wydziedziczony. Ma tylko koszulę na grzbiecie. W poniedziałek idzie do pracy, zwykłej pracy - ciągnęła. - A miał być producentem. Miał być bogaty. Co ja mam teraz zrobić?

- Kochasz go? - spytała matka.

- Tak.

- No to sama zdecyduj - powiedziała matka, wstając od stołu. - Twój ojciec i ja zaczynaliśmy od z...

- Nie wymawiaj tego słowa!

Matka spojrziała w niebo.

- Wynajął okropne mieszkanie w Hollywood, same niewygody. Mamo, tam jest parking pod gołym niebem!

- Clariiso, potrafisz powiedzieć: „Mamo, nie wierzysz we mnie!”, „Mamo, uwierz w swoją córkę!”. - Matka patrzyła na nią, z ręką na biodrze i z niezapalonym papierosem w palcach. Wyglądała jak ktoś, z kim umówiłby się Ari Onassis.

- Taaak... - powiedziała Clarissa i spróbowała wyrwać matce z ręki papierosa. Nie mogła znieść, że matka pali - połowa jej rodziny w Boliwii zmarła na raka płuc. Nie mogła również znieść, że matka ma szybszy refleks od niej - nigdy nie udało jej się wyrwać tego papierosa.

- Wierzę w ciebie. Wiem, że ty i Aaron dokonacie razem czegoś *mu* pięknego.

- Nie dasz mi pieniędzy?

- Nie mam dużo pieniędzy, Clariiso - odparła matka, zapalając papierosa srebrną zapalniczką, którą dostała od Teddy'ego. - I myślę, że to będzie dla ciebie dobre.

Po zniecierpliwieniu w głosie matki Clarissa poznała, że to ostateczna odpowiedź. Matka wyszła z kuchni. Córka podążyła za nią.

- Czy nie mogłabyś najpierw przez kilka tygodni nas utrzymywać, aż dogadam się z jego pieprzonymi rodzicami, a dopiero potem uwierzyć we mnie?

- Clariiso, Roberto i ja będziemy jeść naleśniki, Roberto ma na nie ochotę. Czy ty i Aaron dołączycie do nas?

Roberto/Bobby już nie siedział w salonie. Clarissa usłyszała szmer wody z prysznicą. Wyobraziła sobie, że Roberto żeni się z jej matką; miałyby wtedy trzydziestoletniego ojczyma grającego rify Gap Bandu.

- Chyba podziękujemy.

- Okay - rzekła matka. - Proszę cię, ucałuj ode mnie męża. - Pocałowała Clarissę w policzek i odeszła, pozostawiając smugę zapachu papierosów „Virginia Slims” i wczorajszych perfum „Chanel No. 5”.

Przynajmniej jest szczęśliwa, pomyślała Clarissa.

Zestawienie pod tytułem „Typowy dzień w życiu Clarissy przed zamążpójściem”:

1. Rano wstaje z łóżka. „Rano” jest porą bliżej nieokreśloną: mieści się między 8.30 (budowa za oknem, dzwoni na policję, budowa najzupełniej legalna, nic nie da się zrobić) a 11.59 (telefon od matki).

2. Śniadanie. „Śniadanie” również nie jest z góry określone: zależy od zawartości lodówki i portmonetki. Może to być na przykład miseczka za miseczką „Special K” (płatków reklamowanych przez dziewczynę o nogach jak druty do robótek ręcznych, mówiącą o „grudkowatych” udach) na sucho lub, z bożą pomocą, z niskotłuszczowym mlekiem (mleko beztłuszczowe = woda plus kreda). Kawałek owocu, na przykład rolada owocowa albo gatorade z aromatem wiśniowym. Albo „Life Savers” z owoców tropikalnych. Tyle kawy, żeby obudzić z narkotycznego snu osobę uzależnioną od vicodinu albo postawić na nogi kogoś, kto nie żyje od dwudziestu lat.

3. Czyta „New York Timesa”. Od deski do deski*.

4. * To tylko żart.

5. Przez telefon albo palmtopa kontaktuje się z Trybunałem. Budzi, jeśli trzeba. Planuje dzień. To zajmuje około godziny.

6. Dzień. Wariant A. Jeżeli jest idiotycznie zdrowa albo ma obrzydliwego kaca, zaczyna od zajęć jogi z rozpustnym włochatym instruktorem. Wychodzi po jakichś dziewięciu i pół minucie (według zaleceń treningowych z książki *Dziesięć minut dla idealnego ciała*). Pół minuty się nie liczy, bo „idealny” jest przecież określeniem subiektywnym.

Wariant B. Lunch z Trybunałem. Je posiłek w jednym z trzech lokali: 1. „Iry” na Robertson (jeżeli któraś z członkiń Trybunału ma dostęp do karty kredytowej obecnego lub byłego chłopaka); albo 2. „Chaya” nieopodal Robertson, jeżeli ktoś jest gruby i lubi małe porcje zieleniny; albo 3. „Euro” na Sunset Strip, gdzie jest pełno mężczyzn o imionach „Fazoul” i „Zxcyzx” (mniej więcej), którzy po chwili flirtu (piętnaście do dwudziestu minut, nie licząc kontaktu wzrokowego) chętnie płacą rachunek Trybunału.

Lunch trwa około dwóch i pół godziny. 7. Czas wolny. Zakupy; kosmetyki w M.A.C. (trzy razy w tygodniu); buty itp. w Agnes B., Madison; albo zabieg u kosmetyczki (rzuć kamieniem w Beverly Hills, a trafisz kosmetyczkę); albo pasemka/czesanie (jak wyżej; wstaw „fryzjer stylisty” zamiast „kosmetyczka”); albo brwi (jak wyżej, *ad infinitum*).

Bardzo rzadko, kiedy dziewczyny były tak znudzone, że ziewały na propozycję „masażu pleców tequila” w „Four Seasons” przy Doheny, któraś z członkiń Trybunału proponowała jakiś wysiłek fizyczny lub zrobienie czegoś, co poszerza horyzonty umysłowe. Na przykład udział w wieczorze poetyckim. Albo lekturę gazety, w której na pierwszej stronie nie omawiano kłopotów Melissy Rivers z trzymaniem moczu. Jakaś poważna dusza w Trybunale (Jennifer) zaproponowała kiedyś jazdę konną. Ale Polo, jak na ironię, za nic w świecie nie chciała mieć do czynienia z końmi. Jej matka, z zapalem ujeżdżająca konie, była klasyczną „piętnastometrowką”; z odległości piętnastu metrów wydawała się opaloną, szczupłą pięknoscią; z bliska zaś widać było, że skóra na jej twarzy jest pomarszczona, poorana bruzdami, zmięta i obwisła. Poza tym, jak słusznie zauważyła Gravy,

konie „śmierdzą końskim łajnem”. Clarissa lubiła uciąć sobie drzemkę w ciągu dnia, na co zużywała resztę czasu wolnego.

8. Kolacja. Trzy najbardziej pożądane wersje: a) Chuda Kuchnia Stouffera - cokolwiek, byle przypominało makaron - przed dwudziestoczterocalowym telewizorem marki „Sony” (dzięki, Teddy), w którym leci *Ally McBeal*, *Przyjaciele* albo najnowszy reality show z atrakcyjnymi uczestnikami płci męskiej; b) „Mr. Chow” (patrz „Lunch”, uwaga o karcie kredytowej); albo c) fantastyczna randka. „FanRan” oznaczało nieuchwytny element: potencjał. Potencjał, czyli dobre buty, dobre włosy, dobry wzrost (nie za niski, nie za wysoki), dobre zęby, dobry oddech, dobra praca i/lub dobry spadek/nazwisko, i dobre wyczucie mody. Zwłaszcza Polo lubiła dobrze ubranych mężczyzn. Trybunał w ciągu pięciu lat poznał w sumie trzech facetów „FanRan”.

9. Sen. Około północy, później, jeżeli jest jakaś impreza.

Zawsze jest jakaś impreza. Clarissa nie poszła spać przed drugą w nocy, odkąd stały się modne wielkie poduszki na ramiona.

A teraz „Typowy dzień w życiu Clarissy po zamążpójściu”:

1. Budzi się o siódmej. Żegna się z (obecnym) mężem, który wychodzi do pracy. Przez chwilę płacze i układa mordercze scenariusze z udziałem członków rodziny. Kładzie się z powrotem do łóżka w śmierdzącej sypialni obrzydliwego mieszkania w domu z okropnym warsztatem dla aktorów.

2. Budzi się o dziesiątej (lub o innej, bardziej rozsądnej godzinie). Spogląda na kabriolet bmw, żeby się upewnić,

czy a) nie został ukradziony lub b) nie zadrapała go mazda jakiegoś okropnego, walczącego o przetrwanie aktora. Znowu popłakuje. Zawiadamia dwie członkinie (Jennifer i Gravy) Trybunału o tragicznym zwrocie w swoim życiu.

3. Płacze. Koło południa przyjmuje wizytę Trybunału (przyszły wszystkie oprócz Suzee). Polo kicha już od progu i wrzeszczy, „Kto ma kota?”, choć dobrze wie, że Clarissa trzyma kota od ośmiu lat, po czym spędza resztę wizyty (dwie i pół godziny) na balkonie. Kiedy w końcu wychodzi (z zamiarem udania się do alergologa), jej twarz wygląda jak ciężki przypadek odparzenia od pieluchy. Jednogłośnie werdykt Trybunału (Jennifer wstrzymała się od głosu, za to rozwodziła się o „prawdziwej miłości”, o tym, że „pieniądze się nie liczą”, i o podobnych nonsensach): Wyjdź stąd przed zachodem słońca.

4. Teraz jest około szóstej. Za późno, żeby wyjść przed zachodem słońca. Poza tym trzeba by kupić benzynę do bmw, a złośliwy, brzydki ojciec anulował kartę na benzynę.

5. Płacze. Próbuje zrobić obiad z puszki tuńczyka i makaronu z serem Krafta. Przypala pomarańczowe coś (ser?) po niedokładnym przeczytaniu przepisu. Zaczyna od nowa.

6. Płacze.

7. Wali w ścianę, gdy mieszkająca po sąsiedzku para zaczyna odgrywać scenę z *Prawdziwego Zachodu*, z natężeniem decybeli godnym Metalliki grającej na żywo w kabinie prysznicowej.

8. Dostaje wiadomość od (obecnego) męża: „Wracam 18. Kocham. Tęsknisz?”

9. Odpowiada mężowi: „Nnwdz.”

10. Dzwoni (anonimowo) na policję, żeby donieść na sąsiadów. Twierdzi, że słyszała strzały.

11. Siedzi w okropnym salonie na zatłoczonej (pluszaki) czerwonej kanapie i zjada ciągnącą się zapiekankę z tuńczykiem, przypaloną na brzegach (przypalone brzegi są nawet całkiem jadalne).

12. Płacze.

13. Zасыpia na kanapie.

14. Budzi ją mąż*, który pokrywa jej twarz pocałunkami, podekscytowany nawija o nowej pracy, obowiązkach, zaufaniu, zrozumieniu. (*Obecna wersja).

Mąż (obecny) zapewnia Clarissę, że bardzo ją kocha i jest z niej dumny. Jest też bardzo zmęczony. Zасыpia w jej ramionach, szepcząc czule, wtulony w miękkie przedramię.

15. Przyrzeka sobie, że zagłodzi się na śmierć.

16. Ostrożnie uwalnia się od śpiącego męża; okrywa go szalem (kaszmirowym, z poprzedniego życia), żeby nie zmarzył na śmierć i nie narobił jej nowych kłopotów.

17. Kończy zapiekankę z makaronu z serem.

Aaron zaczął się wreszcie czuć sobą. Bentley, dom w Bel Air, czarna karta American Express - to nie był on. Natomiast motocykl, który kosztował mniej niż połowa tego, co jeden zderzak bentleya - o, to właśnie był on.

Podniecała go praca. Funkcja asystenta produkcji przy reżyserze nie tylko umożliwiała spłacenie nielicznych rachunków, ale zapewniała zdobyć doświadczenia zawodowego - a raczej miała je zapewnić, gdy tylko nie będzie musiał odbierać rzeczy z pralni i pilnować małego yorka reżysera. Był jednak gotów czekać na swój czas; reżyser zgodził się wprowadzić go we wszystko od strony praktycznej, dopuścić do spotkań, pozwolić słuchać rozmów telefonicznych, pokazać krok po kroku, jak rozwija się scenariusz z jednego wersu, ba, z jednego słowa. Nie dostał na razie ani grosza za umowę dotyczącą *Wesołej rozwódki*, lecz kiedy wyjaśnił,

że potrzebuje pieniędzy na utrzymanie, reżyser znalazł sposób, żeby wypłacano mu pensję. Aaron obliczał, że ma przeszło pół roku na realizację umowy o *Wesołej rozwódce*; razem z reżyserem mieli niebawem znaleźć scenarzystę, którego zaaprobuje studio. Aaron wszystko sobie obmyślił, zamierzał sam zrobić ten film.

Miał przecież żonę, po której spodziewał się pomocy i wszechstronnego wsparcia. Niebawem, jeśli szczęście dopisze, powinni się przenieść z tego mieszkania do domu wśród wzgórz, jego pierwszy film znajdzie się w fazie przygotowawczej i wszystko zostanie wybaczone.

Albo i nie.

Po paru tygodniach niebezpiecznego życia Clarissa nauczyła się kilku rzeczy: Food For Less (Tańsze Jedzenie) liczy sobie połowę tego co Gelsons za tuńczyka w puszkach; używany motocykl „Honda 260” (środek transportu, z jakiego korzystał mąż) nie jest, wbrew temu, co pokazują reklamy telewizyjne, seksualną kocimiętką przyciągającą kociaki w bikini; zrobienie prania wymaga doktoratu z logiki matematycznej; zrobienie prania w zatłoczonej kamienicy wymaga przebiegłości szpiega Mosadu, sprytu mafijnego prawnika i kryminalnego instynktu bossa kartelu kokainowego; Taco Bell robi wyśmienite *burritos* niepodobne ani trochę do meksykańskich; odkrycie K-Martu, Targetu i Sav-On jest tym dla miłośniczki zakupów, czym odkrycie Atlantydy dla zapalonego archeologa; no i, oczywiście, lepiej być bogatym.

- Oczywiście. Tylko o ile lepiej?

To pytanie zadała Simonowi Clarissa, z buzią pełną wielkich, ociekających tłuszczem krążków cebuli, przy lunchu w „The Palm”, składającym się z krabów w cieście, wyżej wspomnianych krążków cebuli i tonącej w majonezie surówki z kapusty.

- To zależy - odparł Simon, wpatrując się ponad ciężkim drewnianym stołem w Clarisę - z kim się tym dzielisz.

- Bez odpowiedzi, mój panie - rzekła Clarissa.

Skosztowała krabów w cieście. Prawie od dwóch tygodni nie miała w ustach prawdziwego (to znaczy restauracyjnego) jedzenia. Dlatego zgodziła się, gdy Gravy zaproponowała, że spotkają się we dwie z Simonem na przyjacielskim lunchu (Gravy zapomniała przyjść). Clarissa przesłała jej wiadomość, wykorzystując swój znak graficzny wyrażający wrzask: :-@. Clarissa, będąc (obecnie) mężatką, omal nie wycofała się z randki przy lunchu. Gdy jednak zobaczyła tańczące talerze ze stekami wielkości caddillaca i poczuła zapach cebuli, ani się obejrzała, a już siadała naprzeciw jedynej osoby, która mogła zrujnować jej życie (nie licząc samej siebie, no i może własnej matki - i, no tak, własnego ojca), i składała zamówienie, zanim jeszcze jej szeroka pupa dotknęła drewnianej ławy.

- Simonie. Czy umówiłeś się ze mną na lunch z jakiegoś powodu? - spytała Clarissa. - Przyznaję, jestem zafascynowana, i z pewnością kwalifikujesz się jako BzN...

- BzN?

- Bzykanie z Nostalgii - wyjaśniła Clarissa. - Ale ja wyszłam za mąż jakieś - zerknęła na zegarek - dziesięć minut temu.

- Spotkałem przypadkiem Alexandrę. Opowiedziała mi całą historię - wyznał takim tonem, jakby umarł ktoś ważny, na przykład Brendan Fraser albo Elizabeth Hurley.

- A ta historia traktuje o...

- O tym, że twój... mąż... nie ma pieniędzy.

- Tymczasowo.

- Być może nigdy nie będzie miał pieniędzy.

- Nie, chciałam powiedzieć: mój tymczasowy mąż.

Simon uśmiechnął się. Gdyby to się dało matematycznie obliczyć, byłby dziewiętnaście razy bardziej uroczy teraz niż w szkole średniej. Jak Julio Iglesias, ładnie się starzał. Dlaczego kurze łapki i pojedyncze siwe włosy wyglądają tak dobrze u mężczyzny? - zadała sobie w myślach pytanie

Clarissa. Dlaczego niedbałość jest u mężczyzny atrakcyjna, a u kobiety przerażająca? Dlaczego mężczyznom wolno puszczać baki, a mnóstwo niewinnych kobiet się od nich powstrzymuje? Dlaczego męskie garnitury kryją niepożądane zaokrąglenia, a kobiece stroje są wręcz reklamą cellulitisu?

- Clarisso?

- Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Pytałem... - rzekł ze zniecierpliwieniem Simon. - Czy jesteś szczęśliwa?

- Och, bardzo szczęśliwa. Mój Boże, ta zajebista cebula jest jak seks z nieznanym.

- W małżeństwie.

Clarissa od początku wiedziała, o co mu chodzi.

- Simonie. Wierzę w Aarona.

- To... to wspaniale. Cieszę się.

- Wierzę, że przemówi rodzicom do rozsądku.

- A jeżeli nie?

Clarissa spojrzała na Simona.

- Znasz tekst przysięgi małżeńskiej, Simonie? Tę część, w której jest mowa „na dobre i na złe”, i tak dalej, i tak dalej... - Bogiem a prawdą Clarissa starała się o wycięcie tego fragmentu, ale Aaron zaprotestował.

- Clarisso, wiesz, że nie dasz rady „na złe”. - Simon potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Kochana, dziwię się, że w ogóle tak długo wytrzymałaś.

Sama się temu dziwiła. Dziwiła się, kiedy dziś rano mimo woli uśmiechnęła się do najbliższych sąsiadów. Dziwiła się, że dawniej wstydziała się swojego bmw, bo teraz dokoła stały toyoty, vw rabbitys, hondy i żadna z maszyn nie lśniła nowością jak jej wóz. Dziwiła się, że sprawia jej cichą przyjemność porównywanie cen podczas zakupów.

Dziwiła się, że czuje uwierające, rosnące zadowolenie. Nie szczęście - „szczęście” to coś zupełnie innego. Jedno mogła stwierdzić z przekonaniem: nie była nieszczęśliwa.

I to ją niepokoiło. Należało to zmienić.

Po lunchu (i deserze, i cappuccino, och, i anyzowych ciasteczkach, i oczywiście tych maciupenkich miękkich miętowych poduszeczkach) Simon wyprowadził Clarissę z „The Palm” na Santa Monica Boulevard, gdzie trwały roboty budowlane. Pośród traktorów, buldożerów i rozbebeszonej nawierzchni zaczęli w milczeniu na jej samochód. Clarissa miała nadzieję, że nie zauważy jej żaden ze wspólnych, jej i Aarona, znajomych; nie chciała, żeby Aaron się dowiedział, że jadła lunch z byłym chłopakiem, do którego nadal coś czuła.

Jej uczucia do niego niewątpliwie nie wygasły. Przesiewała myśli w głowie, kiedy parkingowi rozbiegli się jak żuki w poszukiwaniu mercedesów, terenówek, bmw i nielicznych lexusów (w tym przypadku klientem był ktoś spoza miasta lub scenarzysta).

Patrząc, jak Simon płaci parkingowemu - na co zresztą należał - wyliczyła w myślach plusy i minusy.

Simon jest inteligentny, obyty, wspaniały, pewny siebie.

Oprócz tego ma ładny nos i długie nogi.

Uszy trochę szerokie, pewnie jako dziecko miał z tym problem, ale kiedy dorósł i zaczął nosić dłuższe włosy, przestało to być rażące.

Aaron jest inteligentny, niezbyt obyty, ale pełen zapału, uroczy, pewny siebie, a oprócz tego jest jej mężem.

Usłyszała, jak Suzee (wielkości szpilki, w kostiumie diabła, siedząca na jej prawym ramieniu) zastanawia się, czego każdy z nich od niej chce.

Jennifer (maleńka, w stroju anioła, siedząca na jej lewym ramieniu) zapewniła Clarissę, że żaden zacny mężczyzna nie mógłby się jej oprzeć. Pochwaliła również nowe pantofle, prawdziwe trofeum od Tracey Ross na Bulwarze. Z czasów przedubogo-mażeńskich.

- Postanowiłem zostać mnichem buddyjskim.

Clarissa spojrzała na Simona.

- Pomarańczowy to nie twój kolor. Jesteś „zimą”, Simonie, nie „jesienią”.

Stał przy jej samochodzie, przytrzymując otwarte drzwi. Jego Cadillac Escalade, chwilowo najmodniejsze auto wśród fanów rapu, czekał z włączonym silnikiem za bmw. Clarissa domyślała się, że Simon zauważył, iż ona od kilku minut go nie słucha.

- Pamiętam, jak opracowałaś moje kolory - rzekł Simon.

- Zajęcia bio u pani Hall - przypomniała Clarissa. - Mam nadzieję, że nadal korzystasz z mojej rozległej wiedzy o „porach roku”.

Simon uśmiechnął się. Clarissa zdusiła chęć przejechania językiem po jego kurzych łapkach.

- Starasz się, 'risso. Ale myślami przebywałaś gdzie indziej i mnie tam z tobą nie było.

Kiedy wsiadała do samochodu, kilku klientów „The Palm” (z showbiznesu) już czekało, żeby popędzić do biur i zwymyślać swoich asystentów. Clarissa wskoczyła do bmw, a Simon nachylił się, zamykając drzwi.

- Clarisso - rzekł, muskając wargami jej policzek. - Ja wciąż...

Zawahał się, potrząsnął lekko głową, wprawiając w ruch czuprynę, i połknął resztę zdania; Clarissa zaczęła do niego krzyczeć przez okno.

- Co? Ja wciąż co?!

Ale Simon tylko się uśmiechnął bez przekonania, pomachał ręką i ruszył do swojego escalade. Zdenerwowani bywalcy restauracji trąbili klaksonami i wykrzykiwali grube epitety, aż Clarissa wreszcie odjechała i włączyła się w ruch uliczny, pokazując innym kierowcom palec w obraźliwym geście. Gdzie się podziały dobre maniery, pomyślała i uznała, że kulturalne towarzystwo odeszło w przeszłość.

- Ja wciąż?

- ...przeczesałam włosy palcami, żeby upodobnić się do Hugh Granta w *Czterech weselach i pogrzebie*.

- Och, uwielbiam ten film - rzekła Jennifer. - Alternatywa dla samobójstwa, podobnie jak *Bezsenna w Seattle* albo *Mumia*.

- To był żart - przyznała Gravy.

- Dziewczyny. Proszę was. Chyba wiemy, co to oznacza. - Przemówiła Polo. Pociągnęła nosem. „Wiosenne przeziębienia są najgorsze” - oznajmiła wcześniej, choć wcale nie było wiosny, a przeziębienie nie wywołuje takiej pokrzywki, jękają obsypała.

Clarissa szła o zakład, że to ta choroba od kleszczy. Polo zawsze musiała złapać najmodniejszą dolegliwość.

- On ją wciąż kocha - rzekła Gravy. - Każdy, kto ma choć pół mózgu, wie o tym.

- Naprawdę ją kocha? - wyraziła powątpiewanie Jennifer. Potem dodała: - Ale... Clarissa jest mężatką, Grave.

- Takie rzeczy da się załatwić - zapewniła Gravy.

Trybunał zorganizował Pierwszą (oby nie doroczną) Kwestę na rzecz Clarissy u mamy Polo w Old Brentwood, w typowym pseudokolonialnym domu, obsługiwanym przez służbę liczniejszą od mieszkańców. Wszystkie obecne (Trybunał - z wyjątkiem Suzee, która do tej pory nie została wtajemniczona, w jakim stanie jest małżeństwo Clarissy - oraz kilka matek i sprzątaczek) poproszono o datki dla Clarissy, aby wspomóc ją w poszukiwaniu nowego, bardziej odpowiedniego lokum. Dziewczęta, pod przewodnictwem Jennifer, która niedawno zdawała egzamin z nieruchomości (trzecie podejście przynosi szczęście!), znalazły „na początek” mały, uroczy domek w zachodnim Hollywood, niedaleko Doheny. W celach rozrywkowych Jennifer zaśpiewała *Memories* z musicalu *Koty* przy akompaniamencie pianina (matka Polo opłaciła lekcje gry na pianinie dla gospodyni, aby ta podczas przyjęć zabawiała gości melodiami z broadwayowskich musicali), a potem zrobiły pokaz slajdów, na których między innymi wystąpił w pełnej krasie mosiężny bidet z nowego domu.

Ale Clarissa nie czuła się szczęśliwa. Syknęła nad stołem do Gravy, zaabsorbowanej krojeniem gumowatej piersi kurczaka.

- Przez tę kwestę czuję się tak zażenowana jak wtedy, kiedy puściłam baka na egzaminie kwalifikacyjnym na studia - powiedziała.

- Bardziej żenujący był twój wynik - przypomniała Gravy.

- Bardziej żenujący jest twój adres - zaznaczyła Polo.

Elegancka, ciemnowłosa kobieta w różowym uniformie nachyliła się nad Clarissa, szepnęła jej coś do ucha i złapała za rękę. Twarz Clarissy zapłonęła czerwienią jak po źle wykonanym makijażu.

- Polo - rzekła zawstydzona Clarissa. - Clementina dała mi dwudziestkę. - Clementina była niegdyś nianią Polo, a teraz pokojówką i najlepszą przyjaciółką jej matki. Nosiła klipsy z jednokaratowymi brylantami i jeździła starszym mercedesem. Jedno i drugie dostała w prezencie od mamy Polo.

- Przejęła się tobą - rzekła Polo.

- A ja uważam, że mieszkanko Clarissy jest urocze - powiedziała Jennifer.

- Lepiej nie osądzaj, co jest „urocze” - odparła Gravy. - Widziałyśmy twoje psy.

- Uważasz, że moje psy nie są urocze? - Twarz Jennifer zapadła się tak, jak zapada w uszy słynne nazwisko na przyjęciu w zachodnim Los Angeles.

- Posłuchajcie - odezwała się Clarissa. - Pomysł z kwestą jest naprawdę bardzo, bardzo miły.

- Wcale nie - zaproponowała praktyczna Gravy. - Przypomnij sobie czwartą poprawkę do Konstytucji Trybunału.

- Zawsze będziemy sobie pomagać w czasie kryzysu fizycznego, emocjonalnego lub finansowego - odpowiedziała Polo.

- Nawet jeżeli będzie to przypadek niejednoznaczny, na przykład gdy furgon pocztowy potrąci Suzee - dodała Gravy.

- Ułożyłam kwiaty - powiedziała Jen.

- Nigdy nie widziałam piękniejszych bukietów - zapewniła Clarissa - ale nie potrzebuję zbiórki pieniędzy.

- Zebrałyśmy tysiąc pięćset dolarów, by zażegnać twój pierwszy i ostatni kryzys - rzekła Gravy.

Clarissa spojrzała na nią.

- Jest tam ogród? - spytała.

Pod koniec popołudnia Gravy dała Clarissie czek, po czym usiadły wszystkie razem na patiu Polo, popijając koktajle w jej ulubionym kolorze - czerwonym - niewiadomego pochodzenia i składu. Scena ta przypomniała Clarissie czasy szkoły średniej, kiedy wracała wcześniej do domu (przed pierwszą lekcją), robiła nalot na szafkę z alkoholami i robiła „punch” z rumu, wódki, dżinu i oranżady w proszku, rozmawiała i pływała nago, dopóki nie zapadł zmrok - albo ktoś nie wszedł przez suwane szklane drzwi. Przyjęcia często przerywali sanitariusze (urocze!), biegnący przez podwórko na tyłach domu.

Clarissie brakowało tych beztrudnych dni lata, jesieni, zimy, no i, ach, wiosny.

- Bogu dzięki, że nie jesteś w ciąży - powiedziała Gravy, przekręcając się na brzuch na oślepiająco białym leżaku.

Unosząc głowę i rozciągając plecy, spojrzała na Clarissę. - To by się dopiero narobiło.

Clarissa wolno pokiwała głową. Po wypiciu tajemniczego czerwonego koktajlu poruszała się wolniej i wolniej myślała. Wyłynął obraz. Noc poślubna. Gumowa gruszka. Nogi oparte o kafelki w łazience.

Musiała przez chwilę wyglądać tak, jakby zrobiło się jej niedobrze.

- 'rissa?

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. - Potrząsnęła głową.

- C. - Gravy chciała usiąść. Nie było to proste, ponieważ koktajl uderzył jej do głowy i leżała na brzuchu. Kilka razy próbowała się przekręcić, aż w końcu spadła na ziemię.

Clarissa nie zauważyła tego.

- Tak bardzo nie jestem w ciąży - powiedziała. - No bo za pierwszym razem, jakie są szanse?

- W twoim wieku? - rzekła Gravy. - Mniej więcej jak jeden do pięciuset.

- Ale ja nie jestem w swoim wieku - zaznaczyła Clarissa.

Gravy wdrapała się z powrotem na leżak. Wyglądało to tak, jakby jednonogi alpinista wspinał się na Everest.

- Nie ma mowy - rzekła Clarissa.

Zapatrzyła się w reszkę czerwonego drinka. Odstawiła go.

- Absolutnie wykluczone.

Rozdział trzynasty

A jednak

Dwa różowe paski na teście ciążowym świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

Clarissa siedziała w łazience, wpatrując się w test, na który nasiusiła rano. Wpatrywała się w niego podczas śniadania, kiedy w telewizji szedł Regis i jakaś tam, a potem pijąc przedpołudniową kawę z mlekiem. Nie odpowiedziała na pocztę internetową, nie odbierała telefonu, nawet nie zadzwoniła jeszcze na policję, żeby donieść na sąsiadów.

- Jak mogło mi się to przytrafić? - spytała, zapominając o tym, że sama przyłożyła do tego rękę.

- Jak mogło ci się to przytrafić? - powtórzyła Gravy. - Jak mogło ci się to nie przytrafić?

Dziewczyny jadły lunch u Mortona. Clarissa zadzwoniła w pierwszej kolejności do Gravy. W każdej sprawie dzwoniła najpierw do niej.

- Jeżeli planujesz je mieć, urządź przyjęcie z prezentami - powiedziała Gravy.

- Oczywiście, że planuję je mieć, przecież jestem mężatką - odparła Clarissa.

- Ach, no tak. Zaciemnienie umysłu - rzekła przyjaciółka. - O Boże. - Skrzywiła się. - Czy to znaczy, że przestaniesz pić kawę?

- Nie.

- Wyrzekniesz się cukru?

- Najlepszego przyjaciela?
- Alkoholu?
- Później dam ci znać.
- Papierosów?
- Ja nie palę - przypomniała Clarissa. - To ty palisz.
- No i dobrze. Bo nie starczyłoby ci sił, żeby rzucić palenie. I miałabyś potem takie maciupeńkie i okropnie pomarszczone niemowlę.

- Dzisiaj powiem Aaronowi - postanowiła Clarissa. - Nie wiem, jak do tego podejść, rozumiesz, teraz jest zupełnie inaczej niż w liceum. „Hej, dupku, zaszłam w ciążę i radzę ci za to zapłacić, bo wydałam kieszonkowe na dzinsy Jordache'a”.

- Wcale nie jest inaczej - orzekła Gravy. Nadał była wściekła na Aarona, że kazał Clarissie zwrócić pieniądze zebrane podczas kwesty. Tyle że Clarissa ich nie zwróciła. Dziewczyny nalegały, żeby zachowała je i kupiła sobie coś pożytecznego, na przykład kożuszek z owczych skórek od D&G na przenikliwie styczniowe chłody w południowej Kalifornii.

- On nie jest dupkiem - powiedziała Clarissa. - A nawet gdyby był, co możemy założyć czysto teoretycznie, to jest przecież ojcem mojego dziecka.

- Teraz to. - Gravy wywróciła oczami. - Kompleks Madonny.

- Matki Jezusa czy tej, co tańczy i ma fajnego męża.

- Obu. Czy to Jezus był taki popularny, czy to tylko ja?

Zabrały się do sałatki ze złotego tuńczyka. Sos został podany osobno, więc połały nim swoje porcje.

- Niech to szlag. Czy będąc w ciąży, można jeść surowego tuńczyka?

- Jesteś w ciąży od trzydziestu sekund. Nie martw się o to.

Ale Clarissa się martwiła.

- Nie chcę, żeby jakiś pasożyt wyjadł mojemu dziecku oczy. - Odsunęła sałatkę.

Gravy popatrzyła tylko i potrząsnęła głową.

- Co z tym facetem, z którym umówiła cię Polo? - spytała Clarissa, chcąc zmienić temat.

- Totalne fiasko. Nie do naprawienia.
- Może jesteś zanadto wybredna - podsunęła Clarissa.
- Może - odparła Gravy. - A może przemawiasz do mnie zupełnie jak moja matka.

Jadąc do domu, Clarissa przyznała w duchu rację przyjaciółce - rzeczywiście przemawiała głosem czyjejś matki. Może dlatego, że sama miała zostać czyjąś matką.

Popatrzyła na swój brzuch i roześmiała się.

Przestała się śmiać na myśl o rozstęпах. Matka nieraz na nie narzekała, twierdząc, że wszystko było w porządku do ósmego miesiąca, kiedy nagle obudziła się z mapą dopływów rzek amerykańskich na wzdętym brzuchu.

Rozstępy są uwarunkowane genetycznie.

Clarissa zawróciła, kierując się do domu matki. Potrzebowała wsparcia.

Duży błąd.

- Jesteś pewna, że to dziecko Aarona? - spytała matka.
- Kim ty jesteś? Siostrą bliźniaczką Złej Suzee? - odparła Clarissa. - O czym ty mówisz? Oczywiście, że to jego dziecko.
- Wiem, że przedtem uprawiałaś dużo seksu - powiedziała matka i zacmokała. - Od dawna jesteś w ciąży?
- Każdemu potrzebne jest jakieś hobby, mamo. Nie pozwoliłaś mi zbierać porcelanowych lalek, pamiętasz?
- Pffft.

Clarissa siedziała i przyglądała się, jak matka, popalając virginia slims, prasuje ojcu koszule. Kiedy jeszcze byli małżeństwem, uparła się, że sama będzie je prała i prasowała; potem zaś nie chciała z tej posługi zrezygnować. Twierdziła, że ją relaksuje. Clarissa pomyślała, że matka pewnie pragnie czuć się potrzebna ojcu.

Na tę myśl żołądek jej się przewrócił, a włosy skręciły.

- Okay, okay, *lo siento, mija* - powiedziała matka. Pociągnęła nosem.
- Roberto jest żonaty, tak myślę.
- Kto?
- Roberto. Proszę, skup się, nadążaj.

- Ach, ten muzyk?
- Był idealnym sekretnym kochaaankiem. - Matka westchnęła.
- Mamo. Błagam, nie wdychaj - poprosiła Clarissa. - Mów, co chcesz, tylko nie wdychaj.

Matka usiadła i westchnęła.

- Myślę, że jest żonaty, ma dwójkę dzieeeci. Mocno się z tym kryje. Clarissie odjęło mowę po raz drugi w życiu.

- Co takiego? - wyrzuciła z siebie.

Od kiedy matka jest jurna jak Jennifer Lopez? - pomyślała.

- Moja córka - powiedziała nagle matka, ściskając kościstymi palcami dłoń Clarissy. - Jestem taka szczęśliwa, że masz to dziecko.

- Naprawdę? Nawet jeśli tylko zgaduję, kto jest ojcem?

Na szczęście to był sarkazm. To już nie liceum. Ani college. Ani gimnazjum, skoro o tym mowa.

- O tak - zapewniła matka. - Będę idealną babcią. Idę dziś do Neimana i Saksa, żeby wybrać trochę ładnych ubranek.

Clarissa pomyślała o strojach dla kobiet w ciąży. O Cindy Crawford w ubraniu ciążowym... To zaś nasunęło jej myśl o diecie. Może wziąć na przeczyszczenie, pomyślała. Ciekawe, czy można zaaplikować sobie odsysanie tłuszczu równocześnie z porodem.

- Ty będziesz idealną babcią, a ja będę... - Clarissa nie mogła dokończyć zdania.

- Że jak?

- Ja będę... - Clarissa zamyśliła się. - O mój Boże. Dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

Spojrzała na matkę z przestachem.

- Twoja mama była okropną mamą. Ty byłaś okropną mamą. Czy wiesz, co to oznacza?

Matka wzruszyła ramionami.

- Obciążenie genetyczne! - zawyła Clarissa. - Będę okropną mamą!

- Oparła dużą głowę na drobnym ramieniu matki i zapłakała.

Poczuła się lepiej, kiedy matka odliczyła plik banknotów na stroje ciążowe od Liz Lange. Chociaż Clarissa była w ciąży dopiero od sześciu tygodni, cieszyła się, że będzie nosić czarne rajstopy z paskiem elastycznym, kapcie baletki i inne atrybuty macierzyństwa.

Tego wieczoru.

Pobiegła do mieszkania w kamienicy aktorów, z postanowieniem przygotowania najlepszego domowego posiłku, jaki знаła, specjalności własnej babki - kugla ziemniaczanego. Babka, duża wojownicza kobieta, skłonna do wybuchów natury politycznej, rzadko przychodziła w odwiedziny; wołała pikietować winogrona w lokalnym supermarkecie (uderzyła kierownika tablicą z hasłem protestacyjnym) lub kłaść się przed nadjeżdżającymi traktorami, by wstrzymać budowę elektrowni atomowej (więcej niż raz).

Pewnego wieczoru, kiedy Clarissa miała osiem czy dziewięć lat, babka zrobiła dla niej kugiel ziemniaczany; powiedziała, że jej matka raz na tydzień szykowała to bogate, pływające w maśle danie. Clarissa przyglądała się, jak babka kroci ziemniaki na niemal przezroczyste plasterki, jak wkłada kugiel do pieca, a potem obserwowała, jak masło topi się i wrze, rumieniąc ziemniaki na brązowo.

Marzyła o tym, żeby oglądać tę transformację co tydzień, ale babka powiedziała, że kugiel podnosi poziom cholesterolu, a poza tym jest pracochłonny. Już wtedy, jako dziewczynka, Clarissa zastanawiała się, czy ktoś będzie ją kiedyś kochał tak mocno, żeby od czasu do czasu coś dla niej ugotować.

Wspomnienia zderzyły się z teraźniejszością: torbą nieumytych ziemniaków na kuchennym blacie.

Clarissa popatrzyła na nie i nagle ogarnęło ją zmęczenie; postanowiła nie robić kugla. Chwyliła przyczepiony do lodówki magnes w kształcie papryki, z numerem telefonu. Wystarczy pizza, pomyślała.

*

Aaron wrócił do domu o wpół do dziewiątej. Czekala na niego połówka pizzy z papryką i dodatkową porcją sera, natomiast żona już spała, w nowych czarnych rajstopach i kapciach, zwinięta w kłębek na kanapie.

Gdy Aaron przykrywał ją kocem, obudziła się z chrapnięciem. Z kąćka jej ust spływała na poduszkę strużka śliny.

- Nadal tu mieszkasz? - spytała Clarissa, ocierając usta rękawem jak sześciolatka.

- Nie jest jeszcze tak późno, Clarisso, dopiero ósma - rzekł Aaron i zaczął skubać pizzę.

- Ósma? - Clarissa spojrzała na elektroniczny zegar nad telewizorem. Szli *Przyjaciele*.

Czemu była taka zmęczona?

- Wyglądałaś tak spokojnie. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Aaronie, musimy porozmawiać.

- Ach, tak - rzekł. - Pora na rozmowę, hę?

- O czym ty mówisz? - spytała.

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Oszczędź sobie tego trudu.

Popatrzyła na niego.

- Wiesz, co zamierzam powiedzieć? - Skąd to wiedział?

- Oczywiście, że wiem. - Aaron wstał, poszedł do kuchni. Wystarczyło zrobić trzy kroki.

Wyjął z lodówki piwo. Odgłos odpadającego kapsla odbił się echem w małym, tekturowym mieszkanku.

Clarissa rozbeczała się. Aaron obejrzał się, zaskoczony.

- Hej - powiedział. - Jezu, nie chciałem doprowadzić cię do łez.

Clarissa energicznie potrząsnęła głową. Efekt był taki jak przy puszczonej szybko wycieracze.

- Ja tylko... posłuchaj, wiem, że przez te ostatnie kilka tygodni nie byłaś szczęśliwa - mówił coraz szybciej. - To zrozumiałe. Prawie się nie znamy, pobraliśmy się, a potem straciłem cały majątek.

Clarissa popatrzyła na niego zapuchniętymi oczami, pociągnęła za smarkanym nosem i znowu się rozryczała.

- Clarisso, proszę cię, przestań płakać - rzekł Aaron. - Nie mogę znieść, kiedy dziewczyna płacze.

Clarissa szlochała jak stary pijak.

Aaron, zdezorientowany i mocno zaniepokojony, wziął ją w ramiona i uściśnął tak, że uszło z niej całe powietrze.

Clarissa zaczęła szybko oddychać, zupełnie jak foka polująca na rybę. Aaron, zupełnie nie wiedząc, co począć, zerwał się z kanapy i zaczął machać rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Potem zaklaskał jej tuż przed nosem.

Potem poskakał na jednej nodze.

Potem padł na plecy i zaczął potrząsać rękami i nogami.

Wtedy Clarissa się roześmiała.

- Wstawaj, pajacu - powiedziała zdyszana.

Aaron wstał z podłogi i usiadł przy niej na kanapie. Clarissa popatrzyła w jego młode, zmartwione oczy.

- Ty nic nie wiesz - powiedziała.

- To ty nie chcesz się wyprowadzić? - spytał.

- Oczywiście, że chcę się wyprowadzić, masz mnie za kretynkę? - odparła na jednym oddechu. - Ale nie o tym muszę ci powiedzieć.

Popatrzył na nią, przekrzywiając głowę, jak labrador czekający na komendę „siad”.

- No więc? O co chodzi? - spytał. - Czy twoja matka znowu umarła?

- Jestem w ciąży.

Aaron ani drgnął. Nawet nie mrugnął okiem. Siedział na kanapie nieruchomy jak posąg.

- Ale... - odezwał się wreszcie.

- Ale wcale. Najwyraźniej jest to możliwe.

Pokiwał głową. A potem, tak szybko, jak pozwalala mu niesprawna noga, podskoczył i zaczął tańczyć dookoła pokoju.

- Rozumiem, że jesteś szczęśliwy - powiedziała Clarissa.

- Rozumiem, że tak! - wykrzyknął. Porwał żonę w ramiona, obtańcował razem z nią pokój, chwycił ją w pasie, podniósł i zaczął obracać, aż poczuła zawrót głowy i kazała się postawić.

Clarissa także, choć rozum podpowiadał jej co innego, dała się ponieść fali szczęścia.

Aaron przespał mocno całą noc, leżąc pomiędzy żoną a swoimi „zwierzakami” (każdemu mówił dobranoc - za każdym razem, kiedy szedł spać - a ostatniego wieczoru dodatkowo podzielił się z nimi dobrą nowiną).

Na drugim brzegu łóżka Clarissa spała niespokojnie; zamartwiała się jak każda przyszła matka.

Czy Prada przygotuje specjalną kolekcję dla dzieci?

Kogo mam przekupić, żeby przyjęło dziecko do prywatnego przedszkola?

A jeżeli dziecko będzie miało duży nos po Teddym i będziemy musieli czekać szesnaście lat na korektę? Czy nie dałoby się jej zrobić wcześniej?

Największym zmartwieniem były pieniądze. Pokłóciła się z Aaronem, bo chciała jeszcze raz pójść do ojca z prośbą o wsparcie finansowe; w końcu obiecała nie poruszać z nim więcej tego tematu.

Wcale jednak nie zamierzała dotrzymywać obietnicy; nie zawarli przecież przymierza krwi, nie złożyli uroczystego ślubowania. Znała swoje prawa.

Na drugi dzień, we wczesnych godzinach rannych (około dziewiątej), Clarissa wyruszyła do biura ojca, gotowa błagać go na kolanach (o ile dywan byłby wystarczająco miękki). Miałaby zawijać dziecko w zwykłe pieluchy? - myślała. Niedoczekanie.

Ojciec, w prążkowanym garniturze i żółtym krawacie, ze świeżo ufarbowanymi na rudo włosami, wyglądał jak niepotrzebny gospodarz dziennego talk-show, który dostał rolę w nowej inscenizacji *Musie Mana* na Broadwayu.

- Cóż cię do mnie sprowadza, cukiereczku? - powitał ją, niespiesznie wychodząc na korytarz.

- Jestem w ciąży i potrzebuję pieniędzy - odparła Clarissa, gdy wprowadzał ją do gabinetu. Nie czuła potrzeby celebrowania wstępnych uprzejmości. Przecież to był tylko jej ojciec.

- Ciebie też miło widzieć, cukiereczku - rzekł Teddy, zamykając duże drzwi obite drewnianymi panelami. Całe biuro było wyłożone drewnianymi panelami i przypominało górskie schronisko dla narciarzy.

Teddy, jak wielu ludzi, miał więcej pieniędzy niż smaku.

Usiedli naprzeciw siebie, ojciec i córka, spoglądając nad przepaścią szeroką jak Morze Sargassowe albo jak sempiterna jej babki w leciech. Wreszcie Clarissa przemówiła.

- Czy ciężarna dama może liczyć u ciebie na kawę? - spytała. - Czy mógłbyś kazać tej prukwie otrzepać tyłek z kurzu i mnie obsłużyć?

- Żadnej kofeiny - zabronił Teddy. - Będziesz matką, Clarisso. Musisz być odpowiedzialna.

- Pamiętasz moje imię. To dobrze - odparła. A potem, jakby coś przyszło jej do głowy, dodała: - Odpowiedzialna? Mówisz mi, że mam być odpowiedzialna? Kto umarł i uczynił ciebie rodzicem?

- Moja wygadana córunia. Nigdy nie zapomni języka w gębie.

Podszedł do kasetki z cygarami. W ostatniej chwili uprzytomnił sobie niewłaściwość swojego postępowania, co Clarissa skwitowała uśmiechem. Gdyby zapalił, dopiero mogłaby sobie na nim użyć.

Teddy siedział, żując niezapalone cygaro.

- Tylko nie rób sobie żadnych testów.

- Jakich testów? - spytała Clarissa, lekko zirytowana.

- Tych, no, jak je tam nazywają... gdzie ustala się płęć. I sprawdza, czy jajeczko było dobre.

- Testy Amnio.

- To nic dobrego. Widziałem w programie o zdrowiu kobiet. - Jego sowie oczy zaokrągliły się. - Wbijają igłę w brzuch, o tu.

Wyciągnął rękę i szturchnął ją w żołądek. Clarissa odskoczyła i trzepnęła go w dłoń, która, o dziwo zawsze wydawała się zaciśnięta w pięść.

- I nie mów mi czy to chłopiec, czy dziewczynka - dorzucił Teddy. - Nie chcę wiedzieć. Kiedyś ludzie nie wiedzieli. To była niespodzianka. Przyjemnie mieć niespodziankę.

- Tato?

- Teddy - poprawił.

- Tato, zostaniesz dziadkiem, do cholery.

- Nie klnij przy dziecku.

- A co to, kurczę, za różnica, czy mówię do ciebie „tato”?

- Dzieciak też mógłby do mnie mówić Teddy.

- Tato - powiedziała Clarissa, głęboko wzdychając. - Spójrz na swoje włosy. Może powinnam cię nazywać Dużym Rudzielcem.

Teddy odwrócił głowę i spojrzał w lustro wiszące za biurkiem, ponad barem. Przyglądał włosy.

- Uważam, że wyglądają dobrze. - Ponownie je przyglądał. - Przypominam tego gościa.

- Ronalda McDonalda. A może kukielkę Howdy Doody?

Clarissa czuła, że bez kawy się nie pozbiera. Nie mogła się skupić. Była tak zestresowana przebywaniem w jednym pomieszczeniu z ojcem, że obawiała się stracić słuch - czytała w cyklu *To mi się przydarzyło* w „Cosmopolitance” o młodych kobietach, które traciły zmysły po bardzo silnych przeżyciach i obciążeniach, na przykład w czasie wojny albo mieszkając w studiu aktorskim i jedząc tuńczyka trzy razy w tygodniu.

- Pamiętaj, musisz karmić piersią - rzekł Teddy.

Spoważniał. Poznała się na tym, mimo że ostatni lifting uszkodził mu nerwy wokół czoła, pozostawiając go z jednym wyrazem twarzy: zdziwienia. Wyglądał jak korespondentka telewizyjna Connie Chung w wersji „biały mężczyzna w średnim wieku”.

- Powiedziałeś „piers”? - upewniła się Clarissa. Na samą myśl, że

jakiś potworek będzie wisiał u jej przepięknej piersi, ciągnąc ją ku ziemi, czuła mdłości.

- Musisz karmić piersią - powtórzył Teddy.
- Mama nie karmiła mnie piersią - odparła Clarissa.
- Nie wiedzieliśmy, że tak jest najlepiej. Teraz wiemy.
- Nie twoja sprawa.
- Pierś jest najlepsza.

Clarissa nie spodziewała się, że ojciec będzie aż tak zainteresowany życiem jej nienarodzonego dziecka. Nie spodziewała się, że w ogóle będzie się nim interesował.

- I jeszcze jedno - ciągnął Teddy. - Żadnego alkoholu.
- Mama co wieczór piła martini, kiedy była w ciąży.
- Nie wiedzieliśmy, jak jest najlepiej. A ukończyłaś college?
- Ty w ogóle nie poszedłeś do college'u.
- Nie rozmawiamy o mnie. Rozmawiamy o tobie i twoim dziecku.
- Tato. Teddy. Dasz mi pieniądze czy nie?

Ojciec popatrzył na nią. Czerwone wtyczki tkwiły w jego głowie w równych szeregach jak żołnierze.

- Oczywiście, cukiereczku.

Clarissa podskoczyła i pocałowała go w policzek, nim nawet pomyślała, że jest zdolna do takiego gestu. Teddy uśmiechnął się, oddał pocałunek i uścisnął ją, jakby to było coś najnaturalniejszego w świecie. Jakby nieraz przytulali się do siebie.

Zachowując w sercu to uczucie (a w rękę ściskając hojny czek od ojca), czmychnęła po schodach do samochodu. Zadała sobie pytanie, czy dziecko odmieni wszystko w jej życiu na lepsze. Sprawilo już (sprawił? sprawiła?), że ojciec ją uściskał, co zdarzało się jedynie w dzieciństwie i przy specjalnych okazjach, na przykład wtedy, kiedy dawał jej pieniądze.

Wreszcie zrozumiała, dlaczego biedne kobiety, które widywała na ulicy i w telewizyjnych reportażach, mają tyle dzieci - bo dzieci przynoszą nadzieję.

Wyglądało również na to, że biedni ludzie mają za dużo wolnego czasu i z braku satelity pieprzą się jak króliki.

Clarissa nagle zrozumiała, że nosi w sobie potężny, choć zaledwie sześciotygodniowy argument; skoro tak jej się powiodło z własnym upartym ojcem z wszczepionymi włosami, to równie dobrze może postawić przed sobą znacznie większy cel: podbicie rodziców Aarona.

Postanowiła, że zadzwoni do Joe Trzeciego i Cinnamon, kiedy tylko dotrze do swoich „okropnych warunków mieszkaniowych”.

- Nie - powiedziała na głos Clarissa, o włos unikając zderzenia z przechodzącym przez Fairfax starszym panem. - Polecę do nich samolotem.

Gdyby tylko pamiętała, w jakim mieszkają stanie.

Rozdział czternasty

Pojawia się Zła Suzee i wszystko się wali

Clarissa gorączkowo przerzucała książkę telefoniczną instytucji (ukradzioną z mieszkania sąsiadów, którzy zostawili otwarte drzwi) w poszukiwaniu biura podróży, kiedy ktoś energicznie zapukał, dzwoniąc bransoletami.

Pukanie budziło niepokój - brzmiało tak, jakby do drzwi dobijała się Śmierć, naszpikowana lekami na powstrzymanie apetytu. Clarissa zsunęła pantofle od Prady (dzięki, mamgo!) i podeszła na palcach do drzwi.

Podkreślone grubą kreską oko przyglnęło do wizjera. Clarissa cofnęła się z sercem w gardle (serce miało smak pizzy pepperoni, którą jadła wczoraj wieczorem). Przygryzła zaciśniętą dłoń, żeby powstrzymać krzyk.

- Clarisso, słonko! - zawołał śpiewny głos. - Wiem, że tam jesteś, laluniu, twoja beemka jest jeszcze ciepła.

- Cholerajebanakurwamać - wyszeptła Clarissa i zaczęła podskakiwać, jakby szara wykładzina dywanowa (tutejszy standard) parzyła ją w stopy.

- No, już, raz-dwa! Umyj zęby i wpuść mnie - mówił głos. - Przyniosłam torbę!

Gałka u drzwi zadrżała. Zła Suzee nie zamierzała ustąpić.

- Uroczo - powiedziała, wchodząc do salonu, jadalni, holu i kuchni Clarissy.

Wszystkie te pomieszczenia składały się na jeden pokój.

- Przyniosłam torbę, pamiętasz nasz zakład przed ślubem? Zawsze dotrzymuję obietnic - rzekła, wręczając Clarissie torbę od Louisa Vuittona. - Podobno Aaron został wydziedziczony. Może uda ci się ją sprzedać - doradziła z radością, jaką niesie kartka świąteczna firmy „Hallmark”. Patrzyła na plakat filmowy z lat czterdziestych, który Aaron przykleił do ściany gumą do żucia. - Podoba mi się, jak się urządziliście, zupełnie inaczej niż w typowym budownictwie komunalnym. Nie rozumiem, o czym ludzie gadają.

Clarissa gotowa była przysiąc, że widzi jad kąpiący z kłów Złej Suzee.

- Kawy? - spytała.

Marzyła o tym, żeby wylać ją na klasyczny kostium od Chanel, który miała na sobie Suzee. Wyglądała w nim staro, jak czyjaś bogata ciotka, choć liczyła na to, że trafi kiedyś na listę najlepiej ubranych osób w jakimś - jakimkolwiek - magazynie mody; to był cel jej życia.

- Nie, dziękuję, kochanie. Nie piję instant - odparła Suzee.

- Jak chcesz, Zła. Kto ci powiedział? Mów prawdę - zażądała Clarissa, odkładając torbę. Postanowiła zejść ze szlaku towarzyskiej rozmowy; głowa ją rozboleła od tłumienia morderczych instynktów.

- Wiesz, że nie mogę zdradzić swoich źródeł informacji - odparła Suzee. Zatrzepotała rękami jak Scarlett O'Hara na balu debiutantek.

Clarissa spostrzegła woreczki tłuszczu pod oczami Suzee. Genetyczna aberracja. Miała najwyżej dwa lata na korektę tej wady. Nie spuszczać wzroku z woreczków, Clarissa potarła dolne powieki. Wiedziała, że doprowadzi tym Pajęczycę do szału.

Suzee zmrużyła oczy.

- Co robisz? - spytała.

- Kto ci powiedział o moim nowym... - Clarissa nie mogła dokończyć.

- O twoim, hmm, dziwnym lokum?
- Nie mów „hmm” - upomniała ją Clarissa. - Nikt tak nie mówi.
- Hmm - powtórzyła Suzee. - Chyba jednak napiję się kawy. W twoim aneksie kuchennym pewnie czają się kubki z napisem: „Ja - serce - L.A.”, nie myślę się?

Clarissa ugryzła się w język, żeby jej nie przygadać, zrobiła trzy (w jej przypadku cztery, bo miała krótsze nogi) kroki i weszła do małej kuchni. Postukała drzwiczkami tanich szafek z drewnopodobną okleiną, szukając porcelany od Geary'ego, tak pasującej do dawnego mieszkania Aarona w starym Hollywood (dodała ją do listy prezentów na długo przedtem, zanim Aaron dowiedział się o czekającym ich ślubie).

Znalazła małą filiżankę z delikatnym wzorkiem w kwiatki i złotym rąbkiem; przypominała babcine filiżanki do kawy - te, którymi matka rzucała w ojca, kiedy się na niego zezłościła. Przetrwały w ich domu całe sześć miesięcy, bo porcelana nie odbija się od podłogi.

Wyjęła filiżankę z szafki z niedomykającymi się drzwiczkami.

Naplula do niej.

- Z mlekiem czy ze śmietanką?! - zawołała, gdy nalala kawę.

- Z mlekiem - odparła Suzee.

Clarissa zerknęła na resztkę porannego mleka w kocie miseczce. Wlala je do filiżanki.

- Zapomniałam spytać cię o cukier - powiedziała Clarissa, wnosząc kawę Suzee do salonojadalni.

Suzee z odrazą przycupnęła na brzeżku czerwonej kanapy.

- Dziękuję, bez cukru - rzekła Suzee.

Odśloniła gadzi język i upiła łyżek.

Clarissa uśmiechnęła się do niej pierwszy raz tego popołudnia.

- Jennifer puściła farbę - powiedziała Suzee, gdy wysączyła ostatnią kroplę. - Rozpląkała się jak dziecko, kiedy ją wzięłam pod nóż. - Suzee patrzyła znad filiżanki. - Żartuję, skarbie. Lubię metafory.

- Dlaczego ci powiedziała? - spytała Clarissa, zaniepokojona o Jennifer.

Od rana nie miała od niej wiadomości; może Suzee naprawdę ją poćwiartowała, a kawałki rozrzuciła po mieście.

- Bo zagroziłam, że jeżeli mi nie powie, przestanę się z nią przyjaźnić. - Suzee uniosła brew do polowy czoła.

- No tak. Sprytnie - rzekła Clarissa.

Jennifer była niczym naiwna młodsza siostra. Wystarczyło powiedzieć: „Bo przestanę się z tobą przyjaźnić”, i sprawa załatwiona. Wynik bitwy o informacje między Suzee a Jennifer był z góry przesądzony.

- Chcesz mi pokazać mieszkanie? - spytała Suzee.

- Nie doprowadzaj się do swojego dorocznego orgazmu, Suzee. Ta sytuacja jest tak tymczasowa, że właściwie już się skończyła - odparła Clarissa.

- Nie rozwodem, mam nadzieję - powiedziała Suzee. Oczy jej błyszczały.

Clarissa nabierała odwagi i mówiła coraz szybciej.

- Dostaliśmy ostatnio spadek i kiedy tylko znajdzie odpowiedni dom, planujemy przeprowadzkę.

- Ktoś zmarł? - spytała Suzee.

- Przykro mi, kochanie - odparła Clarissa. - Ktoś się urodzi.

Suzee wykrzywiła się i natychmiast wchłonęła grymas.

- Ahhhh! Moje gratulacje!

Podfrunęła na skrzydłach nietoperza i przycisnęła Clarissę do kościastej piersi. Clarissa poczuła się jak mucha tańcząca z czarną wdową. Wyzwoliła się z uścisku.

- Dziękuję. Nikt jeszcze o tym nie wie, oprócz Gravy. - Clarissa miała ochotę zabić się za to, co jej się wysnęło. Zdradziła wszystko.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz się bardzo gruba - powiedziała Suzee

z uśmiechem, powolutku wycofując się do drzwi (były krok za nią). - Och, przypomniało mi się, nudności nieraz trwają przez całe dziewięć miesięcy. A tak w ogóle, ciąża trwa dziesięć miesięcy, dziewięć to błędna opinia. - Koścista dłoń z wydatnymi żyłami objęła gałkę u drzwi. - Wiesz, jaka jest różnica między chodzeniem w ciąży z dziewczynką a chodzeniem w ciąży z chłopcem? Dziewczynka nienawidzi matki, więc robisz się w ciąży gruba i brzydka, a chłopiec kocha matkę, więc załatwia jej tylko trądzik. - Suzee oblizwała zawsze suche wargi. - Jestem pewna, że tobie się to nie przytrafi.

- Jesteś nieocenionym skarbem - odparła Clarissa.

- Nie, to ty jesteś skarbem. - Suzee przesłała pocałunek w powietrzu i wyfrunęła.

Zanim zamknęły się za nią drzwi, Clarissa spostrzegła srebrną komórkę w ręku Suzee. W panice podbiegła do torebki. Chciała podzielić się dobrą wiadomością z resztą Trybunału, zanim Suzee wszystko zepsuje. Pora na szybkie wybieranie numerów.

Gravy już wiedziała, ale przysięgła dochować tajemnicy. Następna na liście: Jen.

- Halo?

Po pierwszym sygnale. Ktoś czekał przy telefonie, pomyślała Clarissa.

- Jen, tu Clarissa... jestem...

Clarissa usłyszała w słuchawce kliknięcie.

- Zaczekaj, C.

- Nie! - wrzasnęła Clarissa. - Cholera! - Do bani z taką strategią; zmarnowała za dużo czasu, mówiąc: „Tu Clarissa”.

Znów kliknięcie i głos Jen.

- O mój Boże! Gratuluję! Tak się cieszę!

- Kurwa! - wydarła się Clarissa.

- Już przybrałaś pięć kilo? - spytała Jen.

Clarissa wcisnęła przycisk „konferencja”, wybrała w szybkim trybie numer Gravy, licząc na jej wsparcie, i jednocześnie chwyciła palmtopa, by wysłać wiadomość Polo.

- Suzee powiedziała mi właśnie o kłopotach z cerą, na pewno szybko przejdą - pocieszyła ją Gravy, chrupiąc krakersy.

- I jeszcze raz kurwa! - krzyknęła Clarissa. - Bądź przeklęta, Zła Suzee!

Palmtop zabrzączał. Polo napisała: „Słyszm! Mdlści?”.

- Kurwa do kwadratu - powiedziała Clarissa. - Przepraszam was, dziewczyny, muszę się zwinąć w pozycji płodu.

- Wiesz, słyszałam, że ciąża trwa dziesięć miesięcy - rzuciła Gravy z pełnymi ustami.

Clarissa rozłączyła się ze wszystkimi i wyłączyła telefon.

Obudziła się z twarzą przyklejoną do książki telefonicznej, wisząc nad literą „M” jak masaż. Spojrzała na ogłoszenia reklamujące masaż całego ciała, wykonywany przez Tajki i Rosjanki, zamknęła oczy i podziękowała Bogu, że urodziła się w takim wspaniałym kraju, gdzie dziewczyna bez perspektyw, za to hojnie obdarzona przez naturę, może wyjść za mąż za kogoś bogatego, nawet jeżeli chwilowo gówno z tego ma.

Clarissa uznała, że powinna zaplanować podróż, aby osobiście zobaczyć się z rodzicami Aarona - czuła, że przez telefon wiadomość o pierwszym wnuku nie zrobi dostatecznie wielkiego wrażenia.

Zadzwoiła do biura podróży, spytała, w jakim stanie leży miasto Colton albo Callin czy jakoś podobnie, dokonała rezerwacji na samolot i w hotelu (nie chciała być ciężarem).

Wszedł Aaron z paczką.

- O mój Boże, Aaron. Co robisz tak wcześnie w domu?

- A co? Masz tu innego mężczyznę?

- Nie, ale...

- Żartowałem. - Podał jej paczkę. - Otwórz.

- Dla mnie? - Rozdarła opakowanie jak tygrys rzucający się na gryzonia.

Naszyjnik. Delikatna złota koronka z turmalinem i perłami. Piękny. Nie mogła go włożyć. Nie pasował na jej szyję.

- Z okazji Dnia Matki - rzekł Aaron.
- Ależ Aaronie. - Clarissa uniosła głowę i przemówiła łagodnie jak do dziecka. - Dziś nie Dzień Matki, a zresztą jeszcze nią nie zostałam.
- Od kiedy dbasz o takie szczegóły, dostając prezent?
- Słuszna uwaga - odparła. Przyjrzała się jubilerskiej robocie. - To było drogie.
- Dałem zaliczkę, potem spłacę resztę. Co za pomysł! Nigdy nie kupowałem na raty.
- Aaronie. Ten naszyjnik jest piękny. Naprawdę bardzo piękny.
- Podoba ci się?
- Podoba - odparła Clarissa, choć wcale nie ogarnął jej zachwyt, wypełniło ją natomiast nowe uczucie: wdzięczność. Popatrzyła na niego. - Ile jest w tym mieszkaniu pomieszczeń?
- Trzy - odparł Aaron z uśmiechem.
- To zostały nam jeszcze dwa...

Kiedy kochali się trzeci raz tego popołudnia, zadzwonił telefon. Clarissa poprosiła Aarona, żeby nie odbierał, ale musiał to zrobić, bo miał taką umowę z szefem.

Dzwonił Teddy.

- To Teddy - bezgłośnie powiedział Aaron.
- Nie ma mnie - rzekła Clarissa.
- Nie ma jej - powiedział Aaron do słuchawki, lecz po chwili wyraz jego twarzy się zmienił. - Chyba jednak powinnaś z nim porozmawiać - rzekł do Clarissy. - Ma tylko trzy minuty i jedną ćwierćdolarówkę.

Clarissa spojrzała na Aarona.

- To nie jest śmieszne.
- Nie jest śmieszny biały mężczyzna w średnim wieku, siedzący w celi i porównujący tatuaże z członkami gangu. - Urwał. - Zaraz, zaraz. To jednak jest śmieszne.

Clarissa wzięła do ręki słuchawkę.

- Tato?
- Teddy.

- Teddy. Gdzie jesteś?

- Mam mało czasu.

W tle ktoś zaryczał. Clarissa nigdy nie słyszała, jak ktoś ryczy. Krzyk, owszem, słyszała. Wrzask, jak najbardziej. Ale ryk - to było coś zupełnie innego.

- Co to za hałas?

- Jemy lunch.

- Powiedz, że jesteś w „Hillcrest” na bar micwie.

- Jestem na posterunku policji, na rogu Czwartej i Grand.

- O kurwa.

- Potrzebuję dziesięciu tysięcy dolarów na kaucję.

- Nie mam dziesięciu tysięcy. Nie mam nawet dwudziestu dolarów, przecież wiesz.

- Dałem ci czek.

- W tym cała rzecz, tato - jęknęła Clarissa. - Dałeś mi go.

- Potrzebuję tych pieniędzy na kaucję.

- Masz dość pieniędzy, musisz mieć jeszcze jakieś pieniądze, jesteś moim ojcem.

- Oczywiście, że mam jeszcze pieniądze. - Urwał. - Zanim przeszukają mieszkanie. Pod komputerem. Będzie tam jakieś pięćset.

- Pięćset? - Clarissa opadłaby na oparcie, gdyby nie to, że już leżała.

- Powiedz, że pod twoim komputerem leży pięćset tysięcy.

- Musisz działać szybko. Zamrożą mi konta.

- Zamrożą ci konta? A co ze mną? Co z dzieckiem?

- Bardzo chciałbym ci pomóc, cukiereczku, naprawdę.

- Tato. Jak to się stało?

- Mój dawny partner.

- Chcesz powiedzieć: twój partner.

- Nie. Miałem go dość. Ciągłe narzekał.

- Na przykład?

- Że płaci mniejsze podatki, niżby chciał.

- Co?

- Twórcze finanse, jak sama mówiłaś. Jestem twórczym facetem, Clarisso wiesz o tym.

- Tato.
- Tak.
- Przyjadę po ciebie z kaucją.
- Moja córeczka.

Clarissa odłożyła słuchawkę i spojrzała na Aarona.

- Wezmę płaszcz - rzekł.
- Nie - powstrzymała go Clarissa. - Nie chcę, żebyś ze mną jechał. To zbyt krępujące.
- Żartujesz? To wcale nie jest krępujące. - Uśmiechnął się. - To rodzina.
- Rodzina jest krępująca! - zawołała za nim Clarissa.

Wpłacili na poczcie kaucję i odebrali ojca z centralnego więzienia Los Angeles. Aaron i Teddy powitali się jak starzy kumple z wojska, rozdzieleni przez wiele mil, wiele lat, żony i dzieci. W drodze do mieszkania Teddy'ego panowie rozmawiali jak gdyby nigdy nic o giełdzie, o drużynach Lakersów i Knickersów, o tym, gdzie można zjeść najlepszą nowojorską pizzę. Poruszyli wszystkie możliwe tematy oprócz jednego: że Teddy pewnie znowu musi iść do paki.

Kiedy podrzucili go do Century City, Clarissa przysięgła sobie, że w ciągu najbliższych dni odwiedzi rodziców Aarona. W zaistniałej sytuacji musiała się zachować jak osoba dorosła, skoro nikt inny się nie kwapił.

Nie zamierzała spędzić kolejnego miesiąca ciąży w tym mieszkaniu.

Trudność polegała na takim zorganizowaniu wyjazdu, by Aaron nie dowiedział się, że leci do Atlanty i tam nocuje.

No dobra, to jeszcze da się zrobić.

Trudniej było przekonać Gravy, żeby poleciała razem z nią.

- Nie jeżdżę do miejsc, gdzie nadal używa się „lakiru do tapiru”.
- Jakaś ty kulturalna!

- Jestem wyrafinowana. Wiesz o tym. - W licealnej księdze pamiątkowej ktoś nazwał ją wyrafinowaną i Gravy kurczowo trzymała się tego przymiotnika.

- Daj sobie z tym spokój, Gravy.

- Nie. To wszystko, co mam.

- Zgoda. - Clarissa odczekała chwilkę. - Więc pojedziesz?

- Oczywiście. To będzie niezła zabawa popatrzeć, jak się wydurniasz przed teściami.

- Czemu jesteś taką suką?

- To szczególna umiejętność, talent szlifowany przez lata. Poza tym jako dziecko nie byłam kochana.

Uśmiechnęły się do siebie.

- Zapakuj się i bądź gotowa jutro o ósmej rano. Lecimy o dziewiątej trzydzieści.

- Jezu. Mam nadzieję, że podadzą w samolocie przyzwoitą krwawą mary - powiedziała Gravy.

- Zgodzisz się, kochanie, żebym przenocowała dziś u Gravy? - spytała Clarissa.

Aaron spojrzał na nią zdezorientowany.

- Potrzebuje mnie. Muszę jej pomóc dojść do siebie po... miała kobiecą operację.

Aaron skrzywił się.

- O kurczę.

- No właśnie. Jakąś narośl...

- O Boże, o... - Odstawił płatki kukurydziane.

- Tak, w...

Zamachał rękami, wstał i rzucił się do łazienki.

- Więc zgadzasz się?

Odpowiedział chrząknięciem.

- Dziękuję, kochanie, jestem ci bardzo wdzięczna, Gravy też. - Clarissa skrzyżowała dwa palce za plecami. - W takim razie do zobaczenia jutro, kiedy wrócisz z pracy. A gdybyś chciał się ze mną skontaktować, będę pod komórką.

Aaron znów chrząknął.

Roześmiała się. Mężczyznom tak pilno dorwać się do intymnych partii

kobiecego ciała, a nie potrafią się zdobyć na rozmowę na ten temat. Temat zawieszający przyjęcie. Najpewniejszy sposób, dzięki któremu dziewczyna może osiągnąć wszystko, co chce. Powiedzieć „pochwa” to jak wyjąć rewolwer, tylko wypada taniej i bez przemocy.

Clarissa wcześniej podjechała do domu Gravy i wyciągnęła ją z łóżka. Gravy wyglądała jak Courtney Love w latach balangowania przed nominacją do Oscara. Godziny przedpołudniowe nie były jej ulubioną porą dnia.

- Zaciągasz u mnie dług wdzięczności - powiedziała, kiedy Clarissa wepchnęła ją pod prysznic.

Clarissa patrzyła przed siebie, siedząc w fotelu w klasie biznesowej. (Czemu nie? Była przecież w ciąży. Matka, która nieświadomie zapłaciła za bilety, na pewno nie chciałaby, żeby córka leciała turystyczną). Ludzie zawsze mówią: „Lot minął spokojnie”, myślała. Dlaczego akurat wtedy, kiedy ja lecę pierwszy raz od dwóch lat, tyle się, cholera, dzieje? Gravy, która uparła się, żeby wciągnąć na pokład za dużą torbę, zezłościła się na stewardesy, które z kolei dały jej szkołę subtelnej złośliwości. Kiedy zawołała: „Hej, kelnerka”, potrząsając pustymi buteleczkami po wódce w stronę umundurowanej kobiety, obsługa obcięła jej ramię orzeszków ziemnych prażonych w miodzie i alkoholu, skazując na głód i zły humor przez resztę lotu. Kiedy zaś skrytykowała pokazywany na pokładzie film, wyrażając się, hmm, raczej nieelegancko („Nie cierpię tego pieprzonego [pomińmy nazwisko aktora, by uniknąć sprawy sądowej lub pełnego oburzenia listu z działu public relations wytwórni]. Jest tak cholernie drętwy, a w dodatku wygląda, jakby przejechał mu po twarzy kombajn zbożowy”), jedna ze stewardes zagroziła, że przywiąże ją do fotela maską tlenową, i nawet Gravy musiała przyznać, że jest pod wrażeniem.

Opuszczając pokład, Gravy krzyknęła, że sama powinna zostać stewardesą, bo najwyraźniej ma do tego wrodzone predyspozycje.

W trakcie lotu Clarissa starała się nie zwracać uwagi na wybryki Gravy, próbowała nawet trochę pomedytować, kiedy rzucało nimi w czasie burzy nad Górami Skalistymi w Kolorado.

Ćwicząc wizualizację, zdołała jedynie zobaczyć rodziców Aarona, witających ją z otwartymi ramionami i portfelami. Wiozła dla nich prezenty - krawat od Armaniego dla pana Masona i chustę od Hermesa dla jego żony.

Krawat od Armaniego zabrała z szafy ojca, kiedy szukała pięciuset dolarów, a chustę od Hermesa wyciągnęła z szuflady z bielizną u matki (kilka miesięcy temu, na wszelki wypadek). Uznała, że tam, gdzie ojciec spędzi najbliższy rok życia (dokładnie ile, to zależało od tego, jak dobry - czytaj: drogi - jest jego adwokat), nie będzie zapraszany na uroczyste kolacje ani spotkania biznesowe - niewiele okazji do wystąpienia „pod krawatem”, rzadkie konferencje telefoniczne. A matka nie nosiła chustki od Hermesa od dnia, w którym stwierdziła, że tylko starsze kobiety noszą chustki.

Samolot podskoczył z łoskotem i Clarissa pogłaskała się po brzuchu, pocieszając swojego własnego pasażera.

Gravy spojrzała na nią z uśmiechem. Wyciągnęła rękę, którą Clarissa z wdzięcznością pochwyciła.

- Wszystko będzie dobrze, mamusi - powiedziała Gravy. Samolot zahuczał. - Kurwa mać! - wrzasnęła Gravy. - Czego ja dla ciebie nie robię!

Rozdział piętnasty

Spotkanie z rodzicami (dziadkami!)

- Co?! Nie wiedzą o twoim przyjeździe?

Gravy, z marsmem na czole i wielkimi czarnymi okularami od Chanel na nosie, ciągnęła neseser, podrabianą Pradę, przez terminal w Atlancie.

- Nigdy nie lekceważ efektu niespodzianki - odparta Clarissa, tłumiąc narastające zdenerwowanie. - Przecież od razu mnie pokochają, czy może być inaczej?

Gravy dyszała głośno, gdy Clarissa rozglądała się za punktem wynajmu samochodów. Widziała same blondynki z wielkimi fryzurami, w kolorowych sukienkach z poduszkami na ramionach i z grubą biżuterią; zupełnie jakby znalazła się w tłumie kandydatek do tytułu Miss America, zabranych na przewidzianą w programie wycieczkę. Spodziewała się lada chwila ujrzeć Berta Parksa.

- Czy może być inaczej? - powtórzyła Gravy. - Pozwól, że wyliczę powody, dla których może być inaczej. - Podniosła rękę i zaczęła odliczać na palcach. - Po pierwsze, jesteś starsza od ich syna. Po drugie, wysłaś za niego bez intercyzy. Po trzecie, nie jesteś nawet statystką w *Dallas*. Mówiąc to, wskazała skinieniem głowy kodachromowe blondynki. Były wszędzie. Mnożyły się jak gupiki z burzą włosów.

- Wystarczy, Cindy Adams - ucięła Clarissa, wymieniając nazwisko dość znanej felietonistki o fryzurze jak z teatru kabuki, a języku ostrym i celnym jak strzała. Sprawdziła telefon. Nikt nie dzwonił. Wreszcie

sposzregła tablicę: „Tu tanio auto”. - Weźmy kabriolet. - Czula, że kabriolet poprawi jej humor, nieraz się o tym przekonała.

- Masz ważną kartę kredytową? - spytała Gravy, drepcząc za Clarissą. Przystanęła, żeby zapalić papierosa, ignorując rzucające się w oczy zakazy palenia.

- Nie. Ale moja matka ma.

- I oczywiście wie, że z niej korzystasz.

- Nie.

Gravy uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i dmuchnęła dymem. Starsza kobieta w różowym kostiumie skrzywiła się i pokazała palcem zakaz palenia.

- Jeden sztach! - krzyknęła Gravy i potelepała za Clarissą.

Dopiero o czwartej Clarissa wjechała na okrągły podjazd przed „Downtown Macon Towers”, hotelem niewyróżniającym się ani architekturą, ani klientelą. Agentka biura podróży mówiła o basenie, saunie, sali treningowej, szerokich łózkach, atmosferze centrum i detalach stylizowanych na okres sprzed wojny secesyjnej. Przewidywała, że Clarissa będzie zachwycona.

Clarissa była zdegustowana.

- Sama wybrałaś ten hotel - zaznaczyła jak zawsze usłużna Gravy.

- Tu śmierdzi - powiedziała Clarissa, gdy wchodziły do „apartamentu”, nazwanego tak ze względu na kanapę, która wyglądała, jakby wyrzuciono ją przez okno podczas pożaru. - Fuj - dodała Clarissa, ze złością marszcząc nos. - Nylonowe podkolanówki starszej pani i psia sierść.

Gravy ostrożnie wciągnęła powietrze i usiadła na łóżku, które udawało zamówione przez Clarissę podwójne łoże, a tak naprawdę składało się z dwóch wąskich, zsuniętych razem. Pomachała sobie przed nosem ręką, robiąc wiaterek; można by sądzić, że testuje nowe paryskie perfumy.

- Wyszłe nasienie - orzekła. - O, chwileczkę, smużka potu grubego mężczyzny.

Clarissa chwyciła hotelowy telefon i trzymając słuchawkę wątpliwej czystości z dala od głowy, wybrała numer Cinnamon i Joe Trzeciego Masonów. Modliła się w duchu o przychylne nastawienie i czysty wolny pokój gościnny.

Podrapała się w rękę; ugryzło ją coś małego.
Jeszcze trochę, a złapią pchły.

Pewniaki zdradzające wielkie bogactwo:

1. Nieoznakowana droga wijąca się przez trawnik od frontu; trawnik, dodajmy, ciągnący się pięć kilometrów.
2. Brak oznakowanej skrzynki pocztowej.
3. Żelazna brama, która pasowałaby, dajmy na to, do Kremla.
4. Tablica na żelaznej bramie z wymyślną nazwą. Tylko bogacze śmierdzący pieniędzmi nadają nazwy swoim domom.
5. Lądowisko dla helikopterów.
6. Zoo. To nie żart.
7. Za żelazną bramą, za tablicą, za tym wszystkim - ogromny dwór z piaskowca. Jeszcze jeden pewniak.

Ci pieprzeni Masonowie byli bogaci. Jak J.R. Ewing z serialu *Dallas*. Jak nafciarze, bracia Hunt.

Bogaci jak ryczące lata osiemdziesiąte i silikonowe lata dziewięćdziesiąte.

Tak powiedziałyby Gravy, gdyby była w stanie mówić. Dolna szczeka opadła jej na mostek i już tam pozostała, dopóki Clarissa nie zaparkowała samochodu (przejechawszy gigantyczny zielony teren w odcieniu jak z marzeń irlandzkiego kobolda - najzieleńszej zieleni - zieleni starych pieniędzy) i nie wyciągnęła jej ze stanu odrętwienia, w jakie wprawił ją widok wielkiej fortuny.

Na chwiejnych nogach wydostały się z mustanga i podeszły do stopni

prowadzących do wejścia. Clarissa liczyła stopnie - jeden, dwa, trzy - ale przestała, kiedy zabrakło jej tchu. Cinnamon Mason, przepasana fartuszkiem z falbanką i z zimnym martini w rękę, powitała synową u szczytu schodów z wielkim entuzjazmem i energią. Clarissa pomyślała nawet, że nacisnęła niewłaściwy dzwonek na imponującej żelaznej bramie.

- Och, cudownie - powiedziała Cinnamon. - Clarissa.

Nareszcie.

Uścisnęła ją, szybko i mocno, a potem równie szybko oderwała od siebie i potrząsnęła dłonią Gravy tak silnie, że omal nie wyrwała jej ręki ze stawu, tak przynajmniej przysięgała później Gravy.

- Wchodźcie, wchodźcie - zaprosiła ich Cinnamon, wkraczając dumnym krokiem pawia do ogromnego holu.

Kamerdyner, starszy mężczyzna o gładkiej, niemal granatowoczarnej cerze i z kontrastowo białymi, zaczesanymi w tył włosami, które wyglądały jak morska piana, odebrał od Clarissy i Gravy płaszcz i torebki.

Kamerdyner. No właśnie, jeszcze jeden pewniak zdradzający bogactwo. (Clarissa była pewna, że znajduje się w centrum bogactwa wyrażanego zarówno numerem telefonu, jak i kodem pocztowym).

- Oczy z tyłu głowy, panno Wyrafinowana - szepnęła Clarissa do Gravy.

Idąc za Cinnamon, minęły salę balową (salę balową?!) i weszły do przyległego salonu. O tym, że rozległa połać marmurowej posadzki jest salą balową, dowiedziały się, gdy Cinnamon rzuciła mimochodem: „A to sala balowa”, zupełnie jakby mówiła: „A to pokój dla pań” albo „A to bielizniarka”.

- Przepraszam za bałagan - powiedziała, gdy weszły do salonu, ze smakiem zakomponowanego z jedwabiu, aksamitu i świeżo ściętych róż w kolorze zimowych brzoskwiń.

Clarissa pomyślała, że mogłaby umrzeć w takim pokoju, nawet złą śmiercią (morderstwo, samobójstwo, udławienie się orzeszkiem ziemnym).

Boże, jaka jestem głodna, pomyślała.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem „balaganu”. Na ozdobnym stoliku do kawy leżały dwa magazyny.

- Joey Trés zawsze zapomina posprzątać po sobie - dodała Cinnamon, zgarniając magazyny.

Gravy spojrzała na Clarissę.

- Tata Aarona - wyjaśniła Clarissa.

Gravy pokiwała głową. Miała minę wystraszonego zwierzątka. Prawdziwe bogactwo jest dla niektórych przytłaczające, pomyślała Clarissa.

- Bardzo proszę, usiądźcie - zaprosiła Cinnamon. - Na pewno zgłodniałyście po długim locie.

Zadzwoiła srebrnym dzwonkiem, który wisiał na srebrnym stojaku. Na jego dźwięk zjawiły się bezszelestnie dwie pokojówki w fartuszkach z falbankami, niosąc na srebrnych tacach rozmaite surowe warzywa w kawałkach i inne przystawki. Clarissie przyszła do głowy myśl, że wszyscy ci ludzie to efekty specjalne.

- Czy zechcecie się także czegoś napić? - spytała Cinnamon.

- O Jezu! - jęknęła Gravy, patrząc na wyposażenie barku.

Clarissa szturchnęła ją łokciem w bok. Gravy nie zbiło to z tropu.

- Napiję się tego samego co pani - powiedziała, zerkając na martini w ręku Cinnamon.

Clarissa przydepnęła jej stopę.

- Dla nas poproszę wodę - rzekła.

- Od kiedy pijesz wodę? - spytała Gravy szeptem.

- Droga Clarisso - powiedziała Cinnamon z uśmiechem i ujęła dłoń synowej. - Mamy o czym pomówić.

- O tak, o tak - odparła Clarissa, również się uśmiechając.

Wepchnęła do ust kilka przekąseczek w kształcie kapelusików. Nie wiedziała, co to jest, ale było smaczne. Nie zapomniała wytrzeć warg płócienną chusteczką z monogramem.

Przekląła w duchu rodziców za to, że nie nauczyli jej dobrych manier ani nie zapisali na kurs etykiety. Poczyniła stosowne plany wobec mającego się narodzić dziecka. Jej dziecko, obiecała sobie, będzie umiało się zachować w domu babci, gdzie, jeśli szczęście dopisze, razem zamieszkają.

Cinnamon odgarnęła niewidoczny kosmyk (Clarissa zauważyła, że jej włosy nie poruszały się; tkwiły posłusznie na swoim miejscu jak wyszkolony pies) z nienaturalnie gładkiego czoła. Wyglądała jak miąższ orzecha liczi - barwy kości słoniowej i błyszczący.

- Jak się miewa mój Aaron? - spytała. - Nie miałam od niego wiadomości od...

Wykonała taki sam gest ręką jak matka Clarissy. Czy wszystkie matki z czasem w ten sposób się porozumiewają? - pomyślała Clarissa.

- Aaron ma się dobrze - zdołała odpowiedzieć.

Gravy wpatrywała się w lampę z wielobarwnym kloszem przypominającym parasolkę.

- Czy to prawdziwy Tiffany? - spytała.

Clarissa pomyślała, że Gravy zbliża się niebezpiecznie do punktu, w którym przestanie nad sobą panować.

- Owszem - potwierdziła Cinnamon. - Jest pani kolekcjonerką?

- Pani Mason - wtrąciła Clarissa.

- Mów mi „Cinnamon”, dziecko - poprosiła pani Mason, przeciągając słowo „dziecko” jak Luther Vandross kończący piosenkę na wysokim tonie.

Clarissa zorientowała się, że Cinnamon jest pijana. Ale pijana powściągliwie, niczym chodząca do kościoła babcia.

- Cinnamon, chciałabym o czymś ci powiedzieć - zaczęła Clarissa. - O czymś, co sprawiło, że przyleciałam do twojego... uroczego domu.

Och, dobrze powiedziałam, pomyślała Clarissa. „Uroczego domu” - to zabrzmiało jak należy. Dobra robota. Gravy uniosła brwi, nie przestając chrupać warzywnych przekąsek.

- Oczywiście, oczywiście - odparła Cinnamon. - Zakładam, że przyłączycie się do nas i zjemy razem kolację.

Clarissa miała nadzieję, że nabierze trochę południowego akcentu. Pomyślała o Simonie i jego angielskiej wymowie, ale szybko zastąpiła go wyobrazeniami koktajli z miętą, świetlików i ciepłych nocy na Południu.

Czuła się jak Scarlett przed tą okropną wojenną zawieruchą.

- Kolację? - powtórzyła Gravy. - Myślę o najbliższych latach. Co pani sądzi o adopcji, pani Mason?

Gdyby Clarissa była uzbrojona, w ciele nieszczęsnej Gravy utkwiloby kilka uncji ołowiu.

Cinnamon uśmiechnęła się, zachowując w oczach powagę. Clarissa przyjrzała się jej uważnie. Mimo fartuszkę z wesołą falbanką teściowa nie była wcale osobą wesołą i frywolną. Clarissa potrafiła „prześwietlić” każdego - stosowała własny, nieomylny system wobec niczego niepodważających znajomych, których badała od stóp do głów z siłą neutronowego mikroskopu. Nazywała swój system MSN: Mentalny System Namierzania.

Tę osobę jednak trudno było rozgryźć. Albo nawet było to niemożliwe. Nagle Clarissa poczuła coś, czego nie doświadczyła od ósmej klasy, kiedy Martie Bowers przyszła do szkoły w tenisówkach na grubych podszewkach i w topie z odsłoniętymi ramionami, dumnie obnosząc się ze świeżo wyrosłym biustem.

Clarissa poczuła się onieśmielona.

- Na pewno chciałybyście się wykąpać i przebrać - rzekła Cinnamon, wygładzając fartuszek.

Clarissa popatrzyła na jej gładkie białe ręce - zapewne nigdy nie ubrudziły się przy pracy w kuchni.

- To będzie skromne przyjęcie - zapowiedziała Cinnamon. - Nic oficjalnego. Ubierzcie się wygodnie. W to, co macie.

- Przyjęcie? - powiedziała Gravy, kiedy kamerdyner, stąpający poważnie jak Jezus idący po wodzie, wprowadził je do pokoju gościnnego o rozmiarach hangaru.

- Nie wiem, co myśleć - poskarżyła się Clarissa, siadając na miękkim fotelu w kącie przy oknie. - Czemu jest jej tak wesoło? Ona i jej mąż wydziedziczyli Aarona, bo się ze mną ożenił. Chciałam przeciągnąć ich na swoją stronę. Byłam przygotowana na większe starcie między teściową a synową. Coś w rodzaju prawdziwych zapasów na ringu.

Wzięła do ręki niewielkie zdjęcie w srebrnej ramce, przedstawiające nastoletniego Aarona z drugim chłopcem - na rybach. Aaron, ciemnowłosy i opalony, bez koszuli, przystojny jak model z magazynu „Teen”, był o głowę wyższy od drugiego chłopca, chudego, naburmuszonego blondynka. Chłopcy nachylali do siebie głowy. Clarissa zastanawiała się, co ich łączy.

- Południowcy są zawsze uprzejmi - mówiła Gravy. - Nawet gdyby miała ci poderznąć gardło, powiedziałyby „proszę”, a potem „dziękuję”. Pamiętaj o tym.

Gravy weszła do łazienki i wrzasnęła.

- Co się stało? - Clarissa poderwała się.

- Dwie wanny! - zawołała Gravy. - Kto ostatni w wodzie, nie zna się na modzie!

Clarissa potrząsnęła głową i zdjęła pantofle. Popatrzyła na palce u nóg i przeklęła się w duchu za to, że od paru tygodni nie robiła pedikiuru. Spodziewała się, że Cinnamon okaże jej niechęć, choć nie wprost; syn zasługiwał na dziewczynę, która ma zawsze idealnie utrzymane stopy.

Clarissa przysięgła sobie, że kiedy tylko nadarzy się okazja, zakradnie się do dziecięcego pokoju Aarona.

Jeżeli oczywiście odnajdzie go w „hiltonie” Masonów.

- Pospiesz się! - zawołała Gravy.

Już się rozebrała, rzucając ubranie na podłogę. Wyglądała młodo i uroczo (z wydepilowaną woskiem intymną koniczynką), zupełnie jak przed osiemnastu laty, kiedy Clarissa ją poznała. Kocica Gravy - nazywano ją tak w gimnazjum z powodu kocich oczu i uwodzicielskich ruchów - odbiła wtedy Clarissie jej pierwszego chłopaka.

Clarissa ściągnęła ubranie, mając wrażenie, że po długim dniu jakby

zrosło się z jej skórą, i zaczęła ubolewać nad coraz masywniejszymi udami. Czula się o kilka kilo cięższa niż poprzedniego dnia.

Stawiając jedną ocieżała stopę przed drugą, przeszła do łazienki (piętnaście całych kroków, bez drobiazga!), gdzie Gravy, chichocząc jak ośmiolatka, zanurzyła się już w nakrytej pianą gorącej wodzie.

Clarissa dostrzegła swoje odbicie w lustrze, które zaczynało zachodzić mgłą (dzięki Bogu), i zadała sobie pytanie, kto też zasiądzie wokół stołu.

Kiedy Clarissa i Gravy zdecydowały, co zrobią z włosami (Clarissa postanowiła wysuszyć swoje na prosto; Gravy wolała podkreślić skręt), pokłóciły się o to, jak się ubiorą. W końcu uzgodniły, że włożą białe podkoszulki, lekkie bawełniane sweterki bebe i spodnie bez kantów od Katayone Adeli. Clarissa żałowała, że nie ma pereł - byłyby odpowiednim akcentem. Wiedziała, że w cokolwiek się ubiorą, będą ubrane albo zbyt skromnie, albo zbyt ostentacyjnie; nie sposób było tego uniknąć.

Nie znalazły jadalni. Weszły po jednych schodach, zeszły innymi, przecięły jeden hol, drugi hol, zajrzały do kilku łazienek (gdzie przetrząsnęły szafeczki z lekarstwami), aż trafiły do pokoiku ochrony. Clarissa gotowa była się rozpłakać - i z głodu, i z powodu hormonów - kiedy dotarły do salonu, gdzie zresztą też nikogo nie zastały.

Na szczęście zjawił się kamerdyner, który powiadomił je, że goście są na werandzie. Clarissie wydało się to bardzo miłe, choć nie miała pojęcia, co może tutaj oznaczać słowo „weranda”.

- To znaczy „na dworze” - podpowiedziała Gravy. Clarissa kiwnęła głową.

- Bła-bła. Oczywiście, że tak.

Poszły za kamerdynerem, naśladowując jego długie, bezszelestne kroki. Kamerdyner otworzył podwójne drzwi balkonowe. Na długim tarasie

wychodzącym na podwórko na tyłach (Jezus Maria, czy to pole golfowe?) stało dwadzieścioro kilkoro gości z drinkami w ręku. To jeszcze wyglądało normalnie. Nienormalne było to, że stali nieruchomo jak namalowani i spoglądali w jednym kierunku - w stronę pola golfowego.

Och! A kobiety, wszystkie bez wyjątku, były ubrane w proste płóciennie spódnice do kolan i miały na szyjach wielkie obroże z pereł. Żadnych spodni.

- Za skromnie się ubrałyśmy - szepnęła Clarissa.

- W połowie utrafiłyśmy - odparła Gravy. - Zaserwujmy sobie towarzyski lubrykant.

Kiedy zwróciła się do kelnera, który także zapatrzył się w dal, rozległy się dwa głośne wystrzały. Gravy i Clarissa krzyknęły i padły na ziemię, osłaniając głowę rękoma.

Minęła dłuższa chwila. Goście zaczęli klaskać. Gravy i Clarissa, leżąc wciąż na ziemi, rozejrzały się.

- Clarisso, kochanie! - zawołała Cinnamon. - Nic ci nie jest?

Clarissa i Gravy szybko się podniosły, podtrzymując jedna drugą.

- Znalazłam! - wykrzyknęła Clarissa, podnosząc rękę.

Gravy popatrzyła na nią, złapała to, co Clarissa „znalazła”, i wrzuciła do ust.

- Vicodin! - wyjaśniła wszem wobec.

- Och, kotku, chyba się nie przestraszyłaś? - upewniła się troskliwie Cinnamon. - To mój Joe Trzeci, właśnie się rozrywa.

- Chodź no tu, kochanie. - Cinnamon ujęła Clarissę pod rękę. - Lubi przed kolacją ustrzelić trochę ptactwa. Najczęściej przepiórki, a kiedy się poszczęści, to i parę kaczek.

- Kaczek? - powtórzyła Clarissa, trzęsąc się. - Kaczuszek? Kwa-kwa?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią.

- Potem Maybelline ucina im łby, skubie i przyrządza furę chili - dokończyła Cinnamon.

- Jezus, ja pierniczę - szepnęła Gravy.

- Jezus był myśliwym - rzucił mężczyzna proporcjonalny jak oberżyna, w tweedowej marynarce, która pewnie pasowała na niego w colleg'e'u, i podał Gravy miętowy koktajl.

Gravy w samą porę osunęła się na krzesło. Gdyby je obróciła, zobaczyłaby, że pochodzi z połowy stulecia. Zaczynającego się od siedemnastki.

Stół był na trzydzieści osób.

Wyobraźcie to sobie przez chwilę. Stół na trzydzieści osób. To znaczy, że trzydzieści osób (okazałych dorosłych istot ludzkich) może usiąść do kolacji przy jednym stole.

Cinnamon rozsadzała gości, chodząc wokół stołu (trochę do trwał) niczym primabalerina debiutująca w Operze Królewskiej. Gravy i Clarissa zostały posadzone naprzeciw siebie - Gravy pomiędzy chłopcem w garniturze i z wążużką muszką a bakłażanem w tweedowej marynarce, wyraźnie mającym jakiś (własny) interes w tym, żeby upić sąsiadkę.

Zanim usiadły, bakłażan w tweedzie wysunął krzesło, tak zaskakując Gravy tym gestem, że aż się zawahała - Clarissa spostrzegła, że za tym wahaniem kryje się wątpliwość przyjaciółki, czy siada na właściwym miejscu. Tweed po chwili zażenowania wykonał zachęcający ruch ręką. W końcu odegrał małą pantominę, udając Gravy siadającą na krześle.

Clarissa roześmiała się. Trudno oczerniać cały rodzaj męski tym samym tuszem do rzęs, ale mężczyźni zamieszkujący Los Angeles mają, można powiedzieć, alergię na rycerskość; wysuwają krzesło kobiecie równie często, jak wyrrywają sobie włos z głowy. Gravy zrobiła wielkie oczy i gwizdnęła.

Nagle wpadł na taras potężny mężczyzna z olbrzymią śnieżnobiałą czupryną, podskakując jak kangur, w pomarańczowej kamizelce i czapce myśliwskiej. Miał w rękach flintę dwunastkę. (Clarissa domyślała się, że to właśnie ta broń; widziała ją w starych filmach Burta Reynoldsa i w telewizji Foxa).

- Kto to widział, do czorta?! - zawołał. - Ludzie, czy mam tu jakiegoś świadka?!

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, z wyjątkiem Clarissy i Gravy (co do której można było wątpić, czy kiedykolwiek dojdzie do siebie), myśliwy zaś rzucił flintę z łoskotem na stół (znowu tylko Clarissa i Gravy podskoczyły i schowały się), wypił brązowy płyn (dzięki filmowej edukacji Clarissa domyślała się, że to burbon; wszyscy aktorzy mówiący z południowym akcentem pili czysty burbon) i otarł usta wierzchem dłoni.

- Juu-huu! - zawołał. - Ale jestem nabuzowany!

Uderzył ręką w stół, rozlewając wodę z kilku szklanek.

- Joe Trzeci. - Cinnamon podniosła się ze swojego miejsca u szczytu stołu. - Natychmiast usiądź. Przesadzasz.

Popatrzył na nią baranim wzrokiem.

- Rozpiera mnie energia, słodczy ty moja.

- Robisz sobie wstyd, a co gorsza, robisz wstyd swojej żonie - skarciła go Cinnamon. - A teraz siadaj i zachowuj się przyzwoicie. Przyjechała twoja synowa i ma nam coś do powiedzenia.

Goście, szeroko otwierając oczy, zwrócili się w stronę Clarissy, jakby spodziewali się usłyszeć wielką nowinę.

Wszyscy się czegoś spodziewają, pomyślała Clarissa, ze mną włącznie.

- Hej, panie Joe Trzeci - powiedziała do teścia. - Jestem Clarissa. - Zawiesiła głos, czekając na reakcję, na coś tak okropnego jak na przykład wylewne uściski.

Nic z tych rzeczy.

- Jestem żoną Aarona, pańskiego syna - dodała.

- Tak słyszałem. Wypluj te orzechy z buzi. Co masz do powiedzenia?

Żołądek Clarissy zbuntował się i niewiele brakowało, a jego zawartość wylądowałaby na obitych aksamitem krzesłach (około 1752). Clarissa usłyszała wrogie warknięcie.

- No dalej, obłuskaj tę kukurydzę - ciągnął Joe Trzeci.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Obłuskaj... Wie pan co, to nic takiego - rzekła. - Może poczekać.

- Poczekać? Czekają stare psy i nowe zasiewy w dzień Bożego Narodzenia.

Spojrzała na Gravy, która wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie wiedziały, o czym mówi Joe Trzeci. Clarissie przypomniła się wycieczka do Kioto w ramach wymiany uczniów szkół średnich. Tam też słabo mówili po angielsku.

W głębokiej ciszy mijały sekundy. Clarissa słyszała tykanie stojącego zegara (od pięciu pokoleń w rodzinie, jak zaznaczyła Cinnamon), dobiegające z holu.

Było cicho jak w magazynie Barneya na dzień przed wyprzedażą.

Mózg Clarissy zaczął pracować na najwyższych obrotach, błyskawicznie rozważając ewentualne skutki podzielenia się „specjalną” wiadomością przy kolacji. Wiedziała, że wylądowała na terytorium wroga - niczym spadochroniarz w Niemczech w czasie drugiej wojny światowej - tylko jak głęboko? Była bliżej granicy francuskiej czy obozów jenieckich? Niezbyt podobało jej się to, co mieli na sobie. W związku z czym wołała im nie ufać.

Postanowiła kłamać.

Wstała, decydując się na odważne, desperackie posunięcie.

- Po pierwsze, chciałabym serdecznie podziękować państwu Masonom, Cinnamon i Joe Trzeciemu, za tak gościnne przyjęcie w ich domu. Powiedziałabym, że bawię się jak... jak... kogut, hmm... - Zająknęła się. - Cudownie się tu czuję. Teraz rozumiem, dlaczego Aaron ciągle mówi o tym, jak kocha swoich rodziców.

Joe Trzeci spojrzał na Clarissę tak, jakby właśnie odgryzła głowę żywemu grzechotnikowi. Cinnamon, sądząc po cichym odgłosie, najwyraźniej się udławiła. Clarissa nie patrzyła na nią, lecz domyślała się, że łyk dżinu wpadł nie do tej dziurki, co trzeba.

Trafiła na żyłę złota. Przesunęła spojrzenie na Gravy, której brwi podskoczyły do połowy czoła. Aaron nigdy nie wspominał o rodzicach,

jeśli nie liczyć tego jednego razu, gdy powiadomił Clarissę, że go wydziedziczyli. Nie lubił swoich rodziców.

Prawdopodobnie gardził swoimi rodzicami.

Umysł Clarissy, jeżeli bardzo tego chciała, śmigał jak fryga. Tylko że teraz nie bardzo tego chciała.

Uśmiechnęła się i ciągnęła dalej.

- Aaron, który bardzo ciężko pracuje nad swoim nowym filmem, a jestem pewna, że słyszeli państwo o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach od naszych znamienitych gospodarzy - widziała, że nikt o niczym nie słyszał - przysłał mnie tutaj, bo chciał zrobić niespodziankę. Nie może wyrwać się z pracy, co, jak sądzę, jest dla państwa w pełni zrozumiałe, więc przekazuję najserdeczniejsze pozdrowienia przez swojego ulubionego gołębia pocztowego.

Gravy zakasłała. Clarissa posłała przyjaciółce śmiercionośne spojrzenie, które wprawdzie nie zamieniło jej w kamień, lecz przynajmniej natchmiało ją uciszyło.

Mężczyzna w tweedzie nalał Gravy wina.

- A więc... no tak. To właśnie ta mała wiadomość, którą miałam państwu do zakomunikowania - zakończyła Clarissa.

Dwadzieścioro sześcioro spośród trzydzieściorga siedzących zakłaskało w dłonie, rzucając uprzejme uwagi, jakby oglądali przedstawienie. Cinnamon podziękowała Clarissie i pociągnęła łyk (najnowszego) martini. Clarissa nawet nie zauważyła, kiedy kamerdyner podsunął jej nowy kieliszek.

Joe Trzeci milczał. Ręce zacisnął po bokach stołu, jakby zmagał się z pragnieniem zadania komuś ciosu.

Clarissa odsunęła od niego swoje krzesło. Gravy uniosła kciuk, wysoko oceniając jej występ.

Wtem rozległo się szlochanie. To Joe Trzeci ronił łzy do sałatki z orzeszkami pekanowymi.

Clarissa wpadła w panikę i spojrzała na Cinnamon, pogrążoną w rozmowie z kobietą, która wyglądała jak paw.

Nikt nie zwracał uwagi na Joe Trzeciego oprócz Gravy, która, trzęsąc

ramionami, zakryła dłonią usta. Clarissa domyśliła się, że to od powstrzymanego nerwowego śmiechu, jakiego zwykle nie może opanować dziecko, kiedy któreś z rodzeństwa dostaje lanie.

Clarissa, przebijając palcami, wyciągnęła rękę i pogłaskała barczyście ramię Joe Trzeciego. Ach, rodzinne emocjonalne rozgrywki, pomyślała. Aż dziw, że wychodzimy z tego żywi.

Joe Trzeci szlochał przez całe pierwsze danie, a goście czuli się w obowiązku nie zwracać na niego uwagi. Tylko Clarissa cały czas trzymała dłoń na ramieniu teścia, co znacznie utrudniło jej spożycie dania mięsnego (zaraz po dziczyźnie, którą spalażowała do ostatniego kęsa). Zadanie okazało się jednak wykonalne. Tyle, że wchodząc na taras, wyglądała jak „po” metamorfozie, a opuszczając go - jak „przed”.

Gravy przyznała, że Clarissa zapanowała nad sytuacją najlepiej, jak to było możliwe, zważywszy na brak przygotowania, a w dodatku udało jej się spożyć pełny posiłek.

Clarissa postanowiła, że rano weźmie Cinnamon na stronę i powie jej o mającym się narodzić potomku rodu Masonów. Potem napomknie o spadku. Napomknięcie będzie miało swój ciężar - około pół tony, gdyby dało się to przeliczyć - i takie gabaryty, że trudno by okrążyć je ciężarówką.

Clarissa zapomniała zajrzeć do (czytaj: przetrząsnąć rzeczy w) pokoju Aarona, lecz przyrzekła sobie zrobić to z samego rana.

Wyspała się fantastycznie. Widocznie bogate otoczenie, przechodzące najśmielsze marzenia, znakomicie służyło zdrowiu.

Rozdział szesnasty

Połowanie Clarissy

Dzień wstał na długo przedtem, nim Clarissa otworzyła oczy i uprzytomniła sobie, że nie rozmawiała z Aaronem. Sprawdziła wiadomości w komórce - znalazła pięć. Przeklęła swój egoizm, potem wybaczyła sobie wspaniałomyślnie - czyż nie miała zawsze dobrych intencji? - i zaraz zadzwoniła do Aarona. Zjadła tylko najpierw zachowaną czekoladkę.

Aaron spał. No jasne, przecież była piąta rano. Clarissa nigdy nie opanowała tych przeliczeń - nie rozumiała, dlaczego jedno państwo potrzebuje kilku stref czasowych - o ile łatwiej byłoby żyć, gdyby wszyscy używali czasu Los Angeles.

- Kochanie - powiedziała. Złożyła buzię w ciup. - Przepraszam, nie miałam okazji oddzwonić.

- Dzwoniłem pięć razy. Nie miałeś okazji oddzwonić i porozmawiać przez minutę? - spytał Aaron. Wściekły.

- Nagły wypadek. Siła wyższa. Musiałam zawieźć Gravy do szpitala, postaraj się to zrozumieć - rzekła Clarissa, siedząc na łóżku.

Gravy chrapała w najlepsze.

- Rozumiem - odparł Aaron. - Rozumiem lepiej, niż myślisz.

- Co to ma znaczyć? - spytała Clarissa.

- Wiem, co robisz - rzekł Aaron.

- Wiesz? - spytała Clarissa.

Czyżby Cinnamon albo Joe Trzeci, powodowani nagłym przypływem rodzinnych uczuć, zadzwonili wczoraj wieczorem do Aarona? Zastanawiające wydawało się tylko to, jak po spożyciu znacznych ilości alkoholu byli w stanie wybrać numer. Doszła jednak do wniosku, że pewnie mają „ludzi” od takich czynności.

- Simon wszystko mi powiedział - rzekł Aaron.

Clarissa musiała zebrać myśli.

- Clarissa?

- Jaki Simon? - spytała.

- Masz mnie za głupca?

- Co dokładnie ci powiedział?

- Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. - Po chwili: - Jeżeli chcesz tego flegmiastego Angola, to go sobie weź.

- Simon nie jest flegmiasty - zaprotestowała Clarissa. - A zresztą jaki tam z niego Anglik! Słuchaj, jesteśmy starymi przyjaciółmi, zjedliśmy razem lunch, nic wielkiego.

- Nie mówię o lunchu.

- Wiedziałaś o lunchu? - spytała Clarissa. To sprawka Suzee, pomyślała.

- Daruj sobie kokieterię, jesteś na to za stara.

Auć.

- Nie jestem za stara na kokieterię! - krzyknęła Clarissa, na co Gravy nawet nie drgnęła powieka. - Jestem jeszcze bardzo młoda i będę kokietować, kiedy zechcę, mój panie.

- Nie mogę znieść twojego zachowania, Clarisso. Nie będę go znosił.

- Aaronie, denerwujesz się zupełnie bez powodu!

- Porozmawiamy o tym, kiedy zdecydujesz się wrócić do domu - powiedział. A potem się rozłączył.

Clarissie nie zdarzyło się, żeby mężczyzna odłożył słuchawkę bez pożegnania, od czasu - by użyć systemu Polo - Racheli (fryzura Jennifer Aniston z początku lat dziewięćdziesiątych, no, przecież pamiętacie). Natychmiast zadzwoniła do Aarona.

- Nikt nie odkłada słuchawki bez pożegnania, kiedy rozmawia ze mną! - powiedziała.

Aaron odłożył słuchawkę.

- Agggghhhh! - wrzasnęła.

Gravy przekęciła się na drugi bok. Spała jak stary tłusty pies. Obudzić ją mogła kawa albo mineta, i to nie w tej kolejności.

Zadzwoił telefon.

- Mogę kokietować, ile chcę! - powiedziała Clarissa.

- Oczywiście, kochanie - rzekła śpiewnie Cinnamon. Gen radości wyrabiał nadgodziny. - Posyłam wam stroje myśliwskie. Na oko dopasowałam ci rozmiar cztery, utrafiłam?

Clarissa wydała jazgotliwy okrzyk.

- Jedziemy do „Grande (Coś Tam)”. Joe Trzeci rwie się na polowanie.

Clarissa mruknęła. Miała nadzieję, że nie będą polować na zające. Kiedy miała cztery latka, dostała w prezencie (na Wielkanoc, od tatusia przestępcy) królika, którego tuliła zbyt mocno. Dosłownie zabiła go miłością - dodając tym samym jeszcze jedną pozycję do nieskończonej listy dziecięcych urazów, z jakimi musiała się uporać.

Trzy minuty później Clarissa i Gravy, która zdążyła się obudzić, pa-trzyły na stroje myśliwskie, przyniesione przez (trzeciego) kamerdynera. Czują się tak, jakby miały odegrać powtórkę z Wietnamu. Czekają na nie dwie pary ciężkich czarnych butów i mundury polowe: spodnie panterki, zapinane na guziki koszule, kurtki i czapki.

Gravy przywdziała strój bez przeszkód, podczas gdy Clarissa leżała na plecach, z twarzą czerwoną jak papryka, i pomagając sobie wieszakiem, zapinała zgrzytający suwak na brzuchu. Potem niczym grzechotnik rogaty przesunęła się bokiem po podłodze i wreszcie, z pomocą Gravy, przyjęła pozycję stojącą. Popatrzyły w lustro. Poskręcane włosy Gravy eksplodowały kolorowo spod czapki panterki; piersi Clarissy bawiły się w przeciąganie liny z guzikami koszuli, rosnąc jak balony na dziecięcym przyjęciu urodzinowym.

- Wyglądamy jak brzydkie drzewa - powiedziała Clarissa.

Gravy wpatrywała się w swoje odbicie, użalając się nad sobą, że tak gładko przeszła od fazy przyszczy do fazy zmarszczek.

Wysoki głos Cinnamon zadźwięczał w interkomie, zawiadamiając gości, że podstawiono podwozy.

Przez bramę posiadłości Masonów wytoczył się konwój czerwonych fordów 5100. Pikapy sunęły niczym czołgi jadące na wojnę pod dowództwem piosenkarza country Gartha Brooksa. Tablice rejestracyjne zaczynały się od „Mason I”, a kończyły na „Mason X”. Clarissa siedziała na fotelu pasażera obok Joe Trzeciego, który popijał krwawą mary (nie przesadzając z mary), pokonując wiejskie drogi z prędkością o trzydzieści parę kilometrów większą od dozwolonej. Mijali policjantów wtulonych w pobocze jak krowy śpiące w wysokiej trawie.

Joe Trzeci, wymachując drinkiem, pozdrawiał stróżów prawa, którzy też do niego machali i pokrzykiwali. Zupełnie jak na cholernie rozciągniętej sąsiedzkiej balandze.

Cinnamon Mason, z ręką opartą na biodrze, stała na ganku „Grande (Coś Tam)”. Powitała gości, poprosiła o pomoc przy trunkach i poprowadziła wszystkich dalej, za dom. Clarissa i Gravy wzięły się pod rękę i poszły za nią, wciąż nie wierząc, że one, księżniczki Beverly Hills, nie są na tym polowaniu zwierzyną.

Clarissa miała niewiele doświadczenia z bronią palną; parę razy postrzelała do celu w Klubie Strzeleckim w Beverly Hills (za sprawą swojego siedemnastego chłopaka - Tenisowych Szortów, jak go nazywała, ponieważ zawsze był ubrany tak, jakby wybierał się na kort. Tragiczna historia: jego rodziców zabił tajemniczy intruz - intrygująca nowa ułomność). Clarissa ze smutkiem wspomniała ten romans: jeździli ferrari należącym do ojca chłopaka; spędzili wakacje na Półwyspie Iberyjskim. Rozdzieliła ich dopiero rozprawa sądowa.

Przy „Grande (Coś Tam)” ujrzały stado zaparkowanych terenówek pomalowanych na maskujące kolory - i dwóch przystojnych pomocników.

- Mam jechać czymś takim? - spytała Clarissa.

- Oczywiście - odparł Joe Trzeci. - Chyba że chcesz przedzierać się w pław przez osiem kilometrów bagna do jeziora Mason.

Clarissa obejrzała się na Gravy, która już przygadywała sobie jednego z pomocników.

- Może to nie będzie takie trudne - mruknęła pod nosem.

- Cholera jaaaaaaaaaaaaassssssna! - wrzasnęła Clarissa, ściskając kierownicę, aż zbieła jej kłykcie.

Straciła kontrolę nad terenówką, przed oczami przeleciało jej całe życie jak epizod z cyklu *Zanim zostali gwiazdami* na kanale VH1. Zapadła się w bagno - trawa smagała ją po twarzy, bomby błotne eksplodowały ze wszystkich stron. Clarissa, przerażona, że zjechała z drogi, nie mogła sobie przypomnieć, jak zatrzymać wóz.

Zrównała się z nią druga terenówka. Joe Trzeci zgubił czapkę myśliwską - biały tupet klepał go po głowie jak foka ogonem w cyrku wodnym.

- Zwolnij! - krzyknął. - Wystraszysz kaczki!

Wielki latający owad prasnął Clarissę w usta; przemknęła jej przez głowę myśl, że umrze oblepiona od stóp do głów błockiem i ogromnymi insektami.

Potem pomyślała o dziecku.

- Zamknij gaz! - krzyknął Joe Trzeci.

- Ale jak?! - odkrzyknęła. Wtem, jakby ktoś ją zaczarował, rozluźniła ręce.

Terenówka szarpnęła i... zatrzymała się. Joe Trzeci objechał ją wkoło.

- Do diabła! - zaklął, poprawiając włosy. - Do diabła! Zeskoczył z wozu, potrząsając głową, i odpiął strzelbę.

- Chodź - rozkazał.

Roztrzęsiona Clarissa wysiadła i poszła za nim. Stąpali po błocie,

rozgarniając wysoką trawę, aż dotarli na brzeg jeziora, gdzie ukryli się za „koszami”, misternie uplecionymi z patyków i liści.

Clarissa zobaczyła kaczki. Musiało ich być ze dwadzieścia - sznur kaczątek płynących blisko brzegu za matką. W gardle ją ścisnęło, kiedy patrzyła na kiwające się ogonki w karnym kaczym szyku.

Joe Trzeci uniósł strzelbę. Clarissa wyciągnęła rękę, nie zważając na to, że mógłby zrobić z jej dłoni niezidentyfikowany obiekt latający.

- Mogę strzelić pierwsza? - spytała.

- Pewnie. - Joe Trzeci podał jej strzelbę. - Strzel ponad łebkami, wtedy wzbiją się w powietrze. I koniecznie na północ. Jeżeli strzelisz na południe, polecą w złym kierunku.

- Na północ - powtórzyła Clarissa i uśmiechnęła się.

Reszta towarzystwa właśnie się do nich zbliżała. Joe Trzeci machnął ręką, żeby zostali z tyłu. Potem machnął jeszcze raz - żeby zostali jak najdalej z tyłu.

Clarissa wsunęła strzelbę pod pachę i uniosła na wysokość oczu, zerkając na pierzaste przyjaciółki, obieżystawki, grające w kaczce waterpolo. Strzelba ciążyła jej, lecz zadziwiająco dobrze leżała w rękach. Clarissa żałowała, że nie może postrzelać do bardziej sensownego celu, na przykład do nieuprzejmych kierowców terenówek.

Skierowała strzelbę na północ i położyła palec na spuście.

Potem obróciła się, zataczając lufą półkole na południe i „przypadkiem” wystrzeliła w powietrze.

Wydarzyły się dwie rzeczy.

A ściślej mówiąc - trzy.

Po pierwsze, ktoś z tyłu wrzasnął: „Dostałem!”.

Po drugie, kaczki wzbily się i odleciały w złym kierunku. (Zadanie wykonane!).

Po trzecie, z nieba spadła tłusta kaczka i wylądowała tuż przed butami Clarissy, godnymi członka związku młodzieży aryjskiej. (Zadanie niewykonane).

Ludzie w mundurach polowych i z nadmiarem pomarańczowych

dodatków zbiegli się wokół pana w Tweedzie, który wił się, leżąc na plecach, jak statysta w filmie z Frankiem Avalonem.

Clarissa patrzyła na kaczkę oniemiała, otwierając szeroko usta jak ryba w supermarkecie.

- Zabiłam kaczkę - powiedziała, gdy podeszła do niej Gravy.

- Może się tylko przewrócił - rzekła Gravy.

- Rana w ciele! - zawołał z trawy Joe Trzeci. - Ten cholerny pocisk spadł na niego!

- Spójrz na to inaczej, C - pocieszyła ją Gravy. - Trafiaś dwa ptaki jednym strzałem.

Przy drugim śniadaniu, na które podano kaczkę z rusztu, czarno nakrapianą fasolę, bułeczki kukurydziane, bataty i brzoskwinie zapiekane w cieście, Clarissa zorientowała się, że podbiła serca Cinnamon i Joe Trzeciego - była artystką w stosunkach z teściami, zasługującą na platynową płytę. Rodzice Aarona i ich goście nie mogli się nazachwycać jej terenową jazdą w stylu kamikadze ani cudownym strzałem, którym zdobyła dużą porcję mięsa na lunch i dostarczyła materiału do anegdoty, świetnie nadającej się do opowiadania przy stole i przekazywania z pokolenia na pokolenie. Nawet mężczyzna w tweedzie, z bandażem pod koszulą, śmiał się uprzejmie, choć bolał go przy tym bok.

Clarissa przeżyła coś, co mogło się zdarzyć Sally Field. Powiodła wzrokiem wzdłuż długiego stołu i zobaczyła uśmiechających się do niej ludzi, z twarzami zaczerwienionymi od porannego słońca i wysiłku fizycznego.

Nawet Gravy wyglądała na szczęśliwą. Bruzda na czole - ta biegnąca od linii włosów aż do kolan - znikła.

Lubią mnie, pomyślała Clarissa o ludziach noszących bryczesy, głoszących na republikanów, pijących dżin z limonką i mówiących z idiotycznym akcentem. Oni naprawdę mnie lubią.

Potem się zaniepokoiła: Mam przesrane. Jak mogłabym ich prosić o pieniądze?

Właśnie wtedy postanowiła, że tego nie zrobi. Ale za to powie im, że jest w ciąży, no i... zostawi piłkę na ich polu.

Wstała i zastukała srebrnym nożem w kryształowy kieliszek - oglądała takie sceny na filmach.

Kieliszek pękł i rozpadł się na kawałki.

Zanim Clarissa zdążyła poczuć zażenowanie, zanim ktokolwiek zdążył westchnąć lub wydać jakiś dźwięk, zmaterializował się służący, który dyskretnie usunął ze stołu i z jej nadgarstka odpryski szkła.

Clarissa stała przez chwilę bez słowa. Wszyscy patrzyli w jej stronę.

- Tak, kochanie - zachęciła ją Cinnamon.

- Będę miała dziecko - powiedziała Clarissa.

Już miała usiąść, równie szybko, jak wstała, gdy Joe Trzeci przycisnął ją do piersi. Wcześniej wyrwałaby się z niedźwiedziego uścisku, lecz teraz mogła tak stać, „aż krowy wrócą do domu”, czy jak to się mówi.

Cinnamon, podniecona, zaczęła klaskać, a potem krzyknęła:

- Clarisso! Nie powinnaś w takim stanie jeździć terenówką! - Opadła na oparcie, wachlując się nerwowo. - O mój Boże, o mój Boże, mogłam stracić swojego pierwszego wnuka.

Jej mowa coraz bardziej przypominała aktorskie popisy w teatrze obyczajowym, wystawiającym *Przeminięło z wiatrem*.

- Och, pani Mason, proszę się nie martwić - pocieszyła ją Gravy. - Clarissa wspaniale sobie radzi z robieniem dzieci. Naukowo.

Clarissa spojrzała ostrzegawczo na przyjaciółkę.

- Przecież to prawda, jesteś Madame Curie Poczęcia - dokończyła Gravy.

- Joe Trzeci? Cinnamon? - zagadnęła Clarissa. Brwi tańczyły jej jak płomienie. - Czy jest coś... co chcielibyście mi powiedzieć?

Popatrzyli na nią.

- Że wasze uczucia się odmieniły? - ciągnęła Clarissa. - W związku z odmiennym... odmienną sytuacją?

Cinnamon uśmiechnęła się.

- Kochanie, ja chciałabym coś powiedzieć.

Wstała.

Clarissa uśmiechnęła się skromnie.

- Cholercia, w życiu nie słyszałam lepszej wiadomości! - powiedziała Cinnamon.

Cinnamon i Joe Trzeci pożegnali Clarissę ze łzami w oczach, w oparach dżinu na ganku „Grande (Coś Tam)”, po czym jeden z wielu muskułarnych pomocników (chyba hodują ich na farmach jak lososie) zawiózł Gravy i Clarissę na prywatne lotnisko pod Atlantą. Cinnamon i Joe Trzeci nalegali, żeby Clarissa i Gravy wróciły do domu ich własnym samolotem, który nazywali pieszczotliwie „Dobrek”.

- Co to za samolot? - spytała Gravy, gdy wjechali na płytę lotniska.

- Boeing 727 - odparł kierowca, uśmiechając się krzywo. Wyglądał jak coś zaprojektowanego przez Versace. - Nigdy takiego nie widziałyście?

- To nie jest „Dobrek” - rzekła Clarissa.

- Właśnie, że jest - odparł kierowca.

Gravy i Clarissa weszły na pokład oszołomione. Stewardesa Lucy Ann powitała je z uśmiechem, który mogłyby ozdobić pudełko płatków śniadaniowych. Przyniosła zimną wodę i ręczniki do rąk. Dziewczyny, chichocząc, oparły wysoko nogi i zaczęły trzaskać dziobami. Niedługo po starcie Clarissa zasnęła mocnym snem i obudziła się dopiero, kiedy samolot uderzył kołami o ziemię, lądując w Burbank, gdzie czekał na nie czarny sedan z przyciemnionymi szybami i pełną lodówką, z wyrazami uszanowania od Cinnamon i Joe Trzeciego.

Clarissa pierwsza podjechała pod dom. Uściskała Gravy i pomachała jej, gdy samochód odjeżdżał. Zauważyła, że motor Aarona stoi, równo zaparkowany, na swoim miejscu. Zaczęła wchodzić po schodach. Z każdym stopniem nogi coraz bardziej jej ciążyły.

Wcale nie cieszyła się na myśl o tym, co ją czeka po drugiej stronie drzwi do mieszkania.

Rozdział siedemnasty

Witaj w domu, a teraz odejdz

Clarissa zorientowała się, że zapomniała kluczy. Zapukała więc do drzwi, a Aaron jej otworzył.

Wiecie, jak piszą w książkach: „Nie pamiętała, że jest taki przystojny”.

No więc nie pamiętała, że jest taki przystojny. Minęły zaledwie dwa dni, a Clarissa zapomniała, jak wygląda jej mąż.

Aaron otworzył drzwi, rzucając powitalne „cześć” cicho i bez wyrazu.

- Cześć - powiedziała Clarissa.

Podeszła, żeby go pocałować, lecz Aaron się usunął. Stał z założonymi rękami i przyglądał się jej twardo z niedużej odległości, bo z większej w tym mieszkaniu się nie dało.

- Czuję się dobrze, dziękuję - zażartowała Clarissa. - A ty jak się czujesz?

- Nie spałem - odparł.

- Ambien, pięć miligramów. Ativan, dziesięć miligramów, albo xanax, jeżeli dokucza ci niepokój na równi z bezsennością. Według Gravy.

- Clarisso.

- Przykro mi, że nie spałeś.

- Nie do wiary, jaka ty jesteś! Wypruwam sobie flaki, żeby zapewnić ci utrzymanie, a ty po prostu wyjeżdżasz, wciskając mi jakiś kit. Siedzę tu jak głupi i czekam, aż wrócisz do domu, a przecież mam pracę...

Clarissa usiadła. Popatrzyła na niego nonszalancko jak terier należący do bogatej właścicielki, Aaron zaś miotał się w tę i z powrotem po pokoju, niemalże strzelając płomieniami z uszu.

- Wiem, gdzie byłaś - rzekł, nadęty jak kolcobrzuch. - Nie wiem, co tam robiłaś, ale wiem, gdzie byłaś.

Nadal krążył gniewnym krokiem. Clarissa obejrzała sobie paznokcie. Koniecznie musiała zrobić manikiur.

- Wiem, z kim byłaś, a ty wiesz, że ja wiem, i jeżeli masz mnie za mięczaka, który będzie spokojnie stał...

- Pojechałam w odwiedzinach do twoich rodziców - przerwała Clarissa.

Aaron zatrzymał się jak Struś Pędziwiatr w kreskówce - niemal dało się słyszeć pisk hamulców przy piętach.

- Cinnamon i Joe Trzeci przesyłają serdeczne pozdrowienia - dodała.

- Nie zrobiłaś tego.

- Zrobiłam.

- Nie zdobyłabyś się na to.

Uniosła niewyregulowaną, nienawoskowaną brew.

- Naprawdę?

Aaron popatrzył na nią - najpierw otwierając szeroko oczy jak młodziutka gwiazda filmowa, a potem je mrużąc.

- Nie wierzę ci - rzekł wreszcie.

- Oczywiście, że wierzysz - odparła Clarissa z uśmiechem.

Aaron usiadł.

- O mój Boże - jęknął.

Clarissa położyła rękę na jego dłoni.

- Daj spokój, złotko. Nie jest tak źle. Podobali mi się.

- Chodziłaś... po domu?

- Po domu? Tak to nazywasz? To moja mama mieszka w domu, normalne domy nie mają nazw.

- Co ci powiedzieli?

- Nic - odparła Clarissa. Przemknęło jej przez myśl, że to dziwne pytanie. - Dlaczego pytasz?

- Pomyślałem, że mieli ci coś do powiedzenia - ciągnął, przyglądając się jej uważnie.

Ukrywał jakiś wielki sekret. Clarissa poznała to po rozszerzonych źrenicach.

- Wiesz, co mi powiedzieli - odrzekła. - Jestem bardzo rozczarowana. - Podskakuje jak rożen na blasze do pieczenia, pomyślała Clarissa, parafrazując Joe Trzeciego.

- Clarisso, miałem ci sam powiedzieć - oznajmił. - Pomyślałem tylko, że potrzebujemy więcej czasu.

- Kiedy byś mi powiedział? - spytała oburzona (choć nie miała pojęcia, z jakiego właściwie powodu mogłaby się oburzać). - Nie rozumiem. Przecież jestem twoją żoną. Czy w tym domu w ogóle jest chleb? - Nagle poczuła ostry głód. Znowu.

- Świetnie sobie z tym radzisz. Myślałem, że bardziej się rozgniewasz - rzekł. - Spodziewałem się, że przynajmniej rzucisz krzesłem, kopniesz kota albo coś w tym rodzaju.

- Aaronie. Nie wiesz o mnie bardzo wielu rzeczy. Jestem dojrzłą kobietą i nie mam skłonności do aktów przemocy. A teraz wysłucham twoich wyjaśnień.

Uśmiechnął się i usiadł wygodniej na czerwonej kanapie, której wiekowość bezlitośnie ujawniało oświetlenie w tanim mieszkaniu.

- To dość zabawne, kiedy się nad tym zastanowić... Uciekliśmy z hotelu, a oni pewnie nadal nas szukają.

- To rzeczywiście zabawne - przyznała Clarissa. Uszy jej poczerwieniały. - Opowiadaj mi same zabawne kawałki.

- Ile czasu ci to zajęło? - spytał Aaron, przysuwając się bliżej Clarissy i kładąc dłoń na jej brzuchu.

- Co?

- Clarisso - rzekł Aaron. - Ty nie wiesz. Ty naprawdę nie wiesz.

Clarissa nie zamierzała pozwolić Aaronowi wygrać tej potyczki - musiała się dowiedzieć, co ukrywa. Poderwała się na nogi, wbiegła do kuchni i zaczęła grzebać w szufladzie.

- Co robisz? - spytał Aaron.

Clarissa znalazła to, czego szukała. Pokazała talię kart.

- Poker - zaproponowała. - Po pięć kart, jedno rozdanie. Możesz rozdawać, jeśli chcesz.

- O co gramy?

- O prawdę.

- Więc powiesz mi, czego się dowiedziałaś od... - Aaron zająknął się - od moich rodziców.

- Nie. To ty mi powiesz, co przede mną ukrywasz. Bo ja wygram.

- Czyżby? Tak to sobie wyobrażasz, dziewczynko. Jestem niezłym graczem - uprzedził Aaron, uśmiechając się z wyższością.

Clarissa popatrzyła na niego i potasowała karty jedną ręką.

- Kotku, nie wychowywał cię człowiek, który płakał zarówno wtedy, kiedy wchodził do kasyna, jak i wtedy, kiedy z niego wychodził.

Rozdała karty, trzaskając nimi o stół i śliniąc palce. W ciągu pięciu minut ograła Aarona.

Aaron wpatrywał się w twarz Clarissy, gdy pochłaniała płatki z cukrem. Położył dłoń na jej brzuchu.

- Clarisso. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Chciałbym ci coś powiedzieć.

Popatrzyła na niego, nie otarłszy cukru z warg.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie jestem kłamcą. Nigdy przedtem nie kłamałem, powiem nawet...

- Skłamałeś?

- Czuję się z tym okropnie, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Aaronie. Chodzi o twoich rodziców, prawda?

- No cóż. Tak.

- Nie wydziedziczyli cię.

Popatrzył na nią, po jego twarzy przemknął błysk zaskoczenia - a potem zjawił się uśmiezek. Aaron powoli pokręcił głową.

Clarissa zerwała jego dłoń z brzucha i ugryzła ją tak mocno, jak było

to możliwe bez skosztowania odłożonego w kościach wapnia.

- Auć! - wrzasnął Aaron, wymachując ręką w powietrzu niczym dyrygent na przyspieszonym filmie.

Clarissa zeskoczyła z kanapy i rzuciła mu w twarz:

- Nie zostałeś wydziedziczony?!

- Ugryzłaś mnie! - Aaron przestał wymachiwać ręką, zaczął natomiast uważnie ją oglądać.

- Okłamałeś mnie! - krzyknęła.

- Oczywiście, że okłamałem! Nawet półgłówek wie, że wyszłaś za mnie dla pieniędzy. Chciałem się przekonać, jak długo wytrzymasz, jeżeli nie będę ich miał.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób?! - Clarissę napęliło święte oburzenie osoby, której starannie skrywane wady wyciągnięto nagle na światło dzienne. - Jestem matką twojego dziecka!

- Tak, dopóki test DNA tego nie wyjaśni.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy; w powietrzu zawisł niewidoczny całun, jak przecucie śmierci. Wkroczyli niepostrzeżenie na terytorium Edgara Allana Poe.

- Co powiedziałaś? - spytała Clarissa.

Była przerażająco spokojna; jak Robert DeNiro w *Przyłądku strachu*.

- Żartowałem - rzekł Aaron.

- Powtórz.

- Powiedziałem... - Zmarszczył nos, jakby wdepnął w gówno. Nie wdepnął, raczej wskoczył. - Dopóki test DNA tego nie wyjaśni.

W niecałe trzy minuty Clarissa wrzuciła do kufra od Louisa Vuittona (z przeceny) zapas czystych ubrań na cały tydzień, kryształowe kieliszki, porcelanę ze złotym rąbkiem, z filiżankami do kawy i dzbanuszką do mleka włącznie, cztery srebrne świeczniki, dużą srebrną tacę, solniczkę i pieprzniczkę, weselny album i białego kota, a do tego osiem zbilansowanych batoników z masłem orzechowym, których potrzebowała, żeby dojechać do domu matki.

- Clarisso, nie rób tego - przestrzegł Aaron, gdy próbowała wyciągnąć kufer z mieszkania.

Był cholernie ciężki. Przeliczyła się, usiłując zapakować cały ślubny dobytek do jednej walizy - żeby ją ruszyć, potrzebowała wozu holowniczego pomocy drogowej.

- Pozwól, że ci pomogę - rzekł Aaron, widząc, jak się męczy.

Zignorowała go. Ciągnęła, popychała, wysilała się, aż w końcu zaczęła kłać. Mimo tylu starań kufer nawet nie drgnął. Nie chciała, by taką, daleką od stoicyzmu, zapamiętał ją na zawsze jej (były) mąż.

Odstąpiła od kufra i kiwnięciem głowy dała znak Aaronowi, połykając dumę jak łyżkę piasku.

Aaron podniósł kufer z denerwującą łatwością i elegancko otworzył drzwi. Gdyby nie pantofle od Stephane Kelian, chętnie wbiłaby mu stopę w tyłek.

Zeszła zewnętrznymi schodami do bmw, z głową uniesioną wysoko, w ciemnych okularach, wzorując się na Grace Kelly i Jackie Onassis, które niczym dobre ciotki pokazały jej, w jaki sposób „dama” zostawia kłamliwego drania męża.

- Przepraszam, Clarisso - rzekł Aaron - ale musisz przyznać... to trochę dziwne, że zaszłaś w ciążę tak szybko po naszym ślubie. A potem dowiaduję się, że jadłaś lunch z tym typkiem Simonem i nic mi o tym nie powiedziałaś, więc kojarzę jedno z drugim, kurczę, chyba chcesz mnie wystrychnąć na dudka.

Wstawił walizę do bagażnika, przybliżając twarz do twarzy Clarissy na tyle blisko, że spostrzegła, w świetle słońca, niedokładnie ogolone punkty i cienie pod oczami.

W ogóle nie spał. Nachylił się nad siedzeniem dla pasażera, kiedy wsiadła do samochodu.

- Clarisso, kochanie, dokąd jedziesz? Przecież wiesz, że sama nie dasz sobie rady.

Zamrugła. Obróciła się do niego.

- Dam sobie radę - odparła, chwytając za kierownicę. - I dzieckiem też się sama zajmę. A tak przy okazji, miałeś rację: nie jest twoje. -

Poklepała się po brzuchu. - Jest Simona!

Powiedziawszy to, nacisnęła pedał gazu i szybko odjechała od zamieszkanego przez aktorów budynku.

Rzucając okiem w lusterko wsteczne (mimo że głos w jej głowie, ludzko podobny do głosu pana T., krzyczał: „Nie oglądaj się, głupia!”), zobaczyła Aarona z pięściami w kieszeniach spodni khaki, co wywołało w niej żal, że nie może bardziej go nienawidzić.

- Nie dam sobie rady? - powiedziała do siebie Clarissa. - Już ja mu pokażę!

Wybrała numer na komórce. Potrzebowała mamusi.

Była zmuszona wysłuchać nagrania niewidomego prototypu Donny'ego Osmonda, podśpiewującego do muzyki operowej na automatycznej sekretarce; odłożyła słuchawkę przed sygnałem.

- Życie jest za długie - wymamrotała.

Spojrzała na telefon i spostrzegła, że dostała kilka wiadomości: pierwszą od Jennifer, która pytała, co słyhać, itepe; drugą z Citibanku, który pytał, gdzie są ich pieniądze, „Nasi prawnicy skontaktują się z panią”, bla, bla, bla; natomiast trzecia wiadomość pochodziła od Simona.

„Właśnie wyszedłem ze spotkania z nastoletnią piosenkarką (zbyt sławna, sexy na pokaz, ale dziewica [jak twierdzi prasa]) i to mi przypomniało ciebie” - powiedział z zabawnym, zanglicyzowanym, przełamującym przez Rodeo Drive akcentem. „Nie mam pojęcia, co to znaczy. Trochę mnie to przeraża”.

Clarissa roześmiała się, pierwszy raz tego dnia, i wybrała numer Simona. Dopiero po fakcie uzmysłowiła sobie, że zna go na pamięć.

Odebrał.

- Potrzebuję towarzystwa - rzekła. - Najlepiej złego. - Potem przypomniała sobie, że powinna być wściekła na Simona za to, że powiedział Aaronowi o lunchu. - Co cię napadło, żeby nagadać mojemu (obecnemu)

mężowi, że byliśmy razem na lunchu?

- Ktoś inny mu nagadał - odparł Simon. - A on zadzwonił do mnie i spytał, czy to prawda. Ujmując rzecz w trzech słowach, kochanie: kurewsko się wściekł.

- Co ci powiedział? - spytała Clarissa.

- Zagroził, i to w niezbyt przyjemnych słowach, że pozbawi mnie życia albo genitaliów, albo jednego i drugiego. Po czwartej „kurwie” odłożyłem słuchawkę.

- Jezu! Nigdy nie słyszałam, żeby przeklinał.

- To jak, uciekasz z domu? - spytał Simon.

- Jestem w ciąży - powiedziała, nie chcąc się z niczym kryć.

- Fabuła się zagęszcza - odparł Simon. - Mam pełną lodówkę.

Clarissa nie była pewna, jak długo wyplakiwała się na ramieniu Simona, ale kiedy uniosła głowę, właśnie skończył się jeden z dwunastu tysięcy szpitalnych programów telewizyjnych, nadawanych w porze największej oglądalności, a za oknem zrobiło się ciemno. W tle jakiś nowy zespół grał tak głośno, jak zezwalają na to przepisy.

- Powiedział, że sama nie dam sobie rady! - zawołała Clarissa, przekrzykując muzykę. - Przez całe życie dawałam sobie radę!

- Oczywiście! - potwierdził Simon.

- Może nie finansowo, ale emocjonalnie tak!

Simon pokiwał głową.

- On myśli, że to twoje dziecko! - powiedziała Clarissa.

Simon popatrzył na nią. Ściszył fonię pilotem.

- Bardzo możliwe.

- Simonie. Mówiłam ci. Nie spaliśmy ze sobą tamtego wieczoru.

Simon położył dłoń na jej ustach.

- Nie musimy teraz tym się zajmować, jeżeli nie chcesz.

Clarissa potrząsnęła głową. Objął ją ramieniem.

- Wiesz, Clarisso, wskoczyłaś w to małżeństwo bardzo raptownie.
- Wiem. - Wytarła nos w rękaw swetra.
- Prawie go nie znałaś. Mógł być seryjnym mordercą.
- Słusznie mówisz - rzekła. - Ale wesele było fantastycznego?
- To się musiało rozpaść, kochanie. Chcesz zobaczyć nowe wideo

Chained Aggression?

Clarissa spróbowała zamrugać oczami i pociągnąć nosem jak Winona Ryder w *Orbitowaniu bez cukru*. Wyszło jej jednak prychnięcie Arnolda Świni z serialu *Zielone pola* (Eva Gabor - ikona mody i genialna aktorka!). W zatokach Clarissy zebrało się mnóstwo śluzu. Czowała, że utonie we własnych glutach, jeżeli zaraz nie wydmucha nosa.

Simon widocznie wyczuł jej potrzebę.

- W korytarzu - rzekł, wskazując ciemny, wąski korytarzyk.

Próbowała się uśmiechnąć. Bolała ją twarz. Kiedy szła chwiejnie korytarzem pełnym złotych płyt, jakie widziała u każdego znajomego producenta, mieszkającego w domu na wzgórzu, przypomniała sobie, że od wielu godzin nic nie jadła. Była ciekawa, czy Simon naprawdę ma pełną lodówkę.

Łazienka miała ściany wytapetowane okładkami starych płyt. Moje dzieciństwo, pomyślała. Stonesi obok Beatlesów, Led Zeppelin sąsiadujący z Lynyrd Skynyrd. A tu i ówdzie, jak lubią pisać hollywoodzcy felietoniści, wisiały okładki Duran Duran, A Flock of Seagulls, Depeche Mode. Rzut oka na sufit ukazywał REO Speedwagon, patriotyczny tyłek Springsteena i skrzydła Aerosmith przechodzące w album *Band on the Run* zespołu Wings.

Usiadła na sedesie i zamyśliła się nad Simonem i jego pasją - muzyką. Od jak dawna kochał muzykę? Chciała to wiedzieć, nagle zapragnęła dowiedzieć się wszystkiego. Nie dlatego, że chodziło o Simona - chciała się dowiedzieć czegoś więcej nie o nim samym, lecz o tym, skąd wzięła się jego pasja.

A chciała się tego dowiedzieć, ponieważ sama nie miała takiej pasji, którą można by zamienić w karierę zawodową, samochód, dom, domofon, pełną lodówkę, jakieś życie.

Obok sedesu, na podstawie pod telefon, leżało pióro i mały notatnik z napisem: „Simon England”. Clarissa nie miała imiennego notatnika. Nie miała też wytłaczanej papeterii. Wynikało stąd w sposób oczywisty, że nie jest jeszcze w pełni uformowaną osobą.

Wzięła pióro i kartkę i zaczęła sporządzać listę. Listę swoich pasji. Lista była krótka.

1. Zakupy.

Nie ulegało wątpliwości, że zakupy są jej pierwszą miłością, esencją jej życia. Pamiętała, jak będąc pulchną dziewczynką, niosła torby mamy przez dział obuwia u Saksa, jak ślicznie wyglądały sprzedawczynie, pastelowe i pachnące różanymi perfumami, jacy uroczy byli sprzedawcy, uśmiechnięci i w odprasowanych krawatach. Po pięciu minutach namysłu dopisała:

2. Jedzenie.

Kochała jeść, a z tym łączył się podpunkt: Picie.

3. Przyjaciele.

Przyjaciele to przyjemność. Clarissa kochała swoje przyjaciółki. Dopóki mogła z nimi wytrzymać.

4. Spanie.

Przyjrzała się liście. Przekreśliła punkt „Zakupy” i jako numer jeden wpisała „Spanie”.

To było wszystko. Nie miała żadnego szczególnego bzika, jak inni ludzie. Nie miała ulubionej książki, nie podobała jej się większość filmów, większość muzyki, ludzie, ciężka praca, lekka praca, praca od dziewiątej do piątej, praca wolontariusza. Nie miała żadnego hobby oprócz zakupów lub podpunktu tej czynności: oglądania rzeczy w sklepie; nie przepadała

za kwiatami, zorganizowanymi zajęciami, ćwiczeniami sportowymi, umiejętnościami praktycznymi, środowiskiem naturalnym, hantlami, tańcem, spacerem, zwierzętami, tenisem (z wyjątkiem stroju), jogą, plażą, konkursami talentów ani Disneylandem, z wyjątkiem parady na Głównej Ulicy.

Tyle było rzeczy, których nie lubiła.

Zaświtała jej myśl, że coś jest z nią nie tak. Miała dwadzieścia osiem lat (trzydzieści jeden) i żadnego zainteresowania otaczającym ją światem. Doprawdy było wiele podobnych do niej - armia bez zainteresowań. Na ich maskotkę nadawałaby się wywijająca niebieską sukienką jak sztandarem Monica Lewinsky, której talenty pasowały do ich uzdolnień: chronicznego lenistwa, ochoty do ciągnięcia druta mężczyznom posiadającym władzę i poczucia posiadania uprawnień, właściwego ludziom bezbarwnym.

Clarissa przejrzała się w dymnym lustrze, odpowiednim w sam raz dla młodego, fajnego, wspinającego się po drabinie stanowisk producenta płyt. Zobaczyła osobę, która troszczy się wyłącznie o siebie i swoje (bardzo wygodne) życie.

Znów zachciało jej się siusiu. Pieprzona ciąża, pomyślała. Ciągłe tylko siusianie, jedzenie i od nowa siusianie.

Usiadła i zobaczyła ciemną plamkę na kroczu stringów (nie nosiła dużych bawełnianych reform od dnia, gdy zobaczyła reklamę bielizny „Victoria Secrets”, a miała wtedy dwanaście lat). Przyjrzała się dokładnie. Mała plamka. Mała plamka, nic więcej.

Krew.

- O cholera - powiedziała. - O cholera. Już mi dopierdalasz?

Podtarła się chusteczką, na której też pojawiła się plamka. Plamka, nic wielkiego, powiedziała sobie.

- To zupełnie normalne, nie ma się czym przejmować - powtórzyła na głos. - To zupełnie normalne, że wykrwawiam się na śmierć!

Zdała sobie sprawę, że Simon jej nie słyszy, ma przecież włączony telewizor, stereo i swoje męskie ego. Upchnęła w bieliznie papier toaletowy

tak, jakby budowała zapórę Hansena w kanionie Tujunga, marząc o tym, by mieć innego lekarza niż obecny - siwiejący, podobny do sowy, drażliwy, z zimnymi dłońmi i stłumionym głosem. Chodziła do niego jeszcze jako pulchna dziesięcioletka i to on dał jej pierwsze pigułki antykoncepcyjne w dniu jej czternastych urodzin. Marzyła o młodszym, nowocześniejszym lekarzu, o kimś, kto podtrzymałby ją na duchu, powtarzał, że nic złego się nie dzieje. O kimś, kto miałby ciepłe dłonie, niebieskie oczy i nowe mieszkanie w Marinie.

O kimś, kto uratowałby jej dziecko.

- Obudź się, Księżniczko - powiedziała do lustra, częściowo zasłoniętego kolekcjonerskimi rekwizytami Abby. - Zatrzymam to dziecko, choćbym miała zatkać się korkiem.

Wybiegła z łazienki (tak szybko, jak się dało z paczką prowizorycznych podpasek między nogami). Simon z zamkniętymi oczami ssał dżointa, poruszając rytmicznie głową, na której miał ogromne słuchawki - astronauta zacumowany w Hollywood Hills.

- Simon! - zawołała. Gdy nie odpowiedział, potrząsnęła go za ramiona. - Muszę jechać do szpitala.

Spojrzał na nią.

- Jakaś ty blada! - krzyknął, zapominając o słuchawkach na uszach.

- Nie ma chwili do stracenia! - powiedziała, łapiąc torebkę. - Ja krwawię, ty prowadzisz!

- O kurwa! - pisnął Simon i zerwał się na równe nogi, nie rozstając się ze słuchawkami, które pociągnęły go z powrotem na kanapę, jakby miał przyczepioną do głowy wielką rozciągliwą gumę - taki moment podpada pod kategorię: bardzo śmieszne, ale w innych okolicznościach.

W izbie przyjęć szpitala Cedars Sinai czekało dużo ludzi, jednak nie było wśród nich członków gangów z połamanymi kośćmi ani matek z posiniaczonymi twarzami; ten szpital nie przyjmował nieubezpieczonych. Clarissa podała kartę ubezpieczenia wydaną przez spółkę ojca,

modląc się, żeby była nadal ważna.

Potem musieli czekać. Clarissa była pewna, że wykrwawia się na śmierć, chociaż kiedy to sprawdzała (co dwie minuty, jak jej się zdawało, w białym, sterylnym świetle damskiej toalety), znajdowała tylko nowe plamki. Nic z niej nie kapowało, jej ciało nie wydzieliło żadnej tkanki. Kilka plamek, to wszystko. Ale dość, żeby ją udręczyć.

Dość, żeby uświadomiła sobie, że zależy jej na dziecku.

Simon zasnął na zielonym plastikowym krześle. Patrzyła na niego z wdzięcznością (i zdziwieniem), że tak szybko zareagował na jej prośbę.

Po półtoragodzinnym czekaniu przyjęła ją lekarka. Młoda. Niepokojąco ładna.

- Jak długo jest pani w ciąży? - spytała, gdy Clarissa kładła się na trzeszczącym papierowym prześcieradle.

- Dwa miesiące - odparła Clarissa, cofając się myślami do nocy poślubnej.

- Plami pani?

Lekarka zadała pytanie, chcąc uzyskać informację. Clarissa domyślała się, nie, była pewna, że ta kobieta jest od niej młodsza.

- Jest pani lekarzem?

- Rezydentem.

- Mieszka pani w szpitalu?

Przez moment lekarka jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Nie...

Zajrzała do karty. Clarissa wzruszyła ramionami.

- Chyba plamię. Chyba... tak to się nazywa. To wygląda jak... kropki stopionej czekolady.

Lekarka spojrzała na nią i odruchowo zamrugła.

- Zapewne nie ma powodu do niepokoju - rzekła wreszcie. - Obejrzę panią.

Clarissa włożyła nogi w strzemiona.

- Kto jest pani położnikiem?

- Moim położnikiem... O holender, chyba nie mam nikogo takiego.
Lekarka zagrzała w dłoniach metalowy instrument, po czym wsunęła go pacjentce do pochwy.

- Czy zna pani kogoś miłego? - spytała Clarissa.

- Przeszła pani badania prenatalne?

- To znaczy: zanim zaszłam w ciążę? - Clarissa poczuła się jak idiotka. Nie spodobało jej się to. Nawet gorzej, czuła się niekompetentna. Była nieodpowiedzialną matką. Jej własna matka zaczęła ją zaniedbywać, kiedy Clarissa miała co najmniej trzy lata.

Lekarka popatrzyła na nią i zaczerpnęła tchu.

- Doktor Catz. Ma cudowne podejście do pacjentów.

- Dobrze. Czy jest żonaty? - spytała Clarissa.

Tamta kobieta wciąż zaglądała do jej wnętrza. Clarissa miała ochotę spytać, czy widzi tam jakieś klucze albo starą biżuterię.

Badanie dobiegło końca.

- Wygląda dobrze - powiedziała. - Szyjka macicy jest zamknięta. Nie widzę pęknięcia, nie ma groźby poronienia.

Clarissa otarła oczy.

- Z dzieckiem wszystko w porządku. Proszę jednak uważać na siebie. I jak najszybciej odwiedzić doktora Catza.

- Tak zrobię. Obiecuję.

- I proszę się nie niepokoić.

- Dobrze.

Kłamczucha, powiedziała do siebie Clarissa. Wiedziała, że wkroczyła do krainy zmartwień.

- Dziękuję - rzekła. Przytrzymała lekarkę za ramię. - Jeżeli to będzie dziewczynka, to mam nadzieję, że podobna do pani. - Spojrzała na plaketkę z nazwiskiem. - Jak pani na imię?

- Elsbeth.

- No to podobna do pani, ale, tego, z prawdziwym imieniem.

Doktor Elsbeth odwróciła się i wyszła.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Clarissa usiadła i zaczęła się zastanawiać, jaką drogą doktor Elsbeth doszła do swojej pozycji, dlaczego taka ładna dziewczyna przesiadywała samotnie w pokoju i uczyła się przez wiele lat, żeby zostać lekarzem, skoro znacznie łatwiej jest znaleźć bogatego męża i założyć rodzinę.

I wtedy uderzyła ją myśl.

Może wcale nie jest łatwiej.

Może drogą, którą wybrała - nie, raczej do której ją wychowano - wcale nie jest łatwiej podążać.

Clarissa zamyśliła się nad etapami swojego życia.

A. Urodziła się piękna. Dowodzą tego fotografie.

B. Ziarniste taśmy wideo dokumentują jej pierwsze kroki. W tle słychać ojca, który śpiewnie zapowiada: „Oto ona... Miss America”.

C. Pierwsza dieta w wieku pięciu lat. Clarissa na całe życie nabiera awersji do wiejskiego serka - i w ogóle do wiejskich domów.

D. W gimnazjum, zniechęcona przez matkę, rezygnuje z trudniejszego kursu matematyki, choć ma dryg do liczb.

E. W wieku trzynastu lat słyszy od ojca, że nie zostanie króliczkiem Playboya, jeżeli nadal będzie grała w piłkę nożną.

F. Kiedy ma czternaście i pół roku, matka prowadzi ją do agencji modelek; zaczyna się seria śmiałych diet.

G. Ojciec oznajmia osiemnastoletniej Clarissie, że nigdy nie da sobie rady sama, więc powinna znaleźć bogatego męża. Szukała go przeszło dwanaście lat. Dwanaście lat. Dłużej, niż potrzeba, żeby zostać lekarzem. I czym może się pochwalić?

W niedużym pustym pokoju, w którym powietrze przesycone jest wonią alkoholu do nacierania, Clarissa przyrzekła sobie, że zatroszczy

się i o siebie, i o dziecko. Przystanie się szwendać, znajdzie jakieś sensowne zajęcie (z możliwie najwyższą płacą), no i oczywiście jutro z samego rana zrobi sobie brwi, zanim się rozrosną jak u Fridy Kahlo.

Tymczasem musiała znaleźć jakieś lokum.

Rozważała przez chwilę możliwość zwrócenia się do Simona z pytaniem, czy mogłaby się u niego zatrzymać, lecz uznała ten pomysł za głupotę. Aaron dowiedziałby się o tym, co pewnie spieszyłoby szykujący się rozwód (utrzymanie małżonki i dziecka). Nie pomogła też myśl, że budziłaby się z nogami obrosniętymi po nocy grudami cellulitisu od kostek po pachy, podczas gdy Simon znajdowałby się w pobliżu. Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Aarona, ale wciąż była na niego zła, a poza tym nie pozwalała jej na to duma.

Pozostawało jedno.

Powąchała otwartą butelkę z alkoholem izopropylowym.

- Mamo - powiedziała ze szlochem.

- Co? - spytała matka. Miała zmęczony głos. Clarissa spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ. - *Mija*, chodzi o Aarona? - Teraz w jej głosie zabrzmiała nuta zmartwienia.

- Nie, mamu - odparła zirytowana.

- Nic mu nie jest?

- Mamo. Aaron czuje się dobrze.

- Jesteś pewna, że nic mu nie jest?

- Jezu! Maaamo! - krzyknęła Clarissa do małej komórki. - Aaron ma się świetnie. Chodzi o mnie. O mnie! To ja nie czuję się dobrze!

- Ach, tak, a co zrobiłaś?

- Co zrobiłam? - Clarissa nie wierzyła własnym uszom. - Co zrobiłam? - Zaczepnęła głęboko powietrza. - Poleciałam zobaczyć się z Cinnamon i Joe Trzecim. Aaron dzwonił do mnie parę razy, a kiedy wróciłam do domu, był wściekły, potem przyznał się, że nie został wydziedziczony, wtedy ja się cholernie wściekłam, on to niegrzecznie skomentował, więc spakowałam torbę (O Boże, kot!), potem powiedziałam, że dziecko nie jest jego, potem pojechałam do Simona(jest taki słodki),

potem omal nie straciłam dziecka, mamó, a teraz jestem w szpitalu i chcę wrócić do domu. Chcę wrócić do domu do ciebie. Czy ty oddychasz?

- Dziecku nic się nie stało? - spytała matka.

- Nie, mamó. Dziecku nic się nie stało.

- Gdzie jest Aaron?

- Mamó! Czy ty mnie nie słuchałaś? - rzekła z westchnieniem Clarissa.

- Nie jestem już z Aaronem. Nie wiem, gdzie jest, i nie obchodzi mnie to!

- Musisz z nim porozmawiać. Jest twoim mężem. Powinien teraz być z tobą. A nie ten Simon.

- Co masz do zarzucenia Simonowi?

Mężczyzna z nienaturalnie zgiętym ramieniem i ustami otwartymi w niemym krzyku próbował dostać się do sali szpitalnej. Clarissa podniosła palec, dając mu znak, żeby zaczekał i zamknął drzwi.

- Wiesz co, mamó? Ty nigdy nie lubiłaś Simona.

- Nie znam go ani trochę.

- Nigdy nie próbowałaś go poznać.

- Wyśmiewasz się z matki.

- Simon przywiózł mnie do szpitala. Nie musiał tego robić.

- Pffft. Że co? Miał cię zostawić, żebyś umarła w jego domu?

- Mamó, mogę do ciebie wrócić czy nie?

- Dzisiaj przyjedź do mnie. Ale jutro porozmawiasz z Aaronem.

- Nigdy w życiu. Teraz będę z nim rozmawiać wyłącznie w obecności adwokata.

- Nie widziałaś mojej karty Visa?

Clarissa obejrzała sobie paznokcie. Manikiur był jej potrzebny od zaraz.

- Ciekawe, czy „Le Domaine” jeszcze obsługuje klientów - powiedziała do siebie, rozłączając się z matką.

Wymaszerowała z pokoju, mijając niemo krzyczącego mężczyznę, który opierał się pod kątem prostym o ścianę.

Rozdział osiemnasty

Larry Kelner mówi wszystko

Clarissa siedziała na tym samym wrzynającym się w tyłek stołku przy końcu baru co w sylwestra i czekała, aż podejdzie do niej kelner. Była pierwsza w nocy, a ona musiała podjąć kilka decyzji i rozegrać kilka partii. Po wizycie na oddziale ratunkowym odesłała Simona do domu; doprawdy są w życiu chwile, kiedy człowiek potrzebuje odrobiny prywatności.

- Muszę pobyć trochę sama - powiedziała.

- Doskonale to rozumiem - odparł Simon.

Jego reakcja, nacechowana cierpliwością i zrozumieniem, z niewiadomego powodu ją zirytowała.

- Co powiesz? - rzucił Larry Kelner, zachodząc Clarissę od tyłu, z tańczą zastawioną dżinem z tonikiem. Chwytał kilka małych serwetek.

- Potrzebuję rady - powiedziała Clarissa.

- Przez dwa lata nie kupuj komputera, codziennie czyść zęby nicią i zadzwoń do matki - rzucił. - Zaczekaj, podrzucę tylko drinki grupce żalonych pijaczków i łowczyń fortun. - Skinął w stronę okrągłego stolika, który obsiadły opalone kobiety o żółtych włosach i podstarzali mężczyźni o żółknącej skórze. - Powrócę niezawodnie jak opryszczka.

Clarissa już miała zamówić coś czerwonego, mokrego i zabójczego dla komórek mózgowych, ale przypomniała sobie, że jest w ciąży, więc poprzestała na napoju żurawinowym.

Zamknęła oczy i pomyślała o spaniu. Nagle atmosfera tego baru, za

którą jeszcze przed paroma miesiącami przepadała, zaczęła ją drażnić i przytłaczać - było za ciemno, o wiele za głośno, a na dodatek ktoś gdzieś palił.

Clarissa była ciężarną kobietą, pogrążoną w morzu nie wyrażonych uczuć i opinii. Chciała wyjść, ale kelner wrócił i miał ochotę na pogawędkę.

- Gadaj - zachęcił. - Co porabiałaś? Tylko pomiń masturbację.
 - Ja się nie masturbuję - poprawiła go Clarissa. - Ja dokonuję odkryć.
 - W takim razie ja jestem Jacques Cousteau.
 - Wysłałam za męża.
 - Patrzcie i podziwiającie. Skała Gibraltaru. - Uniósł jej lewą dłoń, podziwiając pierścionek od Tiffany'ego.
 - Za Aarona Masona.
 - No, no, szybko się uczymy.
 - Właśnie się rozstaliśmy. Dziś wieczorem.
 - Jednak z tą nauką coś nie tak.
 - Jestem w ciąży.
 - No to z drugiej strony...
 - Powiedziałam mu, że to nie jego dziecko.
 - No, no, no, no, no!
 - Ale to nieprawda. Jest jego, serio.
 - A powiedziałaś tak, bo...
 - Okłamał mnie.
 - I?
 - I... okłamał mnie.
 - A na dodatek?
 - Na dodatek mnie okłamał.
 - Masz do wyboru. - Larry Kelner klasnął jak Yul Brynner w gejowskiej wersji musicalu *Król i ja*. - Po pierwsze: wrócić do niego. Po drugie: nie wracać do niego. Należy się czterdzieści dolarów plus podatek.
- Clarissa spojrzała na szklankę i pomyślała, że jej życie to nie film, więc może powinna przestać zachowywać się jak łatwowierna tancerka z variétés.

- Co lubisz robić? - spytała Larry'ego.
- Rozmawiać.
- Pytam o co innego. Czy masz jakąś namiętą pasję?
Larry spojrział na nią.
- Geje zawsze mają namiętą pasję.
- Ale serio - powiedziała Clarissa. - Robisz coś, co chciałeś robić jako dziecko?
- Boże, nie! Nie zostałem inżynierem kolejnictwa, nawet gdybym kochał ich mundury. Które zresztą kocham.
- Nie pomagasz mi. Za co ci płacę tyle pieniędzy?
- Już dobrze, kochanie. No więc chciałem być aktorem. Niestety, nie mam za grosz talentu, ale uwielbiam być na scenie. Jednak ten bar, ta sala kapiąca złotem i wyłożona koszmarnym beżowym dywanem - wysunął rękę niczym sir Laurence Olivier grający Hamleta w Royal Shakespeare Theatre - to moja scena. A klienci, niechby i smutni, nudni i hetero, są moją publicznością. Mam nadzieję, że ten drink nie zawiera alkoholu.
- Nie pamiętam.
- A kto pamięta? Spróbuj żeńszczenia, pięćdziesiąt miligramów.
- Nie, nie pamiętam, co chciałam robić. Będę miała dziecko i nie potrafię sobie przypomnieć, co chciałam zrobić ze swoim życiem. Może nigdy naprawdę mocno niczego nie pragnęłam. Ty nie masz talentu. Może mnie brak celu, jestem uosobieniem dziecka, które w niczym się nie wykazało.
- Wyzwanie ambicji - powiedział kelner. - Zastanówmy się. Jakie jest twoje najulubieńsze zajęcie? Niezależnie od tego, czy ktoś by ci płacił furę pieniędzy, czy w ogóle nic.
- Zakupy.
- Więc spróbuj popracować w sklepie. Jesteś tak nieuprzejma, że możesz pracować wszędzie w Beverly Hills.
- O nie. Clarissa Alpert nie skacze wokół ludzi. Bez obrazy.
- Nie ma sprawy. Ja też nie skaczę - powiedział. - Ludzie - znów wykonał szekspirowski gest - czekają na mnie, aż zechcą do nich podejść.

- Larry, potrzebny mi jakiś inny pomysł. - Clarissa nie miała pojęcia, jak kelner naprawdę ma na imię, i wcale nie chciała wiedzieć. Nie chciała, żeby jej fantazje o mądrym kelnerze zakłóciła wizja niezupełnie umeblowanej kawalerki wychodzącej na „Thrifty's” na rogu Fairfax i Bulwaru. - Prawie skończyłam drinka i nie jestem pewna, czy stać mnie na drugą kolejkę.

- Magazyn mody.

- Co?

- Zatrudnij się w magazynie mody. Nie powiedziałaś mi, co pijesz.

- Napój żurawinowy. Na czym polega praca w magazynie?

Clarissa nigdy nie myślała o takiej pracy, nie myślała o ludziach pracujących w redakcjach czasopism. Przypuszczała, że magazyny pojawiają się znikąd, materializują się w gotowym kształcie, wraz z pięknymi zdjęciami pięknych ludzi, drogich ubrań i zupełnego braku świadomości.

- Daj spokój, przecież wystarczy, że weźmiesz do ręki „Harper's”, „Vogue'a”, „Elle” czy co tam jeszcze, a zobaczysz długą listę nazwisk. Niczym na obelisku ku czci poległych w Wietnamie, jak pragnę Calvina.

- Nigdy o tym nie pomyślałam - przyznała Clarissa, przygryzając wargę. - Może mogłabym być redaktorem. Czym oni się zajmują?

- Nie, moja droga, nie redaktorem. Redaktorem współpracującym - poprawił.

- A jaka to różnica?

- Redaktorka zarabia niewiele, jest chuda jak Calista Flockhart, jak Lara Flynn Boyle, jak trzytygodniowy trup, pali jak Matthew Perry na oddziale dla rekonwalescentów i haruje, dziecinko, haruje tak, że zdiera sobie palce do zimnych kosteczek. A redaktorka współpracująca nie zarabia nic lub prawie nic, jest średniego wzrostu, nie pali, bo ma dzieci, pracuje mało, ale cały czas o tym opowiada. To coś jak tytuł honorowy i nic ponadto, jak daleki pociotek królewskiego rodu w małym słowiańskim

państewku. Idealna praca dla ciebie. Boże, dlaczego nie wziąłem drewniaków? Okropnie bolą mnie nogi.

Clarissie zakręciło się w głowie. Oszłomiła ją myśl, że mogłaby zobaczyć swoje nazwisko wydrukowane na czymś innym niż zaległy rachunek za telefon.

- Zawsze chciałam mieć tytuł - przyznała. - Tylko do tej pory nie wiedziałam jaki!

Zapatrzyła się w resztki drinka i piślała wzrokiem na lodzie: Clarissa Alpert Mason; CA. Mason; Clarissa A. Mason; C. Alpert-Mason...

- Jesteś geniuszem nad geniusze, jesteś moim osobistym Einsteinem. - Uściskała kelnera serdecznie. A potem uzmysłowiła sobie: - To by dopiero Aaronowi poszło w pięty, zesrałby się z wrażenia, gdybym podłapała taką pracę. Gdzie mam podpisać?

- Po pierwsze, nie rób tego po to, żeby komuś zaimponować, nawet własnemu mężowi. Po drugie, zaliczyłaś wszystkie ciepłe ciała w Los Angeles, słonko. Sama się rozejrzyj. Ja mogę tylko wskazać ci drogę do koryta. Wykonałem swoje zadanie - rzekł. - Napijesz się jeszcze? Muszę iść w kurs, zanim Ears mnie przydybie.

Ears, Uszasty, to było przezwisko kierownika baru.

Clarissa zsunęła się ze stołka (niewygodnego jak jasna cholera) i przeszła przez zasnuty dymem tłum. Wizje literackiego życia i nowy wizerunek własnej osoby wyprowadziły ją w noc.

Zanim wsiadła do samochodu, odnalazła coś w bagażniku.

A potem, jadąc ze spuszczoneym dachem Bulwarem Zachodzącego Słońca, cisnęła przez ramię różowy weselny album, który zniknął w ciemnościach.

Walila w drzwi domu matki (o drugiej w nocy) - porządnie zaryglowane, jakżeby inaczej - dopóki ta ich nie otworzyła i nie powiedziała ciepłym, matczynym tonem:

- Wracaj do domu.

- Och, mamó - jęknęła Clarissa, wciskając się do środka obok drobnej,

lecz zaskakująco silnej postaci. - Wiesz, że nie mogę. Tam jest mój mąż.

- Pfft - odparła matka, nie spuszczać oka z córki, wkradającej się do jej domu jak włóczęga.

W końcu, wciąż na nią patrząc, usiadła na wzorzystej kanapie.

- Jestem śpiąca - oznajmiła Clarissa i zaczęła iść do swojego dawnego pokoju.

- Chcę z tobą porozmawiać - rzekła matka.

- Rano. - Clarissa zamierzała pozwolić matce wygadać się do woli, planowała bowiem, że wymknie się stąd wczesnym rankiem. Ogarnęła ją gorączka związana z planami podjęcia pracy, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem.

- *Ahora*. Siadaj. W tej chwili.

- *Maaamo*.

- *Sienta se*.

Clarissa usiadła ostentacyjnie. Wyglądało to jak scena śmierci - nie-miłosiernie długa - odgrywana przez drugorzędnego aktora w filmie science fiction.

- Moja córko. Jesteś, jak to się mówi, popieprzona.

Clarissa, która miała zamknięte oczy, raptem je otworzyła.

- Co powiedziałaś?

- Moja córko.

- Nie to.

- Jesteś popieprzona.

- Dobrze. Teraz zobaczysz, jak Clarissa Regina Alpert wychodzi. - Podniosła się i ruszyła do drzwi.

- Dokąd to? Nie masz dokąd pójść, zapomniałaś?

- Zatrzymam się u przyjaciółki. Wszystko mi jedno. - Wcale nie było jej wszystko jedno. Przyjaciółki na pewno spały i nie byłyby zachwycone, gdyby musiały o tej porze otwierać drzwi, nawet gdyby stała za nimi Clarissa.

Może jedna Jennifer nie okazałaby złości, ale ona miała te wstrętne psy. Clarissa nie znosiła brzydkich psów.

- Daj spokój. Usiądź.

Westchnęła i usiadła.

- Mówię to dla twojego dobra. Jesteś popieprzona i musisz coś z tym zrobić.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Jestem twoją córką!

- Właśnie dlatego tak mówię. Bo mi na tobie zależy. Musisz wziąć się w garść. Być może będę musiała pójść do pracy. Dowiadywałam się o etat w sklepie z rzeczami dla dzieci. Mogłabym kupować ze sporą zniżką.

- Przestań mówić, proszę cię.

- Twój ojciec idzie do więzienia.

Clarissa chwilowo zapomniała (dzięki Bogu) o tym, że jej ojciec ma zmienić miejsce pobytu. Przyszła jej do głowy dziwna myśl: Jak będzie sobie w więzieniu farbował włosy?

- Nie jesteś już małą dziewczynką. Masz męża, będziesz miała dziecko. Zaczynasz nowe życie. Musisz dorosnąć!

- Jestem dorosła. Mam dwadzieścia osiem lat, mam, pamiętasz?

- W listopadzie skończysz trzydzieści dwa.

- W prawie jazdy mam dwadzieścia osiem, w paszporcie mam dwadzieścia osiem.

- Wybacz, ale moja waga mówi: trzydzieści dwa. Jeżeli nie zejdziesz się z Aaronem, będziesz musiała znaleźć pracę. Nie zamierzam utrzymywać ciebie i dziecka. Dzieckiem się zajmę, ale nie będę opiekować się jego matką.

Clarissa była wkurzona.

- Hej, ja pierwsza byłam twoim dzieckiem!

- O tym właśnie mówię. Musisz jakoś ułożyć sobie życie z Aaronem. Nie masz wyboru.

- Tak się składa, że będę miała pracę. - Clarissa umyślnie wypowiedziała te słowa z hiszpańskim akcentem, żeby zdenerwować matkę.

- Jaką pracę? - Matka spojrzała na nią, próbując doszukać się jakiejś pointy w tym żarcie.

- Zastanawiam się poważnie nad przyjęciem posady redaktora współpracującego - odpowiedziała.

- Kto to taki?

- Nie wiesz, czym się zajmuje redaktor współpracujący?
- Nie.
- Och. - Clarissa miała cień nadziei, że matka ją oświeci - To ktoś bardzo ważny w magazynie mody, a ja rozważam przyjęcie tej posady. Ale nie jestem jeszcze gotowa do podjęcia długoterminowych zobowiązań.

- Clarisso. - Matka westchnęła. - Czuję, że nie byłam dla ciebie dobrą matką. Mówię to, bo chcę, żebyś była lepszą mamą dla swojego dziecka. Chcę, żebyś lubiła siebie, a wtedy pokochasz dziecko całym sercem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ty nie kochałaś mnie całym sercem? Jak można mówić coś takiego dziewczynie o drugiej w nocy? Moja własna matka!

- Clarisso, teraz potrzebujesz męża, nie pracy. - Matka westchnęła tak, jak potrafią wdychać tylko matki, wstała i ruszyła korytarzem do sypialni. Ostentacyjne wyjście i sposób, w jaki trzymała głowę, wyrażały to, czego nie wypowiedziała na głos: „Ożeż kurwa!”.

Siedząc w ciemności i ścierając na proch słowa matki, Clarissa przysięgała sobie, że jeszcze tego dnia znajdzie pracę. Udowodni matce, że może coś osiągnąć. Udowodni, że nie musi być na utrzymaniu matki, ojca albo męża - poradzi sobie sama.

Pociągnęła nosem.

- Zrobię to do końca tygodnia - postanowiła. Nie ma sensu zbyt wysoko podnosić poprzeczki.

Usłyszała szum spuszczonej wody, dobiegający z łazienki sąsiadującej z pokojem matki. Odliczyła do dziesięciu, szum rozległ się ponownie. Zamknęła oczy i ujrzała, jak matka, kręcąc się w kółko, spływa wraz z niebieską wodą w głąb, otoczona własnymi gówienkami jak płatkami podpieczonego francuskiego ciasta.

Pobudzona tą nadzwyczaj realistyczną wizją, Clarissa wstała i zaczęła przeglądać magazyny, ułożone starannie pod stolikiem do kawy. W każdym z nich dopisywała do listy redaktorów współpracujących własne

nazwisko, we wszystkich wersjach, aż w końcu zmęczona zasnęła nad lipcowym numerem „Elle”.

Poniedziałkowy poranek był, jak przypuszczała Clarissa, idealną porą na szukanie pracy. Z dobrze poinformowanych źródeł wiedziała, że jest to pierwszy roboczy dzień tygodnia. Zjadła na stojąco, korzystając z lodówki matki (półki wypełnione twarożkami i pasztecikami - pozostałościami „lekkiego lunchu” serwowanego w starej kawiarni). Dokończyła sok mango i przeklinając rytmiczne akrobacje żołądka (a teraz pół nelsona, dwa obroty i na koniec skręt!), próbowała uspokoić go czymś, co przypominało prawdziwe jedzenie.

Żołądek obudził ją (jak drgania wywołane biciem w bęben tuż nad uchem) o szóstej rano. Posłuszna mu, skaczącemu i szarpiącemu, zakradła się do kuchni, gdzie od wyprowadzki ojca prawie nigdy nie używano kuchenki.

- Tak nie może być, Świnko - powiedziała Clarissa do siebie, odpowiadając na beknięcie o smaku suchego steku.

Odczekała do ósmej, siedząc na jednym z twardawych krzeseł matki, aby nie zaburzyć trajektorii trawienia. O wyznaczonej godzinie złapała telefon matki (jej komórka rozładowała się, a ładowarka została w Nędznych Norach dla Niewybaczalnie Nieutalentowanych) i wybrała numer.

Najpierw Roberta Tępak. Albo Tępa Roberta, to zależy.

- Potrzebuję pracy - oznajmiła Clarissa.
- Świetnie - powiedziała Roberta. - Słyszałaś? On będzie miał następne dziecko, a ja nie mogę zbliżyć się do jego skrzynki pocztowej na odległość mniejszą niż pięćset metrów.
- Na pewno znasz kogoś w jakimś magazynie - powiedziała Clarissa.
- Anna, Kate, Mayo, Larn.
- Larn?
- Potrzebujesz reklamy? Mogę ci pomóc - zaproponowała Roberta. - Wczoraj dzwoniłam do niego do domu. Odłożyłam słuchawkę. Dziś rano zablokowali połączenia. Uwierzyłybyś w taką paranoję?

- Postanowiłam zostać redaktorem współpracującym - zaczęła Clarissa.

- Och, to żaden problem - zapewniła Roberta. - Zadzwoń do Page.

- Dzięki, nowa najlepsza przyjaciółko. Zjemy razem lunch?

- Świetnie. Nie mogę się pokazać w „Mr. Chow”, „Ivy”, „Chaya”, „Grillu”, „Barney Greengrass” ani w „Locandzie”. Aresztowaliby mnie. To przez te listy. A przecież powinno mu to pochwlebiać. Możemy się spotkać w dowolnym innym miejscu. Z wyjątkiem tego nowego baru na Trzeciej. Chociaż właśnie przypomniałam sobie, że Page chwilowo ze mną nie rozmawia.

Clarissa zawahała się, nim zadała pytanie.

- Jest jakiś problem?

- Och, ciągle to samo. Larn powiedział jej o tym, co rzekomo zrobiłam swoim samochodem.

Clarissa zamknęła oczy.

- O czym?

- O tym, że w niego wjechałam. Zupełny przypadek, przysięgam. Powinien był dać Angie na okładkę. Jego ręka już całkiem się zagoiła.

Clarissa mruknęła coś na pożegnanie, otworzyła palmtopa i wymazała Robertę z pliku z adresami.

Musiała zadzwonić do Tony'ego B. Potrzebowała pracy.

Rozdział dziewiętnasty

Poszukiwania pracy ciąg dalszy...

Tony B, ronił krwawe łzy.

Tak właśnie powiedział Clarissie.

- Ja tu ronię krwawe łzy.

- W czym problema? - spytała Clarissa.

Stała nad Tonym B., który siedział na wpół nagi na dywaniku w salonie i jęczał jak nieopłacona dziwka.

- Nie czytałaś gazety? - zapytał.

- Gazety? Jakiej gazety? - zdziwiła się Clarissa. - A tak. Czytałam „213”. Wiesz, to piśmko z grubymi, sławnymi blondziami, które wyglądają jak straszne małpy.

- Jezu! - krzyknął. - Oglądasz wiadomości w telewizji?

- Oczywiście, że oglądam. Na przykład show z tą melodią: da da da dum dum dum.

- *Entertainment Tonight?* - zgodł. - To nie jest program informacyjny.

- Mają reporterów. Pokazują wydarzenia, więc to jest program informacyjny.

Tony B, wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Albo wpaść w szal. Ale Clarissa wiedziała, że nie zdobędzie się ani na jedno, ani na drugie, wiedząc, jak takie zachowania ujmują mu wdzięku.

- Clarisso, skąd ty, u licha, czerpiesz informacje o otaczającym cię świecie? - zapytał. - O wojnach, wyborach...

- Raz w tygodniu spotykam się z Trybunałem - wyjaśniła.

- Jesteś idiotką - powiedział. - Kto szyl tę spódnicę? Jest boska.
- Ktoś się wczoraj nie pieprzył. Nie licząc mnie, oczywiście. Zresztą dziękuję za to Bogu. Już nigdy nie chcę się bzykać.

- Moje akcje spadły na łeb na szyję, kotku.

- To źle, prawda? - upewniła się Clarissa. - Widzisz, jednak coś wiem. Ale dość już gadania o tobie i twoich problemach. Przyszłam z poważną sprawą. Muszę znaleźć pracę.

Tony B, spojrział na nią i roześmiał się. W głębi mieszkania namaszczony olejkiem jogin w żółtych spodenkach Speedo robił powitanie słońca. Jego opływowe mięśnie lśniły jak chromowane zderzaki.

- Gej? - spytała Clarissa.

- Nie zwracaj na niego uwagi - polecił Tony B. - Jesteś kobietą zamężną. Moje akcje spadły z dwustu sześćdziesięciu do dwunastu. - Spojrział na jogina i westchnął. Zniżył głos do szeptu. - Biorę poważnie pod uwagę możliwość przeprowadzki do północnego Hollywood.

- Nie! - krzyknęła Clarissa. - Z Doliny ludzie wyjeżdżają, ale nie po to, żeby tam wracać! - Dla mieszkańca Westside nie było nic bardziej haniebnego, niż żyć w Dolinie.

- Po co ci praca? Wysłaś za głupiego nadzianego faceta, więc po prostu ulóż sobie życie.

Stali teraz w czarno-białej kuchni, urządzonej przez tego samego gościa, który projektował wystrój Stars Hotel. Tony mógł sobie na niego pozwolić w czasach, kiedy wartość jego akcji wynosiła sto dwadzieścia pięć i nadal rosła.

- Nie rozumiesz? Poszukuję własnej tożsamości. Poza tym zerwaliśmy ze sobą - dodała, sącząc wodę „Evian” z irlandzkiej kryształowej szklanki (wartość akcji: 150³/4).

- Jesteś jeszcze bardziej autodestrukcyjna niż ja - stwierdził.

- Właśnie dlatego mnie lubisz - odparła. - A teraz zrób mi przysługę. Znasz wszystkich, a przynajmniej tych, którzy zatrudniają takie jak ja.

- Ludzi bez umiejętności. Permanentnych bezrobotnych.
 - Umieć komunikować się z ludźmi. Umów mnie tylko na rozmowę.
- Znasz ludzi z magazynów mody? Chętnie zostałabym redaktorem współpracującym.
- Znam kogoś w „International Male”.
 - Ja nie żartuję.
 - Dobrze, zobaczę, co da się zrobić.
 - Jestem w ciąży - powiedziała - więc to nie może być nic forsownego. Jak maszynopisanie. Albo, hmm, odbieranie telefonów.
 - Już zaszłaś? A mówiłaś, że nic nie umiesz.
 - Nie słuchałeś mnie. Powiedziałam, że umieć komunikować się z ludźmi.

Na pożegnanie Clarissa pocałowała Tony'ego B, na tarasie jego hiszpańskiego domu na stoku wzgórza (wartość akcji: 221) i odjechała swoim bmw z opuszczonym dachem, promieniując takim samym optymizmem jak słońce, które przebijało się dzielnie przez popołudniową mgłę spowijającą Los Angeles.

Za dwadzieścia cztery godziny Clarissa miała odbyć rozmowę w sprawie pracy. Tony B, zostawił wiadomość na sekretarce jej matki. Najpierw skrytykował koszmarną melodyjkę powitalną (coś latynoskiego, rzecz jasna, Mario Hispanic jakiś tam), a potem powiedział, żeby zadzwoniła do faceta, który nazywa się Tull Krapinsky („Zmienił sobie imię na cześć grupy Jethro Tull - wyjawiał - a nazwisko to nie żart”). Oznajmił, że Tull szuka kontaktowych osób - właśnie kogoś z jej zdolnościami komunikacyjnymi.

Clarissa pożyczyła (ukradła) sukienkę matki - dość stary rocznik, bo 1977, od Diane von Furstenberg - która ledwo mieściła jej poszerzającą się talię. Stojąc w garderobie i podziwiając swój gust w dobieraniu pożyczanych (kradzionych) strojów, zauważyła również nowe sandały od Prady, które wołały do niej tak głośno, że musiała zatkać uszy; je również pożyczyła (ukradła).

Jazda do 31 480 Old Malibu Road była równie ekscytująca jak sukienka DvF. Clarissa złożyła dach, związała włosy w kucyk i poczuła się jak Lauren Hutton w starym magazynie ilustrowanym Estée Lauder. Różniły się tylko wagą. Clarissa była pewna, że w ciągu ostatniej doby przybrała z pięć kilo, czuła się więc jak dwie Lauren Hutton i Rebecca Romaine Lettuce na dokładkę.

Na szczęście sporo z tych dodatkowych kilogramów ulokowało się w rejonie balonów, czyli tam, gdzie każdy facet nazywający się Tull Krapcetera będzie zatrzymywał wzrok.

Do holu wielkiego, utrzymanego w greckim stylu domu na plaży wprowadziła Clarissę ospała i skąpo odziana dziewczyna. Już wysoki na przeszło dwa metry, wykonany z witrażowego szkła „obraz” w holu zapowiadał, że nie będzie to zwyczajna rozmowa o pracę. Barwne dzieło przedstawiało olbrzymiego łysego mężczyznę w otoczeniu całkiem lub prawie nagich nimfetek, którym, sądząc po rozmiarach naprężonych sutek, doskwierało przenikliwie zimno.

Mężczyzna był także w stroju adamowym, wyglądającym, jakby już od dawna wymagał złożenia i odwieszenia. W jednej dłoni trzymał telefon komórkowy (czarna nokia), a w drugiej - swój wielki członek. Ta część ciała, z powodu długości i grubości, była niepokojąco podobna do profesjonalnego kija baseballowego.

Clarissa zastanowiła się chwilę (jakiś czas to trwało, wiadomo, „mózg ciężarnej”) i wyszła.

- Gdybym ci powiedział, że to sutener, nigdy byś tam nie poszła - stwierdził Tony B.

- To twoja linia obrony?! - wrzasnęła Clarissa i gwałtownie skrzyła kierownicę, o włos unikając zderzenia z terenówką jakiegoś ZB - Znużonego Bogacza.

- Potrzebowałam pracy, więc ci coś znalazłem.

- Wymień zamki w drzwiach, zmień numer telefonu, załóż sobie

dobry system alarmowy, ponieważ jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, to ZABLIJĘ.

- Urządząm pożegnalne przyjęcie. - Tony B, zmienił wątek.

- Gdzie się wybierasz?

- Wyprowadzam się. To upadłościowa balanga. Przyjdiesz? Za kilka tygodni, dzień przed przejściem mienia. Zapewniam benzynę i zapalki. Mam nadzieję, że ktoś podpali tę budę.

- Oczywiście, że przyjdę.

Clarissa, przygnębiona, odłożyła słuchawkę. Wszystko się zmieniało. Tony B, już nie był bogaty; Simon już nie był tylko bolesnym wspomnieniem; Aaron już nie był jej kochającym mężem. Ona zaś nie była już wyluzowaną, rozrywkową dwudziestoparolatką, którą nigdy nie była.

Jechała autostradą Pacific Coast, minęła minicentrum handlowe, gdzie grali anime X, minęła „Malibu Inn”, nabrzeże i surferów ćwiczących aż do zeszywnienia mięśni na nieistniejących falach.

Wystukała 411.com, aby zasięgnąć informacji o doktorze Catzu.

Aaron siedział przy barze w „Grillu”, czekając na człowieka, z którym umówił się na lunch. Był tu po raz pierwszy; rozglądał się i obserwował, ukrywając szeroko rozwarłe z podziwu oczy za okularami lotniczymi od Christiana Diora (zakup Clarissy, cztery dni po tym, jak weszli po schodach do jego dawnej rezydencji). Zdenerwowanie zdradzały wyłącznie dłonie, bawiące się klawiszami komórki (nokia, również za namową Clarissy).

Obserwował tutejszych graczy, prawdziwą arystokrację Hollywood - kobiety i mężczyźni wymachujących berłami, mogących uczynić boga ze skromnego sprzedawcy lub kierowcy ciężarówki - producenta, który dostał trzy Oscary z rzędu za najlepszy film, reżysera, który w ciągu jednego roku przeszedł od kina niezależnego do wielkich epickich obrazów,

agentów - było ich tak wielu i wszyscy byli tak do siebie podobni jak piloci w Marynarce Wojennej - którzy mogą tworzyć lub niszczyć, zabijać lub ratować.

To Clarissa pokazała mu „Grill”. Aaron stuknął palcami, odtwarzając numer jej telefonu komórkowego; palce tańczyły bezbłędnie jak palce pianisty, grającego znaną z dzieciństwa melodię.

Zaprosił na spotkanie przy lunchu jednego z ważnych agentów - młodego, niezmiennie ambitnego, z klientami wybranymi z nowego narybku - i zastanawiał się, jak zdoła zapłacić za sałatkę Cobba.

Przyszł agent. Okulary w rogowej oprawie jednocześnie skrywały i podkreślały urodę gwiazdora filmowego. Aaron zastanawiał się przez chwilę, czy były prawdziwe, na receptę, czy tylko dla picu. Agent uściśnął rękę Aarona, jednocześnie omiatając spojrzeniem zielone kabiny i błyskawicznie orientując się, kto jest, kogo nie ma, kto jest oczekiwany. Odwrócił się do Aarona i ledwie zauważalnym skinieniem głowy dał znak, by szedł za nim.

Rozpoczęli obchód.

Pierwsza kabina.

- Aaron Mason, słyszałeś o nim... - Agent zwrócił się do producenta filmowego, który miał sterczące włosy, a za sobą nieprzerwane pasmo sukcesów.

- A, tak - rzekł producent, przelękając wodę. - Ożenił się pan z tą lalą, jak jej na imię? Odjazdowa.

Druga kabina. (Robi się ruch, bo właśnie wchodzi Arnold Schwarzenegger, który normalnie rzadko się pokazuje, ale akurat tego dnia ma premierę filmu; tym razem farbowanie wyszło bez zarzutu).

- Mąż Clarissy, czy tak? - upewnił się szef sieci telewizyjnej, słyszący z tego, że nie może się oprzeć urokom niewieścim. - Boże, ona jest fantastyczna!

Trzecia kabina.

- Słyszałem, że jest w ciąży.

Środkowy stolik.

- Proszę ją ode mnie pozdrowić.

Aaron uśmiechał się i wymieniał uściski dłoni, tłumiąc w sobie chęć powiedzenia prawdy. To byłoby jak zaproszenie niepożądanego gościa na uroczystą kolację.

W końcu usiedli. Agent złożył zamówienie bez zaglądania do karty (cokolwiek to było, kelner potwierdził „to co zwykle”), natomiast Aaron studiował menu, zastanawiając się od nowa, czy starczy mu na zapłacenie rachunku.

- Jest pan mężem Clarissy? - spytał kelner. - Proszę przekazać, że za nią tęsknimy.

Aaron złożył zamówienie, mając nadzieję, że po południu ktoś wessie całe Hollywood, i jego też.

Agent wręczył kelnerowi kartę kredytową - American Express dla biznesmenów.

- Nie lubię czekać na rachunek - wyjaśnił.

Aaron dodał do swojego zamówienia hamburgera i wykreślił rachunek z „Grilla” z listy zmartwień. Jedna rzecz z głowy, pomyślał, uśmiechając się do agenta. Zostało tysiąc sto osiemdziesiąt...

- Nie, moim zadaniem jest znalezienie pieprzonej pracy - mówiła Clarissa do matki, która każdym westchnieniem, wstrzymaniem oddechu, każdym ruchem brwi i każdym kłótliwym okrzykiem przekonywała córkę, by sprowadziła Aarona i pogodziła się z nim.

Przez następne dwa tygodnie Clarissa siedziała na kanapie u matki i co rano obdzwaniała znajomych, by dorwać nieuchwytną posadę redaktora współpracującego. Jednocześnie unikała telefonów od Aarona; kiedy dzwonił, matka biegła do telefonu, żeby ponarzekać na swoją niewdzięczną, *loca en la cabeza* córkę. W drugim tygodniu Clarissie było już obojętne, czy pracowałaby dla magazynu wędkarskiego „American Bass Fishing”, czy też dla „Big Tittie Weekly”. Była zdeterminowana, jak Noe zawierający przymierze z Bogiem, bo skoro kelner uważał, że coś jest prawdą, to musiało tak być.

Mieszkanie z matką nie było radosnym świętem więzi rodzinnych, jak

to sobie wyobrażała Clarissa (ha, ha). Z każdym dniem coraz bardziej działały jedna drugiej na nerwy. Teraz mogły spędzić w swoim towarzystwie 5,3 sekundy, a po upływie tego czasu z byle powodu wybuchała kłótnia, na przykład o to, że Clarissa wyjadła wszystko z lodówki, kredensu, spod kanapy i ze skrytki w samochodzie matki, sama zaś nie kupiła dotąd choćby jednej cebulki koktajlowej czy toniku „Canada Dry”. Clarissa zawsze przypominała fakty: a) nie ma czasu robić zakupów w sklepie spożywczym, ponieważ szukanie pracy pochłania jej każdą wolną minutę; b) nawet gdyby miała czas, to i tak nie ma pieniędzy na zakupy; c) nie wie, gdzie jest sklep spożywczy, a poza tym nie znosi zakupów, z wyjątkiem wybierania ubrań i butów, właśnie w tej kolejności.

Jednocześnie, jak na złość (przy wzroście napięcia godnym *Teksańskiej masakry pilą mechaniczną*), matka przygotowywała się do dorocznego koncertu charytatywnego Młodszych Aniołów - wydarzenia, w które angażowały się podstarzałe eks-piękności, dawne gwiazdy oper mydlanych, wciąż gustujące w modnych w latach osiemdziesiątych fryzurach helmach i bejsbolówkach ozdobionych sztucznymi diamentami, oraz starsi obywatele, do których należała mama Clarissy, nie dysponujący talentem tanecznym ani wokalnym. Dochód z występów przeznaczano dla upośledzonych dzieci. Tegoroczne hasło brzmiało: „Droga do gwiazd”, dlatego „dziewczyny” (nikt ich tak nie nazywał oprócz nich samych) przywłaszczyły sobie piosenkę *Stairway to Heaven* Led Zeppelin do numeru ze śpiewem i stepowaniem.

Każdego wieczoru jej matka, ubrana w rajstopy, pantofle do stepowania i cylinder, spotykała się z grupą podobnie odzianych przyjaciółek (taką ilością cekinów udławiłby się nawet Bob Mackie*).

* Kostiumolog, pracujący dla kina, teatru i telewizji; laureat pięciu nagród Emmy, trzykrotnie nominowany do Oscara.

„Dziewczyny” piszczały i śmiały się starczym śmiechem, emanując starczą aurą, ćwiczyły swój numer muzyczny, stepowały, nie zważając

na powykręcane palce u nóg i chore stawy, aż któraś mdlała z wyczerpania, z przedawkowania leków na nadciśnienie lub z powodu złamania kości miednicy. Clarissa wpatrywała się w nie z pełnym obrzydzenia podziwem, jedząc i pijąc wszystko, co nie ruszało się od dwudziestu czterech godzin, oraz żywiąc nadzieję, że ona sama wykaże się wystarczającym wdziękiem i wyczuciem, by umrzeć, zanim będzie mogła skorzystać ze zniżek dla emerytów.

Najbardziej nienawidziła sentymentalnych wspomnień paru pań, wychwalających pod niebiosy małżonków, zmarłych jeszcze w czasach, gdy się nosiło skarpetki z paluszkami.

Prawdę mówiąc, źródłem nienawiści Clarissy była zazdrość o życie uczuciowe ludzi po czterdziestce; uważała to za sprzeczne z prawami natury.

- Więc dlaczego się po prostu nie wyprowadzisz? - spytał Teddy.

Wyszedł za kaucją, ustanowioną w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ponieważ nie był mordercą ani gwałcicielem i nie podejrzewano go o próbę ucieczki. Jadł śniadanie z Clarissą, tak jak inni ojcowie i córki siedzący w „Nate and Al's” w sobotni poranek. Od innych ojców i córek różnili się tylko tym, że on miał spędzić Boże Narodzenie w więzieniu, ona zaś była w ciąży i żyła w separacji z mężem, z którym wcześniej mieszkała około trzech tygodni.

- Przez ciebie nie mam dokąd pójść - poskarżyła się Clarissa.

- Uznaję twój gniew, czuję go - odparł Teddy - ale nie wezmę za niego odpowiedzialności.

- Coś ty czytał?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Wypił kawę jednym haustem.

- Przyznaj się, znów studiowałeś jakiś idiotyczny poradnik psychologiczny, tak? - spytała Clarissa.

- Zawsze powtarzam, że jeżeli tylko nauczysz się czegoś mądrego z tych książek, to warte są swojej ceny.

- Dziwne. Ja zawsze powtarzam, że skoro musisz czytać takie poradniki, to pewnie jesteś żalonym ojcem.

Teddy tak się szczyrzył do kelnerki o grubych kostkach, że nie odbił piłeczki nad świeżo rozciągniętą pomiędzy ojcem a córką siatką komunikacji. Dostał swojego wędzonego łososia, jajka i cebulę. Unosząca się z talerza woń zemdlila Clarissę. W dziesiątym tygodniu ciąży jej nos uwrażliwił się na niektóre zapachy - zwłaszcza ryb, jajek, cebuli oraz najbliższej rodziny.

Nachylając się nad talerzem, dzierżąc widelec jak broń, Teddy wziął się do jedzenia.

Przypominał Clarissie goryla, którego kiedyś widziała - starą, znużoną, głodną małpę, rozrywającą kiść bananów. Ojciec przebywał w więzieniu o jeden posiłek za długo.

- Coś nie tak? - spytał Teddy, spoglądając znad talerza. Kawałeczek jajka przykleił się mu do dolnej wargi.

- Od czego by tu zacząć? - spytała.

- Mówiłem ci? Aaron przyszedł mnie odwiedzić. - Teddy wreszcie zlizał jajko, nie zawracając sobie głowy serwetką.

Gdyby Clarissa jadła, z pewnością by się udławiła.

- Nie, nie mówiłeś. Co się stało?

- Nic. Po prostu zadzwonił, że chce mnie odwiedzić, zobaczyć, jak mi się wiedzie.

- Za kogo on się uważa?

- Zadzwonił przed tobą.

- Po prostu ma poczucie winy - odparła. - Za to ja nie mam powodu, by czuć się winna.

- Powinien czuć się winny? Niby dlaczego? - Teddy niemal wypluwał te pytania.

- Nie mogę zdradzić, co powiedział.

- O dziecku? To nic takiego. Pamiętasz, jak ja i twoja matka rozmawialiśmy ze sobą.

- Wy nie rozmawialiście, tylko wrzeszczeście - przypomniała Clarissa. - Mówił ci, co mi zrobił?

- Taaak. Uważam, że to było świetne. Naprawdę sprytne.

- Jesteś po jego stronie.

- Nie jestem po niczyjej stronie, Clarisso - rzekł Teddy. - Ale musisz przyznać, że ten chłopak to skarb. Prawdziwy skarb.

Clarissa nie mogła przełknąć śliny. Prawdziwy skarb?

- Tato, nie znasz go tak dobrze jak ja.

Ojciec przestał jeść. Musiał przestać, bo już skończył - skazańcy szybko uwijają się z jedzeniem.

- Clarisso. - Dotknął jej brody. Miał gładkie dłonie dżentelmena. To miało się zmienić, gdy zacznie trenować na więziennym dziedzińcu. - Jak według ciebie opłacam tego adwokata?

- Nie udawaj, tato. Przecież masz pieniądze.

- Moje konta zostały zamrożone. Wszystkie. Zostało mi raptem te pięćset dolarów, które trzymałem w mieszkaniu.

- Mama. Ona wciąż prasuje twoje koszule.

- Ech, nie mógłbym jej o to prosić. Za bardzo zatruję jej życie. Poza tym ona też nie ma pieniędzy.

Clarissa spojrzała na ojca. Nie chciała wymówić słowa „Aaron”.

- Aaron.

- Poprosiłeś Aarona, żeby opłacił adwokata? - spytała. W życiu nie czuła się tak zakłopotana.

- Nie. Pojawił się na moim przesłuchaniu. Zobaczył obrońcę z urzędu - gość nie umiał dodać dwóch rąk do jednego fiuta. Aaron upierał się przy swoim - wyjaśnił ojciec. - Jak tylko wyjdę z więzienia, zwrócę mu pieniądze. Będziesz to jadła? - spytał, wskazując bajgla, z serowym roz-mazem.

Clarissa potrząsnęła przecząco głową. Wprawdzie była głodna, kiedy wchodziła do delikatesów, ale teraz żołądek miała wzdęty z niepokoju.

- Czemu miałby to zrobić? - spytała. Była zła: na Aarona za to, że gra takiego nieskazitelnego świętoszka; na ojca zaś za to, że w ogóle trzeba go ratować z tej opresji.

- To skarb. Mówiłem ci. - Ojciec wepchnął do ust połowę bajgla i popił resztką kawy.

Clarissie znów przypomniała się nieszczęsna wizyta w zoo w San Diego: „Zobacz wspaniałe małpy!”.

- Nie mów mu, że ci powiedziałem, cukiereczku. Obiecałem dyskrecję.

- A wszyscy wiemy, jak ty dotrzymujesz obietnic.

- Uznaję twój gniew, czuję go, ale nie wezmę za niego odpowiedzialności - powiedział Teddy, wpychając do ust drugą połówkę bajgla.

Rozdział dwudziesty

Widzieliście?

Aaron zadzwonił do Jen z miejsca, które można by nazwać narożnym biurem, chociaż tak naprawdę był to po prostu kątek wydzielony w gabinecie kierownika produkcji. Nie powiodły się próby nawiązania kontaktu z Clarissą (za to dowiedział się wiele o dzieciństwie jej matki, spędzonym w Ameryce Południowej). Chociaż zdawał sobie sprawę, że jego następny ruch pachnie desperacją przez duże „D”, zamierzał jednak zaryzykować. W końcu naprawdę był zdesperowany.

Umówił się z Jen na lunch w barze w studiu. Siedzieli tam wśród trutki - dziewcząt i chłopców spod znaku dużego „D”, którym głowy kręciły się jak kurek na dachu, ilekroć przeszedł obok nich ktoś ubrany u Prady albo Hugo Bossa. Znajdowali oni schronienie w zaciszu sali dla VIP-ów, gdzie jedzenie, woda, a nawet powietrze, wydawały się lepszej jakości. To mi dopiero desperacja, pomyślał Aaron.

- Pasjonuję się aromaterapią - powiedziała Jen. - Przydałoby się więcej wanilii w twoim życiu. Wydajesz się okropnie spięty. - Położyła mu dłoń na skulonym ramieniu i nacisnęła, żeby pokazać, o co jej chodzi.

- Dlaczego nie chce ze mną porozmawiać? Co ona robi?

Aaron zdawał sobie sprawę, że te pytania mogą zabrzmieć nachalnie - jakby chciał śledzić Clarissę, ale nie miał ochoty tracić czasu. Dźgnął miecznika, który jakoś opierał się atakowi sztucców. Odsunął talerz i

chciał zapalić papierosa - ale to oczywiście okazało się niemożliwe. Siedział więc zachmurzony i milczący.

- Clarissa jest bardzo dotknięta - zaczęła tłumaczyć Jen. - Ona jest mimo wszystko istotą ludzką.

- Dotknięta? - powtórzył Aaron. - To zabawne. Naprawdę zabawne. Toja powinienem czuć się dotknięty. Nie zapominaj, że to ona mnie wykorzystała.

- Clarissa Alpert jest moją najstarszą, najukochańszą przyjaciółką na świecie, ale nawet jeśli kłamie i oszukuje, to nie wykorzystuje ludzi. Cofnij to, co powiedziałaś - nakazała Jen.

Aaron popatrzył w jej wielkie brązowe oczy, wlepione prosto w niego i grożące zalewem łez.

Nie miał wyboru, musiał odwołać swoje słowa.

- Odwołuję to, co powiedziałem - rzekł.

- Wiesz, ona jest ostatnio bardzo zajęta - oznajmiła Jen. - Szuka pracy.

- Pracy? - powtórzył Aaron. - Jen, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że umieściłaś w jednym zdaniu słowa „praca” i „Clarissa”?

- Aaron.

- Przepraszam, przepraszam. Jestem samotny, ale jeszcze nie zgorzkniałem. A więc szuka pracy?

- Jako redaktor współpracujący z magazynem - wyjaśniła Jen, akcentując ostatnie słowo.

Aaron pokiwał głową, ale myślami już wybiegał naprzód, zastanawiając się, czy poznał kogoś, kto mógłby pomóc w tej materii.

- Nie chcesz się czegoś dowiedzieć? - spytała Jen.

- O czym?

- O swoim dziecku. Myślałam, że właśnie dlatego zaprosiłeś mnie na spotkanie. Nie zapytasz, jak się miewa?

Aaron zarumienił się.

- Nie, bo powiedziała mi, że to dziecko Simona.

Jen spojrzała na niego. Oczywiście miała jak spodki.

- Ależ to nieprawda, zupełna nieprawda. - Jakby dla podkreślenia wagi swojego oświadczenia odłożyła łyżkę, którą jadła zupę.
- To jej własne słowa. Tak mi powiedziała.
- Niemożliwe. To tak, jakby twierdzić... boja wiem... że istnieje życie na Marsie.
- Istnieje życie na Marsie.
- Jen popatrzyła na niego.
- Posłuchaj - powiedział. - Nie chciałem wierzyć, że jest w ciąży, kropka, więc pewnie wszystko jest możliwe.
- Aaronie, dziecko, które nosi Clarissa, jest twoje. Na sto dziesięć procent.
- Aaron spojrział na nią.
- A ty wiesz o tym, ponieważ...?
- Trybunał nie ma przed sobą tajemnic, jeżeli chodzi o facetów - odparła Jen. - Gdyby Clarissa przespała się z Simonem, to byłaby sensacja godna dodatku nadzwyczajnego. Inaczej mówiąc, wiadomość dnia.
- Jesteś pewna?
- Pewna To mało. Jestem o tym święcie przekonana - oświadczyła Jen.

Piątkowa balanga upadłościowa Tony'ego B, nie mogła się trafić w lepszym momencie. Clarissa była już w trzecim miesiącu ciąży i doszło do tego, że po wspólnie spędzonych 2,7 sekundach ona i jej matka zaczynały skakać sobie do oczu. Clarissa jak powietrza potrzebowała jakiejś rozrywki, za którą nie musiałyby płacić a) pieniędzmi, b) dumą, ponieważ jednego i drugiego miała coraz mniej.

Przejrzała się w dużym lustrze w garderobie obok sypialni matki, która właśnie wybrała się do przyjaciółki na próbę kostiumową Młodszych Aniołów. Czuła, że wygląda dobrze w lekkiej kwiecistej kreacji od BCBG Maxazria, ze zwisającymi do kolan ramiączkami spaghetti. Dobrze, mimo zaokrąglonych kształtów. Balony miała tak napompowane, że wymagały „babcinego” biustonosza na drucie, w którym wyglądała,

jakby połknęła Annę Nicole Smith. A tuż ponad nimi rozpościerały się ramiona - każde ważyło pewnie tyle co dziecko.

Clarissa ściągnęła z miękkiego wieszaka kaszmirowy sweterek i udrapowała go na ramionach, by zasłonić je przed taksującymi spojrzeniami Wesołego Zachodniego Świata. Zrzuciła z nóg platformy (niezupewnie „zrzuciła” - kiedy chciała machnąć nogą, omal nie wylądowała na pupie) i umieściła stopy we wsuwkach (dzięki, mamó!), dotąd tkwiących w oryginalnym pudełku.

Pogłaskała się po brzuchu, który (na szczęście) nie urósł proporcjonalnie do biustu, i uśmiechnęła się. Jak na grubą kobietę w ciąży i przyszłą samotną matkę na zasiłku wyglądała świetnie.

U Tony'ego B. Trybunał stawiał się w komplecie. Jen i Gravy przyjechały razem (Jen zawsze wybierano na „wybranego [niepijącego] kierowcę”). Polo przybyła sama i wyglądała w sarongu jak piękny egzotyczny ptak; modliła się tylko, żeby nie zsunęła jej się chusta, obwiązana wokół piekielnie wysokiego biustu. Clarissa ucieszyła się nawet, widząc Suzee, która na ciele miała tak mało tłuszczu, a w sercu jeszcze mniej ludzkich uczuć.

- Słonko! - pisnęła Suzee na widok Clarissy. Uścisnęła ją i przebiegła po plecach rękoma ciepłymi jak u małpy. - Wyglądasz zdumiewająco. Który to już miesiąc? Piąty, szósty?

- Trzeci - odparła Clarissa głosem tak zimnym, że niemal widać było parę, dobywającą się z jej ust. Zmrużyła oczy, przyglądając się uważnie twarzy Suzee. - O mój Boże, co ci jest? - spytała.

- Co mi jest? Ależ nic mi nie jest, wszystko gra - odparła Suzee z brwiami uniesionymi tak wysoko, jak pozwalały jej na to zastrzyki z botoksu. Miała syndrom „cementowej głowy”.

- O, jest Gravy. - Clarissa spojrzała ponad ramieniem Suzee.

- Co? A co słyszałaś?
- O czym?
- Czemu miałoby mi coś dolegać?
- Nic takiego. Wyglądasz, jakbyś była... zmęczona.

Suzee uniosła ręce do oczu niekontrolowanym ruchem, przypominającym tik nerwowy. Odwróciła się i zakwilila, poklepując trzydziesto-dwuletnie worki pod oczami.

Gravy wtoczyła się w zamszowym płaszczu do ziemi, z kręconymi włosami sterczącymi na wszystkie strony, i objęła Clarissę w pasie.

- Mistrzowska zagrywka. Osiem i cztery dziesiąte punktu na dziesięciopunktowej skali obrazy.

- Nie chciałam jej obrazić. Wyraziłam zatroskanie jej zmęczonym wyglądem. - Clarissa uśmiechnęła się i pociągnęła łyk koktajlu dziewczyny przy nadziei: sok z żurawin, woda sodowa i plasterek cytryny.

- Bajerancko. Każdy wie, że „wyglądasz na zmęczoną” znaczy tyle co „wyglądasz staro”, staro jak *Three's Company*. - W żargonie Trybunału oznaczało to, że ktoś wygląda tak staro, jakby mógł występować gościnnie w tym sitcomie z lat siedemdziesiątych.

- Fajna impreza? - spytała Clarissa. - Ja nie wiem, bo nie mogę pić alkoholu. - Rozzłościła ją myśl, że znajomi są interesujący tylko wtedy, kiedy ona jest na gazie.

- Jako osoba pijąca powiem ci, że gdyby ta balanga była milion razy lepsza, i tak byłoby chujowo - odparła Gravy. - Tony B, stracił wycucie razem z domem: każdy miły facet jest gejem, każda dziewczyna modelką „Vogue'a”, do jedzenia same przystawki, drinki rozcieńczone, a dragi nielegalne. Gdyby ktoś rzucił bombę na środek pokoju, zgłosiłabym się na ochotnika, żeby ją rozbroić.

- Jeszcze wcześniej - rzekła, ziewając, Clarissa. Ostatnio wciąż ziewała. - Tony przeprowadza selekcję.

Podeszła Jen, z obowiązkową wodą „Perrier” w dłoni. Dreptała za nią Polo z trenem adoratorów, gejų zatwierdzonych bądź aspirantów. Ci

zaś wykrzykiwali: „Wyglądasz jak owoc miłości Audrey Hepburn i Sidneya Poitiera!” i „Kto modeluje twoje kości?”.

- Co to jest? Zabawa w „Crunchu”? - spytała Polo, robiąc aluzję do uczęszczanego przez gejów ośrodka sportowego.

- Jak twoja pizdusia? - spytała Gravy.

Polo zmarszczyła nos.

- Dobrze. Zażyłam końską dawkę. Wymiotło ze mnie wszystko, ale miałam straszne koszmary.

- Opowiedz 'rissie o tym facecie.

- Leftym?

- Tak - odparła Gravy ze śmiechem. Prychnęła, rozlewając drinka na podłogę. Nawet tego nie zauważyła.

- Co was tak śmieszyc? - spytała Jen. Sama też parsknęła śmiechem.

- Złamałam facetowi fiuta - wyjaśniła Polo.

- Błagam - rzekła Clarissa. - Co za dużo, to niezdrowo.

- Powiedz im, powiedz, powiedz - prosiła Gravy.

- Dobrze. No więc rżnę się z facetem, aż dymi...

- Trzecia randka? - spytała Clarissa.

- Pierwsza - odparła Polo. - No więc rżnę się z nim, dziewczyna na górze.

- Za dużo roboty - wtrąciła Clarissa.

- Nagle facet wrzeszczy - ciągnęła Polo.

- Myślała, że dlatego, że jest taka dobra - wyjaśniła Gravy.

- Nie tylko dobra. Dokładna - zaznaczyła Polo.

- Spytaj, kogo chcesz. - Gravy rozejrzała się. - Naprawdę kogokolwiek.

- Miau, psssyk, drap - rzuciła Clarissa.

- Co mi tam, Gravy przymierza kostium zazdrońnicy - rzekła Polo. - Naprawdę tak myślałam, bo byłam taka dobra. Z tym facetem po prostu szalałam. Ostra jazda, cycki mi latały jak wypuszczone z procy.

- Czy to boli? - spytała Jen.

- No i facet drze się. Zrzuca mnie, więc patrzę niżej. Ma krzywego, fiut mu ucieka zupełnie w bok.

- Jak, całkiem leży? - spytała Clarissa.

- O tak - rzekła Gravy. Wyjęła szminkę („M.A.C. Deep Throat”) i narysowała na ścianie Tony'ego, z tynkiem fakturowanym na życzenie klienta (wartość akcji: 128).

Rysunek wyglądał tak: >.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- Złamałam mu fiuta - powiedziała Polo.

- Ja nigdy nikomu nie złamałam penisa - rzekła ze smutkiem Jen.

- Co śmieszniej wygląda, łeppek czy trzonek? - spytała Gravy.

- Ale on tak naprawdę się nie złamał - wyraziła przypuszczenie Clarissa. - Chyba może go nadal używać, co?

- Nie z Polo.

- Nikomu nie mów, bo nikt nie będzie chciał się ze mną bzykać.

- Polo, przecież sama nam o tym powiedziałaś - przypomniała Clarissa. - Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami pod słońcem, ale kiedy nam opowiadasz, to tak, jakbyś nadała to w CNN, *Entertainment Tonight* albo zamieściła na okładce „Enquirer”.

- I „People” - dorzuciła Jen.

- „Teen People” - dodała Gravy.

- Może go używać. Lekarz powiedział, że to coś z mięśniami, tak jakby spazm.

- Fiut dostał spazmów. Spazm fiuta.

- Ja pierdzielę.

Dziewczyny stały przez chwilę w milczeniu, zamyślane. Potem się roześmiały.

Clarissa uśmiechnęła się i obejrzała na Tony'ego B., który witał gości przy drzwiach niczym zwięzony Merv Griffin. Był w białym garniturze, bładoniebieskiej jedwabnej koszuli i wspaniałej obroży à la filmowy sutener. Włosy miał ufarbowane na połyskliwy platynowy blond - całość wyglądała jak homoseksualny rożek z lodami. Witał się właśnie z Atakiem Serca, dziewczyną, przy której inne dostają palpacji i mają ochotę uciec, zaszyć się w swoim pokoju, obłożyć magazynami o urodzie i

ogłądać na wideo filmy z Julią Roberts (lub jej złą siostrą bliźniaczką, Sandrą Bullock). Nawet z odległości dziesięciu kroków Clarissa widziała, że ta dziewczyna urodziła się bez porów. Włączyła radar Mentalnego Systemu Namierzania (MSN) i dokonała pomiarów.

- 168 cm wzrostu. Nie, chwileczkę. W mordkę jeża, pantofle bez obcasów! Zmodyfikowany pomiar MSN: 172 cm.
- Włosy o barwie miodu, gęste, grube, z naturalnymi falami, bez rozszczepionych końcówek, klasyczne, staranne strzyżenie: Art Luna.
- Skóra nietknięta przez żywioły (agorafobka czy Ukrainka?).
- Pełne usta, wyglądające irytująco naturalnie, a nie jak pływak na basenie, naszpikowane po kolagenie, solance, silikonie czy goteksie (to materiał, z którego szyje się elastyczne kostiumy kąpielowe noszone przez takie anormalne zjawiska jak Elle Macpherson).
- Idealne zęby, niewybielone irytująco jak niezliczone żujące gumę „Chicklet” usta, oglądane codziennie w telewizji.
- Długa, cienka szyja. Clarissa odruchowo cofnęła ramiona i wyciągnęła szyję. Zajęta rozmową Gravy obejrzała się na nią. „Skurcz?” - spytała.
- Bez biustu. Dzięki Bogu.
- Bez biustu, bo waży... Clarissa obliczyła... 53 kilo. Wszystko wskazywało na to, że to „naturalna waga”, nie „waga Calisty”. Dobre napięcie mięśni ramion (uwaga: alarm, wzmocnić środki bezpieczeństwa w obronie własnego wizerunku), zęby nie były szare od wymiotowania kremowymi ciasteczkami „Twinkies”, no i ten śmiech - odrzucała głowę w tył i śmiała się do rozpuku. Nikt, kto jest na diecie, tak się nie śmieje.

Namierzanie, choć szczegółowe, trwało kilka sekund. Clarissa zwróciła się do przyjaciółek, które nie spostrzegły, że na chwilę wyłączyła się z rozmowy.

- Atak Serca na godzinie trzeciej - powiedziała Clarissa, uruchamiając system wczesnego ostrzegania.

- Ja piernicę - rzekła Gravy.

Zezłościła Clarissę tym, że się długo gapiła. No, ale nie miała szpiegowskich zdolności kalibru KGB, jak Clarissa.

Polo wzruszyła ramionami. Ona sama była materiałem na Atak Serca, a uroku dodawały jej jeszcze wymagające nieustannego leczenia słabości, co uwielbiają mężczyźni - każdy chciał się nią zaopiekować.

Jen zbieła, upodabniając się kolorem do nowej fryzury Tony'ego B. Clarissa popatrzyła na nią, a potem na tamto zjawisko.

- Auć - rzuciła Gravy.

Stanąć obok Ataku Serca znaczyło jedno:

- Zrobi z nas wypłosze! - powiedziała Clarissa.

- Drań - rzekła Polo.

- Musi być jakieś wytłumaczenie! - broniła gospodarza Jen.

- Clarisso! - Suzee pojawiła się jak straszna zjawa z małą główką. - Widziałś Aarona? Przed chwilą przyszedł!

Clarissa minęła Suzee i ruszyła w stronę balkonu. Nie wiedziała, czy rzuci się z niego, czy zrzuci coś z żołądka, tak czy owak, skutki mogły być nieprzyjemne.

- Pomyśl - nakazała sobie Clarissa. - Uspokój się. Oddychaj. Pomyśl.

Mówiła do siebie, ale już znalazła się u jej boku Jen, spiesząca ze szklanką wody i gotowa wysłuchać przyjaciółki z wypróbowanym współczuciem.

- Założę się, że to jego siostra - podsunęła Jen.

- Jedyna córka.

- Kuzynka? - próbowała dalej dzielna Jen. - Stara przyjaciółka?

- Ziemia do Placka z Truskawkami, odbiór - powiedziała Gravy,

dołączając do nich. - Mężczyźni nie mają starych przyjaciółek, wyglądających jak Barbie. To wbrew prawom natury!

- Wicie co? - odparła Clarissa. - To nieważne. Jesteśmy w separacji. Nasz związek jest jak umierający pacjent, a panna Mucha Nie Siada czyha na organy do transplantacji.

Odetchnęła głęboko, żeby uniknąć hiperwentylacji.

- Aaron ma prawo umawiać się z kim chce. Ja też. Tylko mnie w tym... ubiegł.

- On nie jest w trzecim miesiącu ciąży. Trudno umawiać się na randki, oczekując dziecka - przypomniała Gravy.

- Słuszna uwaga, Gravy - rzekła Clarissa.

- Nie przypuszczałam, że jest do tego zdolny - powiedziała cicho Jen.

- Ja też nie - przyznała Clarissa. - Właśnie dlatego ludzie, jak każda tradycja, najpierw starają się bliżej poznać, a dopiero potem decydują na małżeństwo.

Wciągnęła haust wieczornego kalifornijskiego powietrza i wróciła na przyjęcie. Postanowiła, że obecność Aarona nie zepsuje jej dobrej zabawy.

Ziewnęła. Znowu.

Oby tylko nie zasnęła.

- Hej, w przyszłym tygodniu Clarissa ma ultrasonografię - przypomniała Gravy. - Jak któraś nie przyjdzie, to jest druciarą. - Stając za Clarissą, położyła jej dłoń na ramieniu. - Przyniosę wino, żebyśmy to oblały.

- Ja przyniosę chusteczki - powiedziała Jen. Już teraz oczy jej zwilgotniały.

Clarissa zadbała o choreografię wieczoru lepiej niż doświadczony kierownik muzyczny na Broadwayu. Kiedy poczuła na ramieniu wzrok Aarona, kiedy tylko zaczynał się do niej zbliżać, natychmiast wyszukiwała w drugim końcu pokoju kogoś interesującego, z kim mogła porozmawiać. Z powodzeniem udawała szczęśliwą i beztroską niczym Norma Shearer przeniesiona w dwudziesty pierwszy wiek. Naśladowała nawet

śmiej z czarno-białych filmów - omal nie złamała szyi, odrzucając głowę w tył z rozpasaną wesołością.

- Wyglądasz jak Narzeczona Frankensteina, kiedy to robisz - rzekła Gravy, powróciwszy z rekonesansu.

- Trudno jest grać radosną beztroskę - odparła Clarissa. - Będę musiała iść do kręgarza. Stawaj do raportu.

- Interesują cię dane z 411.com?

- Gravy, ty nie jesteś Lii' Kim, a ja nie jestem Mary J. Blige. Mów, co wiesz.

- Podejrzana jest niezamężna, wspaniała, wolna, jeździ terenówką lexus, cztery razy w tygodniu ćwiczy w Klubie Sportowym L.A.

- Naprawdę? Nie wydała mi się typem sportsmenki.

- O kim wy mówicie? Mnie interesuje tamten Romeo. Mój przyszły były mąż.

Clarissa spojrzała. Rzeczywiście, jakiś wspaniały chłopak rozmawiał z dziewczyną w typie modelki - kwalifikującą się na wybiegi w Los Angeles, chociaż raczej nie w Nowym Jorku, a już na pewno nie w Paryżu.

- Gravy! Interesuje nas dziewczyna. Dziewczyna.

- Wiem. Nie ma résumé, nie ma CV, żadnych klauzul, żadnych wyroków. Nikt jej nie zna, a wszyscy chcą poznać - relacjonowała Gravy. - Towar pierwszorzędnej jakości, w idealnym stanie, nadaje się na wystawę.

- Pieprzę podwójnie.

- Podzielał twoje odczucia - rzekła Gravy, po czym uśmiechnęła się. - Ale oto nadciąga na ratunek ktoś wysoki i przystojny.

Do Clarissy zbliżał się Simon. Był sam i wyglądał jak chłopak z okładki „Men's Health”.

- Kochanie. - Pocałował Clarissę w policzek. - Dzwoniłem do ciebie milion razy. Gdzie się podziewałaś?

- Szukałam pracy - odparła Clarissa. Nie mogła sobie przypomnieć miliona wiadomości pozostawionych przez Simona.

- Niech cię Bóg broni - powiedział. - Jesteś za bardzo sobą, żeby pracować.

- Z ust mi to wyjąłeś.
- Bejbi, musimy porozmawiać - rzekł Simon tak, że słowo „bejbi” zabrzmiało niemal czule. Niemal. - Musimy wejść na nowe szlaki.
- Simonie, chętnie weszłabym z tobą na nowe szlaki, może kiedyś, ale jak wiesz - wskazała brzuch - nie jestem dyspozycyjna.
- To przejściowy i uroczy stan - zapewnił Simon, pukając ją w brzuch. - Podniecają mnie ciężarne kobiety, wiedziałas o tym?
- England, nie przystawiaj się do niej, bo zwrócę przystawki - wtrąciła Gravy i włożyła palec do ust. - Jeżeli dobrze pamiętam, ciebie podnieca wszystko, co ma mniej niż trzy nogi.
- Clarisso - powiedział ktoś.

Clarissa odwróciła się i zobaczyła Aarona stojącego obok Ataku Serca.

- Już wychodzisz? - spytał. - Czyżbyś miała dość unikania mnie?
- Aaronie. - Clarissa wyowiedziała jego imię tak, jakby witała przyjaciela matki, choć nigdy nie była na tyle uprzejma, by to zrobić.
- Clarisso - rzekł Aaron. - Simonie.
- Aaronie.
- Gravy.
- Aaronie.
- Zrobiło się milutko - rzekła Gravy. - Nikt nie czuje się ani trochę niezręcznie.

Aaron obrócił się do Ataku Serca.

- Clarisso, to jest Coral... stara przyjaciółka.

Coral uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Faith Smith, siedząca cichutko na lewym ramieniu Clarissy, rozczesująca jej włosy i polerująca dołeczki, kazała jej się uśmiechnąć i uściśkać wyciągniętą dłoń. Madonna, która siedziała na prawym ramieniu Clarissy, poradziła: „Powiedz jej, żeby wsadziła sobie swoją małą rączkę do swojej małej dupci”.

Clarissa uśmiechnęła się i potrząsnęła delikatną dłonią piękności.

- Miło mi poznać. - Po czym dodała: - Oral.

- Mogę z tobą porozmawiać, diablico? - spytał Aaron, odprowadzając Clarissę na bok i zostawiając Coral z rozdziawionymi wdzięcznie usteczkami.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała Clarissa. - Ja i Simon mamy przed sobą długą noc, będziemy wybierać imię dla dziecka... bo ja wiem, celtyckie? Włoskie? Afrykańskie są teraz bardzo popularne wśród Anglików.

- Clarisso. Poważnie. Musimy porozmawiać.

- Aaronie. Poważnie. Nie mamy o czym ze sobą mówić - odparła Clarissa. - Zaniedbujesz „starą przyjaciółkę”?

- Jesteś najbardziej upartą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. A znam dużo ludzi.

- Aaronie, zrób sobie przysługę. Nie trać czasu na wydzwanianie do mnie.

Nie dostrzegła przerażonego wyrazu twarzy Aarona, ponieważ usiłowała mruganiem powstrzymać łzy. Jej powieki pracowały jak wycieraczki na najwyższych obrotach.

- Simon - wykrztusiła Clarissa, obracając się do niego. - Jesteś gotów?

- Ach, oczywiście - odparł, po czym, z zachwytem w głosie, rzucił do Najstarszej i Najukochańszej Przyjaciółki Aarona, Coral: - Uroczo było cię poznać.

Clarissa dała Simonowi kuksańca w bok, uważając jednak, żeby nie uszkodzić mu wątroby, po czym wyszli razem z przyjęcia.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Trudy dorastania

- Będzie bolało? - spytała Clarissa. Niby się nie przejmowała, ale zdążyła już nadgryźć od środka lewy policzek. - Nie przepadam za bólem.

- Nic pani nie poczuje - zapewnił ją ciepły, radiowy głos - Obiecuję.

Clarissa nie bardzo mu wierzyła. Spojrzała na Jen, która uśmiechnęła się do niej blado. Mądry i bezsprzecznie uroczy doktor Catz - jasnoniebieskie oczy, przedwczesna siwizna, ogromna złota obrączka (odstraszasz równie skuteczny jak noszony na szyi ząbek czosnku) - rozsmarował na jej białym, powiększającym się brzuchu lubrykant. Asystował przy tej czynności Trybunał w niemal pełnym składzie, bez Złej Suzee.

Polo skrzywiła się.

- Oooch, poznaję to smarowidło.

Gravy stała obok, mlaskając, bo żuła gumę.

- Mogłabyś przestać? - poprosiła Clarissa.

Gravy połknęła gumę, wydając przy tym odgłosy, jakby się dławiła.

- Badanie ultrasonograficzne jest bezbolesne - ciągnął doktor Catz, lawirując pomiędzy pacjentką i jej przyjaciółkami. - Będę przesuwiał gumowy krążek po pani brzuchu, włączę to urządzenie i zobaczymy, co tam pani ma.

- Słodki jest - szepnęła Polo do ucha Clarissie, po czym kichnęła.

Uruchomiona maszyna szumiała.

- Wystartowaliśmy - powiedział doktor Catz.

Wodził krążkiem po podbrzuszu Clarissy. Poczula zimno, ale nie było to uczucie nieprzyjemne - coś jak seks z bankierem inwestycyjnym.

- No, jak tam? - zagadnął doktor.

Clarissa spojrzała w jego błękitne oczy i zapomniała języka w gębie.

- W porządku - powiedziała Gravy. - Ja czuję się świetnie.

- Tu jest dziecko - pokazał doktor Catz. - Widzą panie ten rząddek kropek?

Dziewczyny nachyliły się, zasłaniając Clarissie ekran.

- Hej! - powiedziała. - To moje dziecko, mogłybyście się odsunąć?

- To rdzeń kręgowy - wyjaśnił doktor. - Równy ułożony, w jednej linii. Jak sznur pereł.

Jennifer rozplakała się.

- Może pan określić płęć? - spytała Clarissa.

- Jeżeli dziecko się odwróci. Na razie nie mogę nic powiedzieć.

- Mam nadzieję, że to chłopiec - rzekła Gravy. - Chłopiec nigdy nie będzie samotną matką.

- A ja chcę dziewczynkę - zażyczyła sobie Jennifer.

- Byłaś już w sklepie z dziecięcymi ubrankami, przyznaj się, Jen - rzuciła oskarżycielskim tonem Gravy.

Jen, zmieszana, pokiwała głową.

- Wyczuwam chłopięcą energię - oświadczyła Polo, zamykając oczy i ponownie kichając.

- Ja tylko chcę, żeby dziecko było zdrowe - powiedziała Clarissa. Niemalże zaskoczyła samą siebie; jeszcze nie myślała o płci dziecka. - Nieważne czy chłopak, czy dziewczynka.

- To dobrze, bo nie jest dziś skore do współpracy. Która z pań jest jej, hmm, partnerką? - spytał doktor Catz, omiatając spojrzeniem pokój pełen kobiet.

Dziewczyny popatrzyły na lekarza, potem na siebie.

- Wszystkie- odpowiedziały.

Clarissa sięgnęła po chusteczkę, a Gravy złapała dłoń przyjaciółki i przycisnęła ją do mokrego policzka.

Aaron zadzwonił do Jen wieczorem, po powrocie z balangi upadłościowej u Tony'ego B., chcąc wszystko wytłumaczyć, ale nie mógł rozmawiać z sygnałem w słuchawce. Pragnął powiedzieć prawdę: Coral nie była jego starą przyjaciółką, tylko dziewczyną kogoś, komu nie mógł odmówić przysługi. A ten ktoś chciał, żeby Coral dostała rolę w jego filmie, jeżeli ten w ogóle powstanie. Przyleciała w dniu przyjęcia, a Aaronowi dano do zrozumienia, że ma jej pokazać miasto.

Do pewnego stopnia poczuł ulgę na myśl, że Jen nie chce z nim rozmawiać. Wydawało mu się, że nie mógłby opowiedzieć zaledwie fragmentu historii bez odwoływania się do treści całej książki, a na to drugie nie był jeszcze przygotowany. Zależało mu jednak na tym, żeby powiedzieć Jen - w nadziei, iż wiadomość ta dotrze do Clarissy - że kierownik studia zna kogoś, a ten ktoś zna kogoś innego, kto ma kuzyna wydającego magazyn, w którym mógłby się przydać ktoś tak oblatany w życiu towarzyszkim miasta jak Clarissa.

Jeżeli bowiem nie mógł dzielić z Clarissą życia, to chciał przynajmniej być jego ukrytą sprężyną.

Minęło kilka tygodni, a Aaron nie dawał znaku życia. Clarissa przeżyła pięć stadiów rozpacz: Zaprzeczenie i Izolację, Złość, Robienie Zakupów, Depilację do Bikini i Akceptację.

Depilacja pachwin w wykonaniu Olgi - postawnej Rosjanki z rozjaśnionym wąsikiem, nie bez powodu uprawiającej to zajęcie - była, och, jakies osiemset razy bardziej bolesna niż zwykle, ponieważ ciężarne mają zwiększoną wrażliwość na ból. Clarissa wyobraziła sobie wykrzywioną twarz numer osiem z serii dziesięciu twarzy wyrażających intensywność bólu w trakcie porodu. Widziała ją w książce, którą kupiła dla niej Gravy, sądząc, że postąpiła jak przystało na dobrą, niosącą pociechę

przyjaciółkę. Książka miała tytuł *Gdy spodziewasz się dziecka*, a powinien on raczej brzmieć: *Spodziewaj się najgorszego* - kolejne rozdziały przedstawiały szczegółowo problemy, jakie mogą się pojawić w każdym tygodniu ciąży. Poczynając od pierwszych tygodni (plamienie - tego już doświadczyła), a na czterdziestym kończąc (pępowina zadzierzgnięta wokół szyjki, cesarskie cięcie, coś obrzydliwego, co nazywało się *placenta praevia*), książka łączyła chwytły znane z horrorów z relacją z miejsca wypadku samochodowego. Clarissę codziennie prześladowały urojone symptomy.

- Ja puchnę. To nie jest normalne - mówiła przez telefon do Gravy, zaczynając od tego dzień.

- Oczywiście, że puchniesz. Jesteś w ciąży.

- Ale chodzi o mój mały palec u nogi - skarżyła się dalej Clarissa. - Na stronie dziewięćdziesiątej ósmej piszą, że to cukrzyca.

Gravy rozłączyła się.

- Mam palpacje. To na pewno wysokie ciśnienie.

- Przecież lekarz mówił, że masz niskie - przypomniała Jen.

- Wcale mi nie pomagasz, do cholery! - zezłościła się Clarissa i trzasnęła słuchawką.

Potem dzwoniła do doktora Catza. Jeśli wierzyć pielęgniarce, w ciągu ostatniego tygodnia telefonowała do niego co dwadzieścia minut. Clarissa wiedziała, że to przesada - robiła co najmniej półgodzinne przerwy między telefonami. Musiała przecież kiedyś jeść i spać.

- Ma teraz pacjentkę, panno Alpert.

- Alpert-Mason. Nadal jestem mężatką, chociaż to przejściowe. Odeszły mi wody.

- Który to miesiąc?

- Piąty, a ja siedzę w wielkiej kałuży.

- Gdzie pani teraz jest?

Clarissa rozejrzała się, jakby nie była tego pewna.

- Jestem w domu, w ogródku, opalam się. Leżę na niewygodnym, lepkiem zielonym leżaku. - Pomacała pod sobą. Nie była w stanie spojrzeć w dół. Bała się.

- Czy ktoś może zawieźć panią do szpitala?
- O Boże, muszę jechać do szpitala?
- Owszem, jeżeli odeszły pani wody. Pojawiło się krwawienie?
- Nie patrzyłam.
- Nie patrzyła pani?
- A muszę? - Clarissa spojrzała w dół. Jej brzuch rósł tak szybko. Przesunęła go na bok. Przypominało to poruszanie żywej meduzy. - Jestem pewna, że odeszły mi wody.
- Może się pani zmoczyła?
- Słucham? Za kogo mnie pani bierze?
- Proszę pani, to też jest możliwe. W pewnym okresie większości ciążarnych zdarzają się „wypadki”. To normalne.
- To najobrzydliwsza...
- Gdyby odeszły pani wody, poczułaby pani dość gwałtowną falę odpływu.

Clarissa zastanowiła się chwilę. Nie pamiętała gwałtownej fali odpływu. Wiedziała tylko, że przebudziła się z zasłużonej drzemki (przez całe popołudnie zajmowała się hodowlą małych nóżek i rączek) i poczuła się mokra.

- Zadzwoń później - powiedziała i rozłączyła się.

Popatrzyła na nagi brzuch, podtrzymywany przez nieszczęsny kostium kąpielowy od J. Crew sprzed pięciu lat (z „pyzatego czerwca”).

Jednak się zmoczyła. Kiedy nadejdzie kres moich cierpień? - pomyślała.

- Clariisa! Przyszła twoja przyjaciółka! - zawołała z kuchni matka.
- Jaka przyjaciółka?
- Kotuś!

Zjawiała się Zła Suzee. Chuda, że tylko pozazdrościć. Clarissa o mało nie fiknęła kozła i nie spadła z leżaka, co nie było łatwe, zważywszy na dodatkowe kilogramy.

- Zła!

Clarissa doszła do siebie i cmoknęła przyjaciółkę, obowiązkowo dwa razy w powietrzu.

- Ależ ty... kwitniesz, kotleczku! - powiedziała Suzee, siadając i krzyżując nogi cienkie jak spinki do włosów. - Mam wrażenie, że nie widziałam cię od wieków!

Clarissa zastanawiała się, dlaczego wszystko, co mówi Suzee, brzmi, jakby było zakończone wykrzyknikiem.

Suzee uszczyknęła Clarissę w nogę - tym pseudoprzyjacielskim gestem mogła doprowadzić do rozlewu krwi.

- Suzee, co cię sprowadza na ten koniec miasta?

Mieszkały trzy przecznice od siebie.

- Cóż, skarbie, przysłałam się dowiedzieć, co słychać u mojej kochanej, starej przyjaciółki.

Coś tu się nie zgadza, pomyślała Clarissa. Zwłaszcza ta „kochana” i „przyjaciółka”.

- Nie chrzań, Zła. Doskonale wiesz, że nie cierpimy się, jak nie cierpią się stare przyjaciółki. Powiedz, po co przyszałaś. - Clarissa, leżąca prawie nago w całej swojej pękatej okazałości, przestała się przejmować, co ktoś sobie pomyśli o jej wyglądzie. Nawet Zła Suzee. - Jestem gruba i niecałe dziesięć minut temu zsikałam się w majtki.

Uśmiechnęła się i zaczerpnęła głęboko powietrza. Wyjawienie prawdy poprawiło jej samopoczucie.

Przez ułamek sekundy Zła Suzee była tak poruszona, że prawie zapomniała o złośliwym uśmiechu.

- Słonko - powiedziała. - Rozmawiałaś z Aaronem? Twoim mężem?

- Jesteśmy w separacji. Nie rozmawiałam z nim od tygodnia - skłamała.

- Ach, więc o niczym nie wiesz?

Suzee przybrała minę „zatroskanej przyjaciółki”. Clarissa napięła mięśnie, szykując się na nadchodzący...

- Wynajął adwokata.

Clarissa spojrzała na Suzee, która walczyła o zachowanie współczującego uśmiechu. Niezbyt jej się to udawało.

- Wiedziałam o tym.

- Oczywiście, że tak. Zwłaszcza że zrobił to piętnaście minut temu. Zadzwoiła do mnie Linda Stuber-Meisner, córka Harry'ego, ta z burzą

włosów, moja kochana, najukochańsza przyjaciółka. Będzie zajmować się sprawą. Uważa, że Aaron to czarujący mężczyzna.

- To jest mocno naciągane. - Clarissa wiedziała, że Suzee nienawidzi Lindy Stuber-Meisner od podstawówki. - A twoja wizyta mocno się przeciągnęła. Nudzisz mnie.

- Z rozkoszą zostałabym jeszcze, żeby pogawędzić i osuszyć ci łzy, ale muszę lecieć. Wyprzedaj butów u Barneya, wiesz, jak to jest. - Suzee spojrzała na stopy Clarissy. - Zaprosiłabym cię, ale wygląda na to, że troszkę ci spuchły nogi.

To prawda, Clarissa musiała teraz nosić większy niż normalnie rozmiar. Miała stopy jak Shaq.

Suzee poszła sobie, dokonawszy spustoszeń nie mniejszych niż wojna domowa na Południu. Clarissa usiadła i popatrzyła na wielkie jak u klauna palce nóg. Ważyła siedemdziesiąt pięć kilo (siedemdziesiąt siedem), była różową gumowatą masą, której robiło się niedobrze i którą każdy mógł wyśmiać. Totalna kłęska.

Rozpłakała się. Aaron wynajął prawnika. Ona jeszcze tego nie zrobiła. Szczerze mówiąc, nawet nie brała pod uwagę takiej możliwości. Kiedy uświadomiła sobie dlaczego, otarła łzy i poszła do kuchni, gdzie matka czytała gazetę. Bez okularów.

- Przykro mi - powiedziała matka.

Clarissa padła jej w objęcia. Matka delikatnie pogłaskała ją po głowie.

- Och, *mija* - powiedziała. - *mija, mija*.

- Myślałam... Myślałam, że może mnie jeszcze kocha - zaszlochała Clarissa.

Szukała jakiegoś dowodu na słuszność tych domysłów, lecz nic nie przyszło jej do głowy.

Oczywiście wyobraźni Clarissa ujrzała, jak rycerz w lśniącej zbroi odjeżdża - a wraz z nim wszystkie nadzieje na wspólne życie.

Nie mogła winić nikogo oprócz siebie. (I oczywiście rodziców. I społeczeństwa. I mężczyzn. I tego okropnego anglisty w liceum).

A najbardziej ją wkurzało, że nie może zażyć xanaxu ani wellbutrinu, ani nawet wypić kieliszka chardonnay. Musiała stawić czoło swojej głupocie na trzeźwo, bez żadnych środków znieczulających.

Życie było naprawdę popieprzone.

Rozdział dwudziesty drugi

Piekło metamorfozy

Clarissa poszła z matką do fryzjera na North Canon, w sercu Beverly Hills (jakby istniało coś takiego jak serce, he, he), gdzie tłumem przewyższającym liczebnością populację mandaryńską zbiegają się panie posilające się w porze lunchu lodygami selera, szampanem i środkami przeciwbólowymi.

To był błąd.

Powiedzieć, że to błąd, to prawie tak, jakby stwierdzić: „Och, może nie powinnam była zjeżdżać z pobocza prosto w przepelniony szkolny autobus”.

Strzygł ją pięćdziesięciolatek z tłustym kucykiem opadającym do połowy pleców (czy wypada powiedzieć „przedłużonym”?), noszący imię Joaquin, które wymawiał „Joking”, jak „żartowanie”. Kiedy skończył - strzyżenie, układanie fryzury, lakier - Clarissa wyglądała jak leciwa gwiazda występująca gościnnie w programie *Fantasy Island*. Matka była zachwycona; wcisnęła „Jokingowi” suty napiwek, dziękując, że upodobił jej córkę do człowieka. Co Clarissa skomentowała - mamrocząc pod nosem - „Chyba żartujesz”.

W tym momencie nie miała siły stawać do walki; cała jej wojowniczość wyczerpała się w starciu ze Złą Suzee. Stukając głośno obcasami, Clarissa zesza z patia na tyłach domu matki. Nie miała nawet odwagi zadzwonić do Gravy, która cały czas kładła jej do głowy, żeby wynajęła adwokata i broniła nie tylko siebie (w końcu wytrzymała w małżeństwie

dłużej niż większość hollywoodzkich par), ale także swojego nienarodzonego dziecka. Clarissa, jak pudel czempion, pozwoliła prowadzić się matce od fryzjera do manikurzystki, a stamtąd do kosmetyczki (złe doświadczenie z parą eukaliptusową), potem zaś do Saksa, gdzie patrzyła, jak ważąca czterdzieści siedem kilo (i to po zamoczeniu) matka przy mierza czarne rajstopy, w których ma wystąpić na przedstawieniu charytatywnym. Pokornie znosiła te męki, przyrównując się w duchu do Joanny d'Arc.

Komórka zadzwoniła (Clarissa znalazła w końcu przetwornik i kota), gdy siedziała, zwieszając się ciężko przez oparcie, i przyglądała się, jak matka rozplywa się w zachwytach nad maleńką, błyszczącą torebką od Judith Lieber.

Clarissa oficjalnie wkroczyła w Siódmy Krąg Piekieł. Odebrała telefon.

- 'riss, mam supernowinę - powiedziała Jen.

- Aaron ma adwokata - rzekła Clarissa. - To moja supernovina na dziś.

Jen nie odpowiedziała; słyhać było tylko, jak wciąga powietrze.

- Nie bądź taka zszokowana - rzekła Clarissa.

- Nie sądzę, żeby to była prawda.

- A ty skąd możesz o tym wiedzieć? - spytała Clarissa, mając nadzieję, że Jen jednak wie.

- Słuchaj, 'riss, spotkałam kogoś. Znasz Bebe, no więc ona zna Ericę, która zna Lauren, która powiedziała Lizzie, która wspomniała Rachel...

- Jennifer!

- No już dobrze, więc Bebe zna dziewczynę, która jest redaktorem od mody w „Climate”.

„Climate” był magazynem rozrywkowym nastawionym na czytelników z Zachodniego Wybrzeża. Jeżeli „Us” to był nowy „People”, a „In Style” to był nowy „Us”, wychodziło na to, że „Climate” to nowy „In Style”.

Albo coś w tym rodzaju.

Clarissa wiedziała tylko, że uwielbia magazyn „Climate”. Można go

było szybciej przeczytać niż „In Style” (mniej głębokich dociekań), za to obejrzeć więcej zdjęć lakierów do paznokci i akcesoriów do włosów. Clarissa uwielbiała „Climate”.

- Uwielbiam „Climate” - powiedziała.

- No więc rozmawiałam z tą dziewczyną, zadzwoniłam do niej, opowiedziałam o tobie, no i ona chce się z tobą spotkać.

- Chce się ze mną spotkać?

- Oczywiście.

- Ze mną dawną czy ze mną nową? Bo teraz jestem duża i gruba jak ta nieznośna dziewczyna z tamtego talk-show i mam na głowie fryzur, który wytrzymałby atak nuklearny.

- Halo? A po co Bóg stworzył produkty? - „Produktem” była każda substancja, którą można położyć na włosy. Produktem mogła być równie dobrze wazelina, jak lunch przedszkolaka.

- Jestem w ciąży. Wy... wyglądam jak gotowane gówno. - Clarissa popatrzyła na kostki u nóg. Potem spojrziała na nogi matki. Nie mogła się dopatrzeć rodzinnego pokrewieństwa.

- 'riss. Mówisz poważnie? Wyglądasz fantastycznie, jak bogini, nigdy lepiej nie wyglądałaś. Zawsze ci powtarzałam, że mogłabyś trochę więcej ważyć.

Jen zupełnie nie umiała kłamać, ale Clarissa nie dbała o to. Kochała ją.

- Gdzie chciałaby się spotkać?

- Wreszcie mówisz do rzeczy - pochwaliła ją Jen.

Clarissa splukała węzem ogrodowym fryzurę przywodzącą na myśl architekturę Richara Meiera i poszła na spotkanie z Morgan LeGrange w biurze „Climate” przy Wilshire Boulevard w Carthay Circle, enklawie biur i kawiarni w hiszpańskim stylu, gdzie kawę z podwójnym mlekiem sojowym podawali klientom nie nachmurzeni, niegrzeczni studenci, lecz nachmurzeni, niegrzeczni gogusie.

Clarissa wysiadła z windy i wkroczyła w świat jednocześnie obcy i

pociągający - gdzie na ścianach z grubą warstwą tynku wisiały oprawione pod różnym kątem okładki magazynów, gdzie recepcjonistka miała równie duże kółko w nosie jak ćwiek w języku, gdzie meble wyglądały, jakby ostatnio korzystano z nich na wieczorne poetyckim w Wenecji.

Nie czuła się tu jak u siebie w domu, czuła się lepiej. Jakby coś odkryła.

- Clarisso - powitała ją kobieta ubrana kompletnie na szaro (nowy róż, który zastąpił brązowy, który zastąpił czarny). Clarissa z pewnym trudem dźwignęła się na nogi. - O mój Boże, wyglądasz obłądnie. Który to miesiąc?

- Piąty.

- Powiedziałabym trzeci: połowa czwartego. Obłądnie - powtórzyła.

Clarissa była gotowa umyć tej dziewczynie samochód, wysprzątać łazienkę, poczytać dzieciom, dogodzić jej mężowi czy chłopakowi ustnie... chociaż nie - ręcznie.

- Dziękuję - zdołała wydukać.

Kiedy weszły do gabinetu w kolorze kardynalskiej purpury, Morgan usiadła na stalowym biurku, założyła nogę na nogę i zapewniła, że bardzo jej miło poznać Clarissę. Powiedziała, że dużo o niej słyszała, ale że chwilowo nie mają w „Climate” wolnej posady, natomiast gdyby się coś zwolniło, będą o niej pamiętać.

Clarissa wpatrywała się w Morgan szeroko otwartymi oczami.

- Nie macie wolnej posady?

- Niestety, chwilowo nie.

Clarissa próbowała usiąść prosto, ale poduszki kanapy połykały ją jak ostrzęgę.

- To po co się spotykamy?

- Bo jestem uprzejma. Dobrze wychowana. Zabezpieczam wszystkie bazy. - Morgan popatrzyła na listę z telefonami. - Nigdy nie wiadomo. Czy masz jakieś doświadczenie w pisaniu?

Clarissa zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie, ale kiedy chcę, potrafię być bardzo złośliwa. I umiem stawiać przecinki.

- Nie używamy przecinków - odparła Morgan z uśmiechem.

- Gdzie się wychowałaś? - spytała Clarissa.

- W Bostonie.

- W Bostonie. Założę się, że większość waszych pracowników pochodzi z innych miast. Mało jest ludzi urodzonych i wychowanych tutaj - rzekła Clarissa. Morgan patrzyła na nią bez słowa. - Wasz magazyn jest szmatławcem dla turystów, nie ma w nim lokalnego kolorytu.

- „New Yorker” zatrudnia autorów rozsianych po całym kraju - broniła się Morgan.

- Taak, nie czytam „New Yorkera”. Drukują w nim coś takiego jak eseje, prawda? Czytam wasz magazyn. Potrzebujecie kogoś ze znajomością lokalnego kolorytu.

Morgan zdjęła nogę z nogi.

- Mogłabym opisywać przyjęcia, imprezy charytatywne, premiery, wszystko, czym żyje Los Angeles, z punktu widzenia tutejszej dziewczyny.

- Sama nie wiem.

Clarissa zajrzała do notesu kołowego, który miała w głowie.

- Edgie Flebedian. Najbliższy weekend. Holmby Hills - powiedziała.

Edgie przekroczył czterdziestkę, produkował wyciskacze łez za pięćdziesiąt milionów dolarów i - jak głosiła plotka, którą podobno sam puścił w obieg - zajmował się także handlem bronią. Jako człowiek o korzeniach izraelsko-armeńskich lub odwrotnie, albo w ogóle bez tych korzeni, był ciekawym melanzem, jednocześnie rozśmieszał i odpychał, no i urządzał huczne zabawy, zawsze na koszt studia filmowego.

- Możesz tam wejść?

- Mogę wejść wszędzie. To miasto jest moje, odkąd ukończyłam dwanaście lat. Odkąd przeszłam z klasy A do przeludnionej C.

Morgan znów założyła nogę na nogę. Clarissa wiedziała, że ją zdobyła. Ta praca podpadała pod obowiązki redaktora współpracującego, z czym, co prawda, wiązały się niewielkie apanaże, ale za to niezły fundusz reprezentacyjny.

Clarissa wybiegła uradowana z biura „Climate” i niemal dosłownie wskoczyła do swojego bmw. Pojechała do Melrose, do Oliver Peoples, gdzie od razu kupiła okulary w czarnej oprawie - niby dla intelektualistki (bez szkieł korekcyjnych, których szczęśliwie nie potrzebowała) - stosowne dla redaktora współpracującego; bardzo chciała wyglądać jak należy. Pomyślała o wszystkich felietonistach z działu plotek, którzy pisali przed nią; mogła być następną, hetero, Lizą Smith, albo jeszcze lepiej - A.J. Benzą w żeńskim wydaniu.

Kroczyła śladami olbrzymów. Spoczywało na niej przytłaczające brzemie odpowiedzialności..

- Nie mogę uwierzyć! - powtórzyła Gravy. Chyba po raz ósmy...

- Wystarczy, Gravy - powstrzymała ją Clarissa.

- Hej, przecież „Climate” to supermodne pismo.

- No, a Clarissa to supermodna dziewczyna - rzekła Jen.

- Gdzie Polo?

- Dopadła ją...

- Grypa.

- Suzee do nas nie dołączy? - Clarissa rozejrzała się, pierwszy raz w życiu niespokojnie wyczekując, kiedy zobaczy wchodzącą Suzee. Chciała zobaczyć jej minę, kiedy się dowie, kto został nowym współpracownikiem magazynu „Climate” na Zachodnim Wybrzeżu. Hi, hi!

Gravy piła trzecią wódką z red bullem, drink czystszy Jak utrzymywała, od jej zwyczajowych tropikalnych koktajli - zgodnie z wyznawaną przez nią zasadą, że im czystszy alkohol, tym zdrowszy napitek. Chyba że ktoś mieszka w Rosji lub gdzieś, gdzie ludzie ciągną wódkę jak wodę „Evian”. Jen jak zwykle popijała perrier i patrzyła w przestrzeń; Clarissa

pochlaniała sok z żurawin i toniki. Dźwięki muzyki wprawiały jej brzuch w drżenie.

- Czekasz na kogoś? - zwróciła się do Jen.

- Nie, nie, nie, a dlaczego pytasz? - odparła Jen z rozbieganymi oczami. Była jedyną członkinią Trybunału, która nie umiała kłamać.

- Nie mogę długo siedzieć. - Clarissa spojrzała na zegarek. - Jutro do późna muszę być na nogach.

- Zostań! - poprosiła Jen, chwytając ją za rękę. - Patrz, idzie Suzee, nie chcesz jej powiedzieć?

Rzeczywiście, Suzee szła w ich stronę.

- Cześć, Zła - przywitała ją Gravy, zanim Clarissa zdążyła otworzyć usta. - Słyszałaś o nowej pracy Clarissy?

- Nowej pracy?! To ekscytujące! - rzuciła Suzee. - Clarisso, nie wiedziałam, że szukasz pracy, mam nadzieję, że nie w Burger Kingu, w Taco Bell mają o wiele luźniejsze uniformy.

- Jest nowym redaktorem współpracującym „Climate” - oznajmiła Jen z dumą.

Clarissa spojrzała na nią zaskoczona. Jen rzadko odzywała się do Suzee. No i ten błysk w oku - wyraźnie złośliwy. Clarissa w myślach uściślała Jen.

- Niech was kaczki zdepczą - powiedziała Suzee. Co, ujmując łagodniej, oznaczało: „Żartujecie”.

- Ciebie pierwszą - wtrąciła Gravy.

Clarissie niemal zrobiło się żal panny Pol Pot; nigdy nie widziała, żeby ktoś tak przygasał.

- Nie martw się, Suzee, pewnie za tydzień mnie wyleją.

- Można się dosiąść? - ożywiła się raptem Suzee.

- Czekamy na kogoś - odparła Jen. Gravy i Clarissa popatrzyły na nią.

- Proszę. Siadaj - rzekła Clarissa.

- Nie. Mówiłam wam, że czekamy na kogoś. - Jen mówiła coraz wyższym głosem.

Suzee stała w miejscu, jakby jej stopy w pantoflach od Stephane Kelian, model „Hard Candy”, przykleiły się do podłogi. Nie wiedziała, co robić.

- Słuchajcie, ja już idę. Nie wiem, o czym ona mówi, ale możesz usiąść na moim miejscu - powiedziała Clarissa, wstając.

- Nie, nie możesz odejść! - zaprotestowała Jen.

Clarissa pocałowała ją w policzek.

- Przypilnuj, żeby Gravy dotarła cało do domu - szepnęła jej do ucha.

- Proszę, nie odchodź.

- Dziecko musi odpocząć - powiedziała Clarissa, klepiąc się po brzuchu. - Jutro wielki dzień. - Poprawiła nowe okulary i zaczęła się przebi-
jać przez tłum.

Rozdział dwudziesty trzeci

Praca

- Ten materiał jest obłądny! - zachwycała się Morgan. - Strasznie mi się podoba. Inteligentny, zabawny... kompletnie nie nadaje się do druku.

Clarissa stała pod ścianą i patrzyła na Morgan, która krążyła podniecona po pokoju, wymachując niezapalonym papierosem i nie wypuszczając z ręki reportażu Clarissy z przyjęcia u Edgiego Flebediana.

- Nie nadaje się?

Morgan spojrzała na Clarissę, jakby zaskoczona, że ją widzi.

- Jesteś anty-Christy - powiedziała.

- Anty-Christy? Ja? Porównujesz mnie do George'a Christy'ego? - Clarissa poczuła dreszcz na plecach. George Christy był legendarnym felietonistą „Hollywood Reportera”, piszącym o pięknych i bogatych - nigdy nie napisał złego słowa o kimś, kto ma dochód wyrażający się co najmniej sześcioma cyframi i osobistego chirurga plastycznego.

Clarissę ogarnęło podekscytowanie.

- To, co tu napisałaś... - Morgan westchnęła. - Gdyby nie pozwano nas za zniesławienie, a tak by się stało, zdecydowanie tak, to byłby strzał w dziesiątkę. Tak jak twoje okulary.

- Dziękuję - powiedziała Clarissa.

Po raz setny tego ranka poprawiła zsuwające się z nosa okulary. Bolały ją stopy, a wchodząc po schodach do redakcji „Climate”, zdyszała się

i jeszcze nie złapała oddechu. Marzyła o tym, żeby usiąść, ale dotąd jej tego nie zaproponowano. Pieprzę konwenanse, pomyślała.

- Morgan, jeżeli zaraz nie usiądę, upuszczę to dziecko na dywan.
- Ależ siadaj, proszę - rzekła Morgan. - Napijesz się czegoś?
- Nie, dziękuję. I tak siusiam dwadzieścia razy na godzinę.
- Sama to wszystko napisałaś? - Morgan spojrzała na nią.

Pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

- Tak właśnie plotkujemy z przyjaciółkami. Jesteśmy, można powiedzieć, profesjonalnymi plotkarkami.

- Ostrzegaj mnie, żebym ci nie podpadła.

Clarissa wróciła myślami do sobotniej nocy. Przyjęcie u Edgiego byłoby totalnym niewypałem, począwszy od parkowania, przez eurotechno/izraelską muzykę do tańca, aż do żalosego braku lodu, gdyby nie pojawienie się policji o wpół do drugiej i przerwanie tej towarzyskiej katastrofy. Clarissa, przy swoim braku doświadczenia i oświeconego krytycyzmu, napisała tylko o tym, co zaobserwowała: trzech nie mówiących po angielsku parkingowych na trzystu gości (przez co trzeba było potem czekać dziewięćdziesiąt minut na auto); mężczyźni z tupecikami podrywający dziewczyny, które nie dorosły nawet do noszenia staników; bardzo mało do jedzenia; o wiele za dużo do picia.

- Nie możecie wykorzystać choćby fragmentu? - spytała Clarissa.
- Owszem. Trzy słowa: Edgie, Flebedian, przyjęcie.
- Ja pierdziele - wymsknęło się Clarissie, która zupełnie zapomniała, że przyrzekła sobie nie przeklinać przy dziecku.
- No, może jeszcze kilka innych. Styl świetny, jak Dorothy Parker na kwasie. - Morgan prowadziła Clarissę do drzwi.

Kim, u licha, jest Dorothy Parker? - zastanawiała się Clarissa, wychodząc z biura. Potrzebowała czegoś na wzmocnienie.

*

Powtarzała to spotkanie - z różnicami rzędu kilku sylab - co tydzień. Co tydzień chodziła na przyjęcia, imprezy charytatywne albo premiery jako wysłannik dla magazynu „Climate”, i co tydzień komentowała to, co zaobserwowała. Ironia losu polegała na tym, że Clarissa, która kiedyś zębami i pazurami walczyła o wejście na wszystkie wydarzenia towarzyskie czy premiery, teraz była witana z otwartymi ramionami i przekonała się, że cały ten światek jest w sumie męczący i ponury. Każda akcja charytatywna naśladowała dokładnie tę, która odbyła się tydzień wcześniej w tym samym hotelu, zwykle w „Beverly Hilton”, może tylko gama kolorystyczna była inna, zapraszano innego piosenkarza (zawsze wypadło na Natalie Cole), innego prowadzącego (który zawsze miał minę pod tytułem „wyrzucam swojego agenta” i myślał: Co ja tu robię, do diabła? Nic nie wiem o chorobach nerek, zapaleniu opon mózgowych czy zaniku mięśni). Clarissa zawsze siedziała jako gość przy którymś stoliku - „Climate” nie wykupywał własnego. Stoliki, mogące pomieścić osiem do dziesięciu osób, kosztowały od dziesięciu do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Z początku dosyć ją ekscytowało, że jest niespodziewanym gościem - zwłaszcza że reprezentowała „Climate”, w którym nigdy nie zamieszczano niepocholebnych opinii. Ludzie bardzo chętnie z nią rozmawiali, nawet bez specjalnej zachęty. Sharon Stone podzieliła się smętną opowieścią o przygodzie fryzjerskiej z tragicznym finałem; Sylvester Stallone mówił bez przerwy o UFO i „czarnych helikopterach”. Dziennikarz telewizyjny, wysoki blondyn z akcentem ze Środkowego Zachodu, próbował ją podrywać, chociaż w szóstym miesiącu ciąży była już zdecydowanie gruba i jej stan nie mógł budzić wątpliwości. Nie wiedziała, czy te zaloty powinny jej pochlebiać, czy wywoływać w niej obrzydzenie.

Clarissa przekonała się, co zresztą od dawna podejrzewała, że większość gwiazd to ludzie wprawdzie lekko zakręceny, ale w sumie nudni. Po pewnym czasie znużyło ją obracanie się wśród sław. Odgrywanie roli zachwyconej fanki, niezmiennie zafascynowanego widza, zużywało

resztki jej energii. A do tego, chociaż opisywała swoje wędrówki śmiało i szczerze, nic z jej zapisków nie wydostawało się na światło dzienne - to znaczy na stronie „Climate”. „Gwiazda sitcomu, o pupie płaskiej jak Kansas i z widocznymi śladami po spartolonym zabiegu botoksem, popłakuje w źle dobranej (zeszłorocznej) sukience od Donatelli Versace, z wyszywanym cekinami stanikiem, ze złości na młodego męża, który złożył złe zamówienie. W czym jej biedak zawinił? Wybrał befsztyk zamiast makaronu. Gwiazda jest wegetarianką; w przeciwieństwie do odgrywanej przez siebie postaci nie ma poczucia humoru i wygląda tak zdrowo jak Beth w *Małych kobietkach*, o ile pisząca te słowa dobrze pamięta bryk *Cliffs Notes*”.

A co, wydrukował „Climate” pod zdjęciem aktorki? „Lainie Gibbons, znana miłośniczka i obrończyni zwierząt, ubrana przez Ralpa Laurena, przekomarza się z mężem, Gibbym Gibbonsem, który zamówił stek”.

- Czy kiedykolwiek wydrukujecie to tak, jak napisałam? - spytała Clarissa, leżąc na podłodze w biurze Morgan, ze stopami opartymi na kanapie, żeby dać ulgę spuchniętym nogom.

- Nie - odparła Morgan.

Clarissa zastanowiła się nad tym. Dlaczego traci na nich czas? Otóż musiała przyznać, że choć obraca się w towarzyskim wirze bez przyjemności to pisanie o nim sprawia jej niewątpliwą frajdę. Nawet jeśli relacje nie trafiały do druku, to przynajmniej w biurze wydawcy działały jak kij wsadzony w mrowisko. Obrastała legendą. Ludzie, którzy byli od niej młodszy i bardziej cool (dwadzieścia parę lat, kozia bródka i uzależnienie od vicodinu), w rozmowie z nią cytowali jej teksty.

- Proszę?

- Nie. Dostałaś rozkład na ten tydzień? - spytała Morgan.

- Niech zgadnę. Trzy imprezy w „Hiltonie”?

- Na jednej, dziś wieczór, powinnaś się dobrze bawić. - Morgan rzucała w głowę Clarissy trójwymiarowym zaproszeniem w kształcie tuby. Taki bajer musiał kosztować masę pieniędzy. - Zaczyna się od aukcji.

- Nie cierpię aukcji. Sprzedają na nich bezbronne małe labradory okropnym, rozwydrzonym dzieciom, które mają jeszcze nie poprawione nosy po rodzicach. Wiem, bo sama byłam takim dzieckiem.

- Więc nie chcesz iść? - spytała Morgan.

- Nie, nie chcę.

- Krażą słuchy, że szykują się świetne torby promocyjne.

Clarissa miała słabość do toreb promocyjnych, rozdawanych na koniec wieczoru wszystkim przybyłym na kolację charytatywną. Zwykle była to duża płócienna torba, prosta i tania, z jaką można pójść na plażę. Za to w środku można było znaleźć „księgę pamiątkową” z przyjęcia, pełną drogich całostronicowych ogłoszeń ze złotymi i srebrnymi ozdobami (również tańszych, czarno-białych, na pół strony, najczęściej zamieszczonych przez firmę oferującą usługi rachunkowe lub przez czyjąś babcię), szampony, conditionery, szminki, perfumy, a czasem głupie cacko, które Clarissa oddawała matce. Ostatnio dostała porcelanowego konika na karuzeli grającej *Raindrops* - matce to szkaradzieństwo bardzo się spodobało. Clarissa widziała więcej walk o torby promocyjne między wpływowymi bogaczami niż buntów więziennych pokazywanych w telewizji. Na ostatnim przyjęciu, zorganizowanym na rzecz niewidomych lub ofiar gwałtów w więzieniu (Clarissa nigdy nie pamiętała celu przyjęcia, choć zawsze był szlachetny), jakiejś starszej damie obwieszanej brylantami wartymi ponad milion dolarów, tak się spieszyło do stołu z torbami promocyjnymi, że z zawziętą miną pchnęła, przewracając na podłogę Clarissę, która była od niej wyższa, cięższa i miała dłuższe ręce. Rozdawane za darmo prezenty mają niezwykle siłę przyciągania.

Kilka godzin po spotkaniu z Morgan Clarissa siedziała nagusieńka w garderobie w domu matki, wyglądając jak ultranowoczesna modelka Rubensa - korpulentna cizia ze starannym pedikiurem.

Nie miała w co się ubrać.

Poważnie. To nie była już rozkoszna Clarissa, wykrzykująca: „O mój Boże, nie mam się w co ubrać!”. To była Clarissa chłodna realistka - naprawdę nie miała co na siebie włożyć. Dwadzieścia cztery godziny temu jej ciało, a raczej jej szerokie pupsko pożegnało się z garderobą; wszystkie sukienki, nawet „modne” suknie ciężowe z „oddychających” tkanin, zbuntowały się. Clarissa przytrzymała się ściany i wstała, wciąż naga. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Nie była jedną z tych przyszłych matek, które noszą swoje dziecko jak dodatek do stroju, chodząc z brzuchem wielkości piłki do koszykówki. Ona nosiła swoje w brzuchu, w tyłku, w ramionach, w nosie, w kostkach nóg, w kolanach, w palcach stóp - nawet płatki jej uszu podejrzenie się powiększyły.

Sutki wyglądały jak UFO, o których mówił Stallone;omalże się spodziewała, że nad dachem domu zaczną krążyć „czarne helikoptery”.

Zadzwoiła do Gravy.

- Jestem gruba, naga i spóźniona.
- Powoli i po kolei. Owszem, jesteś gruba.
- I naga.
- Muszę uwierzyć ci na słowo. Dzięki Bogu.
- I spóźniona.
- Na potworną imprezę charytatywną, na której rozdają bogaczom prezenty? Czemu to robisz?
- To moja praca, moja kariera, *mi vida*. Mam dodatkowe zaproszenie, pójdziesz ze mną? - spytała Clarissa.

Gravy była z nią na paru takich kolacjach, ale zniechęciła się, kiedy Garry Shandling spytał, czy ma prawdziwe piersi.

- Nie.
- Nie masz nic od roboty.
- Coś wymyślę. W czym problem?
- Nie mam się w co ubrać.
- Czarna lycra?
- Byłam w niej pięć razy z rzędu. Nie mogę znowu w niej pójść. Po prostu nie mogę. - Clarissa popatrzyła na czarną koktajlową sukienkę ciężową; przyrzekła sobie w duchu, że nigdy więcej nie ubierze się w lycrę.

Tęskniła za bawełną, wełną. Doszła do tego, że zgodziłaby się nawet na akryl.

- Clarisso. Myślisz, że ktokolwiek patrzy na to, co masz na sobie? Jesteś w ciąży, jesteś osobą prywatną. Nikt się tobą nie interesuje. Mogą zwrócić uwagę najwyżej na twój odsłonięty dekolt.

Clarissa westchnęła; wiedziała, że Gravy ma rację. Jej biust przybrał rozmiary epickie; wyglądała jak zapomniana siostra Gabor. A więc znów musiała ją uratować czarna lycra. Umówiła się z Gravy po kolacji połączonej z aukcją, rozłączyła się i powąchała sukienkę. Wynik testu był pomysłny: nie wyczuła woni ciała, dymu papierosowego ani wody kolońskiej „Jovan Musk” dla panów. Jedynie ślad zapachu po kurczaku, którego podano na ostatniej kolacji. Włożyła stanik po babci, zrobiony z kuloodpornej tkaniny i drutów, które mogłyby podtrzymać Sears Tower, potem naciągnęła przez głowę sukienkę, pobawiła się włosami (w ciąży zgęstniały, podkreślając urodę naturalnie bujnej czupryny - i była to jedyna korzyść, jakiej doznała w odmiennym stanie), posmarowała wargi błyszczkiem „M.A.C. Lipglass” w rozsądnym odcieniu i wsunęła stopy w pantofle prawie jak dla staruszki.

Pomyślała, że wygląda okropnie, ale nie przejęła się tym; na imprezach charytatywnych nie spotkała jeszcze nikogo znajomego - bywali na nich inni, bardziej wyrafinowani goście. Ludzie mający w ręku władzę i pociągający za sznurki, a tacy nie zaszczyliby jej nawet spojrzeniem.

Nikt nie zwróci na nią uwagi.

Clarissa, zapewne największa gabarytowo kobieta w promieniu kilkudziesięciu metrów, wcisnęła się do pokoju aukcyjnego, sąsiadującego z salą balową „Hilтона”. Miała przy sobie notes i pióro z wyostrzonym jak kuchenny nóż zakończeniem; mogło posłużyć zarówno jako narzędzie do pisania, jak i broń, gdyby ktoś ośmielił się choćby na nią mrugnąć przy stole z torbami promocyjnymi. Clarissa rozejrzała się; widziała

same głowy - uśmiechy, marsy na czole, fryzury ułożone i swobodne, idealne nosy i zęby, oczy, które prześlizgiwały się po niej obojętnie, szukając „twarzy”. Rozpoznawalnej twarzy. Twarzy, która mogła im w jakiś sposób pomóc.

Kobiety były w długich sukniach; przystroiliły się najpiękniejszymi klejnotami i skorzystały z usług najlepszych fryzjerów i wizażystów.

Ludzie myślą, że to jest właśnie Hollywood: wszyscy są tutaj piękni, pomyślała Clarissa.

Zamiast dźgnąć się z rozpaczy piórem w szyję, zaczęła się wczytywać w listę atrakcji, które miały być licytowane: masaż dla dwojga w ośrodku odnowy Burke'a Williamsa; rólka w filmie akcji z tym nowym drobnym Chińczykiem; kolacja dla ośmiu osób w „Spago”, szczeniak rasy labrador.

Uch, jęknęła w duchu. Zapisała się na szczeniaka. Wiedziała, że i tak nie będzie licytować dostatecznie wysoko, ale chciała spróbować uratować biednego czworonoga przed jakimś niewdzięcznym bachorem.

Potem zobaczyła obraz. Nieduży. Stał w kącie, nie przyciągając uwagi, bo nie był ani krzykliwie kolorowy, ani agresywny w treści - akwarela przedstawiająca żaglówkę. Nic szczególnego, prosty, romantyczny, śliczny obrazek.

Clarissa zapragnęła go mieć.

Minimalna oferta wynosiła tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Jakaś kobieta trąciła Clarissę, jakby ona, w rozkwicie brzemienności, w ogóle tam nie stała.

- Zobacz, Harry - powiedziała. - Czy nie wyglądałby wspaniale w pokoju Josiah?

Kobieta wpisała się na listę. Z ofertą tysiąca trzystu pięćdziesięciu dolarów.

Clarissa popatrzyła na nią.

- Josiah? - spytała.

- To mój syn. Jest kolekcjonerem. Ma osiem lat. Kocha sztukę. Ma już jednego Lichtensteina i tego jak mu tam...

Clarissie zrobiło się niedobrze. Chwyliła pióro i zapisała swoje nazwisko, a potem sumę - tysiąc pięćset dolarów - około tysiąca czterystu dwudziestu dolarów więcej, niż miała na koncie. Do diabła, wiedziała, że nie starczy pieniędzy, ale zależało jej na tym, żeby mały Josiah,, młody geniusz, nie capnął obrazu.

Potem zaczęła przebijać się przez tłum, wynajdując luźniejsze miejsca, gdzie mogła się na chwilę schronić, aż wreszcie odnalazła swój stolik. Zrobiła wtedy to co zwykle: przeczytała wszystkie nazwiska na kartonikach, i odetchnęła z ulgą - przy stoliku numer dwadzieścia jeden nie przewidziano nikogo, kto występuje w sitcomie, w filmie bądź kiedykolwiek zaśpiewał i nagrał piosenkę. Nie rozpoznała żadnego nazwiska.

Zapomniała o tym, że ją może ktoś rozpoznać.

- Wielkie nieba! - rzekł tęgawy mężczyzna w obcisłym smokingu. - Spójrz, dziewczyno, na to. - Podciągnął raptem koszulę.

Clarissa zobaczyła jałową połąć brzucha z kilkoma wydatnymi pieprzykami niczym kłębki zielska toczące się przez pole.

- Proszę przestać, zrobię, co pan zechce, tylko błagam... niech pan opuści koszulę - poprosiła Clarissa.

Mężczyzna wskazał czerwony ślad na boku. Cerę miał jak papier, który zbyt często tarto gumką.

- Nie jestem lekarzem. Jestem w tej chwili za mało atrakcyjna - broniła się Clarissa i wbiła zęby w bułkę.

Gospodarz spotkania, prowadzący na co dzień wieczorny talk-show, miał wielkie odstające uszy, małe usta i wyglądał, jakby jego drugim miejscem zamieszkania była słynna grota w posiadłości „Playboya”. Zaczął gromić obecnego prezydenta - Clarissa nie wiedziała którego, tyle było studiów filmowych - ale kiedy wspomniał, że „republikanin” w języku Eskimosów oznacza „wściekłą wydrę morską”, zorientowała się, że mówi o prezydencie Stanów Zjednoczonych.

- Tu mnie postrzeliłaś, kochanie - pochwalił się duży mężczyzna z czerwonymi plamami na twarzy.

Clarissa popatrzyła na niego.

- Niech się pan zamknie.

- Pilnujcie, żeby ta dziewczyna nie dostała broni do ręki! - rzekł. - Frankie, to właśnie ta mała, o której ci opowiadałem.

Mężczyzna w tweedzie. Facet przypominający kształtem oberżynę, niechęący zadraśnięty pociskiem wystrzelonym przez Clarissę w posiadłości Masonów.

- Co pan tu robi? - spytała Clarissa.

- Do diaska, co roku balujemy - odparł mężczyzna w tweedzie. - Frankie uwielbia gwiazdy filmowe.

Frankie, drobniejszy, wyglądał kropka w kropkę jak tweedowiec, nawet miał takie same okulary w drucianej oprawie i równie kiepsko ostrzyżone włosy. Pokiwał głową, ale się nie odezwał.

- A kto ich nie lubi... - westchnęła Clarissa.

- Co słyhać u mojego kochanego Aarona?

Zakryła dłonią palec serdeczny lewej ręki. Bez obrączki.

- Świetnie, znakomicie.

- A jak tam twoja przyjaciółka Alexandra?

- A jak tam pańska żona? - spytała Clarissa.

- Dziesięć dni temu zamknęliśmy sprawę rozwodową - odparł. Zaczepnął głęboko powietrza, jakby pomyślał o czymś, o czym nie należy mówić na głos. Z poważnym wyrazem twarzy podniósł wzrok na Clarissę; pokonał dręczącego go demona. - Czy mogłabyś mi dać numer Alexandry? Wydała mi się... bardzo interesująca. Chciałbym się z nią spotkać, skoro już tu jestem. - Potem popłynął strumień błahych zwierzeń. - Zatrzymałem się w „Four Seasons”. Lubię „Four Seasons”, a ty? Mają ładne ręczniki kąpielowe. Dobra obsługa, ale drogie jedzenie, nalesniki za dwadzieścia pięć dolarów, słyszane rzeczy? Gdzie ten Aaron, widziałem go w sali aukcyjnej, gdzieś tu krąży, prawda?

Clarissa musiała zblednąć jak ściana.

- Źle się czujesz, panienko?
- Dziecko kopie.
- Spojrzał, zaskoczony, na jej brzuch.
- Tak mi się właśnie zdawało, że zdrowo wyglądasz. Moje gratulacje!
- Dziękuję.
- Nie mogę się doczekać, kiedy klepnę staruszka Aarona po plecach.

Gdzież on się podział?

Przyparta do muru, Clarissa raptownym gestem, przewracając szklankę z wodą, wskazała scenę.

- O mój Boże, patrzcie! Shania Twain!

Prawie było słyhać, jak trzaska szyja Frankiego, gdy gwałtownie się obejrzał.

Po kolacji (łosoś nie pierwszej świeżości, mieszanka zielonych warzyw, a na deser czekoladowe monety i kompot z brzoskwiń - dowód, że dwie dobre rzeczy razem mogą być złe) gospodarz zaczął wymieniać zwycięzców aukcji. Rozległy się głośne okrzyki, a potem śmiech - śmiech ludzi bogatych, różniący się od innych rodzajów śmiechu - wykalkulowany, odmierzony, płynący z górnych partii ciała, nie z dolnych.

Wreszcie przyszła kolej na akwarelę.

Gospodarz nie docenił obrazka.

- Komuś się za to płaci? - zawołał. - Mam pięcioletniego syna (tak przynajmniej wynika ze sprawy o ustalenie ojcostwa)...

Clarissa wyłączyła się, walcząc ze złotkiem spowijającym czekoladową monetę.

- Otóż akwarelę *Żaglówki o zmierzchu* dostaje... Wstrzymała oddech.

- Aaron Mason.

Poczula na sobie spojrzenie mężczyzny w tweedzie. Obrócił do niej okrągłą głowę.

- Wygrałaś! - krzyknął. - Jak pragnę zdrowia, dziewczyno, wygrałaś!

- Tutaj! - Mężczyzna w tweedzie odwrócił się i zawołał do gospodarza wieczoru: - To ta mała dama! Tutaj!

Przy stole rozbrzmiały wiwaty - wszyscy (z wyjątkiem dwóch pustych krzeseł po lewej) uśmiechali się, uradowani wygraną Clarissy, jakby należeli do jednej drużyny i wspólnie świętowali zwycięstwo. Nawet kobieta siedząca z prawej strony, bywalczyni, wdowa po gwiazdorze z lat sześćdziesiątych, która pewnie od dwudziestu paru lat nie dotknęła żadnej ludzkiej istoty, poklepała Clarissę po ramieniu.

- Gratuluję! Myślę, że mój pięcioletni syn mógłby się lepiej postarać, ale co tam, o gustach się nie dyskutuje. I gdzie pani to powiesi? Może w Poughkeepsie? - Gospodarz obrócił się, łowiąc uchem sztuczne śmiechy rozlegające się w tłumie gości.

Clarissa podniosła wzrok na pana Kapuściany Łeb. Przysunął jej do twarzy mikrofon, a równocześnie wielki stroboskop oślepił ofiarę.

- Hej, Aaronie, wygrałeś! - wydzierał się mężczyzna w tweedzie.

- Pewnie, że tak, kurka wodna! - odkrzyknął głos.

Clarissa obróciła się i zobaczyła podchodzącego od tyłu młodego mężczyznę, zupełnie niepodobnego do Aarona - niskiego, o płowych włosach i porządnie zawianego. Całkiem nieznanego.

- To chyba moje miejsce, co? - zwrócił się do Clarissy, a ich twarze ukazały się na dwóch wielkich ekranach w głębi sali.

Gospodarz potrząsał głową, błyskawicznie kombinując, jak mógłby wykorzystać ten moment dla efektu.

Nieznanomy odsunął krzesło i podniósł z podłogi kartonik z nazwiskiem.

- No proszę, to ja, Aaron Mason, prawda, kotku? - zwrócił się do stojącej za nim blondynki, która wyglądała, jakby wylano ją z butelki.

Blondynka zachichotała.

- A więc to pan kupił ten obrazek? - upewnił się gospodarz. - Nic dziwnego, że pan pije.

W tym momencie Aaron Mason spojrzał na Clarissę, jakby przypominając sobie o zasadach dobrego zachowania, nawet wobec dziwnej grubej dziewczyny.

- Aaron Kingsley Mason - przedstawił się. - Miło mi poznać.

Wyciągając do niej rękę, trącił szklanekę z wodą, która wylała się Clarissie na brzuch.

Mężczyzna w tweedzie wstał, potrząsając ze zniecierpliwieniem głową i machając serwetką w stronę Clarissy.

- Niech cię dunder świsnie, Aaronie, przestań udawać. Wiesz przecież, w jakim jest stanie. To twoja żona.

Rozdział dwudziesty czwarty

Rzeczywistość przerasta fikcję

Aaron patrzył na Clarissę, przetwarzając posiadane informacje, choć należy wziąć pod uwagę, że jego mózg pływał w tequili. Clarissa zaś zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić w tej sytuacji, zważywszy na narastającą wokół niej wrogość.

Rzuciła się do ucieczki.

Nawet w najbardziej sprzyjających (lub też niesprzyjających) okolicznościach nie była sprawną biegaczką. Co prawda, jako młoda dziewczyna biegała dobrze, a w szóstej klasie najlepiej ze wszystkich dziewcząt i chłopców - od większości z nich ważyła więcej i miała z natury silne uda. Zrezygnowała jednak z biegania, kiedy ojciec zaczął się czepiać, że jej „mięśnie czterogłowe” za bardzo się rozrastają, że nie jest czarna, a poza tym bieganie to męski sport. Od tamtego czasu więc nie biegała, nawet gdy w siódmej klasie, latem, urosły jej piersi i Joey Lester pociągnął z tyłu za gumkę od stanika i powiedział: „Cyce donice”.

Dzisiaj jednak biegała jak mała dziewczynka w nowych, ryżowobiałych adidasach. W siódmym miesiącu ciąży, wielka niczym dom, przewróciła kilka wieczorowych sukni i parę smokingów, a nawet stolik sto osiem. Ciało doradziło: „Walcz albo czmychaj”, a ona wybrała ucieczkę.

Wcale nieźle radziła sobie ze sprintem.

Wybiegła przed budynek w niecałą minutę, ściągając zdziwione spojrzenia przechodniów; poza tym nikt się nią nie zainteresował, zapewne

z obawy, że zacznie rodzić i poprosi o podwiezienie.

Clarissa uspokoiła przyspieszony oddech, zsunęła buty i ruszyła na przód z wysoko uniesioną głową. Minęła parking z obsługą i dotarła do tańszego, za cztery dolary, gdzie zostawiła bmw („Climate” nie płacił za parkingowych).

Ledwie załadowała się do samochodu (złuszcząc się na ciasnotę wnętrza, zaprojektowanego dla samotnej dziewczyny), sięgnęła do torebki po komórkę i zaczęła dzwonić.

Gravy nie było w domu. Komórka przełączyła się na pocztę głosową. Pager został wyłączony.

Jennifer nie było w domu. Komórka przełączyła się na pocztę głosową. Pager nie działał (zapewne na skutek jakiegoś wypadku z pralkosuszarką).

Polo nie było w domu. Odebrała telefon przez komórkę i zaraz potem się rozłączyła. Nigdy nie brała ze sobą pagera.

Simona nie było w domu. Clarissa jeszcze nie zaprogramowała w swoim telefonie numeru jego komórki. I nie pamiętała go.

- To jakiś spisek! - zawołała. Zdesperowana, gotowa była zadzwonić do Suzee (miała przecież wiadomość przez duże „W”), ale się rozmyśliła.

Wreszcie, kiedy wyczerpała wszystkie możliwości (włączając w to bliźniaki Samobójstwo i Zabójstwo), rozplakała się. Zaczęło się od jednej samotnej łzy i zaraz popłynęła obfita słona struga; Clarissa zmieniła się w mokrą, rozszlochaną kupkę nieszczęścia, zameżną z nieznanym.

Starczyło jej przytomności umysłu, żeby przejrzeć się w lusterku - nie dopuściłaby przecież do tego, by tusz spłynął jej po policzkach. Nawet, kiedy życie upodabnia się do historii z cyklu *To mi się naprawdę przydarzyło* w magazynie „Glamour”, nadal trzeba dobrze wyglądać.

Potem zaczęła się śmiać. Ciche parsknięcie przeszło w chichot, a wreszcie zaczęła ryczeć ze śmiechu i uderzać głową w kierownicę, tak jej się zrobiło wesoło.

Na płaszczyźnie emocjonalnej cięża to karkołomna jazda.

Clarissa pojęła kilka rzeczy: ona, mistrzyni manipulacji, uległa mistrzowskiej intrydze Fałszywego Aarona i nie mogła o to winić nikogo oprócz siebie. Z reakcji mężczyzny w tweedzie jasno wynikało, że prawdziwy Aaron Mason zajada się teraz „świeżym” łososiem, zapeklowany mózg otacza go mgiełką wesołości, a obok dyszy namiętnie dublerka Pameli Anderson - więc Clarissie pozostało już tylko jedno pytanie, które zadała na głos:

- Kim, do kurwy nędzy jest Fałszywy Aaron? Za kogo, u licha, wyszłam za mąż?

Wiedziała tylko, że pieprzony gówniarz dobrał się do jej szerokiego jak sedan tyłka i teraz musiał to i owo wyjaśnić.

- Pieprzyć Fałszywego Aarona! - krzyknęła, odjeżdżając. - Pieprzyć jego dołeczki, pieprzyć jego wąską talię, podwójnie pieprzyć jego szerokie ramiona i pieprzyć jego krzywą stopę! Komu ona potrzebna?! - wrzeszczała. - Biegam, kurwa, jak gazela! Nie potrzebuję go! Nie potrzebuję żadnego mężczyzny! Sama się o siebie zatroszczę!

Jadąc na wschód Wilshire, żałowała jednego - że zapomniała zabrać ze sobą torbę promocyjną, potem jednak uznała, że to dobry znak. Może wreszcie zaczęła dojrzywać.

Rozdział dwudziesty piąty

Hej, Ricky!

Falszywy Aaron zostałby obudzony za kwadrans piąta nad ranem, gdyby nie to, że już nie spał i robił pierwsze notatki do scenariusza *We-solej rozwódki* (tytuł roboczy). Tekst przyszedł dwa dni temu, a dzisiaj miał być omawiany na zwołanym przez reżysera zebraniu.

Scenariusz był okropny, czego zresztą Falszywy Aaron się spodziewał. Studio filmowe wynajęło osobnika, który słynął z dwóch rzeczy: nie pisał swoich scenariuszy sam - robiły to za niego naiwne studentki Uniwersytetu Południowej Kalifornii i Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles - i bezpodstawnie przypisywał sobie zasługi (pozywał do sądu, kiedy ich nie uznawano; a do jego uroczych cech należało także to, że był kiedyś specjalistą od kontraktów). Na początku kariery przyznano mu Oscara (jako współautorowi scenariusza - nikt nie doszedł, co zrobił z ciałem drugiego gościa) i od tamtej pory jadał w restauracjach, stać go było na drugie mieszkanie w Paryżu, trzecie w Nowym Jorku, prywatne szkoły dla dzieci i zęby jak igloo.

Brałem odrzuty, pomyślał Falszywy Aaron, zmuszając oczy do czytania drugiej części, ale nigdy nie trafił mi się tak duży... i tak kosztowny. Studio zawarło ze scenarzystą kontrakt na kwotę ponad siedmiocyfrową, by zacytować felietonistę „Variety”, Army'ego Archerda.

Miał już szesnaście stron odręcznych, gęsto zapisanych notatek, a

jeszcze nie skończył czytać scenariusza. Potarł oczy i wreszcie odebrał telefon. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy terkotanie w głowie.

Po drugiej stronie odezwał się Aaron Mason. Prawdziwy Aaron Mason.

- Hej, człowieku! - powiedział. Pijany, naćpany albo jedno i drugie. Fałszywy Aaron usłyszał w tle chichotanie. - Jestem w mieście! Będzie bal!

Fałszywego Aarona zatkało, a potem omal nie wybuchnął, tak jak i jego kiszki.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Nie możesz tu być... przecież się umówiliśmy.

- Też chcę wziąć udział w tej zabawie, chłopie - rzekł Prawdziwy Aaron. - Hej, nie wiesz, gdzie można dostać prochy? Mój kierowca nie rozumie pilnych potrzeb dżentelmena. - Beknął.

Fałszywy Aaron potarł głowę, broniąc się przed nieuchronną migreną, spowodowaną przez stres. Tylko tego mu brakowało! Akurat kiedy wciągał się w proces robienia filmu (niekończący się, żmudny, bezlitosny), akurat kiedy sądził, że uda mu się dojść do ładu z Clarissą...

Potrzebował czasu, żeby się zastanowić.

- Może pojedziecie... sam nie wiem... każ mu jechać do „Peninsula”... nie, nie do „Peninsula”, do „L'Ermitage” - poradził Fałszywy Aaron. Clarissa mówiła mu, że „L'Ermitage” jest znany z dyskrecji. Specjalizuje się w klienteli „pooperacyjnej”. - Jedź tam, każ się zawieźć kierowcy, on będzie wiedział, gdzie to jest. Jutro rano zjemy razem śniadanie.

- Śniadanie? - spytał Prawdziwy Aaron. - A co to takiego?

- Proszę cię, jedź - nalegał Fałszywy Aaron. - Rano do ciebie zadzwonię. Nie wierzę, że tu przyjechałeś. Wszystko spieprzysz.

Ale Prawdziwy Aaron już się rozłączył i Fałszywy Aaron pozostał z parszywym scenariuszem, pustym mieszkaniem i furą nowych problemów. Najchętniej zadzwoniłby do kogoś, żeby się wyzalić, nie mógł jednak

porozmawiać z Maxim Reese'em ani z żadnym innym agentem, z którym się zaprzyjaźnił. Gdyby tylko usłyszeli, że nie jest tym, za kogo się podaje - byłby spalony w mieście, w którym teraz cieszył się takim powodzeniem.

Najchętniej zadzwoniłby do tej jednej jedynej osoby, której całe to zamieszanie wydałoby się zabawne - do Clarissy (choć pewnie najpierw by go zabiła, porąbała na kawałki i rozrzuciła na autostradzie numer 405). Ona jednak nie chciała z nim rozmawiać, a zresztą, pomyślał, czując pełną wyższości gorycz, wyszła za niego pod fałszywymi pozorami, wbrew zapewnieniom Jen, i nawet nie nosiła w łonie jego dziecka.

Mimo to jednak nadal pragnął z nią porozmawiać.

Wyczerpany Fałszywy Aaron zasnął niespokojnym snem na czerwonej kanapie Clarissy, otoczony pluszowymi kumplami, marząc o tym, żeby znalazła się przy nim i pocieszyła go inna miękka istota.

Na nadzwyczajnym posiedzeniu Trybunału w domu mamy Clarissy (menu: karmelowe macchiatos „Starbucks”, batony „Twix”, słoik kremowego masła orzechowego „Skippy”), Clarissa przedyskutowała możliwość, jakie miała do wyboru.

- Zastrzelić go - powiedziała. I nie było to pytanie.
- Niegrzecznie i nieporządnie - orzekła Jen.
- Nie mamy broni - przypomniała Polo przez zapchane zatoki.
- Ja mam - zgłosiła się Gravy.

Dziewczyny popatrzyły na nią.

- Oddać go w ręce policji? - spytała Clarissa.

- Po co? - odezwała się Gravy. - Za to, że udawał kogoś innego?

Wszystkie udajemy kogoś innego, niż jesteśmy.

- Nie obchodzi mnie, że może być totalnym socjopatą. Jest słodki i ma ładne ręce. - Ten komentarz pochodził oczywiście od Jen.

- Czuję się jak porzucona zabawka do gryzienia - jęknęła Clarissa.

- Mógłby być seryjnym mordercą - podsunęła Polo.
- Wykluczone. Nie ma tej charyzmy - rzekła Gravy.
- Słucham? - odezwała się Clarissa. - Uważam, że właśnie ma charyzmę seryjnego mordercy.

Dziewczyny popatrzyły na nią, ze zdziwienia unosząc wysoko brwi.

- Nastraszył Simona - podała przykład Clarissa.
- Simon boi się nawet psów Jen - zaznaczyła Gravy.
- Słuchajcie. Nawet jeśli życzę mu śmierci, to nie znaczy, że go nie lubię - podkreśliła Clarissa. - Poza tym jest ojcem dziecka.
- Dlaczego mu tego nie powiesz? - spytała Jen. - Myśli, że to dziecko Simona.

- Skąd wiesz, że myśli, że to dziecko Simona? - spytała Gravy.

- Bo wiem. Tak powiedziała mu Clarissa, a ty znasz moje parapsychiczne zdolności. - Jen obróciła się do Clarissy.

- To wina fluoru - orzekła Polo. - To fluor w wodzie w Los Angeles tak działa na mężczyzn. Wszystkim odbija.

- A ja radzę tak: przyczaimy się i zbierzemy więcej informacji, zanim zrobimy następny krok - zaproponowała Gravy.

Clarissa zgodziła się, głównie dlatego, że była zmęczona, wyczerpana emocjonalnie i co kilka minut musiała robić siusiu.

Właśnie kiedy była w toalecie, oddając się tej czynności (i czytając stary numer „Architectural Digest”, prezentujący Michaela J. Foxa, jego żonę i ich dom na farmie), zadzwonił telefon.

- Tęsknisz za mną? - To był Simon.

- Simonie - odparła Clarissa. - Tęsknię za tobą tak, jak tęsknię za tym, żeby zobaczyć własne stopy. Tęsknię tak, jak tęsknię za tym, żeby się schylić bez puszczenia bąka.

- Musimy porozmawiać, Clarisso - rzekł. - Czuję się prawie gotów do podjęcia zobowiązań.

- Jakich zobowiązań?
- No wiesz... Zobowiązań... wiążących się z...
- Simonie, nie musisz się do niczego zobowiązywać. Nikt cię o to nie prosił.

- Wspaniale. Czy mogę przyjść?

- Mam spotkanie.

- Po co dzwoniłaś wczoraj wieczorem? Byłaś zdenerwowana.

Clarissa zapomniała, że zatelefonowała do niego w stanie napięcia, wywołanego ciążą, małżeństwem i niewiadomą, przed jaką stanęła.

- To nic takiego. Nic ważnego.

- Później do ciebie zadzwonię, kochanie - rzucił. - Muszę przesłuchać parę nagrań w studiu.

- No to przesłuchaj. Słuchaj, aż padniesz, panie Taśmowy - powiedziała.

Rozłączyła się z ulgą, bo poczuła, że Simon ani ją ziębi, ani grzeje. Przestała liczyć na te, że oddzwoni, i wcale jej na tym nie zależało.

Rano Falszywy Aaron pojechał na motocyklu do „L'Ermitage”, rozmyślając nad tym, że jego starannie zaaranżowane życie w Los Angeles zmierza ku gorzkiemu zakończeniu.

Przewidywał, że straci pracę, przepadną kontakty, nikt nie będzie do niego oddzwaniał, skończą się dwugodzinne lunchy w „Grillu”, przegonią go z miasta jak biednego przybłądę przebierańca, którym w istocie był. Mógł sobie tylko wyobrażać, co będą o nim wygadywać, jak wszystkich nabrał - i jak nikt nie dał się nabrać. Ludzie będą wściekli. Może nawet pozwą go do sądu.

Był w tym mieście spalony.

Można z tego wysnuć niezłą opowieść, pomyślał.

A co z wątkiem miłosnym? Wyobraził sobie, że to pytanie zadałby mu za rok kierownik działu scenariuszy.

Falszywy Aaron wiedział, jak skończy się wątek miłosny: Clarissa

nigdy mu nie wybaczy. Nigdy więcej się z nim nie spotka.
Zaryzykował. Stracił wszystko.

Aaronowie spotkali się w apartamencie prezydenckim „L'Ermitage” przy nieposłanym łożu, kilku pudełkach po pizzy, dwóch dopalających się skrętach z marychą, licznych opróżnionych butelkach po szampanie i jednej żywiołowej blondynie.

Prawdziwy Aaron, na wpół nagi i z najwyższym trudem unoszący powieki, nawet nie wstał z łóżka. Falszywy Aaron usiadł na miękkim fotelu w sypialni, pozbiierał się jak rozsypane szklane kulki i siląc się na spokój, próbował ustalić, po co Prawdziwy Aaron przyjechał do Los Angeles.

- Jak tam było w Nepalu? - spytał Falszywy Aaron.

- Aresztowali mnie, musiałem opuścić kraj - odparł Prawdziwy Aaron. - Wciskałem buddyjskim mnichom pakistański haszysz.

- A w Tajlandii?

Prawdziwy Aaron podniósł wzrok na blondynkę, która sturlała się z łóżka, naga i dorodna, i poszła do łazienki.

- W Tajlandii złapałem małą pamiątkę - szepnął.

- Nic takiego, czego nie dałoby się wyleczyć antybiotykami, mam nadzieję - rzekł Falszywy Aaron.

- Grzeczny chłopczyk - odparł z uśmiechem Prawdziwy Aaron.

- A w Rosji?

- Kobiety są bardzo mocne. Wódka jeszcze mocniejsza, a te ich chłopaki... Niewiarygodne Hulki, co do jednego Igora.

- Okradli cię.

- Wyjechałem w spodenkach rowerzysty i z paszportem. W dodatku cudzym, ale to już inna historia.

- W Niemczech?

- Niemcy.

- W Londynie?

- Mokro.

- W Paryżu?
- Nie ma czym oddychać.
- W Amsterdamie? Daj spokój, wiem, że kochasz Amsterdam, mógłbyś tam zostać.
- Niestety, nie wytrzymałem tempa, przyjacielu. Tak to jest... wchodzisz do sklepu ze słodyczami, możesz obkupić się do woli i robi ci się niedobrze.

Falszywy Aaron potrząsnął głową.

- Niezłe ciuchy - rzucił Prawdziwy Aaron. - Czyje to? Hugo Bossa?
- Diesa van Notena.
- Nie liczysz się z kosztami.
- Dawne dzieje. Życie na poziomie Aarona Kingsleya Masona bije po kieszeni.

- Gdzie mieszkasz? Chciałbym obejrzeć domostwo. Mam dość hoteli.

- W mieszkanku z jedną sypialnią. W Beachwood Canyon.

Prawdziwy Aaron skrzywił się.

- A czym jeździsz? Powiedz, że bentleyem.
- Pozbyłem się go. Najem auta był droższy niż mój czynsz.
- Ty bażancie, bentley to część szpanu. Tym by jeździł Aaron Mason, gdyby tu mieszkał. Cholera, chciałem się nim wybrać w weekend na przejażdżkę.

- Mam motor. Ona by chyba do niego pasowała - rzekł Falszywy Aaron, spoglądając na blondynkę.

- Chryste. Chryste. - Prawdziwy Aaron popatrzył na niego z prawdziwym smutkiem. - No dobra, wal prosto z mostu. Co z pieniędzmi? To przez narkotyki? Jesteś uzależniony, dobrze zgadłem? To koka, tak? Diabelna koka.

- Nie.

- Dobrze. Sam ledwie sobie radzę z małym problemem spod znaku Betty Ford - rzekł Prawdziwy Aaron. - Hazard. Jak twój stary. Trawi cię ta sama gorączka. Grasz.

- Tylko o swoją przyszłość.

- A więc kobiety. Prostyutki?

- Skąd! Za to nie płacę.
 - Doprawdy? Dziwki wypadają taniej niż przyjaciółki i nie narzekają.
- Ile ci zostało?
- Gdybym miał psa, musiałbym go zjeść.
- Blondynka niespiesznie weszła do pokoju.
- Fałszywy Aaron usiłował odwrócić wzrok od jej agresywnych piersi - na próżno. Wybałuszał oczy jak mały chórzysta, dopóki nie położyła się na łóżku.
- Posłuchaj - rzekł Fałszywy Aaron. - Chciałem zaoszczędzić ci pieniędzy. Wydawało mi się, że nie muszę mieszkać w tamtym domu i jeździć tamtym samochodem. I zacząłem mieć wyrzuty sumienia z powodu twoich rodziców, którzy nie wiedzą, co się tu dzieje.
 - Wyrzuty sumienia z powodu rodziców to moja broszka, a ja żadnych wyrzutów nie mam. To jest zdrowsze.
 - Przyjaciel wpadł w tarapaty.
 - Diabli nadali. - Prawdziwy Aaron skrzywił się. - Oddałeś je.
 - Zaliczka. Honoraria adwokata. Wszystko zwróci. Jest zupełnie niegodny zaufania, ale słowa dotrzymuje.
 - No, bażancie. A teraz dobre wieści. Czekam na dobre wieści. Bo zaczynasz mnie męczyć. - Prawdziwy Aaron westchnął.
 - Dobra wiadomość jest taka, że mamy reżysera, mamy scenarzystę, mamy główniany pierwszy szkic scenariusza, który spodoba się w studiu, ponieważ scenarzysta ma kontrakt na trzy filmy, a więc jego dzieło musi się spodobać. A ty, w taki czy inny sposób, odzyskasz pieniądze.
- Prawdziwego Aarona wyraźnie to uspokoiło. Zaczął dobierać się do blondynki. Fałszywy Aaron spojrzął w sufit.
- Więc co naprawdę cię sprowadza? - spytał po chwili. - Sprawdzasz swoją inwestycję?
- Fałszywy Aaron był opanowany i chłodny. Chciał nakłonić Prawdziwego Aarona do jak najszybszego wyjazdu z miasta - no i nie chciał się spóźnić na zebranie, na którym miano omawiać uwagi do scenariusza.

- Sprowadzają mnie interesy.
- Jest przecież e-mail, telefon - przypomniał Falszywy Aaron.
- Pomyślałem, że pójde na kilka spotkań, no wiesz, rozejrzę się, zjem lunch, dołożę swoje trzy grosze - rzekł Prawdziwy Aaron. - Hmm, powiem ci, że chyba już jestem gotów do działania. Prawda, dziecinko?

Dziewczyna zachichotała i sięgnęła pod przykrycie.

Falszywy Aaron popatrzył na Prawdziwego Aarona. To właśnie ten człowiek, którego grzała pościel, blondyna i niedawny haj, to ten człowiek dał pieniądze, które ściągnęły go do Los Angeles, ten człowiek nabył prawa do *Wesołej rozwódki* (znalezionej przez Falszywego Aarona) i ten człowiek zgodził się opłacać jego wydatki przez ustalony czas. Na to wszystko Falszywy Aaron przystał, ponieważ miał chęci, wiedzę i gotów był pracować z poświęceniem, by zbudować firmę, nie miał natomiast złamanego miedziaka przy duszy, jak powiedziałaaby jego babka. Kiedy opuszczał Georgię, na jego koncie w banku było sto osiemdziesiąt dolarów - ledwie starczyło mu na samolot.

Cofnął się myślami o parę miesięcy, do momentu poprzedzającego przyjazd do Los Angeles. Ostatnie zastrzeżenie dołączone do umowy przedstawiono mu w pokoju wypełnionym dymem marihuany z fajki wodnej.

- Musisz udawać, że jesteś mną - rzekł Prawdziwy Aaron.
- O czym ty mówisz?

Falszywy Aaron skończył właśnie pakować do marynarskiego worka dwie pary tenisówek, ulubione buty z cholewami, dwie pary spodni, flanelowe koszule i siedem pluszowych zwierzaków (schował je na samym dnie, żeby nikt nie zobaczył).

- Rodzice zamierzają mnie wydziedziczyć - rzekł, pociągając nosem, Prawdziwy Aaron. - Jedyne go syna, dasz wiarę? Mają mnie za nieudacznika, myślą, że moim jedynym celem jest naćpać się i nachędożyć, uwierzyłbyś w takie bzdury? Powiedziałem im w każdym razie, że wyjeżdżam

do Los Angeles. Że założę spółkę megaprodukcji filmowych, że mam już prawa do starego filmu, *et cetera...*

- Pamiętałeś tytuł? - spytał Fałszywy Aaron.

- Chryste, nie! - odparł Prawdziwy Aaron. - Ale co tam, kurwa. Zmysliłem. Tak to wygląda. Wchodzisz w to albo olewasz.

- Muszę udawać, że jestem Aaronem Masonem - rzekł Fałszywy Aaron.

Prawie się roześmiał. Udawał, że jest Aaronem Masonem, od czasów kreskówek ze Scooby Doo, które oglądał razem z Prawdziwym Aaronem w jego własnym pokoju i w jego własnym kolorowym telewizorze!

- Zgadza się - potwierdził Prawdziwy Aaron, uśmiechając się i puszczając dym nosem.

- A ty gdzie wtedy będziesz? - spytał Fałszywy Aaron. Zaciekawiał go ten pomysł.

- Rany boskie, człowieku, wyfrunę stąd, żeby rozejrzeć się po tym pieprzonym, zwariowanym świecie, kto wie, kiedy wrócę. Nudził się nie będę. Mam trzy rzeczy konieczne do życia: Pieniądże, Czas i Straconą Młodość. Ambicja aż mnie swędzi.

Przypieczętowali umowę uściskiem dłoni. Prawdziwy Aaron wypisał na czeku cyfry, których Fałszywy Aaron nie mógł odczytać bez zająknięcia. Na drugi dzień wyjechał do Los Angeles z nową tożsamością i dziewczynymi kartami kredytowymi.

Fałszywy Aaron musiał długo wpatrywać się w przestrzeń i niedawną przeszłość. Prawdziwy Aaron zasypiał, a rozchichotana blondynka już nie chichotała, tylko chrapała. Fałszywy Aaron popatrzył na Prawdziwego i uśmiechnął się do myśli, która zaświtała mu głowie. Kiedy Prawdziwy Aaron zrozumie, że ludzie w branży filmowej ciężko pracują, ciężiej niż w wielu innych, zrobi w tył zwrot i raz-dwa wróci do Amsterdamu, na Islandię albo na Bali.

- Dobrze, Aaronie - rzekł Fałszywy Aaron, budząc go. - Mam po lunchu spotkanie w sprawie scenariusza, więc zostawię go tutaj, a ty zajrzyj

do niego, a potem przyjdź do biura. Chętnie skorzystam z twoich pisemnych uwag, chciałbym wiedzieć, co masz do powiedzenia. Druga część jest długa, trzecia lekka.

Prawdziwy Aaron popatrzył na scenariusz.

- Ile to ma stron?
- Sto piętnaście, tyle co nic. Szybko się czyta.
- Och - westchnął Prawdziwy Aaron. - Och.
- Więc zobaczymy się później?
- Jasne, tak, pewnie.

Fałszywy Aaron był już jedną nogą za progiem.

- Hej, człowieku, ożeniłeś się?

Fałszywy Aaron stanął jak wryty. Poczul się jak jeden z sześciu „przyjaciół” z serialu.

- Aaa... bo co?

- Jestem chwilowo nieco przymulony, chłopcze - postukał się w głowę. - Już sam nie wiem, czy to było wczoraj wieczorem. Byłem na rozdaniu nagród... nie pamiętam. Tak czy owak, spotkałem dziewczynę z takim, o, wystającym kuferkiem, jak nic w ciąży, i jakiś gościu, kumas, taki gościu z... mówi mi, że to moja żona.

Fałszywy Aaron poczuł, jak krew odpływa mu do stóp - które od razu urosły o dwa numery. Prawdziwy Aaron roześmiał się.

- Pomyślałem, że to bardzo interesujące. Tylko nie wrób mnie, człowieku, w cholerną sprawę o ustalenie ojcostwa. Tę lekcję przerabiałem dwa razy i wystarczy.

Fałszywy Aaron wyszedł. Kiedy mijał stanowisko pokojowego, przyszedł mu na myśl sposób na Clarissę (oprócz kupienia czegoś od Kevlara). Musiał zadzwonić do Jen i zwierzyć jej się ze wszystkiego.

Wiedział, że Clarissa nigdy w życiu nie skrzywdziłaby Jen.

Wiesz, jak to jest. Osiągasz dno - nadir swojego (względnie) krótkiego życia, a mimo to, nie wiadomo z jakiego powodu, dostajesz skrzydeł, czujesz się lepsza, jak okładka francuskiego „Vogue'a”. Śmiejesz się

wesoło z byle czego i dostrzegasz wokół naturalne piękno - wschodu słońca, idealnej fali, kiełbaski. Zastanawiasz się, jak mogłaś o tym wszystkim zapomnieć albo dlaczego nigdy tego nie zauważałaś. Raptem stają ci przed zaciekawionymi, magnetycznymi oczami, a ty - wyższa, ludzka forma życia, osoba, która niczego nie robi źle, która zna wszystkie odpowiedzi, mistrzyni wygłaszania opinii zaczynających się od „moim zdaniem”, ta, która zawsze panuje nad sytuacją - nagle odbierasz telefon, który w ciągu kilku minut, nie, kilku sekund, ściera całe piękno, cały blask, pozostawiając ci, zamiast talerza pełnego życia, spopielone okruszki.

- Właśnie o tym mówię - rzekła Clarissa. Leżała zwinięta w półkębek („pól” z powodu ciąży, żołądka i wszystkiego razem) na kanapie matki, nie mogąc ani nie chcąc się ruszyć.

- I co on na to? - spytała Gravy.

Siedziała nos w nos z Clarissą, która szeptała tak cicho, że musiała jej zwrócić uwagę, żeby mówiła jak człowiek, bo ona nie umie czytać z ruchu warg.

- Powiedział, że dwoje ludzi zostało poszkodowanych - odparła Clarissa. Przełknęła ślinę. Dosłownie. - Stolik sto osiem.

- Ja pierniczę. Nie stolik sto osiem...

- Biegłam dość szybko - wyjaśniła Clarissa. - Podobno jakaś kobieta coś sobie zrobiła z kciukiem... nie wiem. Wykręciła. Mają podać magazyn do sądu.

- A niech podają, pieprzyć ich! To nie twój problem - rzekła Gravy.

- Wylali mnie - powiedziała Clarissa. Pierś jej falowała jak zepsuty akordeon, oddech stał się nierytmiczny. Przeżywała załamanie nerwowe. - Wylali mnie, wyszłam za mąż za oszusta podszywającego się pod kogoś innego, jestem w ciąży, równie dobrze mogłabym umrzeć. Gravy, ja sobie sama nie poradzę, Fałszywy Aaron miał rację. A jeżeli nie potrafię zadbać o siebie, to jak poradzę sobie z tym? - Wskazała brzuch.

- Po kolei. Owszem, wyszłaś za mąż za kogoś, kto podszywał się pod

innego, ale to się może przydarzyć każdemu - powiedziała Gravy, ujmując twarz Clarissy w dłonie. - Ale nie mogą ciebie wylać! Zastanów się tylko. To praca bez wynagrodzenia: jak mogliby cię wylać? Skurwiele! A macie! -Gravy kopnęła powietrze, jak zwykła robić, kiedy „ułożyła sobie coś w głowie”.

- Jestem oferumą! - rozdarła się Clarissa.

- Można o tobie powiedzieć dużo rzeczy - rzekła Gravy. - Dużo rzeczy. I to nie zawsze dobrych. Ale nie to, że jesteś oferumą.

Clarissa pociągnęła nosem.

- Gravy, będę miała dziecko. Nawet nie wiem, jak naprawdę ma na imię jego ojciec, który prowadzi się z rzadko spotykaną w naturze ślicznotką, nie mam pieniędzy, a kiedy wreszcie dostałam dobrą pracę, znalazłam coś, w czym jestem dobra - to mnie wylali. Nie ma tu żadnej tajemnicy, to nie jest odcinek *Kryminalnych zagadek Las Vegas*, pasuję do każdej definicji „ofermy”.

- Wszystkie kobiety zapisane w dziejach ludzkości borykały się z przeciwnościami - pocieszyła ją Gravy. - Rzuć dowolne nazwisko.

Clarissa popatrzyła na nią, unosząc głowę na tyle, że mogła normalnie oddychać, o ile jest to w ogóle możliwe u ciężarnej kobiety.

- Oprah?

- Afroamerykanka, biedna, pulchna, z wyjątkiem tygodnia na diecie Optifast, a do tego nie zapominaj, że ją zgwałcono - wyliczyła.

- Naprawdę? - spytała Clarissa. Wezbrała w niej nadzieja.

- Dawaj, wymień jeszcze kogoś.

Clarissa uśmiechnęła się. Czasami Gravy była taka mądra jak nowoczesny dalajlama.

- Madonna? - szepnęła.

- Pochodzi z robotniczej rodziny w Michigan, wcześniej straciła matkę, przyjechała do Nowego Jorku bez grosza, pieprzyła się z każdym, kto mógł jej pomóc w karierze.

- A na koniec wychodzi za najsympatyczniejszego faceta na świecie, i to nie trenera.

- Widzisz? - rzekła Gravy.

- I ma dwoje dzieci.

- I ma dwoje dzieci.

Westchnęły.

- Hillary Clinton.

- To oczywiste. Ona, najbystrzejsza dziewczyna, wyszła za najbystrzejszego faceta z najbardziej rozbrykanym futem. Przez osiem lat mieszkała w Białym Domu, hej, co w tym zabawnego?

Clarissa musiała przyznać jej rację.

- Przydałby ci się urlop - orzekła Gravy.

- Pewnie, że tak - potwierdziła Clarissa. - Tylko jak za niego zapłacić?

- Coś więcej niż urlop. Potrzebne ci duchowe przebudzenie - ciągnęła Gravy.

- Już to przesłałam, nie słuchałaś mnie? Omal nie zabiłam dwojga ludzi.

- Wiesz, że Polo jeździ na warsztaty odnowy.

- Do centrum jogi? Tam, gdzie nauczyciel pieprzy wszystkie zameżne adeptki i jeździ ich samochodami?

- Nie, nie - zaprzeczyła Gravy. - To jest ośrodek milczenia.

- Brzmi podejrzenie - skomentowała Clarissa, znużona. - Rozumiesz?

- Przez tydzień nie można rozmawiać.

- To nam się nigdy nie uda.

- To nam dobrze robi.

- Od kiedy chcesz zrobić dla siebie coś dobrego?

- Odkąd zrozumiałam, że nie mam wyboru - przyznała Gravy.

Clarissa zastanowiła się nad słowami przyjaciółki. Uznała, że mówi prawdę. Gravy zaliczyła większość znanych ludzkości grzechów. Tylko nigdy nie wystąpiła w ostrym pornosie. O ile Clarissa była dobrze poinformowana.

- Nie wytrzymasz.

- Wytrzymam, jeśli ty wytrzymasz.
- Ja nie wytrzymam. Gdzie to jest?
- W Ojai, ze dwie godziny jazdy - odparła Gravy. -Zgódź się, obu nam dobrze zrobi, jak zamkniemy buzię.

Clarissa już była gotowa się o to pokłócić, jednak się rozmyśliła: Gravy, jak zwykle, miała rację.

Rozdział dwudziesty szósty

Ogłuszająca cisza

Warsztaty odnowy zorganizowano w starym klasztorze, ulokowanym w przytulnej macicy falujących wzgórz. Ich stoki po łagodnym lecie to-nęły w głębokiej, soczystej, kojącej zieleni, a liście licznych drzew dopiero zaczynały przebarwiać się na brzegach w oczekiwaniu na jesień.

- Kurwa, zajebiście pięknie - powiedziała Gravy w charakterystycznym dla niej poetyckim stylu.

Mały, ręcznie wypisany drogowskaz skierował ich do pokoju, w którym kilkanaście osób siedziało na metalowych krzesłach i słuchało z zachwytem, uprzejmością bądź niepokojem mężczyzny z siwiejącą brodą, w stroju bez widocznych szwów.

- New Wave, były ćpun, AA, buddysta narodzony z hipisa - powiedziała Gravy trochę za głośno, gdy razem z Clarissą, w kamuflujących lotniczych okularach, stukając wysokimi obcasami, łyskając golizną znad nisko opuszczonych dżinsów „Seven” (Clarissa, choć w ciąży, wetknęła swoje pod brzuch), znalazły dla siebie miejsce w głębi pokoju, cztery rzędy za jakąkolwiek ludzką istotą.

Były jak niegrzeczne dzieci na lekcji algebry - ludzie przyglądali im się zza grubych szkieł, niesfornych włosów i wieku średniego.

- SS - syknęła Clarissa do Gravy jedną stroną ust jak ofiara wylewu. - Straszni starcy.

Ktoś je uciszył. Siwa Broda ciągnął wykład o zachowaniu milczenia.

- Co chcecie odnaleźć? Wewnętrzny spokój? Prawdę? Powód, dla którego wasza żona, mąż, matka, ojciec, syn lub córka was opuścili?

Umilkł. Clarissa z pogardliwym uśmieszkiem zerknęła na Gravy, wpatrującą się pilnie w Siwą Brodę. Ponieważ nudziło ją wszystko, co nie wiązało się z jedzeniem, zaczęła rozglądać się za czymś interesującym, na czym mogłaby zaczepić oko: grube białe ściany nie były niczym przyozdobione, więc skupiła uwagę na potylicach innych słuchaczy. Przyglądała się jednej po drugiej, odgadując ludzkie losy po wyglądzie włosów, zarysie ramion, wygięciu szyi.

Doszła do wniosku, że siedzą przed nią same ofiermy. Od razu poczuła się lepiej.

- Jedyne sposoby, aby znaleźć odpowiedź, to wejrzeć w siebie. A jedyny sposób, aby wejrzeć w siebie, to zablokować nadmiar bodźców, jakie towarzyszą naszemu codziennemu życiu, nadmiar słów, nadmiar obrazów, nadmiar hałasu, nadmiar wszystkiego. - Siwa Broda spojrział na Clarissę i Gravy. - Przez siedem dni nie wypowiedziecie ani jednego słowa do swojego sąsiada czy sąsiadki. Przez siedem dni będziecie wolni od brzmienia swojego głosu.

- Czy dostaniemy jeść? - Clarissa najpierw otworzyła usta, a dopiero potem podniosła rękę.

- Mamy coś do jedzenia, nawet jeśli trudno wam w to uwierzyć - odparł Siwa Broda i po jego twarzy rozszedł się uśmiech, łagodząc swoim ciepłem ostre rysy. - Śniadanie, lunch i kolację. Trzy wegańskie posiłki dziennie. Informacje o rozkładzie dnia znajdziecie w pakietach.

- Co to znaczy „wegańskie”? Czy to ma coś wspólnego z Lisą Bonet? - spytała Gravy.

- Pamiętasz, jak Polo przestała jeść kurczaka i chodzić w skórach? To coś takiego. A jeżeli ktoś zażyczy sobie dokładki? - spytała Clarissa.

Niektórzy się roześmieli, jakby to pytanie wydało się im zabawne. Dla

Clarissy było to pytanie praktyczne i warunkujące przeżycie.

- Widzę, dlaczego pytasz - rzekł Siwa Broda. - Gratuluję, że wyruszyłaś na tę wyprawę w tak szczególnym dla ciebie czasie. Twoje dziecko ci za to podziękuje.

- Kiedy zaczniemy milczeć? - spytała Gravy.

- Za pięć minut.

Po seminarium wprowadzającym Gravy i Clarissa, przy dźwiękach serenady własnych obcasów, poszły do swojego pokoju. Gravy poruszyła brwiami, wskazując Siwą Brodę. Clarissa potrząsnęła głową i pogroziła jej palcem. Weszły do pokoju numer dwanaście, niewielkiego, wykończonego ciemnym drewnem, z dwoma identycznymi łózkami. Jak dla lalek.

- Siedem dni - rzekła Clarissa, rozglądając się po pokoju.

- Ciii - uciszyła ją Gravy.

Kolację podano w niedużej stołówce, mieszczącej z jednej strony barek sałatkowy, podobny do tego u Denny'ego, a z drugiej barek z zupami - płynnymi wynalazkami w kolorze brązowym, szarym i zielonym. Clarissie było w to graj, bo zjadłaby nawet gumę z opon, nie mogąc doczekać się kolacji (o siódmej, zgodnie z planem dnia).

Cisza w stołówce rozbrzmiewała odgłosami wydawanymi przez kilkanaście osób, które żuły, siorbały, pokasywały, pociągały nosem, wzdychały i praktykowały niemal wszystkie funkcje ciała, tworząc bulgoczącą orkiestrę.

Clarissa i Gravy spożywały właśnie entuzjastycznie przyjęte danie: „Wega tofu z rusztu!”, smakujące jak przypalona gąbka z papryką, gdy komórka Gravy zagrała znany Clarissie dzwonek *I'm Too Sexy*. Wszyscy obecni, szesnaście osób (wliczając Siwą Brodę i towarzyszącą mu terapeutkę, wypłowiła od włosów aż do butów od Birkenstocka), odwrócili się i popatrzyli na Gravy z jednomyślnym milczącym wyrzutem: ten telefon miał być wyłączony, nieaktywny i odłożony na cały czas pobytu. Od przyjmowania pilnych wiadomości jest recepcjonistka.

Gravy nie poruszyła się. Pochwyciła i przytrzymała spojrzenie Clarissy, podczas gdy telefon ciągnął syreni taniec z połowy lat osiemdziesiątych.

Napięcie prysło, kiedy otworzyły się boczne drzwi. Pojawiła się w nich drobna postać w okularach przesłaniających pół głowy, omotana niemal po czubki delikatnych palców stóp w kaszmirowy zwój, który wyglądał, jakby narzucono go w pół sekundy, a prezentował się, jakby miał zostać uwieczniony przez fotografa dla działu mody „Harper's Bazaar”.

To musi być Ktoś Sławny, pomyślała Clarissa.

- Dzięki Bogu - rzekła na głos, ściągając gniewne spojrzenia milczących towarzyszy niedoli. Nawet najskromniejsza sława była lepsza niż żadna.

Spod szala lysnęły blond włosy, co nie uszło uwagi Clarissy.

„Madonna” - powiedziała Gravy, używając języka migowego, którego uczyły się obie na kursie w gimnazjum. Znajdująca się bliżej Clarissa potrząsnęła przecząco głową. Wpatrywała się w zwiewną sylwetkę, w patrycjuszowski nos z charakterystycznym dumnym łukiem, wystającym spod ciemnego...

„Zoë” - poruszyła bezgłośnie ustami Clarissa, bo Siwa Broda dostrzegł, że ona i Gravy przyglądają się Zoë Monroe, dziewczynie, o której magazyn „People” napisał: „Nie wschodząca gwiazda, lecz gwiazda świecąca pełnym blaskiem”. W wieku dwudziestu pięciu lat, tuż po ukończeniu Szkoły Dramatycznej Yale, została nominowana do nagrody Tony, zagrała w kilku filmach spółki Merchant i Ivory, była brana pod uwagę jako następna dziewczyna Austina Powersa, chodziła z byłym chłopakiem Gwyneth Paltrow i ukradła Winonie Ryder byłego byłego chłopaka, obecnie zaś podkładała głos Królowej Wrózek w filmie animowanym DreamWorks, przygotowywanym na Święto Dziękczynienia, i miała nie jednego, lecz kilku udokumentowanych prześladowców.

Gravy spojrzała w niebo, przebijając wzrokiem drewniany strop, jakby chciała podziękować Bogu za ten dar.

Clarissa przypieczętowała uśmiechem złamanie kodu chroniącego sławę i zabrała się za tofu, zadowolona, że ma uwagę zajęłą czymś innym i nie musi jej skupiać na wrażeniach smakowych.

Gdy Gravy głośno chrapała - Clarissa wiedziała z doświadczenia, że chudeusze chrapią o wiele głośniej od grubasów - jej przyjaciółka zastanawiała się, dlaczego Zoë przyjechała na warsztaty milczącej odnowy. Pamiętała słowa guru Oprah: każde przypadkowe spotkanie coś znaczy; obecność Zoë właśnie w tym miejscu też coś znaczyła, Clarissa musiała się jedynie dowiedzieć co.

Leżała pod ciężarem dziecka, przekręcając się z boku na bok na małym, twardym łóżku, i słuchała chrząkania Gravy, aż w końcu uznała, że nie zaśnie, wobec czego postanowiła skorzystać z bezpiecznego otoczenia klasztoru. Wstała, owinęła się szlafrokiem Gravy, który był ładniejszy od jej szlafroka, wysunęła się przez drzwi i poszła korytarzem. W przyklasztornym ogrodzie, na końcu alejki, skąpana w świetle księżyca, stała ławka podpisana jej imieniem.

Przez chwilę Clarissa pomyślała, jak by to było romantycznie iść tą alejką z Falszywym Aaronem, usiąść razem w ciemności, oprzeć głowę na ramieniu ukochanego i poczuć, jak jego pierś unosi się z każdym oddechem.

Aż przypomniała sobie, że z nim nie rozmawia.

Clarissa, mimo że nie wzięła latarki, odnalazła swoją ławkę, okazało się jednak, że ktoś ją zawłaszczył: dostrzegła ciemną postać, świetlisty punkcik wielkości gumki na ołówku - jakiś cień palił papierosa na jej ławce!

Stanąła jak wryta, a potem uznała, że nie szła tu po to, żeby wycofać się rakiem. Zrobiła trochę hałasu, nie tyle jednak, by kogokolwiek wystraszyć, ale i tak palący cień podskoczył i Clarissa raptem znalazła się twarzą w twarz z Zoë Monroe.

Jest o wiele drobniejsza, niż się spodziewałam, pomyślała.

Stały naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Najpierw jedna próbowała coś powiedzieć, potem druga, ale żadna, z jakiegoś głupiego powodu, nie chciała złamać regulaminu cichego obozu.

W końcu obie usiadły. Zoë zgasila papierosa, gdy zauważyła, że powiększony obwód talii Clarissy nie jest wynikiem genetycznych obciążeń. Wydawało się, że siedzą w całkowitym milczeniu długie godziny, choć w rzeczywistości upłynęły trzy kwadranse. Patrzyły na grę księżycowej poświaty na drzewach, poruszających się na lekkim wietrze miękko i regularnie, w rytm oddechu. Mimo milczenia kobietom udało się porozumieć.

Zoë wstała pierwsza; uśmiechnęła się do Clarissy i zostawiła po sobie aurę smutku oraz paczkę papierosów „Salem”, zdaniem Clarissy nie pasujących do chudej białej dziewczyny, ale w końcu kim ona była, żeby oceniać Zoë?

Nie mogła się doczekać, kiedy powie Gravy, że ma nową przyjaciółkę Zoë, a potem przypomniała sobie, że nie może mówić. Na szczęście jednak mogła o tym napisać.

Piąta trzydzieści rano (zgodnie z rozkładem dnia; buddyści, jak widać, nie wylegają się w łózkach). Oto list, jaki Gravy znalazła po przebudzeniu:

Kochana Gravy!
Jak wiesz, jesteś moją najbliższą przyjaciółką
i kumpelką (i współprzewodniczącą Tylną)
od wielu lat, muszę cię jednak
poinformować, że ponieważ bardzo
zaprzysiężam się z Zoë, Twoje listy nie będą
mi już potrzebne.

Pozdrawiam Cię,
Clarissa

Gravy z łatwością przeczytała napisany odwróconym pismem list; wyćwiczyła sobie oko, bo obie z Clarissą bez przerwy wymieniały takie liściki w siódmej klasie pod okiem wychowawcy, pana Rippeya. Nim

zażądała wyjaśnień od Clarissy, która już była ubrana, ta przycisnęła palec do ust, wówczas Gravy chwyciła ołówek i cisnęła nim w koleżankę. Clarissa opisała więc to, co zapamiętała z minionej nocy.

Gravy, też na piśmie, błagała ją, żeby została z nią do wieczora; Clarissa odpisała, że się zastanowi, lecz ponieważ jej przyjaźń z Zoë jest młoda i dopiero się kształtuje, musi ją chronić wszelkimi dostępnymi sposobami. Gravy zaprotestowała żarliwie, znów na piśmie, po czym ruszyły na śniadanie do stołówki, gdzie zorientowały się, że trąbienie na pobudkę o wpół do szóstej sygnalizowało czas na oddychanie i medytację; śniadanie było dopiero o siódmej.

Uświadomiwszy to sobie, Clarissa zaczęła obmyślać sposoby ucieczki - odłożyła ją jednak na później, aż utrwali więź z Zoë.

Tymczasem w ciągu półtora dnia od przyjazdu do ośrodka milczenia Gravy została lekliwą akolitką Siwej Brody; ta kobieta-dziecko, która zwykle nie budziła się przed jedenastą, teraz wstawała o wpół do szóstej, żeby medytować; ta dziewczyna, która kładła się spać nie wcześniej niż o trzeciej (zwykle), teraz zasypiała kwadrans przed dziewiątą. Rezultat tego czystego życia? Gravy nie pozwoliła przyjaciółce jechać do Los Angeles swoim samochodem - Clarissa została uziemiona. Wszystkie jej karty kredytowe były zablokowane, miała przy sobie ledwie dwadzieścia dolarów, ale po drugim dniu milczenia i stroganoffie z pszenicy nie myślała o niczym innym, jak tylko o tym, żeby się stąd wydostać.

Snęła plany ucieczki, czekając na swoją nową najlepszą przyjaciółkę na ławce, na której siedziały razem poprzedniego wieczoru. Zoë nie sprawiła jej zawodu. Zjawiała się kilka chwil po Clarissie, z wymuszonym półuśmiechem na ustach, bosa i ubrana w coś przypominającego pajęczynę, coś delikatnego jak ona sama.

Zoë usiadła, podwinęła nogi tak, jak potrafią tylko urodziwe chude aktorki (Clarissa próbowała kiedyś manewrować w podobny sposób, ale coś lupnęło ją w krzyżu), i na ślicznej twarzy odmalowała się stosowna

udręka, przez co jej rysy... wyglądały obłędnie pięknie. Okazywanie uczuć według metody Stanisławskiego, pomyślała Clarissa. Nikt, kto nosi rozmiar mniejszy niż czwórka, nie mógłby być aż tak zrozpaczony.

Minuty meandrowały, a Clarissa była świadoma każdego oddechu niebiańskiej istoty, która dzieliła z nią ławkę. Każdego westchnienia, każdego pomruku, a czasem nawet cichego jęku. Rozpoznała zabarwienie smutku nowej najlepszej przyjaciółki, ponieważ odzwierciedlał jej smutek. Wkrótce dopasowały się do siebie, westchnienie do westchnienia, jęk do jęku, a wreszcie łza do łzy.

Clarissa płakała, łkała na ławce, w środku nocy, w środku głuszy, razem z Zoë Monroe.

Płakały z tego samego powodu. Z powodu mężczyzny.

Trzeciego dnia po lunchu Gravy, ubrana w strój do jogi, popędziła na coś, co nazywało się Kosmiczne Oczyszczanie Odbytu; Clarissa, przebrnąwszy przez Cebulową Niespodziankę, popędziła do czegoś, co nazywało się Kluczyki do Samochodu Gravy.

Wbiegła do pokoju numer dwanaście, zamknęła drzwi, zaczęła przetrzucać rzeczy Gravy: tampony, skamieniałe miętówki, kawałki menu z narysowanymi wzorami pierścionków, monety, kondomy (pobożne życzenie!), zamglone fotografie i klucze.

Klucze!

Clarissa pospiesznie napisała liścik na papeterii ośrodka - w recyklingowym kolorze, z drobinami drewna wtłoczonymi w papier dla przypomnienia piszącemu o szlachetnym rodowodzie materiału.

Wziąłem klucze, przeszedłem, Kocham Cię
Przeszedłem, musiałem koniecznie
Przeszedłem, C. C. C.
P.S. Przysięgę do ciebie za cztery dni. Szpoko!

Miała już spakowane torby (trzy - jak zwykle zabrała za dużo rzeczy, zwłaszcza że na warsztatach ubiór nie miał znaczenia, wręcz nie zwracano na niego uwagi), to znaczy wrzuciła do nich ubrania z samego rana. Zmieniła klapki na sportowe buty i zaczęła obmyślać, jak by tu przemieścić torby z pokoju do samochodu Gravy, żeby nie wyglądało na to, że się wykrada. Postanowiła wyrzucić je przez okno. Pękate torby wylądowały na ziemi, na szczęście nikogo nie zabijając.

Clarissa wyszła na korytarz i została wchłonięta przez ludzką falę, przetaczającą się w stronę głównej „sali uzdrowień” - dużego pięciokątowego pomieszczenia wypełnionego poduszkami. Weszła tam razem z innymi, usiadła na podłodze jak najbliżej drzwi, przypuszczając, że uda jej się uciec w połowie przedpołudniowej medytacji. Siwa Broda stanął pod ścianą, uderzył w duży gong i wszyscy w milczeniu usiedli. Clarissa skupiła się na upatrywaniu momentu, w którym mogłaby się wymknąć, i na powstrzymaniu krępujących odgłosów żołądkowo-jelitowych.

Po kilku minutach (trudno powiedzieć dokładnie ilu, bo nigdzie nie powieszono zegara, a zegarki nie były mile widziane) otworzyły się raptem drzwi i stanął w nich Aaron, zdyszany jak po przebiegnięciu maratonu.

Falszywy Aaron.

- Clarisso! - zawołał. - Jen powiedziała mi, gdzie jesteś. Mogę ci wszystko wyjaśnić. - Ruszył w jej stronę, manewrując przez morze poduszek i ludzi.

Siwa Broda poderwał się i zaczął machać rękami, a wtedy Falszywy Aaron też mu pomachał, na powitanie.

Oszołomiona Clarissa wstała, zachwiała się i próbowała coś odpowiedzieć bez wydawania głosu.

- Wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać - rzekł Falszywy Aaron. - Myślisz, że kłamałem, owszem, zgadza się, kłamałem, ale nie dzielmy włosa na czworo.

Siwa Broda poczerwieniał na twarzy; milczący uczestnicy warsztatów wrzeli milczącym gniewem.

- To nie może tak wiecznie trwać - rzekł Falszywy Aaron, gdy Clarissa

dała mu znak, żeby się zamknął. - Clarisso, żądam, żebyś ze mną porozmawiała!

Siwa Broda podszedł do Falszywego Aarona i wziął go pod łokieć, usiłując wyprowadzić z sali.

Duży błąd.

Falszywy Aaron wpakował się z powrotem.

- Mam prawo tutaj być, to moje dziecko! - zawołał, gdy Siwa Broda zaczął się z nim mocować.

- To nie jest twoje dziecko - powiedział ktoś inny od drzwi. - Clarisso, kochanie, nic ci nie jest? Suzee uprzedziła mnie, że ten wariat chce ci zrobić krzywdę. - Simon był ubrany jakby szedł na kort w Wimbledonie. - Dała mi wskazówki, jak tu dojechać, powiedziała, że to uzdrowisko, czy to naprawdę jest uzdrowisko? Ci ludzie nie wyglądają na zadowolonych. Mają tu shiatsu?

- Co on tu robi? - spytał Falszywy Aaron.

Clarissa nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć; patrzyła jak zahipnotyzowana na rozgrywającą się przed nią katastrofę, a poza tym uczestniczyła przecież w warsztatach milczącej odnowy.

- Mam wszelkie prawo tu być - odparł Simon. - Jestem ojcem jej dziecka.

W tym momencie Falszywy Aaron rzucił się na Simona, Simon odskoczył w prawo, a Falszywy Aaron wpadł na Milczącą Obozowiczkę, kobietę w średnim wieku, która, jak się okazało, miała niezły lewy sierpowy. Przyłożyła Falszywemu Aaronowi w twarz, a Simon z tego skorzystał i wskoczył mu na plecy.

Mniej więcej wtedy właśnie, jak to się mówi, rozpętało się piekło - zaczęły fruwać poduszki, Milczący Obozowicze skakali bezładnie, ale krzyczeli wciąż tylko Simon i Falszywy Aaron.

Clarissa patrzyła, zastanawiając się, czy biją się o nią, czy o własną dumę. Nie zamierzała jednak czekać razem ze swoim pakunczkiem na wynik rozrywki.

Uciekła, kiedy Falszywy Aaron pochwycił Simona i zaczął nim kręcić jak łąkiem w białych skarpetkach.

Wypadła głównym wyjściem i pobiegła do miejsca, gdzie wyrzuciła torby. Usłyszała głośnie chrząkanie, jakie wydają napalone pawiany na Nature Channel. Uniosła głowę i zobaczyła Zoë, spoglądającą w dół z okna na pierwszym piętrze, z miną jak wielki znak zapytania, idealną na okładkę gazety z programem telewizyjnym.

Clarissa westchnęła i wykonała charakterystyczny gest.

„Pieprzę ten dom wariatów” - powiedziała bez słów.

Zoë uniosła ręce w geście rozpaczki. Clarissie wydawało się, że chce ją „namówić”, żeby została. Znieruchomiała z ciekawości, w jaki sposób Zoë, jej nowa najlepsza przyjaciółka, dokona tego wyczynu bez posługiwania się mową, a potem zaniepokoiła się, że jej nowa najlepsza przyjaciółka doniesie na nią i znów minie kilka dni bez widoku czerwonego mięsa.

Zastanawiając się nad konsekwencjami jedzenia przez pół tygodnia sojowej kielbasy, usłyszała hałas. Czyżby walka przeniosła się na zewnątrz budynku? - pomyślała. Ale oto na parking zajechał ostro samochód i zanim jeszcze się zatrzymał, wysypali się z niego pasażerowie. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak uzbrojeni w kałasznikowy terroryści, a na drugi - jak fotoreporterzy z aparatami wyposażonymi w teleobiektywy wielkości małych aut.

Clarissa popatrzyła na okno Zoë i zrozumiała, co się wydarzyło: jej nowa najlepsza przyjaciółka też została przez kogoś wydana.

Pobiegła do samochodu Gravy, mijając spieszących w przeciwnym kierunku fotoreporterów - dużych mężczyzn, stawiających wymierzone ostrożne kroczki i tulących swój sprzęt, jakby to były niemowlęta. U uruchomiła silnik i popędziła przed fronton klasztoru, skąd według jej przewidywań powinna wybiec niczego nieświadoma, bezbronna Zoë.

Okrążyła parking najszybciej, jak umiała, z czterema kołami przylegającymi do asfaltu. Zoë wybiegła sama, dźwigając torbę wolną od jakichkolwiek ozdób, co wskazywało, że musiała być bardzo droga. Clarissa zahamowała tuż przed nią.

- Pospiesz się! - krzyknęła, otwierając drzwi. - Gonią za tobą!

Zoë popatrzyła na nią zatroskana, ze stopą znieruchomiałą w pół kroku. Clarissa wyczuła jej wahanie i domyśliła się, skąd się wzięło.

- Fotoreporterzy! - krzyknęła, wyjaśniając swe nienaturalne podniecenie. - Widziałam, jak pędzą do wejścia!

Zoë, ku zdziwieniu Clarissy, wcale nie podbiegła do samochodu. Rozejrzała się, osłaniając przed słońcem gładką twarz bez piegów. Była zaciekawiona, wcale się nie bała.

- No cóż - rzekła, otwierając tylne drzwiczki, żeby wrzucić do środka bagaż. - Chyba się z nimi minęłam.

Zoë i Clarissa siedziały przed McDonaldem w połowie drogi między Ojai i Los Angeles, otoczone małymi dziećmi i matkami, prostymi kobietami - nikt nie poznał aktorki. Clarissa domyślała się, że mamy są pewnie zbyt zmęczone, a Zoë wprawdzie grała w filmach, ale nie miała na koncie prawdziwego hitu.

- Przykro mi z powodu ciebie i tego... - Clarissa zapomniała jego imienia. Miała na myśli aktora o głowie jak siekiera, na którego miejsce można by znaleźć dowolną ilość młodych, aroganckich typków, nadających się na prezenterów kanału rozrywkowego.

- Pomyślałam, że pomogłoby mi, gdyby fotoreporterzy uchwycili mnie w takim stanie, a on zobaczył, jaka jestem smutna - powiedziała Zoë, zjadając frytki Clarissy i big maca.

- Stać cię na kogoś lepszego - zapewniła Clarissa. - Muszę w to wierzyć, bo komu miałyby się udać, jeśli nie tobie.

Zoë pokiwała głową, jakby ta prosta czynność wymagała dużego wysiłku. Dotknęła dłoni Clarissy.

- Nie masz pierścionka? - spytała.

- To długa historia - odparła Clarissa. - No więc tak. Poznałam face-
ta, pobraliśmy się, zaszłam w ciążę, rozstaliśmy się, dowiedziałam się, że
nie jest tym, za kogo się podaje, znalazłam pracę w „Climate”, pisałam
relacje z imprez, byłam w tym naprawdę dobra, ale mnie wylali, to też
długa historia, no a potem wylądowałam na warsztatach odnowy z naj-
lepszą przyjaciółką, a teraz, kiedy mój wkrótce były mąż, którego nadal
lubię, chociaż jestem na niego wściekła i nie znam jego prawdziwego
nazwiska, oraz mój były chłopak, który jest atrakcyjny, ale boi się zob-
wiązań, toczą cichą bitwę na poduszki, kradnę samochód przyjaciółce i
uciekam razem z Zoë Monroe.

Zoë spojrzała na nią i zaczęła się śmiać.

Clarissa wzruszyła ramionami, z przyjemnością słuchając delikatne-
go jak chińskie dzwonki śmiechu nowej najlepszej przyjaciółki. Zoë zer-
knęła na zegarek (od Cartiera, platynowy, skórzany pasek) i zmarszczyła
idealne brwi w wyraz zafrasowania.

- O wpół do piątej mam Yuna.

- Yuna?

- Najlepszy spec od wosku w Los Angeles, prawdziwy magik.

Wzięły tace, resztki pół-Szczęśliwych Posiłków i ruszyły w stronę po-
jemników na śmieci.

- Hej, przyjdiesz na moje pępkowe? - spytała Clarissa, gdy wycho-
dziły.

Rozdział dwudziesty siódmy

Piekielne pępkowe

O pierwszej po południu w słoneczną południowokalifornijską niedzielę, godzinę po rozpoczęciu wydanego przez Clarissę pępkowego przyjęcia (pierwszego w dziejach Trybunału), nadal trwał spór wokół zaproszeń.

- Kto dał się zrobić w coś takiego? - mówiła Polo. - To przypomina Laurę Ashley, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi.

- Sama je zaprojektowałam - broniła się Jen, patrząc na białe zaproszenie z fantazyjnymi literami i koronkową obwódką.

- Jeżeli ci się nie podobały, Polio, to dlaczego nic nie powiedziałaś na pierwszym spotkaniu? - rzekła Gravy. - Gdzie jest Zła?

- Upowiedziała, że się spóźni, przygotowała niespodziankę - zapowiedziała Jen.

- Polo jest zbyt zajęta pieprzeniem, żeby skupić się na zaproszeniach - rzekła Clarissa.

Obejrzała się na cztery stoliki, każdy na sześć osób. Zwróciła uwagę, że kilka kobiet sprawdza kartoniki z nazwiskami. Jedna z nich, daleka (ale bogata) kuzynka, wzięła kartonik ze swoim nazwiskiem i przeniosła go na inny stolik.

- Z tym trafiłaś. Raz parkuje jeden, raz dwóch, a raz trzech - przyznała się Polo. - Poznałam nowego faceta, nie ma na czym oka zaczepić poza dyplomami i cyframi na czekach.

Clarissa nie mogła oderwać oczu od stolików. Jeszcze jedna kobieta, którą znała i której nie lubiła, jak wielu innych, od czasów gimnazjum, przedstawiała swoje nazwisko.

- Jeżeli mamy omawiać miłosne podboje, to mnie jest potrzebna druga „mimoza” - powiedziała Gravy i już ruszała na poszukiwanie szampana z sokiem pomarańczowym, gdy Clarissa przytrzymała ją za rękę.

- Spójrz tylko, spójrz, co się dzieje.

Dziewczyny obejrzały się na stoliki, przy których gromadziło się coraz więcej kobiet. Każda miała włosy do ramion, ułożone przez Melinę, uda wymasowane w „Zone”, brwi zrobione przez Anastasię albo Faith, zabiegi laserem - przez Lancer. Miały od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat, lecz ich starannie wypielęgnowane fasady właściwie niczym się między sobą nie różniły. Każda z tych kobiet - kiedy myślała, że nikt nie patrzy - brała kartonik ze swoim nazwiskiem i zamieniała go z innym, na drugim stoliku. Przypominało to jakiś szalony układ choreograficzny Bolanchine'a. Misty Anderson (trzydzieści pięć lat, w ciąży przez cztery lata z rządu, mąż adwokat zdradzał ją z instruktorką jogi dla ciężarnych) zamieniała kartonik z Tabithą Yancy (dwadzieścia dziewięć lat, niezamężna, agentka telewizyjna, starająca się złowić niskiego, humorzastego kierownika studia); Eve Smooty (czterdzieści lat, blondynka, świński nos, żonata i dzieciata, ale gotowa pieprzyć się ze wszystkim, co się rusza) umieściła swój kartonik, nie wiedzieć czemu, obok miejsca Gravy.

- Co ona robi? Nienawidzę jej. Ile razy ją spotykam, zmusza mnie, żebym opowiadała o swoim ojcu - rzekła Gravy. - Wielka cipastrofa.

- Ktoś źle rozstawił kartoniki - zauważyła Polo. - Nikt nie lubi siedzieć obok kogoś, kogo nienawidzi.

- Najlepsi ludzie nienawidzą wszystkich - rzuciła Clarissa.

- Osiemdziesiąt razy sprawdzałam rozmieszczenie gości - rzekła Jen.

- Siedziałam po nocach i w weekendy nad kartkami z nazwiskami.

Przy stolikach wciąż gromadziły się kobiety, szukały swojego nazwiska i przestawiały kartoniki według własnego widzimisię.

- Mam to gdzieś - powiedziała wreszcie Clarissa. - Nie obchodzi mnie, kto obok usiądzie, jestem...

- Głodna? - podpowiedział Trybunał.

Clarissa i jej przyjaciółki rozdzieliły się, każda usiadła przy innym stoliku i szybko się okazało, że błazeński taniec nazwisk nic nie dał - kartoniki wylądowały w końcu dokładnie tam, skąd je zabrano, i wszyscy byli zadowoleni.

Dwadzieścia minut później, gdy Clarissa pogryzała cienkie wafelki i bekonowe paseczki (minijedzenie dla mini-dziecka, no nie?) i obmyślała, jak by tu wyłudzić jeszcze tuzin tych przekąsek od skąpego kelnera, wpadła Zła Suzee z torbą od Diaper Genie.

- Kotuś! - powiedziała. - Przepraszam za spóźnienie, jestem potwornie zabiegana!

- Cześć, Zła - odparła Clarissa. - Może zostało trochę muchomorów, zajrzyj do kuchni.

- Przyniosłam grę! - oznajmiła Suzee.

- Grę? Jaką grę? - spytała Clarissa, oglądając się na Jen, pogrążoną w rozmowie z równie starannie uczesaną, co zakonserwowaną sąsiadką przy stoliku. - Wyraźnie zaznaczyłam, że nie życzę sobie żadnych gier.

- Nie powiedziałaś tego aż tak wyraźnie. To jest zresztą tylko mała krzyżówka, okropnie się nad nią namęczyłam - rzekła Suzee, rozdając stroniczki kobietom.

- Krzyżówka?

- Są w niej imiona wszystkich twoich chłopaków, licząc od przedszkola - wyjaśniła Suzee. - Stolik, który pierwszy prawidłowo odgadnie hasła, wygrywa świecę wotywną o zapachu wanilii!

- Gravy! - krzyknęła Clarissa. - Ty się na to zgodziłaś?

- Jestem niewinna - odparła Gravy, gdy Clarissa pomachała kartką, i sama pomachała pustym kieliszkiem po szampanie.

- Co się tak przejmujesz? To dla zabawy - rzekła Suzee.
- Chociaż może nam to zająć trochę czasu. Było ich tylu, tylu... tylu...

Clarissa przestała jej słuchać i spojrzała na Jen, która rozmawiała przez komórkę, idąc do salonu. Polo dostała ataku kichania; popatrzyła na Clarissę i bezgłośnie poruszyła wargami, wymawiając słowa „katar sienny”.

Gospodyni przyjęcia oparła głowę na dłoniach, marząc o pogrążeniu się we śnie, lecz do uszu wdzierały się głosy kobiet, ze śmiechem wykrzykujących imiona jej dawnych chłopaków - niektórych już nawet nie pamiętała, a większość starała się zapomnieć. Trwała w tym półśnie, aż znowu nabrała apetytu i to na coś większego niż mała przekąska. Wysunęła krzesło i już miała ruszyć do kuchni, kiedy ktoś na nią wpadł od tyłu.

Uniosła głowę i zobaczyła Falszywego Aarona, czystego i wyszykowanego (mimo podbitego oka), z prezentem. Obok niego stała Jen, patrząca ufnie, z twarzą, jak zawsze, pełną nadziei.

- Popatrz, kto przyszedł. Czy to nie miłe? - spytała.
- Miłe? Miłe?! - powtórzyła Clarissa.

Potoczyła dokoła spojrzeniem. Dwadzieścia trzy kobiety i dwóch bezczelnych kelnerów wlepiło w nią wzrok.

- Do kuchni! Jazda!

Clarissa wstała (z pomocą Falszywego Aarona i Jen). Gravy, Polo, a na koniec podskakująca Suzee ruszyły za nimi do kuchni.

- Ukartowałyście to, żeby mnie upokorzyć? - spytała Clarissa i upokorzyła się jeszcze bardziej, wpychając do ust małe kiełbaski prosto z patelni.

- Jak mogłam o tym nie pomyśleć! To geniaaaaalne! - wykrzyknęła Suzee.

- Nie wiedziałam, że przyjdzie - zapewniła Gravy, wskazując Falszywego Aarona kciukiem, na którym miała jeden z nowych, zaprojektowanych

przez siebie pierścionków, szeroką srebrną opaskę z wygrawerowanym wzorem matematycznym. Pierścioneł był masywny, niepraktyczny i nieładny, więc powinien się świetnie sprzedawać.

- Ja też nie - dorzuciła Polo.

- A ja żałuję, że sama tego nie zaplanowałam! - wyznała Suzee.

- Wypchaj się, Zła - fuknęła Clarissa. - Jen? Wiedziałaś, że Fałszywy Aaron przyjdzie tu i zepsuje mi piękny dzień?

- Czy mogę coś wtrącić? - wtrącił Fałszywy Aaron. - Ponieważ jestem stroną zainteresowaną.

- Och, możemy się obejść bez pańskich zainteresowań, panie podrabiany Aaronie, który przyprowadza na przyjęcie przyjaciółkę ideał, żeby dokuczyć własnej żonie - usadziła go Gravy.

- Przede wszystkim tamta dziewczyna jest przyjaciółką Aarona - sprostował Fałszywy Aaron.

Ale Clarissa nie słuchała Fałszywego Aarona - całą uwagę skupiła na Gravy.

- Jak to „ideał”? - spytała. - Wydała ci się ideałem?

- Ty pierwsza tak powiedziałaś...

- Ja mam prawo nazywać ją ideałem, a ty nie. To jest tak, jakbym miała nos podobny do poprzedniego nosa Suzee i nie chciała, żeby ktoś o tym wspominał.

- Ja nie miałam z tym nic wspólnego - zarzekła się Polo.

- Oczywiście. Ty przejmujesz się tylko tym, z kim pójdiesz do łóżka - wypomniała, o dziwo, Jen.

- Co? - spytała Polo.

- Co?! - spytała Gravy.

- Chciałem tylko zostawić prezent, Clarisso - rzekł Fałszywy Aaron. - Chcę zrobić to, co należy.

- Co należy? Co za ciemnotę nam tu wciskasz? - oburzyła się Gravy. - Nie wiemy nawet, kim jesteś!

- Clarissa i ja sami o tym porozmawiamy, to nasz związek, nie wasz - podkreślił Fałszywy Aaron.

- Clarissa jest moją najlepszą przyjaciółką - powiedziała Gravy.

- Myślałam, że to ja jestem twoją najlepszą przyjaciółką - rzekła Polo.
- Ona tak mówi każdej - rzuciła Jen.
- Co?! - oburzyła się Gravy. - Obchodzimy dziś Dzień Naskakiwania na Gravy? Czyżbym przeoczyła raport specjalny CNN?
- Nikt na ciebie nie naskakuje - zapewniła Clarissa.
- Od wielu miesięcy, kochanie - rzekła Polo, powolna zarówno w mowie, jak i w ciele.
- Dlatego kobiety i mężczyźni nie mogą razem żyć - wyjaśnił Fałszywy Aaron. - Czy ktoś ma papierosa? Wychodzę na dwór.
- Jesteś prawdziwą suką - rzekła Gravy do Polo.
- Uczylałam się u eksperta - odcięła się zaatakowana.
- Jesteś niesprawiedliwa, Polo - powiedziała Jen. - Nawet jeśli Gravy jest suką, to jest naszą suką.

Od tej chwili wypadki potoczyły się lawinowo. Gravy kłóciła się z Polo, która kłóciła się z Jen, która z kolei kłóciła się z Gravy. Clarissa stała, z tłustymi palcami i opuchniętymi kostkami, i usiłowała rozładować zamieszanie, podczas gdy Suzee usiadła wygodnie na pieńku do rąbania pośrodku kuchni i z wyrazem satysfakcji na twarzy, popijając szampana obserwowała awanturę. Fałszywy Aaron wyrzucił ręce w górę, wołając: „Poddaję się!”, po czym „wypadł jak burza”, nadając nadużywanemu filmowemu zwrotowi nowe znaczenie.

Chwilę później Polo lub któraś inna powiedziała: „Nie chcę cię więcej znać”, na co Gravy lub któraś inna odparowała: „Nie chcę więcej znać żadnej z was”, Clarissa zaczęła błagać Jen, żeby przemówiła tamtym do rozsądku, ale Jen też miała dosyć i niebawem Clarissa została sama z Suzee, która dopijała resztkę szampana, huśtała chudymi nogami i poruszała cienkimi brwiami, o ile pozwalał jej na to botoks.

- Chcesz rozpakować prezenty? - spytała.
- Clarisso, kochanie - powiedział Simon, wciskając się przez kuchenne drzwi z ogromną żółtą kaczka.

Skąd u mężczyzn to zamiłowanie do pluszowych zwierząt? - pomyślała Clarissa.

- Mam nadzieję, że nic mnie nie ominęło - rzekł Simon.

Suzee rzuciła mu zmijowe spojrzenie, zsunęła się z pieńka, wężowym ruchem objęła go w pasie i poprowadziła na podwórkę. „Od czego by tu zacząć?” - to były ostatnie słowa Złej Suzee, jakie usłyszała Clarissa, osuwając się na podłogę całym ciężarnym ciężarem osiemdziesięciu trzech i pół (osiemdziesięciu pięciu) kilograma.

Po chwili intensywnego użalania się nad sobą popatrzyła na kuchenny blat, gdzie leżał pozostawiony przez Fałszywego Aarona prezent.

Wstała, co zajęło trochę czasu, i podeszła do blatu. Prezent był starannie zapakowany. Płaski pakunek, sądząc po wadze - rama do obrazka. Clarissa z pogardliwym uśmiechem zaczęła ściągać liliową bibułę - rama do obrazka od ojca dziecka. Cóż za profesjonalizm! - pomyślała.

A potem zobaczyła, co to jest: obraz. Akwarela, sprzedana na aukcji podczas tej ostatniej okropnej imprezy charytatywnej. Właśnie ta, której zapragnęła, a którą wygrał Prawdziwy Aaron.

Żaglówki o zmierzchu były jej.

Clarissa położyła obraz na blacie i długo przyglądała się prostej akwareli, która tak jej się spodobała. Rozmyślała nad odmianą, jaka zaszła w jej życiu w ciągu minionego roku. Pomyślała o tym, kim była, kiedy zaczynała, i o tym, kim w przyszłości zostanie.

A potem zjadła talerz małych bułeczek z jagodami kanadyjskimi.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przychodzi na świat... Co to jest?

Wielki dzień Teddy'ego w sądzie przyszedł i minął bez śladu - jeśli nie liczyć wyroku półrocznego pobytu w więzieniu federalnym. Szczęście uśmiechnęło się do niego o tyle, że odsiadka miała się rozpocząć za tydzień, mógł więc wybrać się razem z córką na charytatywną Galę Młodszych Aniołów do „Stardust Palladium” w centrum Hollywood i popatrzeć, jak jego była żona, w trykotach i z cylindrem, wraz z dwudziestoma innymi starszymi paniami wykonuje niekończący się ciąg numerów tanecznych ze stepowaniem do melodii, które już były stare, kiedy były nowe.

- Mogło być gorzej - powiedział Teddy, wioząc Clarissę Hollywood Boulevard do „Palladium”. - Dziękuję Bogu za Aarona. Załatwił mi prawnika giętkiego, kurna, jak scyzoryk.

Clarissa poprawiła pas bezpieczeństwa, zsuwając go pod wielki brzuch. Pod pępkiem sterczał jej łokieć albo kolano. Potarła wystającą grudkę i poruszyła biodrami. Nie powiedziała jeszcze ojcu, że Aaron nie jest Aaronem - i bez tego miał wystarczająco skomplikowane życie.

- To przynajmniej nie będzie trwało tak długo jak to przedstawienie.
- Clarissa. Dość tego. Musisz dać więcej wsparcia matce.
- A czy ja nie daję jej wsparcia, pokazując się na takiej imprezie?
- Troszczyła się o ciebie przez te wszystkie miesiące. Okaż jej trochę

szacunku - upomniął Teddy i obejrzał się na córkę.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytała Clarissa. Popatrzyła na ojca, który miał bardzo poważną minę.

- Co we mnie wstąpiło? - Teddy potrząsnął głową. - Clarisso, mam sześćdziesiąt lat i po raz drugi w życiu idę do więzienia. Mam byłą żonę, którą zdradzałem przez połowę naszego małżeństwa, i córkę, która traktuje mnie jak skaranie boskie, chyba że chce ode mnie pieniędzy.

- A czyja to wina? - spytała Clarissa.

- Moja, Clarisso - przyznał. - Moja wina.

- Tylko tak mówisz. Znam cię, Teddy.

- Nie musisz mi wierzyć, Clarisso - odparł Teddy. - Po prostu uważam, że powinnaś trochę lepiej traktować matkę, to wszystko.

Zagłębiła się w fotelu i wyjrzała przez okno: ona, kobieta dwudziestodwuletnia (trzydziestodwuletnia), która lada dzień miała rodzić, nagle poczuła się jak karcona przez ojca dwunastolatka.

- Dąsas się - rzekł Teddy.

- Wcale się nie dąsam - odparła Clarissa z nadąsaną miną.

Teddy pociągnął córkę za dolną wargę, jak to robił, kiedy była dzieckiem.

- A to co? - spytał.

- Nie dąsam się! - odparła nadąsaną.

Gala Młodszych Aniołów była melanzem czerwonych warg oraz przy-pudrowanych twarzy i nóg, które wyglądały na dwadzieścia pięć lat, ale chodziły po tym świecie co najmniej pięćdziesiąt. Kiedy na scenę wyszła matka Clarissy, Teddy wrzasnął jak uczeń szkoły średniej, pierwszy raz odwiedzający restaurację „Hooters” z seksownymi kelnerkami. Clarissa obejrzała się na ojca, który klaskał i gwizdał, z oczami rozjarzonymi by-najmniej nie alkoholowym płomieniem, i pojęła, że Teddy nadal kocha jej matkę, nawet po tym, jak ściągnęli na siebie wszystkie możliwe katastrofy.

Clarissa zastanawiała się, co bardziej ją drażni: czy to, że przy matce i jej przyjaciółkach wygląda jak miska z tłuczonymi ziemniakami, czy też to, że rodzice, którzy nieustająco klótniami od lat zatruwali jej i sobie życie, wciąż czują do siebie fizyczny pociąg. Najzdrowsza osoba położyłaby się w takich warunkach na tydzień do łóżka.

W środku patriotycznego numeru, gdy wszystkie dziewczyny prezentowały się w czerwono-biało-niebieskich kapeluszach przystrojonych cekinami i wstążkami, a przy okazji złane były taką ilością perfum, że można by nimi wypalić włosy na całym ciele, Clarissa poczuła, jak ściska jej się brzuch, i dała znak Teddy'emu.

- Idę do łazienki - powiedziała. - Muszę pochodzić. To Braxton-Hicks. - Mówiła o fałszywych skurczach, z powodu których przez ostatni tydzień świrowała z niepokojem.

Teddy pokiwał ze współczuciem głową.

- Rozumiem, mój krzyż też daje mi się we znaki.

Spojrzała na niego, pokręciła głową i odeszła od stolika, uważając, żeby nie nadepnąć na nic, w czym bije serce.

Spacer do toalety, niestety, nie przyniósł ulgi i nie powstrzymał fałszywych skurczów, wobec czego Clarissa zaczęła rozważać inne możliwości, na przykład tę, że rozpoczęła się prawdziwa akcja porodowa.

- To jeszcze nie jest poród. - Siedząc w kabinie, zadzwoniła z komórki do Gravy. Nie chciały się więcej znać, ale nadal codziennie ze sobą rozmawiały.

- Skąd wiesz, że to nie poród? Rodziłaś już kiedyś? - spytała Gravy.

- Ostatnio nie - jęknęła Clarissa. Przytrzymała brzuch, który znów się napiął.

- Jak często masz te skurcze?

- To nie są prawdziwe skurcze, idiotko! - wrzasnęła Clarissa w kabinie. - To skurcze Braxtona-Hicksa!

- Czy pani już skończyła? - spytał ktoś. - Tu jest kolejka.

- Chryste - powiedziała Clarissa. - Zadzwonię później.

Wstała i wyszła z kabiny. Przed dwiema kabinami, tworzącymi toaletę

dla pań przy sali na pięćset osób, ustawiła się długa kolejka. Czekające kobiety popatrzyły na nią, splatając ręce na babcinych biustach.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała jedna, z broszką w kształcie węża.

- To nic takiego, tylko trochę, nie wiem, tak... - Clarissa wykonała zaciskający ruch rękami i wtem spostrzegła, że sznur kobiet wpatruje się w jej buty. Podążyła za ciekawskimi spojrzeniami i zobaczyła, że nasiusiła na podłogę w toalecie „Stardust Palladium”.

Czy te drobne, kłujące upokorzenia nigdy się nie skończą?

- Niech ktoś sprowadzi lekarza! - zawołała śpiewnie jakaś kobieta.

- Nic mi nie jest - zapewniła ze zniecierpliwieniem Clarissa. - Nic mi nie jest.

- Usiądź, kochanie - poprosiła ją kobieta z wężem, obejmując zaskakująco silnym ramieniem to miejsce, gdzie dawniej miała talię. - Wody ci odeszły.

Clarissa spojrzała w błękitne, żyłkowane oczy, które teraz, kiedy patrzyła na nie z bliska, ogarnięta paniką, wydały jej się piękne, i fala mdłości zalała jej ciało od ciężkich, spuchniętych kostek aż do głowy z burzą ciężowych włosów.

Opadła na podłogę jak kotwica spuszczone z statku wycieczkowego na porcie Mazatlán.

- Trzymaj się, cukiereczku! - krzyknął Teddy, siadając przy niej w karetkce.

- Tato, ja rodzę, nie jestem głucha! - odrzyknęła Clarissa.

Matka siedziała naprzeciw niej, w trykotach, z czerwono-białoniebieską szarfą, trzymając ją za rękę i po hiszpańsku poganiając kierowcę, żeby jechał szybciej.

- OOOOCHCHCHOLERA! - wrzasnęła Clarissa. - To boli! To boli!

- Już dobrze, dziecinko, już dobrze - uspokajała ją matka, głaszcząc po czole. - Skurcze nie trwają długo.

- Aaaaaarrrrrgggghhhh! - odparła Clarissa, chociaż nigdy przedtem

nie użyła słowa „argh”. Potem pomyślała o Gravy i reszcie Trybunału.

- Mamo, telefon. - Chwyciła torebkę.
- Chcesz teraz do kogoś dzwonić?
- Telefon!

Matka zajrzała do jej torebki i znalazła nokię. Clarissa chwyciła telefon, wcisnęła „ponowne wybranie numeru” i czekała.

- Gravy! - krzyknęła, gdy ta odebrała. - Właśnie rodzę to dziecko i, jak Boga kocham, jeżeli ty i reszta towarzystwa nie pogodzicie się i nie przyjdziecie do mnie jak najszybciej, to nie tylko cofnę propozycję, żebyście zostały matkami chrzestnymi, ale nigdy nie zdradzę ci nazwiska mężczyzny, który pytał niedawno o ciebie, a jest już oficjalnie rozwiedziony!

I znów wrzasnęła, krótko, chrapliwie, jakby dopadł ją atak kaszlu, rzuciła telefon ojcu, który go złapał i poinstruował Gravy, gdzie może ich zastać.

Karetka wjechała na podjazd oddziału ratunkowego szpitala Cedars Sinai. Dwóch dobrze zbudowanych sanitariuszy wyprowadziło Clarissę, która starała się wyryć w pamięci uwidocznione na plakietkach nazwiska, żeby sięgnąć do nich w przyszłości (uświęcone tradycją Bzykanie z Bohaterem), a w chwilę potem poddała się przemożnym siłom natury.

Jej wrzaski słychać było, jak przekazuje legenda, od Santa Monica do Long Beach.

- Dopiero dwa, Clarisso - powiedział doktor Catz. Oczy mu błyszczały.
- Dwa centymetry? - jęknęła Clarissa. - To wszystko? Miesiąc temu miałam rozwarcie na przeszło jeden centymetr.
- Muszę czekać, aż będą co najmniej cztery, żeby zrobić ci znieczulenie.
- Coś panu powiem, doktorze. - Clarissa złapała go za kołnierzyk. - Kiedy pan będzie rodził, może pan czekać, aż będą cztery. Ja chcę dostać znieczulenie już teraz!

Doktor Catz spokojnie, wypróbowanym, jak się zdawało, ruchem godnym wojowników ninja, uwolnił się od uchwytu Clarissy.

- Niedługo wrócę - zapowiedział z uśmiechem.

Wyszedł z pokoju. Żwawym krokiem.

- Błąd w sztuce lekarskiej! - zawołała za nim Clarissa.

Zwróciła się do matki. - Czy już za późno, żeby go wyrzucić? - spytała.

Potem chwyciła drobną, ptasią dłoń matki i znów krzyknęła. Teddy raptem się poderwał i ruszył do drzwi w ślad za doktorem.

- Wideo! - powiedział, wymachując rękami. - Zaraz wracam!

Clarissa popatrzyła na matkę, której sceniczny makijaż wtapiał się w miękkie fałdy skóry.

- Zniszczysz taśmę, dobrze, mamó? - poprosiła.

Matka pokiwała głową z uśmiechem.

- Dobrze - rzekła Clarissa.

Matka siedziała i trzymała ją za rękę. Milczały razem, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

- To takie trudne - powiedziała Clarissa, patrząc w dziobaty sufit.

- Wiem, moja córko - odparła matka. - Ale dopiero zobaczysz, co będziesz miała z nastolatkiem.

Porozmawiajmy o czterech etapach porodu. We wczesnej fazie pierwszego etapu zaczynają się lekkie skurcze, powiedzmy co dwadzieścia minut, rozszerzające szyjkę macicy od jednego do czterech centymetrów. Dla Clarissy pierwszym etapem było omdlenie w toalecie w obecności grupki nieznanymi kobiet. Aktywna faza pierwszego etapu jest bardziej intensywna i wówczas szyjka rozwiera się od czterech do ośmiu centymetrów. Dla Clarissy aktywna faza dzieliła się na dwie części: a) pchnięcie doktora Catza zgiętą słomką w tętnicę szyjną i wymuszenie przyznania, że trzycentymetrowe rozwarcie jest wystarczające, by zastosować

znieczulenie; b) wymiana złośliwych plotek z Trybunałem, który stawiał się w pełnym składzie, na szczęście pięć minut po zaaplikowaniu znieczulenia. Faza przejściowa pierwszego etapu polegała na oglądaniu powtórki *Facts of Life* razem z dziewczynami i zastanawianiu się, która dziecięca gwiazda tego programu może dziś występować w łagodnych pornosach. Na drugim etapie, kiedy rodzi się dziecko, Clarissa była tak odrętwiała od znieczulenia, że trzeba było przerwać grę w sławną postać - akurat kiedy zgadywała, że Matt Perry jest tym „przyjacielem”, który zrobił sobie operację plastyczną podbródka - żeby powiedzieć jej, że dziecko lada moment wysunie się z pochwy.

Właśnie wtedy zauważyła, że doktor Catz nie ma na palcu obrączki.

- Przyj, Clarisso! - polecił doktor Catz.

- Prę! - odrzyknęła.

- Nie przesz. Przyj! - krzyknął.

- Przyj, cukiereczku!

Clarissa zorientowała się, że w pokoju jest ojciec. Z kamerą wideo.

- Tato! Wyjdź stąd!

- Przyj, Clariiso! - zawołała matka.

Wszyscy naraz zaczęli krzyżeć „przyj!” - Gravy, Jennifer, Polo, a nawet Suzee, która wprawdzie się spóźniła, ale za to miała na nogach najmodniejsze tej jesieni, sięgające nad kolana buty ze skóry aligatora.

Clarissa wrzasnęła ostatni raz i parła, choć od pępka w dół praktycznie nic nie czuła, parła tak, jakby zależał od tego los narodu, a przy najmniej kilkorga ludzi zebranych w pokoju, i wreszcie... wyszedł.

Wyszedł chłopczyk.

- Chłopiec! - zawołał doktor Catz.

- Chłopiec! Mam wnuka! - zawołał ojciec. - Dobrze się postarałaś, cukiereczku.

Matka uśmiechała się przez łzy i milczała. Dziewczyny piszczały.

- Ale totalnie wyposażony! - powiedziała Gravy.

- Spójrzcie, jakie wielkie jaja! - dodała Polo.

Jennifer płakała.

- Chłopiec? - spytała Clarissa. - Na pewno?

- Jestem pewien - rzekł doktor Catz. - Ma wszystko, co trzeba, jak zaświadczyły pani koleżanki. - Położył owinięte niemowlę na jej piersi.

- Chce go pani karmić piersią? - spytała pielęgniarka.

Clarissa ku swojemu zaskoczeniu pokiwała głową. Wcześniej nie planowała karmienia piersią, ale jej ciało pulsowało tą potrzebą, pragnęło karmić dziecko. Co ja pocznę z chłopcem? - pomyślała niespodziewanie.

- Czy mogłabym... zostać sama? - poprosiła, cicho i chrypliwie. Uzmysłowała sobie, że musi się czegoś napić. Nikt jej nie usłyszał w rozgwarze gratulacji. - Chciałabym zostać sama ze swoim synem - powiedziała mocniejszym głosem.

Doktor Catz obejrzał się na nią.

- Dobrze, zostawmy młodą mamę samą. Powinna się zapoznać z kimś bardzo specjalnym.

Mrugnął do Clarissy, która znów pomyślała o jego obrączce. Pewnie zdejmuje ją przed przyjmowaniem porodu, i tyle. W końcu kto by chciał mieć obrączkę oblepioną kawałkami łożyska?

Matka pocałowała ją, pocałowała główkę dziecka i wyszła ostatnia.

Clarissa została sama. Niemowlę potarło buzią jej wielkie, ogromne piersi i zaczęło ssać.

- Rozumiem - powiedziała. - Więc to tak.

Niemowlę ciamkało cicho, spożywając pierwszy ciepły posiłek poza łonem matki.

- Kim ty jesteś? - spytała Clarissa, patrząc na małego.

Uprzytomniła sobie, że nie pomyślała o imieniu dla chłopca; miała w repertuarze wyłącznie imiona dziewczęce, tak była pewna, że nosi pod sercem dziewczynkę. Przebiegła w myślach listę imion, ale okazało się,

że przychodzą jej do głowy tylko imiona byłych chłopaków. Pomyślała nawet, żeby dać mu imię po własnym ojcu, lecz potem przypomniało jej się, że w tradycji żydowskiej nadaje się dziecku imię zmarłego krewnego. Ale przecież coś można było na to poradzić.

Mogła dać chłopcu imię Falszywego Aarona. Tyle że nie знаła jego imienia.

- Cholerny świat - powiedziała do maleńkiej mechatej główki i ciała ważącego niewiele ponad trzy i pół kilo. - Poczekamy i zobaczymy, kim jesteś, dobrze?

Malec pisnął i poruszył się, co Clarissa uznała za zgodę. Uśmiechnęła się pierwszy raz po porodzie. A więc już potrafili się porozumieć.

- No, to kto się rozwiódł? - zainteresowała się Gravy. Trzymała Iksika, jak go nazywano, kołysząc malucha zadziwiająco łagodnie.

- Mężczyzna w tweedzie - odparła Clarissa, pijąc przez słomkę różowy płyn. Nie była pewna, czy to lemoniada, i właściwie było jej to obojętne. Gravy najwyraźniej nie kojarzyła. - Z kształtów podobny do obojętnej, ma teksański akcent i powierzchowną ranę na ciele - ciągnęła Clarissa.

- Ach. Uch - odparła Gravy. - NZ. - „Niezainteresowana”.

- Był na tej imprezie charytatywnej, na tej aukcji, pytał o ciebie. Powiedział, że jesteś... interesująca.

- Bo jestem - rzekła Gravy. Pauza. - Powiedział, że jestem interesująca?

- Właśnie tak. Czy mogłabyś... jest za ciasno owinięty.

- Szs. Wiem, co robię.

- Jest głodny. Daj mi go - zażądała Clarissa.

- Karmiłaś go dziesięć minut temu.

- Lubi jeść. To mój syn.

Gravy przewróciła oczyma, ale oddała dziecko. Rodzice Clarissy wyszli, żeby wrzucić coś na ruszt (i przynieść, na życzenie córki, mnóstwo jedzenia z delikatesów), a pozostałe dziewczyny poszły dzwonić do

wszystkich, w których Clarissa chciała wzbudzić zazdrość. Nawet Suzee zaproponowała, że zadzwoni do kilku jej byłych chłopaków.

Nikt nie wspomniał słowem o Fałszywym Aaronie; nikt nie spytał, gdzie jest. Takie miała dobre przyjaciółki.

Gravy przysunęła sobie krzesło, żeby popatrzeć, jak Clarissa karmi maleństwo. Westchnęła.

- Ja też bym takie chciała - powiedziała.

- Takie wielkie balony? - spytała Clarissa. - Możesz je sobie wziąć, kiedy z nim skończę.

Gravy już miała uszczypnąć przyjaciółkę, gdy...

- Pięknie - powiedział Fałszywy Aaron. - Ach, jak pięknie wyglądasz!

Stał w drzwiach ze szpitalnym bukietem i dużym niebieskim misiem. Był w jasnozielonej koszuli i ciemnobrązowej skórzanej marynarce. Wydawał się starszy, bardziej dojrzały i prezentował się modnie. Clarissa, ledwie go zobaczyła, miała ochotę zanurkować pod łóżko z dzieckiem, ze szwami, ze wszystkim.

- Przyszedł dawca spermy - zaanonsowała Gravy.

- Gravy, wiesz, co masz zrobić - powiedziała Clarissa.

Przyjaciółka kiwnęła głową i wyszła z pokoju bez skrzywienia ust. Clarissa była z niej dumna.

- Mogę... ? - spytał Fałszywy Aaron. - Umieram z ciekawości, tak bardzo chciałbym go zobaczyć.

- Sprawdź jego terminarz - odparła Clarissa. Odwinęła kocyk osłaniający główkę synka. Ukazała się kopolka ciemnego meszku.

- Podobny do ciebie - rzekł Fałszywy Aaron. - Piękny. Macierzyństwo ci służy.

- Srele-morele. Wygląda kropka w kropkę jak ty i dobrze o tym wiesz - powiedziała Clarissa. - Moje szczęście, he?

Czuła się naga, bezbronna i zmęczona na samą myśl o rozmowie z Fałszywym Aaronem. Ta chwila była dokładnym przeciwieństwem tego, czego pragnęła i na co wyczekiwała.

- Clarisso - rzekł Fałszywy Aaron.

- Fałszywy Aaronie - odparła Clarissa.

Zamknęła oczy, czując jak zagarniają fala zmęczenia; zapas adrenaliny właśnie się kończył. Dziękowała Bogu, że rano ułożyła sobie włosy.

- Czego chcesz?

Takie proste pytanie. Parę miesięcy temu Clarissa odpowiedziałaby na nie bez trudu. Czego chce? - pomyślała, patrząc na Falszywego Aarona, a potem na dziecko. Czego ja chce?

- Nie wiem - odparła. - Czekać, wiem. Spać. Chce mi się spać.

- Clarisso, mamy dziecko - rzekł Falszywy Aaron. - Musimy pomyśleć, co jest najlepsze dla... jak mu na imię?

- Nie dałam mu imienia. O ile wiem, nie będzie potrzebne aż do piątej klasy.

- Musimy dać chłopcu jakieś imię, jest mu potrzebne.

- I pewnie masz jakąś propozycję? Falszywy Aaron popatrzył na nią.

- James Junior. James B. Tanner Junior.

- Ty masz tak na imię? - spytała. - James?

- Tak - odparł James. - To moje imię. - Popatrzył na jej twarz. - Nie podoba ci się? „James” to królewskie imię.

- A co się kryje za tym „B”?

- Barnard.

- Następne proszę.

- Co ci się nie podoba...

- Następne.

- To jest także mój syn.

- O nie... tylko nie zaczynaj. Wmanewrowałeś mnie w małżeństwo pod fałszywym nazwiskiem.

- No, no, kto byłby do czegoś takiego zdolny?

- I wynająłeś adwokata od rozwodów.

- Co? - zdziwił się James. - Nie wynająłem adwokata, nie byłoby mnie na niego stać.

- Chcesz rozwodu, to oczywiste.

- Kto powiedział, że chcę rozwodu? - spytał James.

- Właśnie to powiedziałeś.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem - zapewnił James. - Musisz przyznać, Clarisso, że mamy dość kłopotów.

- Przykro mi, że nasze małżeństwo stanęło na drodze twoim randkom.

- Moim randkom? Wcale nie chodziłem na randki... co powiesz o tym angielskim... tym... dandysie...

- Simon nie jest pedałem, Aaronie... to znaczy, James - powiedziała Clarissa. - Jest hetero i zna się na modzie.

- Halo! Trafiłem do właściwego... pokoju? - Zjawił się Simon z ogromnym pękiem balonów.

Clarissa nie cierpiała balonów.

Simon nie mógł się z nimi przecisnąć przez drzwi.

Przynajmniej ten aspekt przyszłości stał się nagle jasny: Clarissa nie mogła związać się z mężczyzną, który przyniósł jej balony.

- Wyjdź stąd - powiedział James do Simona.

- Nie wyjdę. Clarissa i ja mamy się pobrać, więc możesz zacząć się do tego przyzwyczajać. - Simon wypiął pierś. Miał na sobie kamizelkę z dzianiny. Czegoś takiego Clarissa nie widziała od piątej klasy.

- Kto ma się pobrać? - Usiadła, jakby ktoś włożył jej gorący pręt do tyłka. - Simon, ta kamizelka...

- Podoba ci się? Jesień dwa tysiące dwa, nowiuteńka.

- Dość tego. - James doskoczył do Simona, usiłując schwycić go przez pióropusz z balonów.

- Wariat! Wariat! - wrzasnął Simon, obiegając łóżko i chowając się za Clarissą.

- Simon, proszę cię, wyjdź stąd! - krzyknęła Clarissa. - Dopiero co rodziłam! Nie wiesz, kurde, że narodziny są święte?

- Słyszałeś - rzekł James. - Moja żona kazała ci wyjść!

- Chwileczkę, Aaronie/Jamesie, jeszcze nie skończyliśmy rozmowy na ten temat...

Simon wpadł w słowo Clarissie.

- Ona tak mówi tylko ze względu na ciebie. Znam Clarissę od zawsze.

To ja będę przy niej, choćby nie wiem co, choćby nie wiem jak była gruba.

Simon zrobił unik, gdy James próbował chwycić go za włosy i wyciągnąć z szpitalnego łóżka.

- Co?! - wrzasnęła Clarissa. - Dopiero co rodziłam, głupku!

- To ja będę przy niej! - rzucił James. - To mój obowiązek!

- Przepraszam! Dziecko, matka, święty czas?! - powiedziała Clarissa.

- Simonie, proszę cię. Aaron/James... jest ojcem mojego dziecka. Musimy zostać sami.

- Ależ... myślałem, że to ja jestem ojcem.

- Simonie, już ci mówiłam. Nie kochaliśmy się tamtego wieczoru!

- Dobrze, skoro chcesz w to wierzyć - ustąpił wreszcie Simon. - Co mam zrobić z balonami?

Clarissa popatrzyła na niego.

- Oddział dziecięcy jest na górze - powiedziała.

Simon zeszytniał.

- No tak - rzekł. - No tak. - I wyszedł, ciągnąc za sobą balony, które z trudem precyzyjnie się przez drzwi.

Clarissa spojrzała na niemowlę. Przespało całe brzydkie starcie. Ucieszyła się, że nie będzie nic z tego pamiętać. James usiadł, oddychając ciężko.

Clarissa lekko uszczypnęła maleństwo, by się upewnić, że żyje.

- Wiem, James, że rozwód niczego nie rozwiązuje - powiedziała. - Spójrz tylko na moich rodziców. Z drugiej strony być może przekroczyliśmy granicę uprzejmości. Mogłabym cię znienawidzić. Mogłabym rozsypać pineski na twoim podjeździe. Mogłabym nasrać na twoją deskę rozdzielczą...

- Wystarczy - przerwał jej James. - Nie przy dziecku. Nie powinno być tak wczesnie narażone na zbyt dużą dawkę własnej matki.

- Może naprawdę cię nienawidzę, ale dopiero co wypchnęłam pochwą arbuza, jestem porozdzierana od przodu do tyłu przez tę dużą

głowę, mam odlot na vicodinie (dzięki Bogu) i nie mogę zebrać myśli.

- Nie moja wina, Clarisso - rzekł James. - To ty masz głowę z własnym kodem pocztowym.

- Z własnym klimatem. Nowszy żart.

James uśmiechnął się.

- Chyba nie chcesz takiej żony, która nigdy więcej nie będzie z tobą spała - powiedziała Clarissa. - Bo ja nigdy, przenigdy, *ad infinitum*, do końca życia, nie włożę tam nic prócz okładu z lodu.

James znów się uśmiechnął. Wstał, pocałował Clarissę w czoło, a dziecko w mechatą główkę.

- Kocham cię, mały Jamesie - rzekł.

Clarissa klepnęła go po ręce. Uśmiechnął się wesoło i ruszył do drzwi.

- Zaraz wrócę. Przyniosę ci coś słodkiego, lepkiego i...

- Czekoladowego?

- Nawet bardziej - rzekł i idąc, posłał jej całusa.

- Pieprzone dołączki - mruknęła pod nosem Clarissa. - Och, przepraszam, Iksiku.

Zaczęła szukać takich samych dołączków na policzkach niemowlęcia, a kiedy je znalazła, rozpromieniła się.

Miała dokładnie piętnaście sekund ciszy, nim przerwało ją wołanie: „Zgadnij, cukiereczku, jaką mam nowinę!”, i wszedł Teddy takim krokiem, jakby uczciwym sposobem wygrał na loterii kalifornijskiej. Obejmował matkę Clarissy, która spoglądała na niego rozanielona.

- Pobieramy się! - oznajmił.

Clarissa znów zamknęła oczy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Długa, egzotyczna podróż

Clarissa nie lubiła niespodzianek. Nieoczekiwane zdarzenia nie podniecały jej, nie budziły zainteresowania. A nieoczekiwana śmierć jest taka paskudna właśnie dlatego, że jest nieoczekiwana. Jest zaskoczeniem.

Matka umarła w dwa tygodnie po narodzinach dziecka, jeszcze zanim nadano mu imię. Clarissa nadal u niej mieszkała, ponieważ matka nalegała, żeby wprowadziła się do jej domu razem z dzieckiem i została, jak długo zechce, aż zadecyduje, co zrobi z Fałszywym Aaronem. Iksik spał więc w wiklinowym łóżeczku obok dawnego łóżka Clarissy. Matka codziennie gotowała, przyrządzała wszystkie ulubione dania Clarissy z dzieciństwa - których wówczas nigdy nie przygotowywała - pomagała przewijać małego w środku nocy, pocieszała córkę, kiedy bolały ją sutki albo niemowlę miało gazy, i ogólnie wydawała się młodsza, niż Clarissa zapamiętała ją z lat swojej młodości.

Teddy tymczasem przekroczył bramę więzienia stanowego i zaczął odsiadywać wyrok, a potem rodzice mieli się na nowo pobrać.

Clarissa nigdy nie widziała, żeby jej matka była taka szczęśliwa.

Jest wiele rodzajów śmierci. Większość ludzi umiera z przyczyn naturalnych, w swoich starych łóżkach i ciałach; większość zgonów odznacza się względną normalnością.

Mama Clarissy umarła na sedesie. Podobnie jak Elvis, jak ten nalany hollywoodzki producent, który wyglądał jak opalony balon, tak i jej matka odeszła pewnego ranka, kiedy wypróżniła się o jeden raz za dużo. Clarissa znalazła ją opartą o umywalkę, jakby się zdrzemnęła, z magazynem („Martha Stewart Living”) tuż obok wyciągniętej ręki.

Clarissa, niewyspana, ponieważ przez pół nocy karmiła, myślała, że matka śpi. Nie chciała jej przeszkadzać, więc położyła się z powrotem do łóżka.

Kiedy obudziła się godzinę później, matka nadal siedziała tam, gdzie przedtem. Clarissa krzyknęła, omal nie upuszczając drogiego zawiniątka, zatrzasnęła drzwi toalety i od razu zadzwoniła do Gravy.

- Moja mama nie żyje! - krzyknęła do słuchawki.
- Ja pierniczę, żartujesz! - powiedziała Gravy.
- Po co miałabym żartować?
- Zaraz tam będę - rzekła Gravy.

Zjawiła się w ciągu dziesięciu minut. Clarissa nie spytała, jak zdołała tak szybko przybyć, skoro jej dom był oddalony o dwadzieścia minut drogi. Czekala na przyjaciółkę, siedząc na ganku z dzieckiem w ramionach i kołysząc się jak statystka w *Kłębowisku wężów*. Wskazała dom.

- Jest tam.

Gravy weszła do środka i po trzydziestu sekundach wyszła.

- Naprawdę nie żyje - powiedziała. - Zadzwonię po jej lekarza.

Lekarz, mężczyzna bez owłosienia na przedramionach i z tak wysokim głosem, że wszystko, co mówił, zamieniało się w skowyt, orzekł, że przyczyną śmierci był prawdopodobnie niedobór potasu, brak równowagi elektrolitycznej prowadzący do niewydolności serca; od dawna ostrzegał pacjentkę przed zgubnymi skutkami dietetycznych nawyków.

Matka dosłownie zesrała się na śmierć. Specjalna herbatka, którą piła dzień w dzień, zatrzymała akcję serca.

Clarissa popatrzyła na piskliwego doktora, oddała Iksika Gravy,

pobiegła do kuchni, wyrzuciła cały zapas herbaty z szafek do pojemnika na śmieci, a pojemnik cisnęła za tylne drzwi, nie dbając o to, że jego zawartość zasypała rabatkę matki, bo kto by ją teraz za to skrzyczał.

Stojąc nad śmieciami, uprzytomniła sobie, że musi zawiadomić ojca, który dzwonił dwa razy dziennie, choć do telefonu „na parterze” ustawiły się godzinne kolejki i żeby porozmawiać ze swoją nową (starą) żoną i szepnąć coś do uszka wnukowi, najczęściej musiał stać za właścicielem loczka ociekającego żelem „Jheri” albo nazistowskiego tatuażu.

Clarissa nie wiedziała, jak powiedzieć mu o śmierci matki. Siedziała z przyjaciółkami z Trybunału, które pospiesznie przybyły na wezwanie - pięknie odziane w rozmaite czarne stroje - i ułożyły plan działania.

- Powiedz mu wprost - poradziła Gravy. - Najlepsza jest bezpośredniość.

- Nie - rzekła Jen. - To mogłoby go zabić.

- Powiedz mu, kiedy wyjdzie z więzienia - doradziła Polo.

Clarissa spojrzała na nią.

- I co zrobić przez najbliższe sześć miesięcy?

- Powiedz, że wybrała się w podróż - zaproponowała Suzee. - Długą, egzotyczną podróż.

- Tak, tak. Chce się napodróżować, zanim się pobiorą - dorzuciła Jen. - Och... a gdzie planowali ślub? - Jen nabrała rozpędu.

- W ogródku - odparła Clarissa.

Matka miała za domem pięknie urządzonego ogród. Pracowała w nim całymi dniami, spalając nadmiar seksualnej energii.

O wpół do jedenastej zadzwonił telefon. Jak co dzień, odkąd ojca wsadzono do „paki” (sam tak mówił).

- Cukiereczku - rzekł Teddy - jak się miewa moja dziewczyna?

Clarissa popatrzyła na przyjaciółki. Kiwnęła głową i dała znak, żeby wyszły z pokoju. Żadna się nie ruszyła.

- Dobrze - odparła Clarissa, wciąż dając znaki, żeby wyszły. - Jak tam twój duży dom?

Jen wreszcie wstała i poszła do kuchni, ale Gravy, Polo i Suzee tkwiły każda na swoim miejscu. Clarissa zgromiła je spojrzeniem.

- Daję mi popalić, dziecinko. Jak mój chłopiec? Dostał już imię?

Gravy napisała na kartce „współlokator” i pokazała Clarissie, która wybałuszyła na nią oczy.

- Z kim dzielisz piętrowe łóżko, tato? - spytała Clarissa.

- Nie wiem. Z jakimś faciem. Smutas, ciągle narzeka. Gdzie moja narzeczona?

- Za co siedzi? - spytała znowu Clarissa. - Za jakieś machlojki finansowe czy coś innego?

- Nie wiem. Chyba kogoś zabił. Jest w kiepskiej formie. Ale to jego problem - odparł Teddy. - Mam dwie minuty. Gdzie moja kubańska babeczka?

- Boliwijska, tato. Boliwijska.

- Wiem, wiem. Myślisz, że nie wiem? Znałem tę dziewczynę przez pół życia - rzekł Teddy. - Gdzie moja Alejandra?

Clarissa wzięła głęboki oddech; popatrzyła na przyjaciółki.

- Tato - powiedziała. - Znalazłam imię dla dziecka. Jak ci się podoba Alejandro?

Potrząsnęła głową, próbując powstrzymać łzy, które zaczęły ciec jej po twarzy. Gravy złapała ją za ramiona i podtrzymała, gdy pochyliła się do przodu.

- Och, piękne, kochanie - rzekł cicho ojciec. - A co o tym myśli twoja matka?

Clarissa nie mogła wydusić ani słowa. Przez chwilę trzymała słuchawkę, świadoma upływających na wspólnym milczeniu sekund.

- Tato - powiedziała wreszcie, patrząc w oczy Gravy. - Mama...

Teraz Teddy zaczerpnął tchu. Clarissa słyszała, że powstrzymuje się od wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa.

- Jestem tu - powiedział. - Jestem tu.

- Ona nie żyje - rzekła Clarissa. - Jej serce...

Clarissa milczała, gdy ojciec zaszlochął całym swoim barczystym, dalekim od ideału ciałem. Trybunał zgromadził się wokół niej, zaczął ją kołysać, słuchając płaczu ojca, który po chwili powiedział, że musi już iść i że bardzo ją kocha, a wtedy Clarissa powiedziała, że ona też bardzo go kocha i że mały Alejandro będzie czekał na jego telefon, jak zwykle po południu.

Rozłączyła się i położyła głowę na kolanach Gravy, która zaczęła głaskać płaczącą przyjaciółkę po włosach.

- Brak mi na to sił, Gravy - powiedziała Clarissa.

- Nie szkodzi - odparła Gravy. - Ja będę silna za ciebie.

Później Clarissa pompowała mleko z nabrzmiąłych piersi, członkinie Trybunału zaś na zmianę brały dziecko, a czasami trzymały ją za rękę, kiedy się załamywała, co do końca tego dnia zdarzało się co pięć minut.

Clarissa powtarzała, żeby wieczorem zostawiły ją samą z Alejandrem, ale Trybunał nie chciał o tym słyszeć i uparł się, że zostanie na tę noc i następnie, jak długo będzie trzeba.

Rano Clarissa obudziła się na łóżku matki, ściskając matczyną poduszkę, wilgotną od łez. Nie wiedziała, jak się tam znalazła.

James zjawił się nazajutrz rano w tym samym czasie, gdy dostarczono gazetę matki. Trzymając w ręku papierową torbę z czerwonym napitkiem - zawierała zapewne dwie duże kawy - podszedł do Clarissy, powiedział, że jest zachwycony imieniem Alejandro, że nic nie mogłoby go bardziej uszczęśliwić i że koniecznie chce zabrać żonę i dziecko gdzieś na śniadanie, nawet jeżeli Clarissie nie chce się wyjść.

- Moja matka - powiedziała Clarissa, otulając się ciaśniej szlafrokiem matki.

- Wiem - rzekł. - Chodźmy coś zjeść. Musisz jeść.

- Nie chcę jeść - upierała się. - Chcę tylko płakać.

- No to zostanę i będę płakać razem z tobą - powiedział James.

Clarissa popatrzyła na niego. Jak mogła mu zaufać? Jak mogli zaufać sobie nawzajem?

- Bardzo lubiłem twoją matkę, Clarisso. Chciałbym ją oplakiwać razem z tobą.

Clarissa odetchnęła głęboko. Poczula się tak, jakby pierwszy raz tego ranka nabrała powietrza w płuca.

- Nie mogę zabronić ci kontaktu z dzieckiem, ale mam za dużo spraw na głowie, żeby się zastanawiać nad konsekwencjami twoich odwiedzin w dzień po śmierci mojej mamy - powiedziała. - Jestem rozbita emocjonalnie, duchowo, fizycznie... jestem rozdarta jak stąd do Chin, jeżeli potrafisz to sobie wyobrazić.

- Potrafię - odparł James, krzywiąc się.

- Krótko mówiąc, chyba już nigdy nie będę miała ochoty spotykać się i rozmawiać z żadnym mężczyzną. Ani dotykać żadnego mężczyzny. Oprócz Alejandra.

- Chcesz kawy czy nie? - spytał.

- Od Peeta? - upewniła się Clarissa, spoglądając na torbę.

- Tak.

Otworzyła mu drzwi. Ale jeszcze nie otworzyła serca.

Rozdział trzydziesty

Pogrzeb

Trzydzieści sześć godzin później, przez cały czas trwania pogrzebu Clarissa słyszała głos matki, nawet kiedy rabi, młoda, modna kobieta, która mogłaby zostać siostrą w Trybunale, poprosiła Clarissę, żeby stanęła na podium i odmówiła kadysz, żydowską modlitwę za zmarłych. Idąc, Clarissa słyszała: „Te róże są zbyt różowe, a tak w ogóle to po co ona przyniosła kwiaty na żydowski pogrzeb?” albo „Och, Clariiso, czemu nie zwiążesz włosów z tyłu, to bardziej wyrafinowane”.

Usłyszała także, gdy stanęła na wprost zbitego tłumu i powiodła wzrokiem po smutnych, ale starannie wydepilowanych, podciągniętych i naciągniętych twarzach: „Niezły tłumek, he?” i „Popatrz na mojego pięknego wnuka, ma moje oczy. Ma oczy mojej matki”.

Rabi wyciągnęła dłoń, żeby rozdrzeć sukienkę Clarissy na prawym ramieniu. Clarissa złapała ją za rękę, a kiedy rabi wyjaśniła, że *kria*, rozdzieranie szat, to tradycja - syknęła do niej, żeby wepchnęła sobie tę tradycję głęboko między fałdy swojej szaty, wobec czego rabi wycofała się i oddała Clarissie głos.

Teddy i Clarissa postanowili pochować Alejandre Vere de la Cortes Alpert na cmentarzu Mount Sinai, najładniejszym żydowskim cmentarzu, jaki udało im się znaleźć, usytuowanym na Beverly Hills Adjacent, w dogodnej odległości, żeby zrobić zakupy przy Rodeo Drive i zjeść w „Spago Beverly Hills”.

Matka byłaby bardzo zadowolona.

Clarissa przebrnęła przez kadysz (który niechcący o połowę skróciła), zeszła z podium i wróciła na swoje miejsce obok Gravy, gdzie odbyła się krótka i łagodna walka o Alejandra, wygrana przez matkę.

Ucisząc dziecko czułym szeptem, Clarissa odwróciła głowę i przebiegła spojrzeniem twarz, aż zobaczyła tę, którą miała nadzieję odszukać - twarz Jamesa. Stał pod dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami, ubrany na czarno i w jarmułce, w której wyglądał bardzo atrakcyjnie, jak gojowaty rabiniczny student. Clarissa poczuła się niczym Barbra Streisand, mająca na wyciągnięcie ręki ślicznego Mandy'ego Patinkina. Na pogrzebie własnej matki podniecił ją widok męża (wkrótce mającego zostać jej byłym). Matka zauważyła: „Widzisz, mój zięć się pojawił, a gdzie twój przyjaciel Simon, hę?”

Clarissa nie znosiła, kiedy jej matka mówiła „hę”. Miała jednak słusność - nigdzie nie było widać Simona.

Teddy wygłosił mowę; pozwolił rabbi Pearl rozedrzeć czarny garnitur od Carroll and Company; no, ale te szaty mają co najmniej dziesięć lat, pomyślała Clarissa. Teddy dostał przepustkę na dwanaście godzin i miał zostać odprowadzony przez funkcjonariusza, żeby nie uciekł do Meksyku albo Kanady, co było obawą idiotyczną, ponieważ każdy, kto znał Teddy'ego, mógł zaświadczyć, że nie pojechałby nigdzie tam, gdzie nie ma co krok restauracji sushi ani sklepów ze sprzętem golfowym.

Teddy wszedł na podium, w jarmułce przypiętej do włosów czymś, co przypominało spinacze do papieru. Clarissa nigdy nie widziała go w tym nakryciu głowy, przydającym mu aury pobożności i w równej mierze śmieszności, z czym było mu do twarzy.

- Alejandra Vera de la Cortes Alpert - rzekł Teddy. - Wiele imion dla wielostronnej kobiety.

Clarissa omal się nie udławiła. Gravy ścisnęła ją za łokieć.

- Była żoną, moją żoną, z przerwami, jak większość z was wie, przez dwadzieścia cztery lata - ciągnął. - Była matką. Była, od trzech tygodni,

babcią. Była dobrą przyjaciółką. Sportsmenką. Tancerką. Wolontariuszką. I nie była zwykłą sumą tych składowych. Alejandra była zjawiskiem o wiele większym.

Clarissa odetchnęła z ulgą. Alejandro poruszył się.

- Usłyszałem tę kobietę przeszło trzydzieści lat temu - ciągnął Teddy - zanim ją zobaczyłem. Była drobna, metr pięćdziesiąt parę centymetrów, dlatego zawsze nosiła pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach, spiczaste i błyszczące, uwielbiała je. Więc siedzę sobie w restauracji, w środku miasta, i słyszę stuk-stuk-stuk, najbardziej seksowny dźwięk, jaki w życiu słyszałem, takie szybkie stuk-stuk-stuk, i myślę, do kogo należy to stukanie, bo chciałbym go trochę dostać.

Clarissa lekko zeszytniała.

- Odwracam się i... na filmach mówi się o pięknie i gracji... i mam wizję. Jakbym patrzył w słońce, z trudem spoglądam jej w twarz. Od stóp do głów ideał. Ale, jak wiecie, ostatecznie to nie wygląd jest najważniejszy, chociaż na początku i owszem.

Po tych słowach rozległy się pojedyncze śmiechy. Teddy radził sobie znakomicie.

- Zachwyciła mnie czymś więcej niż urodą. Była miła. Od razu to zauważyłem. Miała szeroki uśmiech i błysk w oku. Zanim poznałem jej imiona, Alejandra Vera de la Cortes, poczułem ją jak miękką ciepłą bryzę.

Połowa żalobników już płakała, a druga połowa przygryzała wargi i policzki od środka, powstrzymując nieunikniony atak łez.

- Powiedziałem do przyjaciela, współnika w interesach: to najwierniejsze faksymile nieba na ziemi, jakie widziałem - ciągnął Teddy. - Jeżeli mi się poszczęści i zdobędę numer jej telefonu, nakłonię ją, żeby za mnie wyszła. - Umilkł. - Nie zdobyłem jej numeru, ale zdobyłem numer jej brata, no i skończyło się tym, że za mnie wyszła. - Zaczerpnął tchu. - Moja żona zawsze była dla mnie dobra, ale ja nie mogę tego powiedzieć o sobie. Ostatnio jednak dopisało mi szczęście, bo poprosiłem ją o

przebaczenie i uzyskałem je. - Z trudem dobywał głos. - Dopisało mi szczęście, bo poprosiłem moją ukochaną, żeby dała mi drugą szansę i żebyśmy przeżyli razem resztę naszych dni. I ona się zgodziła.

Teddy rozplakał się. Clarissa siedziała prosto, patrząc na ojca - silnego mężczyznę, który zmalął, zamieniając się w smutnego chłopczyka. Przypomniały jej się fotografie taty z czasów dzieciństwa: stał w krótkich spodenkach i błyszczących bucikach, z opiekuńczą ręką matki na ramionach.

- Jestem szczęściarzem, ale tylko dlatego, że ona żyła tutaj - rzekł Teddy. - Ale ty nadal tu jesteś, Alejandra, nadal tu jesteś i zawsze będziesz - potarł ręką pierś - zawsze będziesz w moim sercu.

Clarissa oddała Alejandra Gravy, podbiegła do podium, mocno objęła pochylającego się ojca i oboje zapłakali nad matką, żoną i nad sobą.

- Wszyscy mieli mokre oczy - powiedziała później Gravy, kiedy długą czarną limuzyną wracali do domu. - Z wyjątkiem tej cipy Suzee, a w końcu kogo ona obchodzi. Widziałaś, jak była ubrana?

Clarissa wyglądała przez okno, patrząc z podziwem na typowy kalifornijski słoneczny dzień, trwający pomimo odejścia matki.

- Życie toczy się dalej - powiedziała do Gravy. - A ja bym chciała je zatrzymać.

Gravy kiwnęła głową i wzięła ją za rękę.

Clarissa westchnęła i pomyślała o Jamesie. Ciekawe, jaką wygłosiłby mowę pożegnalną na jej pogrzebie, jakich użyłby słów - co by powiedział - czego by nie powiedział.

Ze smutkiem zreflektowała się, że mąż właściwie nie zna jej na tyle, by wygłosić o niej mowę.

Po pogrzebie duża grupa ludzi, którzy żegnali matkę w domu pogrzebowym, przyjechała do domu - będącym odtąd domem Clarissy - w niższych partiach Beverly Hills, żeby odbyć z nią sziwę. Clarissa myślała o

tych wszystkich miejscach, w których dorastała - o mieszkanku z jedną sypialnią, którą dzieliła z matką, nieopodal autostrady w Santa Monica, kiedy ojciec poszedł do więzienia (pierwszy raz), o dość okazałym domu w Bedford, z wnętrzem jak z baśni o Ali Babie, kupionym dwa lata po wyjściu taty z więzienia (pierwszy raz), i wreszcie o tym skromnym, schludnym bungalowu w hiszpańskim stylu. Kiedy dorastała, wstydziła się go z różnych powodów: miał lekką konstrukcję, mały trawniczek, brodzik, który krzyczał: „Nie stać nas na prawdziwy basen!”. Wszystkie przyjaciółki Clarissy mieszkały w lepszych, większych domach; miały prawdziwe baseny, niektóre z deskami do skakania (korzystały z nich - fruwały jak żywe pociski, kiedy były młodsze; z czasem oddawały skoki tylko po pijanemu i bez dawnego zapachu). Przyjaciółki i kumpelki, a także dziewczyny wrogo do niej nastawione, miały to, czego pragnęła, na co swoim zdaniem zasługiwała, dlatego będąc jeszcze młodą dziewczyną, przysięgła sobie, że pewnego dnia zdobędzie wszystko - wszystko. Lista pożądanych rzeczy rosła wraz z nią. Mając osiem lat, pragnęła mieć łóżko z baldachimem jak Gravy, różowy dywan z gęstymi kępkami poskręcanych jak robaczki nitek, no i te buty; w wieku jedenastu lat chciała pobierać lekcje tenisa, na które narzekała Polo, u zawodowego tenisisty, będącego obiektem westchnień wszystkich nastolatek i ich mam, no i mieć te buty; jako trzynastolatka obrała za cel marzeń sprzęt stereo na pół ściany, oczywiście wraz z butami; mając zaś lat trzydzieści dwa (przyznawała się do swojego wieku, lecz jedynie w zacisznej prywatności własnego umysłu), pragnęła jednego - odzyskać matkę.

No i może jeszcze mieć te buty, pomyślała, oglądając się na Polo w czarnych pantoflach à la Hepburn z pieprzną domieszką Fredericka z Hollywood.

Clarissa usiadła na wzorzystej matczynej kanapie i położyła ręce na brzuchu, który z pomocą stresu spowodowanego śmiercią matki i maratonu karmienia piersią, zmniejszył się do rozsądnych rozmiarów.

I odetchnęła.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Ślub

Mój Boże, jaki to był piękny ślub! Tego samego dnia, w takiej samej oprawie, w jakiej Alejandra de la Cortes Alpert miała ponownie poślubić swojego byłego męża, Theodore'a Alperta, Jennifer Ellenbach połączyła się węzłem małżeńskim ze swoim ogrodnikiem, Pablem Ramirezem.

Clarissa nie mogła być bardziej szczęśliwa.

Ogród matki, teraz gorliwie pielęgnowany przez Pabla, po kilku miesiącach jego uważnych i troskliwych zabiegów wyglądał, jakby rozszalała się w nim wiosna. Clarissa widziała matkę we wszystkich kolorach - w pomarańczowych makach, żółtych jaskrach, lawendowych kupidynekach.

Jen poruszyła temat ślubu w rozmowie z Clarissą jakiś miesiąc wcześniej; rodzice nie aprobowali narzeczonego; nadal mieli nadzieję na tamtego doktora, tamtego prawnika, do licha, choćby nawet tamtego nauczyciela z liceum. Ale ogrodnik? Co to, to nie. Dlatego Jen spytała Clarissę, czy mogłaby wziąć ślub w ogródku jej matki (Clarissa wciąż czuła, że to ogród matki, bo zawsze tak było), no a jakże Clarissa mogła odmówić przyjaciółce?

A więc przyszła rodzina Pabla (schodzili się długo, bo to duża rodzina), przyjaciółki Jen stawiły się w komplecie i cały dzień upłynął tak szczęśliwie i zarazem rzewnie jak żaden inny w życiu Clarissy. Ten dzień przypominał jej, że nigdy nie będzie z Jamesem; że chociaż ma jego

dziecko, nie ma jego miłości. James kochał synka, widziała to. Podchodził i brał go na ręce (źle go trzymał), rozmawiał z nim (niewłaściwie) o ciężarówkach i motocyklach, zmieniał mu pieluchę (tył na przód), a Clarissa unikała z nim bliższego kontaktu. Była uprzejma i nie rzucała się w oczy. Przeżywszy narodziny i śmierć w tak krótkim czasie, przysięgła sobie, że nikt już nie złamie jej serca. Pierwszy raz w życiu nabrała dystansu.

Jen rzuciła bukiet, a Clarissie przemknęła myśl, że zaledwie rok temu to właśnie Jen złapała jej ślubną wiązanekę. W tej części ceremonii Clarissa nie brała udziału; oficjalnie przecież nadal była mężatką.

Stała z boku, trzymając dziecko. Patrzyła, jak wysoko podskoczyła Gravy (która teraz kazała się nazywać Alex) - jak to się określa? Pionowy wyskok. Alex skoczyła tak wysoko, że powinni się nią zainteresować agenci zawodowych koszykarzy.

Złapała bukiet i pomachała nim do mężczyzny, którego przyprowadziła na ślub - mężczyzny w tweedzie, tego z piegowatym czołem i namiętnością do ręczników kąpielowych z hotelu „Four Seasons”. Och, i do Digital Annex Computers, drugiego co do wielkości producenta części komputerowych we wszechświecie.

Polo, jak zwykle, towarzyszyła męska świta, zróżnicowana wiekiem, wzrostem, pochodzeniem, kolorem skóry i religią; zawsze otaczali ją mężczyźni; widzieli bijący od niej blask - któż by go nie zobaczył? Był wśród nich także doktor Catz, którego obrączka, jak się okazało, nie zaginęła w macicy Clarissy, lecz została usunięta na stałe przez mającą się z nim rozwieść żonę.

A wszyscy znamy słabość Polo do lekarzy.

Suzee też przyszła, z Simonem, który ujrzawszy Alejandra wyglądającego jak James w wersji mini, wreszcie pogodził się z faktem, że nie jest jego ojcem. Clarissę zaskoczyło (zdziwiło ją własne zaskoczenie), jak świetnie pasują do siebie Zła i Simon: Simon był upierdliwym egoistą i Suzee także. Byli też oboje chudzi jak whippet i rozedrgani.

A Clarissa była z Alejandrem, trzymała go w ramionach, miłość swojego życia, swojego mężczyznę, i dopóki...

Na podwórko wszedł James. Poczula, że rumieniec ogarnia ją od kolan po czoło.

Postanowiła się rozchmurzyć i pokazać mu, że ani trochę nie wstydzi się tego, że jest samotną matką, że nie wstydzi się dodatkowych pięciu (siedmiu) kilogramów ani tego, że zapomniała, jak nakłada się tusz na rzęsy, że jej buty dzielą się na wygodne lub niewygodne, że ma dziś na sobie to samo co wczoraj. Była przecież świeżo upieczoną mamą. I była dumna, do cholery, była du...

- Clarisso - rzekł James. - Gra skończona. Mam dość przychodzenia tu i patrzenia, jak mnie unikasz, kiedy biorę dziecko na ręce. I codziennych powrotów do tego głupiego mieszkania, spania z używanym kaftanikiem i twoją fotografią. Nie chcę cię opuszczać, już nigdy nie chcę cię opuszczać. Moje miejsce jest tu, przy tobie. I powiem ci, że nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Clarissa popatrzyła na niego.

- Mam trzydzieści dwa lata - powiedziała.

- Ba - bąknął James.

- Przepraszam. Nie powinnam była kłamać.

- Ha. Nazywasz to kłamstwem? - James uśmiechnął się. - A co powiesz na to? Nigdy nie miałem pieniędzy. Wychowałem się w mieszkaniu służących w posiadłości Masonów. Mój ojciec, alkoholik, dbał o zbiór broni należącej do Joe Masona. Nie masz pojęcia, jakie to zabawne dorastać pod jednym dachem z pijakiem, który czyści fuzje na kuchennym stole.

- Masz rację, to jest jedno wielkie obrzydliwe kłamstwo - przyznała Clarissa.

- Ale to jeszcze nie wszystko - rzekł James. - Teraz będzie coś lepszego. Kiedy ukończyłem wydział filmowy na Południowym Uniwersytecie Metodystów, zawarłem z Aaronem Masonem umowę. On miał wyjechać i używać życia od Amsterdamu po Zimbabwe, podczas gdy ja miałem

się pod-szyć pod niego, za przekazane mi pieniądze założyć firmę produkcyjną w Hollywood i chronić dziedzictwo Aarona, dając jego rodzicom do zrozumienia, że ich syn robi coś pożytecznego ze swoim życiem.

Clarissa pokiwała głową, potem nią potrząsnęła i znów pokiwała.

- Przeczytałem coś takiego o Hollywood: „Jeżeli masz kłamać, kłam na potęgę” - dodał.

- Udało ci się.

- Źle się czułem z tym kłamstwem, zwłaszcza wobec jego rodziców, a potem okazało się, że on chce tu przyjechać i wiedzieć, co się dzieje. Tak jak wszyscy inni.

- Więc nie masz pracy, czy tak? A zatem byłbyś dla mnie w tej chwili idealnym mężczyzną.

- Nic z tego - odparł James. - Po kilku dniach Aaron zorientował się, że ludzie w Hollywood bardzo ciężko pracują, ciężiej niż inni na tej planecie. Dlatego przebywa teraz w Indiach czy w Himalajach, gdzie nie ma tak restrykcyjnych przepisów dotyczących narkotyków.

- Jestem rozczarowana. Nie idziesz do więzienia?

- Nie. Cała afera z „zamienioną tożsamością” była skandalem przez minutę. Wylano mnie z pracy, wyrzucono ze studia, powiedziano, że nigdy nie znajdę w tym mieście pracy, ale okazuje się, że ludzie kochają ciekawe historie. Więc sprzedałem prawa do mojej historii Paramountowi.

Clarissa popatrzyła na niego, otwierając usta.

- Dobry jesteś. Naprawdę dobry.

James złożył ukłon.

- Mam trzy pytania - rzekła Clarissa. - Czemu się ze mną ożeniłeś?

Spojrzał na nią z powagą.

- Jeśli mam być szczerzy, to z początku nie traktowałem ciebie serio. Ale kiedy stało się jasne, że zamierzasz wydać się za mąż, nie zważając, czy mnie znasz, czy nie, uznałem to za zrządzenie losu. Wiedziałem, że przy tobie będę wiódł ciekawe życie, o czym zawsze marzyłem. Poza tym

pomogłaś mi się tu ustawić. Wszystkich znałaś, byłaś zabawna, wykorzystywałeś mnie, a ja... wykorzystywałem ciebie.

- Jakie to romantyczne - wtrąciła Clarissa.

- Ale ty naprawdę byłaś bardzo zabawna, a na dodatek bardzo seksowna, więc... sam nie wiem, jak to się stało, ale zabrałem się na tę szaloną jazdę z Clarissą. Zanurkowałem, a potem zszedłem jeszcze głębiej. I nie żałuję. Ani trochę.

Spojrzała mu w oczy.

- Bzykanie z Miłości - powiedziała.

- Wiem dokładnie, o czym mówisz - odparł.

Położył dłonie na jej policzkach - ten pocałunek trwał długo.

- Chwileczkę - rzekł. - Masz jeszcze dwa pytania.

- Obraz. Domyślałem się, że Aaron ci go podarował.

- Kiedy wytrzeźwiał, przestał mu się podobać.

- Slocum.

- Slocum?

- Ten adwokat, przed którym zagrałam darmowe przedstawienie?

Ten od inter...

James parsknął śmiechem.

- Kumpel z college'u. Próbuje sił w aktorstwie. Dobry był, nie?

Clarissa wolną ręką wymierzyła mu kuksańca w ramię, nie budząc dziecka.

Rozdział trzydziesty drugi

Koniec/Początek

No tak, wiesz, jakie jest życie, prawda? Siedzisz na brzydkiej kanapie zmarłej matki, dziecko płacze (ma gazy), masz popękane sutki, twój mąż, poniekąd uroczy, działa ci na nerwy - choć myślałaś, że już ich nie masz (aż do momentu, kiedy nieproszony zaczął ci przynosić wodę bez lodu i pilota)...

I właśnie wtedy dzwoni telefon i w ciągu paru minut, gdzie tam, sekund, twoje życie się odmienia i świat znów wydaje się wspaniały.

- Clarissa? - zagadnął głos, który wydał się jej znajomy. Ach, tak, to Morgan LeGrange z „Climate”.

- Przepraszam, Clarisso, że nie dzwoniłam.

- Jeżeli w związku ze sprawą sądową, to nie mam absolutnie nic do dodania.

- Chcemy, żebyś napisała dla nas artykuł.

- Co? - Clarissa wstała, omal nie zrzucając dziecka.

- Główny artykuł numeru - ciągnęła Morgan. - Siedzisz?

Clarissa usiadła. Omalże na dziecku.

- Artykuł o Zoë Monroe. Chce, żebyś ty go napisała. Specjalnie o ciebie prosiła. - Przeciągnęła słowo „specjalnie”, jakby malowała je na płótnie. - Posłuchaj jeszcze: podoba jej się twój głos!

Clarissa rozłączyła się bez odpowiedzi i zaczęła w szybkim trybie łączyć się z Trybunałem; przyjaciółki musiały dowiedzieć się pierwsze.

Zawsze musiały dowiedzieć się pierwsze.

Potem odłożyła telefon.

Popatrzyła na męża. Cudownego, tolerancyjnego, dużego męża.

- James - powiedziała. - Zoë Monroe chce, żebym napisała o niej artykuł... dla „Climate”!

Kiedy ją uściskał i poprowadził w tan wokół pokoju, połączyła się z Trybunałem.

- Zgadiginijcie cogo! - wrzasnęła.

Młoda kelnerka z „Coffee Bean and Tea Leaf na Sunset Plaza zauważyła różowy album na chodniku, gdy wysiadła z autobusu, którym przyjechała na poranną zmianę. Podniosła go tylko dlatego, że podobał jej się kolor - landrynkowy róż - wesoły, wyrwał ją z szarego nastroju. Przybyła tu z Montany przed czterema tygodniami i już tęskniła za beznadziejną przeszłością.

W czasie przerw w pracy przeczytała album od deski do deski, zafascynowana jednokierunkową pasją jego właścicielki. Próbowwała skontaktować się z Clarissą Alpert - któż to taki? - żeby zwrócić album. Bezskutecznie. Potem odłożyła znalezisko, ale jego stronicie wciągnęły ją na nowo, z siłą, jakiej nie mogła się oprzeć, większą niż surowe, bogobojne wychowanie.

Niebawem zaczęła wydawać pieniądze na buty w sklepach z obitymi jedwabiem ścianami, lekceważąc czynsz i lekcje aktorstwa. Ufarbowała mysie włosy na blond i dwa razy w miesiącu fundowała sobie manikiur, na który nie było jej stać. Flirtowała z klientami.

Umawiała się na skromne kolacje.

Wyszła bogato za męża.

I pewnego dnia, z okna swojego jaguara, cisnęła ślubny album na Bulwar Zachodzącego Słońca, a zdarzyło się to w słoneczny kalifornijski poranek, który mógł być wymyślony tylko dla potrzeb filmu.